DZWONEK

PISMO DLA LUDU

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XIX.

LWÓW,

Nakład i druk E Winiarza.

SPIS RZECZY.

zawartych w tomie XIX.

I. Żywoty Świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Dawne przysłowia i przypowieści, zdania i myśli.

Tom XIX. Nr. 1.

1. lipca 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ostrobramska Matka Boska.

Czytaliście moi kochani, różne ciekawości o cudownych miejscach Matki Bożej. Macie takie cudowne miejsca tej Najświętszej Panny po różnych miastach i wsiach w naszej Galicyi, są one w polskim kraju pod Prusakiem, co się zowie Księztwo Poznańskie i zachodnie Prusy, są także w polskich krajach pod Moskalem, co się zowią Królestwem polskiem z miastem Warszawą i zabranemi polskiemi ziemiami z miastami Kijowem na Rusi i Wilnem na Litwie.

Otóż wiecie o Matce Boskiej Częstochowskiej koło Krakowa, bo tam był nie jeden z was i widział na swe oczy jasnogórski klasztor z kaplicą wielką i cudownym obrazem i modlił się klęcząc i płacząc. Ale niejeden z was może ani nie słyszał o cudownym obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej w mieście Wilnie na Litwie, gdzie teraz Moskal wydziwia z katolikami i każe się im wyrzekać wiary katolickiej a przechodzić na wiarę moskiewską, co się zowie prawosławiem albo schyzmą.

O tymto obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej w mieście Wilnie na Litwie opowiemy wam co ważniejsze.

Na całą naszą okolicę jest najgłośniejszy klasztor jasnogórski w Częstochowie, a znowu na całe polskie kraje pod Moskalem jest najgłośniejsza kaplica w Wilnie, nazwana kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej. Dawno była w Wilnie brama Miednicka, nazwana tak z tej przyczyny, że przez tę bramę szła droga z Wilna do Miednik, a w murze tej bramy była w górze framuga, to jest otwór podobny do okna i tam w tej framudze był stary obraz cudownej Matki Boskiej. Był ten obraz cudowny dosyć wysoko na murze ostrym koło bramy, dla tego nazwano go obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Lud gromadził się koło tej bramy często na modlitwy, doznał tam niejeden cudu, dla tego pobożny król polski Zygmunt III. ofiarował na ten obraz ramy złote i kazał zrobić schody kamienne, po których wychodzili ludzie pobożni do góry, aż do samego cudownego obrazu i tam się modlili. Stało się to roku pańskiego 1626, a już więc temu blisko 250 lat. Aby czasem deszcz nie zmoczył obrazu tego cudownego, a w zimie zaś nie był on wystawiony na śnieg, pobożni ludzie zrobili okiennicę dębową i zamykali tę framugę z cudownym obrazem, a kiedy co sobota poschodzili się tam koło wieczora na odśpiewanie litanii do Najświętszej Panny, to otwierali okiennicę i zapalali światło na ofiarę.

Ksiądz wstępował po schodach aż do cudownego obrazu, tam klęczący śpiewał litanię, a lud pobożny klęczał koło muru na ziemi i śpiewał razem z księdzem nieraz do północy różne pobożne pieśni. A gdy ta Matka Boża zasłynęła na całą Litwę cudami, lud pobożny złożył ofiary i wystawiono za nie kaplicę drewnianą, tak że framuga z cudownym obrazem została na miejscu nieruszona i była w ołtarzu okiennicą zamykana. Stało się to znowu roku pańskiego 1671 za króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego. I stała ta drewniana kaplica blisko 50 lat, a odpusty tej Matki Boskiej Ostrobramskiej nadane od Ojca św. były tak wielkie, że szli Polacy o 40 mil, aby dostąpić odpustu i wyprosić sobie błogosławieństwo. Ale miasto Wilno zgorzało roku 1715 a przy tem spaliła się i ta dre-

wniana kaplica, obraz sam został nietknięty od ognia cudownym sposobem. Toż ludzie pobożni murując i stawiając swoje domy pamiętali także i o chwale bożej i znowu złożyli pobożne ofiary i wymurowali kaplicę piękną na tem samem miejscu, a obraz cudowny został tak samo we framudze, jeno zrobiono drzwiczki malowane i bokami złocone, aby obraz był przykryty, kiedy nie było nabożeństwa. Byliby pobożni ludzie postawili i kościół zamiast kaplicy murowanej, ale nie było na kościół miejsca, bo zaraz koło kaplicy idzie ulica i ludzie tamtędy idą i jadą jak w wielkiem mieście. W tej kaplicy była codzień msza św. z wystawieniem Najświętszego sakramentu, a co sobota koło wieczora spiewali ludzie litanię do Najświętszej Panny. Aże schodziło się prawie całe miasto na tę litanię a kaplica była mała, ludzie musieli klęczeć pod gołem niebem na ulicy prawie całej i nieraz deszcz lał, a oni na deszczu i błocie klęczeli i śpiewali, a najgorzej było w zimie, bo trzeba było klęczeć na śniegu. Poradzili sobie ludzie tak, że wzdłuż ulicy koło kaplicy wymurowali takie podsienia, jakto jest po naszych polskich miastach koło domów i tam mogli sobie klęczeć sucho i spokojnie, choć lał deszcz albo leciał śnieg, a te podsienia nazwali Arkadami. W każdą sobotę wstępował ksiądz po schodach do tego cudownego obrazu, otwierał te drzwiczki, a lud z jękiem i płaczem klękał na ulicy i na tych podsieniach i prosił cudownej Matki Bożej o przyczynienie do Syna Bożego, o pomoc w godzinę śmierci i na sądzie Bożym.

Otwierały się te drzwiczki od obrazu, kto tylko chciał na swoje oczy widzieć ten cudowny obraz, kto chciał blisko tej Matki Bożej pomodlić się z skruchą i łzami, otwierały się zawsze, kiedy codzień była msza św. z wystawieniem w tej kaplicy i znowu w sobotę, kiedy ksiądz klęczał wysoko i głośno śpiewał litanię, aby każdy mógł słyszeć śpiew księdza i widzieć cudowny obraz. Nigdy nie miał nikt najmniejszej przeszkody do modlitwy w tej kaplicy. A obraz tej cudownej Matki bożej był taki: „Matka Boża była wymalowana jako święta i młodziutka Panna, z rękami ślicznie złożonemi na piersiach, do okoła aniołki w chmurach.“ Jak wiecie Matka

Boża Częstochowska trzyma na rękach Pana Jezusa maleńkiego, a zaś ta Matka Boża Ostrobramska w Wilnie jest jak święta panienka sama wymalowana. Obraz ten Matki Bożej w Wilnie jest jak powiadają, jeszcze dawniejszy od obrazu jasnogórskiego. Kiedy św. Jacek uczył w Wilnie i fundował tam klasztor dominikański, zaprowadził on sam bractwo szkaplerza św., które co sobota śpiewało koronkę i litanię koło tego obrazu i ten pobożny zwyczaj pozostał raz na zawsze. Jużto temu 600 lat z okładem. A jak cudowny obraz jasnogórski dostał się do nas ze wschodnich krajów od Kijowa, tak samo i obraz Ostrobramski dostał się do Wilna także z Kijowa, jeno nie ma pamiętnika dobrego na te rzeczy.

Otóż macie historyę obrazu Ostrobramskiego. Dziś tam na Litwie całej źle, bo Moskal znosi nasze kościoły, biskupów i księży wywozi w świat daleki, że nawet Ojciec św. nie może się o nich dowiedzieć, klasztory fundowane jeszcze od św. Jacka zamyka, a zakonników i zakonnice rozgania na cztery wiatry i drwi sobie z ślubów świętych. Tak samo stało się i z tą kaplicą cudownego obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej w mieście Wilnie, któreto miasto jest na całą Litwę tak, jak u nas Lwów albo Kraków na całą Galicyę. Moskal nie pozwala ludziom modlić się w tej kaplicy co sobota, rozgania ztamtąd ludzi, a ludzie jęczą i płaczą po kątach, że ich tak Bóg pokarał, iż im nie wolno pomodlić się do cudownej Matki Bożej, do której modlili się ojcowie tyle set lat i doznali różnych cudów w życiu.

Płacze cała Litwa, bo chce koniecznie Moskal tego dokazać, aby Polacy katolicy porzucili wiarę św. katolicką, a zostali Moskalami. Otóż choć Moskal zamyka kościoły, zabrania odpustów do cudownych miejsc, łamie święte cudowne obrazy, przecie ludzie boją się bardziej Boga niż krzyku Moskala i pokryjomu się modlą do cudownej Matki Bożej Ostrobramskiej aby im dopomogła wyjść raz z takiej biedy i doczekać się pokoju.

I my moi kochani! napisaliśmy wam o tym cudownym obrazie na to, abyście wstając i legając pamiętali o braciach katolikach na Litwie, abyście rano, w południe i wieczór, kiedy

dzwonią u nas na Anioł Pański, prosili Matki Bożej cudownej o pomoc dla siebie i dla tamtych biedaków, abyście Bogu dziękowali za to, że nam w naszej Galicyi katolikom daje pokój do modlitwy i nabożeństwa, kiedy na świecie tak się już źle porobiło, że zakazują bezbożniki przeżegnać i pomodlić się do Matki Bożej, zabraniają chodzić na odpusty i kościoły Boże zamykają, za śpiewanie różańca i godzinek do więzienia zamykają i na to się uwzięli, aby katolicy zaginęli. Módlcie się wszyscy i ja z wami.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Suknia skrwawiona.

(Obrazek biblijny.)

Stary Jakób w łzach cały, jak bóbr płacze w dzień biały,
Jak krynica łez żywa, w płaczu noce przebywa.

Rozdarł suknie na sobie, w ciężkiej duszy żałobie,
W wór się odział pokutny i tak jęczy wciąż smutny:

— Gdzieżeś, gdzieżeś me dziecię? gdzieżeś jasne me kwiecie?
Gdzieżeś synu Racheli? gdzie cię bracia podzieli?

Nie ma ciebie Józefie! czyliś w niebios już strefie,
Czy tu jeszcze na ziemi błądzisz z duchy mglistemi?

Gdziebądź jesteś, odemnie przegradzają cię ciemnie,
Oka ziemska powieka w mroki ducha obleka.

Gdzieżeś, gdzieżeś me dziecię? gdzieżeś jasne me kwiecie?
Gdzieżeś synu Racheli? gdzie cię bracia podzieli?

— Ach Panie! ileż razy będziemy cię jak płazy
Na kolanach błagali: ucisz się w tej łez fali!

Tak rzecze wierny sługa; lecz Ruben nań zamruga,
Najstarszy syn płacznika i usta mu zamyka.

Więc Enoch, siwa głowa, w namiotu cień się chowa
I zmilknie z żalem w twarzy, iż lek mu się nie darzy.

Wiater ranę zotchłania, mowa duszę rozrania,
Zwykle cisza, milczenie balsamem na cierpienie.

Od sługi głębiej może syn w serca był komorze,
Bo starzec oczy zmruża i w snu się mgłę zanurza.

Coś śni on, sen go skrzepia, w duszy ranę mu zsklepia;
By nie spadł na ziem z ławy, ojca trzyma syn łzawy.

Och Ruben też łzy rosi i ciężkie brzemię nosi —
Wciąż w oczach ma tę studnię, gdzie ukrył brata zmudnie.

Gdzie leżał jakby jagnię na puszczy w suchem bagnie,
Zkąd potem go zabrali i jakby psię przedali.

Och Ruben mógłby starca pocieszyć w śród mąk harca,
Lecz słowa jego może byłyby strute noże.

Nie łatwiejż śmierć przepłakać, niż grzęznąć i zamakać
Myślą w mroce niepewnej, w rozłączenia, łzie rzewnej?

Raz utracić nadzieję nie lepiejż, niż w zawieje
Losu myśl wciąż słać ptakiem, jednym smętnym łez szlakiem?

Tak myśli syn i chowa przed ojcem w ciemne słowa
Prawdę, co z mroku rwie się, jak słowik schowan w lesie.

Lecz oto się przebudził staruszek: czy go znudził
Świat marzeń, czy anieli z snu czarem już pierzchnęli.

Jako dziecko z za świata z łzami w padół łez zlata,
Tak i starzec — dziecina z łzami wita znów syna.

— Rubenie, pokaż-no mnie, tak mówi nieprzytomnie,
Sukienkę pstrą, skrwawioną, co po nim przyniesiono.

Tak rzecze ojciec chory, a w oczach mu upiory,
Jak w wielkim deszczu kania, mkną cienie obłąkania.

— Ach pocóż tobie, ojcze, wciąż dawać te zabójcze
Pamiątki? pocóż tobie wciąż nurzać się w żałobie?

Tak rzecze syn i stoi bez ruchu, jakby w zbroi
Strażnika, co przed bramą otchłani stanął tamą

Lecz starzec wciąż napiera, syn skrzynię więc otwiera
I daje ojcu szatę, by Bogu na objatę.

Ten bierze szatę w rękę, lecz krzyknie, jakby w mękę
Sroższą mu wpletli serce w tej chwili dusz morderce.

— Wszak to jest koźle runo! krzyknie jak kiedy łuną
Długo tłumion z przestrachem, pożar buchnie nad dachem.

Ach sen mój dziś nie skłamał: koźlęciu to kark złamał
Bies chytry i krew jego podał za syna mego.

— Ucisz się, ojcze drogi! syn rzecze pełen trwogi
I Enoch też przystąpi i czułych słów nie skąpi.

Jakób w szatę wciąż patrzy, zmrok w oczach coraz rzadszy.
Aż wreszcie obłęd znika, zdrój łez znów z ócz pomyka.

Znikł obłęd mu z przed oczu, lecz dusza znów w omroczu,
Gdy prawdę za obłokiem zbłąkanem widział okiem.

Tak niebo ból wymierza ojcu, co z dusz spiklerza
Dostawszy kłosy różne, z pełnym powaśnił próżne.

Jan Berdo.

Co to nałóg zrobi z miłej dziewczyny.

Już przy warsztatach gwar zwyczajny przycichnął, i izba wypróżniła się z robotników. Czeladnicy zgromadzeni pod lipą po całodziennej pracy w miłym chłodzie wypoczywają znużeni, a cokolwiek dalej chłopcy swawolą swobodnie, a pan majster Próchnicz usiadł przed domem z fajeczką w ustach. Ale jakoś tytoń niekoniecznie ma dobry zapewne, bo zamiast zwyczajem lubowników, pogodnem okiem na kłębujący dym spoglądać, z puszczoną głową wlepił oczy w punkt jeden, a troski jak się zdaje zasępiły twarz młodego jeszcze człowieka. Z kuchni daje się słyszeć niejaki gruchot talerzy, misek i innego naczynia, przy ich obmywaniu; lecz i tu po niejakim czasie, cisza nastała; dlatego, proszę cię mój miły czytelniku, wejdźmy na chwilę do kuchni, bo właśnie teraz sama pani gospodyni wysunęła się tylnemi drzwiami. Ale wchodź ostrożnie i podnoś nogi do góry, bo wszędzie wióra, kości, popiół, łupy z ogór-

ków, ostrzyżyny z ziemniaków, nać z marchwi, w najlepszej ze sobą zgodzie leżą porozrzucane po ziemi; ścierki i szmaty na konewkach z wodą i szaflikach porozwieszane. Naczynie kuchenne wygląda tu, jakby z wyprawy do Moskwy wróciło; bo tu brakuje ucha, tam nóżka u kociołka odtrącona, tu garnki i dzbanki powyszczerbiane, tam znowu skorupy z misek leżą po kątach; na białych czareczkach i kubkach, rozciągają się ciemne smugi, jak wąsy kozackie. Pająki wszędzie w około swe siecie rozsnuły swobodnie, jakby oponami swemi chciały osłonić nierząd gospodyni. Ale cicho... bo znowu po niedługiej chwili powraca. Coś starannie pod zapaską ukrywa. Idźmy pod okno, prawda że szyby brudem i nieczystością porosły; jednakże tyle jeszcze światła przez nie się przebija, że można widzieć jak dobywa ukrywaną flaszkę. Może w niej ocet przyniosła? wątpię jednak, bo pani Próchniczowa przytyka ją do ust, a z niej coś gładko wlewa się w gardło. Nie, to nie ocet! to gorzałka daje się wyraźnie uczuć po zapachu. Jeszcze jeden łyk powtórzony... a teraz znowu buteleczka zresztą pozostałą idzie na schowanie pod stos grochowin pod schodami leżących. Rozmarzona Kasia wraca znowu na chwiejących się nogach do kuchni; ale jak okręt bez masztu i rudla, to się uderza o szafę, to o stół, to potrąca konewki i przeklina majstrów, co każdy sprzęt z takiemi ostremi robią krawędziami — a w tem pośliznęła się na łupach z ogórków, i jak długa padła na ziemię i... zasnęła na dobre.

Przypatrz się miły czytelniku powabom kobiety pijaństwu oddanej, od której rozchodzi się rażąca woń gorzałki, a rozczochrane włosy ciekawie wysuwają się z pod czepka, któremu z tyłu jednej wstążki brakuje, a z przodu zupełnie rozwiązany. Oto i chustka nie chce pozostać na szyi, i spada zwieszona jednym końcem z ramienia; suknia od dołu wypalona, obdarza cię widokiem gołych a brudnych nóg, osadzonych w wykrzywionych trzewikach. Spojrzyj na te oczy zamglone, na sine policzki sadzą i nieczystością pokryte, na te spieczone usta, zwiędłe, poczerniałe, i... zapytaj się sam siebie: jestże to istota na podobieństwo Boskie stworzona?

A jednak Kasia była niegdyś ładną i powabnej postaci dziewczyną. O dobrze przypominam sobie jej piękne niebieskie oczy, jej składnie utrefione włosy i różowe usteczka; ale przecież zawsze była pożądliwa, na skosztowanie wszystkiego rozłakomiona, a tej chętki do próbowania, co tylko wpadło jej pod ręce, nawet jej piękność twarzy uwzględnić nie zdołała. Co tylko znalazło się w szafce, czy kawał placka, sera lub cokolwiek do jedzenia schowanego, choć odrobiny nie mogła sobie odmówić; nie przepuściła śmietance a nawet i wódce. Łajali ją wprawdzie rodzice za tę łakotliwość, ale zwykle wywijała się kłamstwem od winy, zganiając to na kota, na myszy, na psa lub służącą. Najczęściej matka przestawała na tem usprawiedliwieniu, i wymawiała córkę przed ludźmi, jak mogła. Zaledwie Próchnicz osiadł jako majster w miasteczku, a już piękna Kasia wpadła mu w oczy. Był to młody człowiek przyzwoity, biegły w swej sztuce, dobrze się prowadzący; rodzice więc i córka, dobrze go przyjęli. Ale młody stolarz, jeżeli znał się doskonale na swojem rzemiośle, to znowu o skłonnościach i charakterze kobiety, żadnego prawie nie miał wyobrażenia; dlatego starał się o rękę Kasi, i...

Gdy młoda pani w własnym już domu gospodarstwo objęła, zanadto od samego początku zajmowała się warzeniem i pieczeniem; a i wódeczce nie przepuściła, czasami wprawdzie, lecz potem i częściej raczyła się tym zgubnym, bo upadlającym przy nadużyciu trunkiem. Mąż w pierwszych chwilach pożycia domowego upominał żonę, przestrzegał, odwodził od zastarzałych nałogów; ale daremnie, nie było rady, bo skorupa zanadto nawrzała. Groźniejsze i surowsze postępowanie męża nic przy zastarzałym nałogu nie pomagało. Kasia często, w późniejszym zwłaszcza czasie, wydawała na stół jedzenie bez soli i omasty, ale o przysmaczkach nie przepomniała dla siebie. W końcu Próchnicz sam klucz od szafy zatrzymał przy sobie, i usuwał z przed oczu to wszystko, co się mogło przyczynić do jego upadku i nieszczęścia: wtedy nasza Kasia pozbywała z domu skrycie żydom, co tylko spieniężyć się dało, aby swym skłonnościom i zachceniom dogodzić, a zawsze mieć pełną flaszkę

wódki, dla pocieszenia się w kłopotach z mężem, który o biednych i zaniedbanych dzieciach sam był znaglony pamiętać.

Już cisza powszechna pracą dzienną strudzonego robotnika do spoczynku wzywała; już i zmrok wieczorny coraz bardziej zapadał, gdy właśnie i naszemu majstrowi zagasł ogień w fajeczce. Strapiony, zamyślony, zapomniał o niej, wreszcie parę razy pociągnął daremnie; poczem wytrząsnąwszy z niej popiół, wszedł do domu. Zupełnie już było ciemno. Ostrożnie zbliżył się do kuchni, dla zapalenia świecy. W tem tuż około ogniska potrącił nogą o jakieś leżące na ziemi ciało. Nim świecę zapalił, już się domyślił, co się tu stało. Gniew naprzód rozgorzał na jego czole; ale ochłonął wkrótce, boleść i odraza malowała się na jego twarzy. Po drobnym kroku usłyszał przez sień przechodzące dzieci, a nawet i czeladź i chłopców wracających na spoczynek. Prędko więc zamyka drzwi do kuchni, dla usunięcia z przed oczu dzieci i domowników pijanej matki i gospodyni. Nikt się o nią nie pyta. Dzieci poszły spać do komnaty, a robotnicy do izby na poddaszu. Majster pozamykał wszystkie drzwi, nieprzytomną, spiącą żonę zaniósł na łóżko, a sam nakoniec położył się dla wypoczynku niby, i nabrania sił nowych do jutrzejszej pracy: ale jak tu zasnąć, kiedy smutne myśli pokoju nie dadzą, ale okropne przed nim roztaczają obrazy: żona nierządna, niedbała, pijaczka, dzieci opuszczone, gospodarstwo na upadek i zgubę ostateczną narażone. Biedny ten człowiek z głębokiem westchnieniem położył nieruchomie głowę na niewstrząśnionej poduszce, rzewnemi zalał się łzami; głuchy jęk dobywał się z zbolałych jego piersi. Przykre było dla niego wspomnienie przeszłości, bolesną obecność, a przyszłość przerażającą. Pragnął on zawsze co dobre i uczciwe, pracował po całych dniach wytrwale, i miał nadzieję, że jako rzetelny robotnik zasłużył sobie na dobre imię i szacunek u ludzi, a teraz... zawołał z rozpaczą: teraz jestem zgubiony, na wspomnienie zaś o dzieciach, serce się mu rozpływało z żalu; w takiem zaniedbaniu, opuszczeniu, nieporządku, czegoż się mógł po nich spodziewać, kiedy tak ciągle będą mieć zły przykład przed oczyma? Teraz tak małe, a bez żadnej opieki błąkają się koło domu, a dla niej obojętnie, gdzie są i co robią,

byle się jej oczom nie narzucały, i nie były jej na przeszkodzie w jej obrzydłym nałogu... Tak w dręczących myślach pogrążony, przepędził noc całą bezsennie. Nazajutrz Kasia wytrzeźwiwszy się, uznała swą winę i w rozmowie z mężem, okazywała żal ze swego dotychczasowego zachowania się, i przyrzekała uroczyście poprawę, zajęcie się dziećmi i dopilnowanie gospodarstwa. Pragnący szczęścia domowego biedny małżonek pocieszał się tem szczerem, ile się zdawało postanowieniem swej żony. Ale... w parę tygodni wróciła znowu do dawnego nałogu.

Jednego wieczora już dobrze podchmielona, wyszła według swego zwyczaju po flaszkę z wódką, ukrytą w grochowinach wsuniętych pod schody na górę prowadzące, a że spuszczane drzwi od piwnicy tuż obok nich będące, przez jej zapewne zaniedbanie, nie były przymknięte, wpadła przeto z przeraźliwym krzykiem na sam dół... mąż i wszyscy domownicy zbiegli się w tej chwili na ratunek nieszczęśliwej... ale wszelka pomoc ludzka była daremna; stłumione tylko charczenie umierającej słyszeć się dawało, w ostatniem drgnieniu okropnej śmierci.

Strapiony, udręczony Próchnicz szedł za trumną swej żony a dzieci obojętne, bo nigdy nie ogrzane miłością matki, tuliły się do ojca. Z towarzyszących pogrzebowi, nie jeden wyrzekł te słowa: Zgon tej kobiety, to szczęście dla męża i dzieci. — I tak było rzeczywiście. Odtąd nowe życie zaczęło się dla niego. Kamień zawadzający mu na drodze życia, był już usunięty; dlatego mógł teraz pewniejszą mieć nadzieję lepszej przyszłości dla siebie i dzieci. *Cz. z Br.*

Nauka dla Rad gminnych,
jakby się można pozbyć złodziei.

Nie dosyć na tem, aby Rady gminne śledziły złodziei; powinny także na to uważać, by nikt we wsi od podejrzanych ludzi nic nie kupował, ani skradzionych rzeczy nie przechowywał, bo słusznie mówi przysłowie:

„Gdyby się złodziejom sprzedać nie dało
I kraść by im się odechciało.“

A kto od złodzieja kupuje, albo skradzione przechowuje rzeczy, ten się sam złodziejem staje — i w razie, jeżeli złodziej sam nie wynagrodzi, kupujący i skradzone rzeczy przechowujący wynagrodzić pokrzywdzonego według praw boskich i ludzkich w sumieniu jest obowiązany.

Wy — to szczególnie, którzy od służących, dzieci i domowników, sąsiadów waszych odbieracie lub kupujecie po garści zboża, po torbie ziemniaków — bierzecie sól, len i inne rzeczy, wy to dobrze wiecie, iż to nie jest ich własnością, bo oni nic nie posiadają, ale co wam wydają lub sprzedają, to gospodarzom swoim porywają — więc też za nich i za siebie odpowiadać będziecie, bo gdybyście od nich nic nie odbierali, oniby z pewnością swoich gospodarzy nie okradali.

Żadnej tu nie ma wymówki, bo gdyby kto powiedział: nie kupię ja, to kupi drugi, bardzoby się niedorzecznie wymawiał; tak samo albowiem możnaby powiedzieć, nie ukradnę ja, to ukradnie drugi, — więc kradnijmy.

Nie ma zatem żadnej wymówki dla tych, którzy od złodziei kupują, albo skradzione przechowywują rzeczy, ale owszem, oni sami współwinowajcami złodziei się stają. Takich to powinna Rada gminna śledzić i surowo karać, — a ponieważ sama nie może sobie podołać, więc sąsiad powinien doglądać sąsiada, by nikt ze złodziejami nie trzymał i skradzionych rzeczy nie kupował, ani nie przechowywał; a jeśli by coś podobnego spostrzegł, powinien zaraz dać znać do Rady gminnej, a gdyby się od złego człowieka zemsty obawiał, niech w sekrecie powie przełożonemu gminy, czyli wójtowi, a on będzie wiedział, co począć. A tak jeżeli Rady gminne nie chcą aby mieszkańcy gmin nie utracili ciężko zapracowanego majątku, nie utracili wiary i szacunku u ludzi i błogosławieństwa bożego, powinny ściśle wyszukiwać złodziei, a szczególnie spólników złodziei i przechowywaczów skradzionych rzeczy.

I na tem jeszcze nie koniec. Jeżeli Rady gminne chcą chwast złodziejstwa z korzeniem wyrwać, w źródle go tamować powinny; — powinny więc upominać rodziców i gospo-

darzy, aby ich dzieci i sługi na sąsiednie gruszki lub ziemniaki, — na trawę lub koniczynę nie chodziły, — aby do domu nic a nic cudzego nie przynosiły. Oj biada takim rodzicom, którzy dzieci swoich nie tylko nie karcą, ale gdy im co kradzionego do domu przyniosą, ich jeszcze chwalą i do serca tulą.

Bodaj się następujący przykład stał dla nich zbawienną przestrogą:

Pewna matka miała syna jedynaka, którego bardzo kochała, i któremu na wszystko zezwalała, bo on był jak mówiła, całą jej pociechą. Nigdy go nie karała, nigdy do posłuszeństwa i pobożności nie przyzwyczajała. Pacierza nie umiał, bo kiedy przyszło zmówić paciorek, a synek się skrzywił, to go matka wolała całować i pieścić, jak nauczać modlitwy pańskiej i przykazań bożych To też synek wzrastał bujnie, ale nie w bojaźni Bożej, tylko w rozpuście i swawoli, bo się nie nauczył ani Boga kochać, ani matki szanować. Kiedy był jeszcze mały, porywał matce co się mu podobało, to gruszki, to jabłka, to grajcary, to inne drobnostki a matka go nigdy za to nie karała, a owszem kiedy podrósł, jeszcze go przyuczała do kradzieży, bo mu nieraz kazała iść do sadu sąsiada na owoc — albo w pole po cudze zboże. Kradł więc z początku drobne rzeczy, ale jak się to zwykle dzieje, od guziczka wziął się do rzemyczka, do koniczka, a z koniczka spotkała go szubieniczka. Bo kiedy razu pewnego poszedł kraść konie, a przy tej kradzieży zabił gospodarza, który chciał bronić swej własności, złapano go na gorącym uczynku i oddano do kryminału. Sąd go za zabójstwo na śmierć skazał, i wywiedziono go za miasto na plac tracenia. Tu tedy, gdy go już miano ciągnąć na szubienicę, zobaczył między ludem zgromadzonym i własną swą matkę, która rzewnie płakała. Prosił więc sądu, by mu się z matką po raz ostatni pożegnać pozwolono i otrzymał o co prosił. Kiedy się zatem do niego matka zbliżyła, on się ku niej nachylił, jak gdyby jej coś do ucha chciał powiedzieć i tak ją mocno ukąsił w ucho, iż się aż zakrwawiła i strasznie krzyczeć poczęła. Ludzie widząc taką zbrodnię oburzyli się, i poczęli wygadywać, co za łotr, co za

bezbożnik, kiedy jeszcze przed samą śmiercią własną matkę kąsa! Lecz zabójca obróciwszy się do ludu odezwał się w te słowa: „Kochani ludkowie! nie dziwujcie się, bo musicie wiedzieć, że moja matka jest mej hańby i śmierci przyczyną. Najprzód mnie nie karała, kiedym jej, lub sąsiadom porywał jabłka lub gruszki, potem mnie sama na kradzież wysyłała, odbierała odemnie i sprzedawała skradzione rzeczy, — i tak przyzwyczajałem się co raz bardziej do złodziejstwa, a robić mi się nie chciało, bom nie nawykł do pracy. Otóż teraz ginę haniebną śmiercią, a to z przyczyny mej matki, bo gdyby mnie z początku była karciła, do pracy przyzwyczajała i nauczyła pacierza, mógłbym był zostać uczciwym człowiekiem — a tak umierać muszę na szubienicy; niech więc pamięta, że jest mej śmierci przyczyną.“ Tu złoczyńca przestał mówić i został powieszony. Lud zaś skruszony wracał do domu i ćwiczył dziatwę swoję w bojaźni bożej, aby podobnego nieszczęścia i podobnej nie doznał sromoty.

Oj, gdyby to wszyscy posłuchać chcieli, gdyby wszyscy porządku w domu swoim przestrzegali, dziatki w karności trzymali, aby nikomu i na szpilkę nic nie ruszyły — gdyby wszyscy służącym nakazywali, aby nikomu, ani w lesie ani w polu szkody nie czynili — gdyby sąsiad szanował dobro sąsiada — gdyby Rady gminne ściśle nad tem czuwały, aby się po wsiach nie gnieździli i nie przechowywali złodziei, nareszcie gdyby każdy pilnował swego, a nie pragnął cudzego; jakżeby to było żyć na świecie miło, i wszyscy by się lepiej mieli, bo by Bóg wszystkim więcej błogosławił. *J. R.*

Przestrogi i rady gospodarskie.

O okrasie, owocach i grzybach.

Bez soli i okrasy jeść prawie nie można. Okrasa czy to będzie słonina, czy masło powinna być młodą, a nie starą, bo stara, nietylko że jest gorzka i niemiła, ale w gardle drapie i co gorsza zdrowiu szkodzi. Stary olej ze wszystkich najszkodliwszy. Więc po co kupować zestarzałą omastę, kiedy nie-

zdrowa; jeżeli parę groszy oszczędzisz na kieszeni, to za to parę złotych stracisz zdrowia. Oszczędzisz trzy grosze, a jak cię porwie morzysko, to cały dzień nic nie zarobisz, — to mi oszczędność! Sól także jest koniecznie potrzebną, bo po soli człowiek lepiej trawi.

Owoce dojrzałe i dobre, są dla ludzi zdrowe, ale niedojrzałe i zielone, sprowadzają krwawą biegunkę i rznięcie, więc też ojcowie i matki powinni przestrzegać dzieci aby zieleniny, niedojrzałych jabłek, gruszek i śliwek nie jadły, bo choroba może przyjść z tego, a nawet śmierć. Owoce dojrzałe jak mówiłem, są zdrowe i każdy powinien starać się, ażeby miał przy domku sadek, a w nim kilkanaście drzewek. Gdybym to widział przy każdym domu, w każdej wsi sad, a w nim dużo i dobrych drzew owocowych, toby się rozradowała dusza moja, bo owoc i w domu się zda i grosz do kieszeni niesie, a jabym rad byście mieli w domu wygodę i dostatek.

Jest jeszcze jeden gatunek pokarmu, który podany do kaszy, albo klusek na rzadko ugotowanych dodaje i smaku i posiłku. Są to grzyby, ze wszystkich roślin, które ziemia wydaje najbardziej w posiłku podobne do mięsa.

Ale z grzybami trzeba bardzo ostrożnie się obchodzić, bo między zdrowemi są i trujące, a zamiast posiłku, można sobie śmierć kupić. Kto zje trujące grzyby, to ma gniecenie w żołądku, zbiera mu się na wymioty, czasem usta, gardziel i język spuchną, dostaje strasznego morzyska; biegunki krwawej, potem mdłości, drgawek, nudów, potów zimnych, a potem przychodzi śmierć.

Ktoby więc zjadł trujące grzyby niech co żywo weźmie na womity; niech pije jak najwięcej ciepłej wody z mlekiem, palec wsadzi do gardła, a tymczasem posłać jak najprędzej po doktora, żeby od śmierci ratował.

Nigdy więc nie jedźcie, ani nikomu w swem domostwie nie dopuszczajcie, ani zbierać, ani gotować, ani jeść takich grzybów, których dobrze nie znacie, abyście tej nieostrożności życiem nie przypłacili. *(Piast).*

RÓŻNOŚCI.

Poczciwy gospodarz. W Kozłowie w powiecie Brzeżańskim z końcem r. 1866 ogień zniszczył miasteczko, spłonął i kościół. Michał Krokosz gospodarz dał 50 zł. na odbudowanie dachu kościelnego. Tenże zbiera dzieci i swoje i cudze z przedmieścia i odwozi je w czasie zawierzuchy i zimna do szkoły; przez obiad zostają dzieci w szkole. Te które mają daleko do domu, posilają się chlebem, który z sobą na przekąskę przyniosły, po szkole t. j. o godzinie 4tej czeka znów fura Krokosza, zabiera dzieci przedmiejskie ze szkoły zostawiając w drodze po jednemu.

Akacya. Akacya sporo rośnie bo niekiedy w przeciągu trzech lat z jądrka do grubości ręki dorasta. Nasienie akacyi trzeba trzy dni przed wsadzeniem moczyć w urynie ludzkiej, aż wszystkie ziarna popękają, wtenczas sadzi je się już na przygotowane zagonki zupełnie tak, jak pestki śliw lub wisien, lecz nie w jesieni, tylko na wiosnę, na początku maja, w wilię św. Stanisława razem z ogórkami, bo wcześniej zasadzone zmarzną. Jeżeli lato było ciepłe, to drzewka przeszło na łokieć wysokie z tych jądrek wyrosną, które się na przyszły rok w kwietniu w przygotowane rowki, tam gdzie chcemy mieć drzewa, o pół łokcia odległości jedno od drugiego sadzi. Na drugi rok wiosny urzyna się wszystkie pieńki 2 cale od ziemi, jeżeli chcemy aby się akacya rozkrzewiła.

Zwyczaje na Żmudzi. W kraju polskim Żmudzi, która jest pod moskiewskiem panowaniem, w czasie zapust bywają zabawy bardzo śmieszne. Przebierają się ludzie za żydów, Niemców, Cyganów i żołnierzy a każdy przebrany sadzi się na to aby wszystkich zabawić. Cała czereda chodzi od domu do domu, nie rzadko nawet do dworu dziedzica zawita. Żyd i Niemiec bywają zwykle najweselsi. Pierwszy naprzykład powiada, że mu zdechła kobyła, zatem jej członki wszystkim do kupienia nastręcza: głowę ekonomowi na latarnię, nogi rabinowi na laskę z dodaniem, iż jego kobyła miała rabiński zwyczaj. Jak bowiem rabini nie mogą iść nigdzie bez laski, tak i jego kobyła bez kija ruszyć się z miejsca nie chciała. Grzywę przeznacza młokosom na wąsy, brzuch na bęben, ogon grajkom na smyk a mięso dla czeladzi. Tak żyd; niemiec zaś za każdą najmniejszą uczynność każe sobie płacić, pije piwo i po pijanemu rozbija butelki awytrzeźwiwszy się narzeka i głośno płacze.

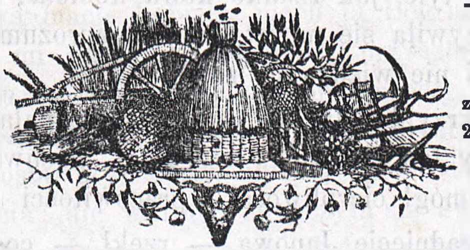
We środę popielcową ubierają bałwana, któremu przywiązują do rąk cepy, a na głowę kładą wieniec jodłowy, i tak przystrojonego, na dwóch kołach wożą od domu do domu wśród śmiechu i żartów.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 2.
11. lipca 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przygody biednej wdowy
czyli cierpliwość nagrodzona.

Zima była sroga, śnieg pokrywał pola i ścieszki, drzewa i dachy. O tej porze dzień krótki a wieczór długi; to też Janowa uboga wdowa po woźnicy dworskim, której dziedzic przez litość pozwolił mieszkać w jednej z chat dla służby przeznaczonych, dopókiby sobie nie znalazła innego miejsca; nie mając czasu do stracenia, zaledwie się ściemniło, zapaliła świeczkę i zabrała się do szycia, jedynego teraz swojego zarobku. Ale nie łatwe to było zadanie, bo szyjąc trzeba było zarazem kołysać maleńką Jadwisię i zabawiać dwuletniego Jasia, który naprzeciwko matki siedział na stole. Ledwo zrobiła kilka ściegów, musiała położyć robotę, bo Jadwisia płakać zaczęła i trzeba ją było utulić. Idzie więc do córeczki, lecz w tem synek o mało nie spadł ze stołu; musiała zostawić młodsze dziecię aby ratować starsze. Po chwili pieszczoty ucichła dziatwa i Janowa siedzi już pochylona nad robotą; w tem znowu zrywają się

dzieci i krzyczą: to sobie a to sobie. Zaiste świętej trzeba było cierpliwości, aby temu wszystkiemu podołać: Janowa miała tej cierpliwości tyle, jak rzadko która kobieta; nie zmarszczyła czoła, nie skrzywiła się nawet, mając wyrozumienie, że takie maleńkie dzieci nie wiedzą co robią.

W tem skrzypły drzwi i Janowa poznała wchodzącego wójta. Poczciwy ten człowiek, wszedłszy, pochwalił Boga i wydziwić się nie mógł cierpliwości i pracowitości Janowej.

— Czy zgadniecie Janowa — rzekł — co mię tu do was sprowadza?

— Może chcecie się dowiedzieć, czy prędko odniosę waszej żonie robotę? – zgadywała Janowa.

— Gdzieżtam: byłem w miasteczku, wstąpiłem na pocztę i przynoszę wam ztamtąd list.

Janowa domyśliła się że to od siostry, której niedawno donosiła o swojem owdowieniu, prosząc o pomoc a mogła się jej spodziewać, bo siostra Janowej była wydana za bogatego kmiecia, który swój własny majątek pomnożywszy wianem wziętem za żoną, dorabiał się ciągle coraz znaczniejszej fortuny, nie tak jak nieboszczyk Jan, który w krótkim czasie stracił wszystko i swoje i żonine i wdowę z dziećmi w nędzy zostawił. Nadto tamta była bezdzietna

— Kochana siostro! — pisała Bartłomiejowa do Janowej — dowiedziawszy się o twojem nieszczęściu, chciałam zaraz prosić męża aby cię pozwolił tutaj sprowadzić, byś przy nas osiadła, ale on chory, bardzo chory już od miesiąca, nawet mię nie rozumie gdy mówię do niego; a ponieważ nie chciałabym nic poczynać bez jego woli, bo wiesz jak nienawidził nieboszczyka twojego męża, muszę zaczekać aż wyzdrowieje. Tymczasem posełam ci kilka złotych na pierwsze potrzeby.

Wójt człek ludzki i lubiący dzieci, zabawiał się z Jasiem i maleńką Jadwisią, aby nie przeszkadzały matce w czytaniu. Janowa przeczytawszy list z rozrzewnieniem, liczyła pieniądze i zamyśliła się — zapewne nad tem jak je podzielić. Ani się spodziewała, że w tej chwili stoi ktoś za oknem i w myśli sieci na nią zastawia.

Gdy wójt miał już odchodzić, Janowa pokazała mu swoją robotę.

— To waszej żony fartuch i chustka, skończę za dwa dni. Oj poczciwą macie kobietę, niech ją Bóg nagrodzi; gdyby nie to, że ona mi nastręcza zarobek, przyszłoby nam może umierać z głodu, bo jak tu iść do innej roboty.. z dziećmi...

Wójt uśmiechnął się, uradowany że chwalono jego żonę.

Janowa zostawszy samą, ułożyła dzieci do snu, i znowu usiadła do szycia; ale wkrótce skończyła się świeczka, drugiej nie było — rada nie rada musiała złożyć robotę, i zmówiwszy modlitwę wieczorną, położyła się na spoczynek.

Nazajutrz skoro świt siedziała już znowu przy pracy; zasilona na jakiś czas przez siostrę, mogła była odpocząć cokolwiek, ale nie chciała, bo dar siostry mógł wystarczyć ledwie na parę tygodni, należało więc myśleć o przyszłości.

Minęło dni kilka, i Janowa skończywszy szycie dla wójtowej pospieszyła do niej dla oddania roboty, lecz jakże się zdziwiła gdy ta bardzo źle ją przyjęła. Wójta nie było w domu.

— Obiecaliście mi jeszcze więcej roboty — rzekła na odchodnem z nieśmiałością.

— Nie mam już — odrzekła zimno wójtowa — dałam Zośce Capówinie

— Dobrzeście zrobili — odpowie Janowa — biedna to dziewczyna, niech więc i ona zarobi.

— A tak — rzecze wójtowa — bo też i godniejsza jak inne; a zresztą trudno pchać wszystko w dziurawy worek i zarobek i jałmużnę.

— Miły Boże, wy to do mnie mówicie? a gdzież to i od kogo ja biorę jałmużnę?

— Byli tacy co widzieli, ale już mniejsza o to, nie potrzebuję abyście mi się usprawiedliwiali, proszę was tylko, idźcie sobie i więcej mi się na oczy nie pokazujcie — rzekła z gniewem wójtowa.

Pod Janową nogi się zatrzęsły i rozpłakała się tak, że słowa wymówić nie mogła; toż nie zadawała sobie pracy, aby panią wójtową udobruchać, lecz odeszła z ciężkiem sercem do domu.

*

Abyście mili czytelnicy zrozumieli, co tak wójtową przeciwko biednej Janowej oburzyło, muszę wam powiedzieć, że we wsi była dziewka ladaco, która służąc dawniej we dworze, nauczyła się trochę szyć i ubrdało się jej, że nikt lepiej jak ona nie szyje i że wszyscy do niej powinni nosić robotę. Zazdrościła ogromnie Janowej, że ta tyle od wójtowej zarabia i postanowiła poróżnić ze sobą te dwie kobiety. Owóż powiedziała wójtowej, że wójt nosi Janowej tajemnie pieniądze, i przeklinała się, że na własne oczy widziała jak Janowa liczyła i chowała pieniędze wzięte od niego, podczas gdy wójt stał z boku i pieścił się z jej dziećmi. Było w tem nieco prawdy, ale my już wiemy co to były za pieniądze, które wójt przyniósł Janowej. Powstała też ztąd wielka kłótnia pomiędzy wójtem a wójtową, bo pani wójtowa była trochę skąpą i nie mogła ścierpieć aby jej mąż tak hojną i do tego bez jej wiedzy rozdawał jałmużnę. Wójt zaś dowiedziawszy się o tych plotkach, tak się na żonę rozgniewał że nietylko jej nie powiedział zkąd owe pieniądze pochodziły, ale zgoła do żony gadać nie chciał.

Niepoczciwa Zośka nie poprzestając na tem, w całej wsi obmówiła Janowę jako kobietę do niczego, ladaco, a wszystko dla tego, aby sama dostawać mogła tę robotę, którą tamtej dotąd dawano. Przyszło do tego, że biedną wdowę ludzie palcami wytykali.

Janowa mocno na tem cierpiała, ale była to dziwnej cnoty i cierpliwości kobieta, i choć się domyślała kto jej tyle zrobił przykrości, ani słowem Zośce tego uczuć nie dała. Jednak przypłaciła zdrowiem to zmartwienie iż ledwo cudem boskim mogła się na nogach utrzymać.

Jednego dnia spotyka przypadkiem Zośkę, a ta do niej z drwinami:

— A co Janowa, macie dużo roboty?

— Mam dość — odpowie wdowa — koło gospodarstwa, koło siebie i dzieci.

— A ja cudzej roboty tyle mam że sobie rady dać nie mogę — rzecze Zośka szyderczo — dla wójtowej — dodała

z przekąsem — mam szyć gorset, katankę, spodnicę; ej, zbiorę też za to pieniędzy.

Myślała złośliwa że podrażni Janowę, ale ona na to:

— Moje dziecko, ty spodnicę uszyjesz, ja wiem, ale gorsetu i katanki skroić nie potrafisz; jeżeli chcesz to ja ci skroję i pokażę co do czego.

Zawstydziła się Zośka, spuściła oczy, ale podniosła je prędko:

— Nie, nie, dziękuję wam, już ja sobie jakoś poradzę.

— Może ty myślisz Zosiu — rzecze Janowa — że będę od ciebie żądała zapłaty za moją przysługę, albo że ci chcę odmówić robotę?... o ty mię nie znasz.

— Ha, kiedy taka wasza łaska — powie Zośka — to przyjdźcie. Pocałowała Janowę w rękę i odeszła z zwieszoną głową, mocno zamyślona.

Nazajutrz Janowa, choć nie zupełnie zdrowa, wybrała się do Zośki z dziećmi, bo ich nie miała przy kim zostawić, i zaraz zabrały się do krajania. Zośka milczała bo ją gryzło sumienie.

Wtem gdy obie zajęły się robotą, wchodzi wójtowa i dalejże krzyczeć na Zośkę.

— A ty taka... ty owaka... ja dwa tygodnie czekam na robotę a ty się dopiero zabierasz do krajania? To z ciebie taka szwaczka? umiesz ty żonę podwodzić na męża, umiesz przyjaciółkę z przyjaciółką poróżnić, a jak przyjdzie do roboty, to się na pomocnicę oglądasz?

Zośka nie wiedziała co ze sobą zrobić. Janowa chciała coś powiedzieć na usprawiedliwienie dziewczyny ale jej wójtowa przerwała.

— Idźcie Janowa do domu, bo tam mój mąż poniósł wam list z poczty, któryśmy wam dzisiaj przywieźli, będąc na jarmarku; a wybaczcie żem was posądziła i obraziła... to ta niegodziwa wszystkiemu winna... mnie to aniby przez myśl nie przeszło gdyby nie ona.

Janowa zabrała dzieci, wójtowa zaś robotę i niebawem się rozeszły. Wdowa spotkała się w drodze z wójtem, prędko list otwiera i dowiaduje się z niego że szwagier umarł. To ją

zmartwiło, ale jakże się ucieszyła, wyczytawszy poniżej, że umierając nakazał żonie swojej przy świadkach, aby siostrę sprowadziła do siebie i aby się z nią i jej dziećmi do śmierci nie rozłączyła, aby te dzieci nie mając własnych, za swoje uważała.

Była to dla biednej wdowy wielka w nieszczęściu pociecha; ale zmartwienia i kłopoty dopiero co przebyte przy nadwątlonem zdrowiu, wzruszenie przy pojednaniu się z nieprzyjaciołmi, a teraz znowu smutek z powodu owdowienia siostry, i zarazem radość że się już skończyła jej bieda, wszystko to tak ją rozdrażniło że zasłabła ciężko i nazajutrz zamiast się gotować w drogę, z łóżka się dźwignąć nie mogła.

Dowiedziała się o tem wójtowa gdy nazajutrz przyniosła wdowie do ukończenia odebraną od Zośki robotę. O jakże inną była teraz dla niej, przekonawszy się dowodnie o niepoczciwości Zośki. Czemprędzaj przyniosła jej posiłek, dziećmi się zajęła, i o ile jej czasu starczyło pilnowała chorej.

Choroba Janowej była ciężka i uporczywa i trwała dwa tygodnie. Ciężki ten krzyż Janowa zniosła ze zwykłą swoją cierpliwością, z pokornem poddaniem się woli Bożej. Była też to ostatnia próba, którą Bóg na nią zesłał. Wyzdrowiawszy, podziękowała za wszystko złe i dobre najprzód Bogu, potem sąsiadom i dziedzicowi, i zaczęła wybierać się w drogę. Na odjezdnem miała jeszcze tą pociechę, że Zośka idąc do świętej spowiedzi wstąpiła do niej, wyznała wszystko i przeprosiła ją za rozliczne przykrości, które jej wyrządziła.

Niedługo potem Janowa z dziećmi cieszyła owdowiałą siostrę, a raczej obie się nawzajem pocieszały. Wzajemne ich przywiązanie, pieszczoty dziatwy, a wreszcie czas i praca wszystko to przy statecznem zaufaniu w Opatrzności boskiej, przy cierpliwem a pokornem poddaniu się woli Ojca niebieskiego, sprawiło że głębokie z powodu straty mężów, rany ich serc zgoiły się i zabliźniły.

Stanisław Krakowczyk.

Święta Kinga
czyli Kunegunda królowa polska.

Cóż to za wicher znów powiał od wschodu?
Trwoga przejęła wskróś serce narodu:
Wpadł znów Tatarzyn okrutną nawałą,
Jak kraj szeroki zalał Polskę całą.
Z płomieniem poszły wsie, miasta i grody,
Krew białe Wisły zrumieniła wody,
A nad trupami krążą kruków stada,
I naród jęknął: „O biadaż nam biada!“
Żałośne jęki swego ludu słyszy
Królowa Kinga w klasztornej zaciszy,
Boleść do głębi przenika jej łono,
Pada na ziemię, a z duszą skruszoną
Modli się Panu, aby łaski cudem,
Skrzydła opieki rozpostarł nad ludem.
A gdy się modli w ubożuchnej celi,
Snać na nią wieńcem wzlatują anieli,
Bo dziwna jasność promienistem kołem,
Nad jej dziewiczem roztacza się czołem.
Modlitwa Świętej płynie przed tron Boży,
Rychłoż Pan zdroje pociechy otworzy,
Kiedyż odwali to brzemię niedoli,
Co pierś jej tęskną tak ciśnie i boli:
O! nie tak prędko, bo wie Bóg że trzeba
Ciernistą ścieżką wdzierać się do nieba.
On więc na próby wystawi jej serce,
Aby za świętość, co tli już w iskierce,
Krzyżem boleści i łzą uświęconą,
Wielkim płomieniem wybuchła z jej łona!
Nagle jak powstał wśród zgiełku i wrzawy
Słońce się skryło tumanom kurzawy,
Swisnęły strzały, już Tatar brodaty,
Otacza klasztor, wyłamuje kraty,
Święty przybytek bezbożnie znieważa,
Srebro i złoto odziera z ołtarza,
I tylko patrzcie jak wkroczy w te progi,
Kędy dziewice półmartwe od trwogi
Tulą się kornie pod Maryi obronę,
Jak przed jastrzębiem gołąbki spłoszone.

I Marya swemi otula je skrzydły,
Zbiegły dziewice; a Tatar obrzydły
Daremnie w pogoń pospiesza ich śladem.
Księżyc na niebie świeci sierpem bladem,
I słabo gwiazdy na niebie migocą;
Biegną — anielską unoszone mocą.
Królowa Kinga przez pola i rzeki
Święte dzieweczki wiedzie w kraj daleki;
Choć się rozlecą jak pszczółki po lesie,
Ku jednej stronie wiatr stopy ich niesie,
Aż w końcu, góry dokoła je słonią,
Przed uporczywą Tatara pogonią.
Spieszy królowa wciąż dalej a dalej,
A droga stroma — i słonko tak pali:
Gdzie z bosych nóżek kropla krwi się stoczy,
Kwiat na dolinie zakwita uroczy: —
A kiedy w znoju zapragnie ochłody,
Z skały wytryska zdrój krynicznej wody;
Snać że nad biedną użala się skała,
Bo łzą przeczystą gorzko zapłakała. —
Biegnie Królowa nad Dunajca brzegiem,
A góry sterczą dokoła szeregiem.
W tem ją Tatarzyn zaoczył z daleka;
Gdzież się podzieje? tu skały, tam rzeka:
Ale Bóg cudem strzeże wierne swoje,
twarda skała rozpękła na dwoje,
Kiedy je stopka dotknęła Królowej.
A tam za górą na ziemi jałowej,
Co się czerniła zorana pod lasem
Siał sobie owies góral tymczasem,
„Słuchajcie bracie — Królowa zagadnie —
Jeżli Tatarzyn w te góry popadnie
W pogoń za memi ślady, i jeżeli
Spyta czyliście królowę widzieli?
Mówcie że wtedy biegłam tu przez pole,
Gdyście tu ziarno porzucali w rolę.“
Skłonił się góral strachem zdjęty cały.
A kiedy powstał, to kraj szaty białej,
Mignął mu zdala jak mglisty płat chmury,
I znikła Święta w rozpadlinie góry.
A on siał dalej owies na zagonie,
Oczy z przestrachem zwracając ku stronie,

Kędy na dwoje rozpadła się skała;
Nazajutrż z rana, ledwie zaświtała
Zorza na niebie, góral w pole bieży,
Patrzy i oku własnemu nie wierzy;
Tam, gdzie przed dobą przewlókł zasiew broną,
Wiatr chłodny niwą powiewa zieloną,
Ku ziemi drobne skłaniają się kłosy,
Cudnie świecące od porannej rosy,
A na zagonie przepiórka pierzchliwa,
Wzywa piosenką do rychłego żniwa.
Góral pobożnie wzniósł ręce do góry:
A w tem od Wisły jakby tuman chmury
Wpada na koniach ćma poganów dzika
Istna szarańcza, i Allach wykrzyka —
A Chan zaklina górala na głowę,
Aby zaprzysiągł czy widział królowę.
Góral przyklęka, ręce na krzyż składa,
I świętą prawdę Chanowi spowiada:
„W onczas Królowa przebiegła to pole,
Gdy ziarno owsa składałem na rolę.“
Tatar choć dziki zawierzył na słowo,
Trzykroć kudłatą potrząsł jeno głową,
Trzykroć poświsnął a hołota cała,
Znów ku Powiślu wichrem poleciała.
Kinga przebiega z parowu w parowy,
Pot spływa strugą po licu Królowej.
Siły zwątlały, mrok przyćmił jej oczy,
Nagle się widok rozpostarł uroczy;
Stanęła.. patrzy — lecz pojąć nie zdoła,
Kamienne bryły piętrzą się do koła,
Strome wierzchołki w mętnej chmurze toną,
U stóp zwieńczone świerkową koroną;
A nad wszystkiemi góruje wspaniale
Olbrzymia skała; ku owej to skale
Zwróciła oczy królowa zdumiona,
I nagle mglista opada zasłona,
I rój aniołów, jak nad ulem pszczoły —
Brzęcząc skrzydłami przebiega wesoły.
Jedni z swawolną ścigając się chmurką
Ogromne głazy unoszą jak piórko.
Kładą na stosy, aż z twardej opoki
Cudny zameczek wyrósł pod obłoki.

Zorzy promieniem cały malowany,
Złocistą łuną świecą jego ściany,
A rzeka srebrną otacza go wstęgą —
Oh! co powstało niebieską potęgą.
Nad dzieła ludzkie — wytrwa stokroć dłużej,
Grom go nie zwali — zły człowiek nie zburzy!
Gdy stanął zamek na wierzchołku skały
Z gniazd swych w obłokach orły się zerwały,
Zuchwały sokół wlepił bystre oko,
Któż w ich dziedzinę wzbił się tak wysoko?
Lecz gdy skrzydlate błysły im anioły,
Zbiegły w popłochu orły i sokoły.
Swięta Królowa serdecznie się korzy,
Widząc nad sobą cud opieki Bożej
W podwoje zamku anieli ją wiodą,
A Bóg jej duszę napełnia osłodą,
Bo miły sercu dziewic orszak cały,
Dogonił Kingę u podnóża skały.
Odtąd ich żadna moc już nie rozdzieli,
Bo straż nad niemi trzymają anieli:
Darmo Tatarzyn sroży się i żżyma,
I patrzy w zamek sępiemi oczyma,
Próżna pokusa — tu siły nie starczą,
Zamek bezpieczny pod niebieską tarczą.

S. P.

Nauka dla Rad gminnych.

Drugi rok już upływa, jak w kraju naszym Rady gminne zaprowadzono, a jednak trudno się gdzie w gminie dopatrzeć jakiego objawu życia samoistnego. Nie widać dotąd żadnej czynności samorządu w gminie, którąby wykazywała, że pamięta o swoich obowiązkach.

Obojętność Rad gminnych jest tak wielką, iż przypuszczać można, że albo całkiem nie znają swoich obowiązków, albo co gorsza, wyszedłszy z pod nadzoru urzędu powiatowego, sądzą się być wolnemi od wszelkiej odpowiedzialności, a tem samem i przestrzegania porządku we wsi.

Obowiązkiem jest przeto każdego, kto o dobro gminy jest dbały, przypomnieć Radom gminnym przynajmniej ważniej-

sze obowiązki, jakie przed oczyma zawsze mieć powinny, — a najpierw:

1. Obowiązkiem jest Rad gminnych zakładać i utrzymywać drogi gminne, mosty, ulice i place, i starać się o bezpieczeństwo i łatwość komunikacyi po drogach i wodach (§. 27. ustawa gminna c.)

Zatem Rada gminna powinna bezustannie czuwać nad dobrym stanem dróg i mostów w swoich granicach, żeby w każdą stronę droga komunikacyjna łatwą i bezpieczną była; a więc teraz po ukończonych robotach wiosennych naprawę dróg i mostów przedsięwziąść i należycie wykonać powinna. To znaczy że roboty około drogi mają być dokładnie prowadzone, nie podług dawniejszego zwyczaju, tylko dla pozoru i pokazania że się coś robiło. — Nie dosyć jest bowiem wyprawić ludzi do roboty, ażeby pod lichym dozorem co większe doły i wyrwiska podłatać i porównać, lecz trzeba naprawę ściśle przeprowadzić a mianowicie gdzie tego potrzeba, drogi rozszerzyć aż do czterech sążni, fosy równo z obu stron powybierać, upusty na wodę deszczową porobić, gdzie potrzeba drogi kamieniami podwieść, tam zaś gdzie bardzo trudno o kamień, przynajmniej w tych miejscach gdzie są wiązliska, gałęziami spód wyłożyć, a potem dostatecznie ziemią pokryć. Rada gminna powinna sama dozorować roboty około drogi i mostów i wglądać co i jak zrobiono. Nie należy także przyjmować do roboty małych i niezdolnych dzieci, które więcej zawadzają jak robią, ale ludzi zdolnych i silnych, iżby roboty prędko i dokładnie wykonane były.

2. Rada gminna obowiązana jest czuwać nad bezpieczeństwem osób i ich mienia i wykonywać policyę polową. (§,27.u.g.b,d)

Rada gminna powinna przeto zaprowadzić dozór policyjny, najpierw dla bezpieczeństwa osób i ich mienia, zatem czuwać nad podejrzanemi osobami, zwłaszcza temi, które w ostatnich trzech latach pod śledztwem sądowem były, a to żeby się bez potrzeby koniecznej zwłaszcza nocną porą nigdzie nie wydalały, a w każdym wypadku potrzeby swego wydalenia wykazały. Obce osoby włóczące się, zwłaszcza te, które się żadnem świadectwem nie wykażą, Rada gminna winna przytrzymać i do urzędu powiatowego odstawić. Dalej nad porządkiem spo-

kojnością we wsi, nad zasiewami i zbiorami w polach czuwać powinna, zgoła: Rada gminna powinna zapobiegać wszelkim nadużyciom i szkodom w polach, łąkach, zasiewach, przez wypasanie, wyrzynanie i wydeptywanie ścieszek, a nawet zaorywaniu miedz i granic, czy to z umysłu lub przez nieuwagę. — Rada gminna powinna na wypadek szkody winnych bez zwłoki do odpowiedzialności i wynagrodzenia pociągać, bo przez zaniedbywanie obowiązku, gmina sama szkodę wynagrodzić jest obowiązana.

Radzie gminnej przysłuża prawo wydawać ze względu na policyę miejscową obowiązujące w obrębie gminy przepisy, za których przekroczenie karać może winnych aż do 15 zł. w. a. lub 5 dni aresztu. Z tego prawa winna Rada gminna zrobić użytek, a zatem rozporządzić to, czego we wsi porządek i dozór policyjny wymaga a nieposłusznych i wykraczających przeciw temu rozporządzeniu do odpowiedzialności pociągać. — Przy zastosowaniu powyższego prawa wykonanie policyi miejscowej załatwione będzie.

3. Dalej według ustawy gminnej (§. 27. f, g, h, i, k). Rada gminna winna jest w czasie chorób zaraźliwych zaprowadzić policyę zdrowia — winna mieć dozór nad czeladzią i wyrobnikami — dozór nad obyczajnością publiczną — winna zajmować się ubogiemi — zapobiegać żebractwu — i zaprowadzić policyę ogniową. Czuwać ma zatem Rada gminna nad tem, żeby na wypadek zaraźliwych chorób styczność z choremi przerwaną i o każdym wypadku zaraźliwych chorób przełożona władza uwiadomioną była.

Dalej winna Rada gminna czuwać nad czeladzią i wyrobnikami, ażeby przed czasem ze służby i od roboty nie odchodzili a gdzie się to zdarzy, Rada gminn winna bez zwłoki na miejsce z którego odeszli odesłać.

Potem obowiązkiem jest Rady gminnej mieć dozór nad obyczajnością publiczną, żeby nieprzyzwoite schadzki, pijatyki, swary, przekleństwa, gorszące mowy, grywanie po karczmach nie w swoim czasie, lub bez pozwolenia Rady gminnej, miejsca nie miały. Nie można też dosyć zalecić Radom gminnym, by przestrzegały tego, iżby dzieci i niedorośli do karczem nie uczęszczali, żeby się żadne zgorszenia we wsi nie działy, zdarza

się bowiem często, że gospodarze swe sługi, a nawet rodzice dzieci na obce grunta wysyłają, żeby wypasali lub wyrzynali trawy, zabierali z pola snopki, wykopywali ziemniaki, buraki, rzepy itp. i obrywali sadowiny — nad takiemi postępkami bardzo ubolewać trzeba, gdyż dzieci łatwo nawykają do złego, z małych występków przechodzą do wielkich a nareszcie stają się zbrodniarzami, jak to w przeszłym numerze wykazałem; przeciwnie starać się należy całemi siłami, żeby młodsze pokolenie chronić od złego towarzystwa, żeby wychowane było przykładnie, żeby się przyzwyczajało szanować cudzą własność, miało szacunek dla starszych, owo zgoła żeby sobie przyswajało zasady moralności i uczciwości i podług nich kierowało się na dobrych obywateli. — Przez takie troskliwe postępowanie gmina uzacni się i położy wielkie zasługi dla kraju, a nawet uzyska wdzięczność potomności. Dalej winna mieć Rada gminna dozór nad ubogiemi, a to żeby każda gmina swoich biednych we wsi żywiła, by ile możności żebractwu zapobiegła, a chcących pracować w każdym czasie wspierała.

Nakoniec ma Rada gminna nad tem czuwać, żeby w gminie wszelka ostrożność z ogniem zachowaną była, żeby po domach mianowicie w izbach lnu i konopi nie suszono, słomy lub siana blisko ogniska nie wnoszono, żeby podług możności mieszkańcy starali się o wyprowadzenie kominów nad ogniskami; nareszcie żeby gmina zaopatrzoną była w narzędzia do gaszenia ognia, a na wypadek pożaru, aby była wszelka pomoc pod ręką i żeby się członkowie gminy pod żadnym pozorem od gaszenia pożaru i ratowania domowych rzeczy nie uchylali. — Członków gminy nie zachowujących tych przepisów przykładnie ukarać winna Rada gminna pieniężną karą, albo aresztem.

Te są główniejsze obowiązki Rad gminnych, które ciągle przed oczyma mieć i które sumiennie i niezmordowanie wypełniać powinny. — Później, da Bóg wyłożę wam dalsze obowiązki, a teraz Bogu was oddaję i opiece Najświętszej Maryi Panny i św. Józefa. *J. R.*

O pijaństwie i środkach zaradczych przeciw niemu.

Co to za rozkosz przyjechać do wsi gdzie mieszka lud pracowity a więc i zamożny; tam ujrzysz dobre drogi i porządne w koło zagród opłotki, pola dobrze uprawne, tłuste bydło na pastwisku, domy schludne z porządnemi kominami i widnemi oknami, budynki gospodarskie piękne, w koło domów kwitnące sady i ogródki z jarzyną. Tam ludzie czerstwi, zdrowi, silni, przyzwoicie i stósownie do pory roku ubrani, mają się czem odziać w zimie, mają bogatsze odświętne ubranie; tam dzieci zdrowe w czystych i ciepłych sukienkach, igrają wesoło lub spieszą do szkoły, a gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie ruch i gwar wesoły przy pracy, każdy się zwija, nikt nie ma czasu w karczmie wystawać we dnie, nie idzie tam w nocy, bo mu spoczynek po całodziennej pracy milszy jak karczma.

Ale takie wioski nie wszędzie. Gdzieindziej, co krok stąpisz uderzy cię widok ubóstwa i nędzy; tam lud słabowity, obdarty, brudny, bosy, nie ma cieplejszego ubrania ani nawet obuwia kobieta dziecię karmiąca, nie ma go mężczyzna idący do pracy lub w drogę. Dziecię latem i zimą w jednej podartej koszuli wala się w błocie lub boso ugania po śniegu. Tam chata mieszkalna, to najnędzniejsza buda do chlewu podobna, bo tam cała rodzina mieszka pospołu z bydłem w dymie i gnoju. Tam uprawa roli najgorsza, bo ludzie nie mają ani sprzężaju, ani narzędzi do pracy, a ziarno na zasiew częstokroć liche. Ach, a jakąż to strawą żywią się ci biedacy! W takiej nędzy czyż to dziwno, że człek obojętnieje na wszystko, że ani pomyśli o wyjściu biedy i ciemnoty w której zagrzązł, że nie dba ani o siebie ani o szkołę, ani o kościoł, ani o świat cały.

I zkądże to pochodzi że jedne wsie mogą być tak zamożne, a drugie tak są nędzne? Dwadzieścia już lat minęło jak pańszczyzna zniesiona, każdemu otwarta jest droga do zarobku. Każdy ma dość czasu aby dbał o swoje gospodarstwo, byle tylko chęć była do tego. Lecz zniesienie pańszczyzny nie zachęciło włościan do większej dbałości o własne gospodarstwo, nie zmniejszyło biedy, owszem powiększyło ją w wielu miejscach.

Cóż tego przyczyną? skarzą się jedni na ciężkie podatki, drudzy na to że włościanin w potrzebie nie ma znikąd pomocy, bo nie ma banków i hipotek, brnie więc w długi lichwiarskie, lichwiarz zaś zabiera każdy jego zarobek — włościaninowi nie chce się więc pracować, bo mu się zdaje że on pracuje na kogo innego. Drudzy podają jeszcze inne ubóstwa przyczyny, ale wszyscy zgadzają się w tem, że gdyby karczem było mniej, gdyby szynkarzami byli ludzie poprzestający na miernym zarobku, a nie tacy co umyślnie rozpajają włościan aby ich potem mogli oszukiwać, zmniejszyłaby się bieda. Jeżeli to się nie stanie, kraj cały zejdzie na największą nędzę, gdyż pijaństwo szerzy się jak zaraza i nałogowymi pijakami stają się nietylko ci, którzy popadli w ten nałóg przez poprzednią biedę i troski, trzymając się przysłowia dobry trunek na frasunek, ale i tacy, coby nigdy nimi nie byli, gdyby w około siebie nie mieli najgorszego przykładu.

Jeden uczony powiada że kto się gorzałką upija, to tak robi, jakby zaciągał rewers na zdrowie; nie mogąc go zniszczyć, musi ciągle odnawiać z przyrosłym procentem, aż w końcu następuje bankructwo. Że to jest wielką prawdą o tem codzień się przekonywamy. Kto się rozpije już mu trudno odwyknąć od wódki, dolewa więc ciągle, coraz więcej i więcej a zarazem coraz bardziej i bardziej podkopuje zdrowie przyczem także rozum jego tępieje i serce staje się coraz zimniejszem coraz obojętniejszem na wszystko. Człowiek taki nie dba o siebie i swoje gospodarstwo, niedba o żonę i dzieci i ubożeje coraz bardziej. Karczmarz umie korzystać z jego nałogu; wiadomo że kto się upija, to chociaż o całym świecie zapomni, chęć picia nie opuszcza go do ostatka, owszem wzmaga się w nim coraz bardziej. Wówczas karczmarz najbardziej go zachęca, z największą dolewa uprzejmością i... podwójną kredką znaczy wypite półkwaterki. Pijak brnie w długi coraz bardziej a wyzuty przez wierzyciela z resztek swego mienia, ze zrujnowanem przedwcześnie zdrowiem idzie w świat o żebranym chlebie.

Gdybyż to pijak sobie tylko samemu piwa nawarzył, byłoby jeszcze pół biedy, ale wszakże to jego dzieci przychodzą na świat już z skłonnością do pijaństwa i chorób rozlicznych, wiele

z nich ssają wódkę z piersi matek, a ileż to jest takich rodziców co kilkuletnie niemowlęta umyślnie zaprawiają do gorzałki.

O! bogdaj to karczem było mniej, bogdaj to karczmarzami byli ludzie sumienniejsi jak dzisiaj, coby nie dawali wódki bez pieniędzy; bogdaj to włościanin nie był obowiązanym płacić za wódkę po pijanemu wypitą! możeby się wszystko zmieniło.. dzisiaj źle z nami, stoimy nad przepaścią.

Nim sejm nasz, główna władza krajowa, pomyśli jakby złemu zaradzić, ratujmy się sami ile możemy. I Rady gminne wiele dobrego mogłyby zrobić w tym względzie, gdyby tylko chciały. Czy przypominacie sobie mili czytelnicy uchwały Rad gminnych w Szymbarku i Bystry powzięte za podnietą zacnego tamtejszego plebana, a o których wam w roku zeszłym pisaliśmy? Podobno nie zawadzi przypomnieć. Owóż w Szymbarku uchwalono nie pozwalać na granie w karczmie tylko raz w miesiąc i to pod tym warunkiem, że muzyka nie będzie trwała dłużej jak do godziny dziesiątej wieczór; uchwalono nie pozwalać dzieciom chodzić na muzykę, nie pozwalać starym upijać się podczas zabawy w karczmie i pijanych wykluczać ze swego towarzystwa. W Bystry zaś uchwalono aby kumowie i kumoszki przed chrztem i po chrzcie z dzieckiem do karczmy nie wstępowali, aby się wesela nie odprawiały w karczmie, aby pogrzeby kończyły się modlitwą na cmentarzu, a nie stypą w karczmie, aby się sprawy gminne po karczmach nie załatwiały co też i ustawy zakazują i aby podczas obrad żadnych przypitków nie używano. Gdyby wszystkie Rady gminne w całym kraju naszym poszły za tym przykładem, i gdyby wszędzie z równą pilnością przestrzegano wykonania powziętych uchwał, natenczas przy pomocy boskiej, której we wszystkiem co poczynamy najprzód wzywać należy, wkrótce wygnalibyśmy pijaństwo z naszej ziemi. Zresztą niech każdy pracuje nad sobą, ile ma sił, niech złym ludziom powodować się nie daje, niech się odważnie podźwignie ze swego upadku, a i to pamiętajcie sobie o czem także już dawniej pisaliśmy wam w „Dzwonku“, że pijak chcący się odzwyczaić od wódki, nie odzwyczai się nigdy, jeżeli porzuciwszy wódkę, weźmie się natomiast do innego trunku. Raczej jadło zmienić potrzeba. Wiadomo że pijacy mało jedzą; owóż niechaj ten co chce odzwyczaić się od pijaństwa, jada więcej i lepiej, niech się mięsem i rosołem posila, a poprawiwszy sobie zepsuty gorzałką żołądek, przekona się z czasem, że nietylko można żyć bez wódki, ale co ważniejsza, uzna że kto jej nie pije, jest i zdrowszym i szczęśliwszym.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 3.

21. lipca 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dwie drogi.

Paweł ożeniwszy się z najpiękniejszą we wsi dziewczyną, przeniósł się z nią do nowej i bielutkiej, ale ubogiej chatki. Nie mieli ani kawałeczka roli i tylko pracą rąk swoich żywić się było potrzeba; jednak krewni dali im na początek jałówkę i prosiaka.

Sprzątnięto resztki uczty weselnej i państwo młodzi zostawszy sami, zaczęli marzyć słodko o przyszłości:

— Jałówka wyrośnie na krowę, przymnoży nam dobytku toż i prosiaka, jak się upasie, sprzedamy, kupimy drugie cielę i drugiego prosiaka. A czy wiesz, mówił dalej Paweł, co mi pan powiedział gdym go prosił o błogosławieństwo? oto, że jeżeli nadal będę tak pilnie jak dotąd chodził na zarobek, to za rok zrobi mię karbowym.

Tak zeszedł pierwszy dzień nowożeńcom. Nazajutrz jeszcze Pawłowi i jego żonie nie wyszumiały z głowy weselne tańce i poszli oboje do karczmy. Toż samo powtórzyło się przez

kilka dni następnych; Paweł zamiast iść na robotę do dworu, przesiadywał w karczmie, a z nim i jego żona. Toż wyszepłały się grosze do ostatniego a w chatce zapanował nieład i nieporządek. Nic nie pomogło że jałówka z głodu beczała, a prosiak kwiczał.

We wsi budowano kolej żelazną, ztąd schodziło się do karczmy mnóstwo robotników a byli pomiędzy nimi i Niemcy.

Jeden Niemiec wyśmiewał okropnie Polaków.

— Co to za głupi naród ci Polacy, mówił: robić im się nie chce, aż my musimy im pomagać, a jeżeli który, namorzywszy się głodem, weźmie się nakoniec do pracy, to co tylko zarobi, niesie do karczmy i przepija; oj głupcy, głupcy, kiedy wy przyjdziecie do rozumu?

— Ho, ho, mospanku, krzyknie Paweł, nauczę ja ciebie co Polacy umieją, nauczę ja ciebie że oni nie całkiem tacy głupi, jak ci się wydaje. To powiedziawszy skoczył do Niemca, porwał go za łeb i buch nim o ziemię. Przybiegli ludzie na ratunek, wstrzymali go, podnieśli Niemca i wyprowadzili aby położyć koniec dalszej kłótni Niemiec tak się przestraszył że się już więcej nie pokazał w karczmie.

Po odejściu Niemca Paweł zaczął zastanawiać się nad jego słowami a co dziwniejsza przyznał mu w duchu że miał słuszność, bo Paweł był w gruncie człowiekiem rozsądnym i pracowitym a tylko wesele huczne tak go oszołomiło; poszedł też zaraz do dworu na zarobek, a dziedzic widząc go uwijającego się przy pracy, ponowił obietnicę że jeśli tak dalej pójdzie, za rok zrobi go karbowym.

Odtąd Paweł z największą pilnością chodził na zarobek i ani nogą w karczmie nie postał, a co zarobił to wszystko dawał żonie.

Ale jego żona była złą gospodynią, kobietą nieporządną i niedbałą, zarobek męża topniał w jej rękach.

Jednego razu Paweł począł żonie wyrzucać że choć jej oddaje wiernie cały swój zarobek i nibyto ani grosz daremnie z domu nie wychodzi, przecież do domu nic nie przybywa, owszem wszystko się niszczy i psuje a na nowe nie ma.

— Alboż ty wiesz co życie kosztuje? powie mu żona — alboż to tak wiele ty mi dajesz? czemu się nie postarasz o większy zarobek? czyż to nie masz innej drogi przed sobą? Przy kolei o wiele więcej płacą robotnikom, tam idź a obaczysz co będzie.

Paweł posłuchał żony choć już tylko kilka miesięcy brakowało do tego aby został karbowym i poszedł pracować przy kolei. Wziął się raźno do roboty, ba, za dwóch robił, toż dozorca bardzo go polubił i obiecał że jeżli tak dalej pójdzie to za pół roku da mu podwójną płacę.

Wszystek swój zarobek zawsze żonie oddawał, ale i teraz pieniądze topniały w jej rękach przez złe gospodarstwo. Po niejakim czasie Paweł widząc że jego dochód ledwo na nędzne wystarcza wyżywienie a o sprawieniu nie tylko lepszej odzieży ale nawet bielizny pomyśleć nie można, zaczął okropnie rozpaczać, a żona mu na to:

— Czegoż się dziwisz? alboż to nie wiesz jak podrożało wszystko? alboż to mi tak wiele dajesz? zresztą to twoja własna wina, wszak nie tę jedną drogę masz przed sobą...

— Znowu mię kusisz, powie Paweł, o! już nie porzucę kolei. Za pół roku dadzą mi dwa razy większą płacę, może przecie będzie lepiej.

— Ha! ha! ha! zaśmiała się żona... kto wie czy pierwej nie przyjdzie nam umierać z głodu i nędzy. W miasteczku jest fabryka, idź tam, tam pewnie więcej ci dadzą jak przy kolei.

Paweł posłuchał żony, poszedł do miasteczka. W fabryce przyjęli go za robotnika a jak zobaczyli że jest bardzo porządnym i pracowitym człowiekiem, jednej soboty przy wypłacie tygodniowej powiedzieli mu że od przyszłego poniedziałku będzie pobierał podwójną płacę.

Uradowany Paweł spieszy do domu, lecz jakże się tam zgryzł, dowiedziawszy się że ową jałówkę jego jedyną, która już na krowę wyrosła, wół na pastwisku pobódł przez niedozór żony, tak że niebawem zdechła, a prosiaka ukradli złodzieje a ukradli dlatego, bo Pawłowa nigdy nie pamiętała zamknąć

drzwi od jego stajenki. Gorzko przepłakał niedzielę. W poniedziałek z rana pospieszył do fabryki na robotę, lecz już do domu nie wrócił. Przywieziono go wieczór nieżywego. Umarł na drodze z nędzy, osłabienia i zgryzoty.

Stanisław Krakowczyk.

Poranek rolnika.

„Panie z Twoich rąk żyjemy;
Choć naszemi pracujemy.“

Spiewa rolnik na swej niwie,
Praca idzie mu szczęśliwie.
Bo przy pracy przyspiewuje,
A rąk swoich nie żałuje,
To mu łaskę pan Bóg zsyła
Skowronek ptaszyna miła,
Ten luby posłaniec Boży,
Poczciwą mu piosnką wtórzy,
On na ziemi, ten pod niebem!
Już się wcześnie cieszą chlebem,
Co w ziarnkach posiany w wiośnie,
W lecie w kłosach im wyrośnie.
Rolnik wołki swe pogania,
Nikt mu wzroku nie zasłania;
Wszędzie wdzięczny widok w koło,
W sercu czysto i wesoło!
Myśli sobie: O mój Boże
W pulchną ziemię ziarnko złożę,
A Pan wielki w swej dobroci,
Całą niwę nam ozłoci.
I pracuje, nie spoczywa,
Wciąż piosenkę sobie spiewa:
W górę słonko już się wzbija
A pogoda pracy sprzyja;
Bo kto pieśnią Boga sławi,
Temu Pan Bóg błogosławi.
Ranek miłe wonie sieje,
Praca krzepi w nim nadzieje;

Ptaszki wdzięcznie mu świergoczą,
Budzą w duszy myśl ochoczą.
Zdala łąki, lasy, gaje;
A on ziemię, w skiby kraje,
I tą myślą życie słodzi,
Że ta ziemia zboże rodzi:
Z każdej chwili on korzysta,
W pracy rozkosz rzeczywista,
W pracy szczęście, chwała w pracy,
Rozumiecie to wiośniacy,
Więc zawczasu się budzicie,
By na marne nie szło życie,
I dźwigając pług od rana,
Wysławiacie pieśnią Pana.

Nie psujcie gniazdek.

Oj nie dobre wy dzieciaki,
Litości nie macie
Haniebny to zwyczaj taki,
Gniazda wykręcacie.
Gniazdo to domem ptaszęcia,
Tam kwili nieboże,
Wy głusi na głos pisklęcia,
Wzruszyć was nie może.

Nie ruszajcie gniazdek z drzewa,
Bóg je tam zawiesza,
Niechaj sobie ptaszę śpiewa,
Pieśnią nas pociesza.
Otwórzcie serca litości,
Wszak żyje i ptaszę,
Niechże ludzkość tam zagości,
Wskaże dobroć waszę.

S. J.

Bolesław Chrobry jako rządca, wódz i krzewiciel oświaty.

Nie opowiem wam mili czytelnicy dokładnie wszystkich czynów Bolesława Chrobrego, bo ktoby chciał całe życie tego wielkiego króla opowiedzieć, musiałby księgę napisać. Tylko więc co nieco tutaj usłyszycie abyście przynajmniej mieli wyobrażenie co to był za król i jak wiele dobrego zdziałał.

Wprawdzie już i w Dzwonku czytaliście niejedno o królu Bolesławie, ale o królu tym, którego zowią twórcą czyli założycielem Polski, należy każdemu wiedzieć jak najwięcej i wielkie jego czyny trzeba sobie często przypominać — był to bowiem król jakich mało, prawdziwy ojciec narodu i po nim jak po ojcu cały naród ciężką nosił żałobę, gdy się Panu Bogu podobało do siebie go powołać.

Najprzód proszę was, uważajcie o którym to ja mówię Bolesławie, i nie mięszajcie go z innymi królami polskimi tego samego imienia. Król Bolesław Chrobry był dopiero drugim prawdziwym królem polskim.

Zaledwo wstąpił na tron, dał dowód wielkiego rozumu. Jego ojciec, Mieczysław, umierając, podzielił kraj według ówczesnego zwyczaju między kilku synów swoich. Bolesław poznał zaraz że ztąd urasta dla ojczyzny wielkie niebezpieczeństwo; Polska bowiem była jeszcze podówczas krajem nie wielkim, nieludnym a zewsząd otaczali ją srodzy nieprzyjaciele, chciwi cudzego mienia, i którym łatwo byłoby pojedyncze części polskiego kraju, jednę po drugiej zagarnąć. Aby temu zapobiedz, Bolesław pooddalał braci i macochę a ich dzielnice spoił w jedno państwo. Nie myślcie sobie że on tym sposobem popełnił grzech względem braci, bynajmniej, nie szło tu bowiem ani o niego, ani o braci, ale o Polskę, która była w niebezpieczeństwie, o cały naród któremu zagrażała niewola — tym sposobem zaś Bolesław kraj nasz ocalił. Wielki ten monarcha, w ciągu trzydziestoczteroletniego panowania granice Polski na wszystkie cztery strony świata niezmiernie rozszerzył i postrachem swego imienia od nieprzyjaciół zabezpieczył Na południu odzyskał zabrany przez Czechów Kraków wraz z całym okolicznym krajem i wcielił go na zawsze do Polski a idąc dalej za Kraków, zawojował jeszcze spory kraju węgierskiego kawał. Od zachodu najzaciętszych miał nieprzyjaciół w Niemcach i Czechach, toż długie lata krwawe z nimi staczał boje ale często zwyciężał i udało się mu wydrzeć im niejedną ziemię dawniej Polakom zabraną. Od północy rozszerzył granice Polski po morze bałtyckie, od wschodu

Rusinów skołdował i odzyskał na nich kawał ziemi z kilku zamkami.

Ile razy z wojny powrócił do domu, pracował nad zaprowadzeniem w ojczyźnie ładu i porządku. Podzielił więc kraj na opola czyli powiaty a ludność po wojskowemu na dziesiętników, pięćdziesiętników, setników i wodzów. Na granicach stawiał dla bezpieczeństwa zamki niby strażnice, kędy kmiecie zsypywali ziarno dla wojennego rycerstwa. Zaprowadził w kraju sądy i sam często objeżdżał kraj dla sądzenia spraw, mając przy boku swoim dwunastu czcigodnych starców do rady; był zaś nad podziw sprawiedliwym, ojcem dla kmieciów i najważniejsze sprawy na bok odkładał przed skargą biedaka. Zaludniał kraj, osadzając po puszczach niewolników wojennych, zakwitło więc rolnictwo i wzbogacało kraj a Polska zasłynęła jako ziemia zasobna w złoto i srebro, w której powietrze zdrowe, rola żyzna, bory miodopłynne, rzeki rybne, wojacy bitni, rolnicy pracowici, konie wytrwale, woły ornite, krowy mleczne, owce wełniste. Wzbogacała się także Polska przez handel który Bolesław popierał wszelkiemi siłami, budując drogi i trakty, któremi przywożono do Polski złoto i srebro, jedwabie i aksamity, futra drogie, zamorskie korzenie i napoje, wzbogacała się nareszcie zdobyczami w złocie i srebrze i innych kosztownościach, które z wojennych wypraw mnogo płynęły, tak że się prawie cała ozłociła. Toż gdy cesarz niemiecki Otto przybył w odwiedziny do Bolesława i przypatrzył się jego królestwu i jego potędze, zawołał z podziwienia: Na koronę cesarską, więcej widzę jak mi sława doniosła!

Równie wielkim był Bolesław jako wódz. Nie miał w Polsce wojska podostatkiem i nie chciał ludności rolniczej odrywać od pługa, ściągał więc z różnych krajów rycerstwo do siebie i umiał pozyskać jego miłość hojnemi dary i dobrem obchodzeniem: podzielał wszędzie jego trudy, sam we własnej osobie prowadził je do boju. Na dworze Bolesława było codziennie zastawionych czterdzieści wielkich a znacznie więcej mniejszych stołów przy których żywili się jego towarzysze broni. Gościnny król nie żałował im jadła i napitku, owszem

użalał się zawsze że za mało ma gości. Czesi, Węgrzy, Niemcy, Rusini i t. d. tłumem zbiegali się na dwór Bolesława. Duszą tych uczt rycerskich był Bolesław, bo lubił biesiadować, i lubił tak, że gdy mu raz w czasie uczty znać dano o zbliżaniu się wojska niemieckiego, ani się ruszył od stołu, tylko żartował z Niemców, których żabami nazywał że się prędko nie przywloką. Ale nie dość jest mieć wojsko; umieć go użyć, w tem największa sztuka wodza. Owóż Bolesław był w tej sztuce niezrównany. Chytry, przebiegły, nie rzucał się zuchwale w jawne niebezpieczeństwo, ale miał zawsze na zawołanie tysiące podstępów do pokonania nieprzyjaciela. Utrzymywał nawet przy osobach monarchów płatnych szpiegów, od których dowiadywał się o wszystkiem co zamyślali, przekupywał i przeciągał na swoją stronę wodzów nieprzyjacielskich a gdy przyszło do wojny, trapił wrogów podjazdami, wodził ich po bagnach i puszczach, urywał po trosze, i dopiero gdy był pewnym zwycięztwa, spadał jak piorun ze swojem rycerstwem.

Położył też Bolesław wielkie zasługi jako krzewiciel światła w narodzie. Szerzył je przez trzebież lasów i puszcz, przez zakładanie osad, przez stosunki z oświeconemi narodami. Ale to jeszcze nie wszystko. Bolesław pojął że światła nie rozszerzy inaczejw narodzie jak przez krzewienie chrześcjaństwa, starał się więc głównie o jego ustalenie. Jak rycerzy hojnością i ucztami, tak duchownych czcią i uszanowaniem zwabiał do Polski, księżami to jest książętami ich nazwał, i tak ich poważał, że usiąść nie śmiał, gdy który ksiądz stał. Zakładał i wyposażał biskupstwa, kościoły i klasztory. Klasztory uprawiały ziemię w około swojej siedziby, zakładały ogrody, a lud wiejski miał ztąd przykład i naukę co i jak robić należy, chcąc mieć z ziemi pożytek. Prócz tego Bolesław wspierał apostołów swoją pomocą, gdy przechodzili przez Polskę, dążąc do krajów pogańskich aby nawracać ludy tamtejsze. Tymi byli Ś. Wojciech, Ś. Bruno i inni a tak Polska nie tylko sama zajaśniała światłem boskiej nauki, ale stała się zarazem ścieżką apostołów, jak Bolesław był ojcem sług Bożych a wiernym synem matki kościoła.

Po śmierci Bolesława rozliczne nieszczęścia zwaliły się na jego królestwo i Polska o mało się nie rozpadła. Później mieliśmy wielu mądrych i dzielnych królów, którzy to co on sklecił, wzmocnili — co on urządził, ulepszyli; ale żaden tyle wielkich czynów co on nie dokonał. Toż pamięć króla Bolesława, którego nazwano Chrobrym i Wielkim przechowała się w Polsce do ostatnich czasów; nawet jego miecz, szczerbcem zwany, bo się był przy zdobyciu Kijowa miasta na Rusi, wyszczerbił, przechowywano jako najdroższą relikwię i każdemu z następnych królów przy koronacyi dawano go do boku, z zaklęciem aby tak jak Bolesław miecza królewskiego używali dla wzmocnienia i zabezpieczenia kraju od nieprzyjaciół, na obronę uciśnionych i świętej wiary i aby byli tak jak Bolesław dobrymi gospodarzami w ojczyźnie, ojcami narodu, krzewicielami światła, prawdy i sprawiedliwości.

Wielki rozległy świat.

Świat jest wielki, niejeden to wyrzekł, ale każdy inne ma w tym względzie wyobrażenie. Ten zaledwie o dzień drogi oddalił się od miejsca swego zamieszkania, a już mu tęskno kiedy o kilkodniowej trzeba pomyśleć podróży. Ów niejedno zwiedził państwo, ale krainy zamorskie, zbyt się mu odległe wydają, żeby do nich swą podróż skierował.

Ktoby przez piaszczyste pustynie i lasy odwieczne, przez nieprzejrzane stepy i wysokie śniegami pokryte góry, przez lądy i morza tę naszą ziemię obszedł w około; ten dopiero jaśniejsze powziąłby wyobrażenie o wielkości zamieszkanej przez nas kuli ziemskiej, i jeżliby wtedy powiedział: świat jest wielki, wtedy pewnie rozliczne myśli cisnęłyby się do jego duszy. Ileż on czasu potrzebował do przebycia jednego rozległego kraju! Jakże długo żeglował na morzu, nim z Europy do Ameryki przypłynął, a potem swą podróż około południo-

wej Ameryki skierował, a ztąd dopiero przez Ocean wschodni dostał się do Azyi, poczem znowu całą opłynąwszy Afrykę, do Europy nareszcie powrócił! Ileż on miesięcy potrzebował dla przebycia drogi z jednego do drugiego miejsca, ile lat przeżył w oddaleniu, nim swoją rodzinę w ojczystym kraju powitał.

Sprobójmy tę tak długo odbywaną obliczyć wędrówkę.

Prosta droga, którąbyśmy jak po opasującej w koło ziemi obręczy odbyli, wynosi 5.400 mil, każda po 4000 sążni lub 10 000 kroków, a gdyby ta droga wytkniętą była przez lądy i morza, to jest: na stałym lądzie jak dobry gościniec, a na morzu, jak ścieżka na zamarzłym stawie, i gdyby do tego jeszcze w niewielkich odległościach były po drodze domy, dla dogodności zdrowego, żwawego piechotnego wędrowcy na chwilowy spoczynek rozstawione, a on codziennie 12 godzin drogi uchodził, a tylko niedzielę na wypoczynek poświęcał, wtedy 900 dni musiałby podróżować, a tem samem z dniami wypoczynku zaledwieby w trzy lata do miejsca, z którego wyszedł od wschodu, teraz znowu od zachodu powrócił. Gdyby zaś można było od punktu gdziekolwiek przez nas obranego, urządzić stolnią lub tunel, jaki przez góry i popod rzeki dla kolei żelaznej wykopują, i podobnie go w prostej linii przez środek ziemi, aż do powierzchni z przeciwnej strony będącej poprowadzić, to taki podziemny ganek wynosiłby 1700 mil, a pieszy wędrownik 900 dni do obejścia ziemi potrzebujący, idąc po 6 mil dziennie prócz niedzieli, ukończyłby swą podróż w 283 dni, a więc w jednym roku, bez wyczerpania sił swoich.

Teraz już dokładniejsze możemy sobie zrobić wyobrażenie o wielkości ziemi, którą i oznaczyć potrafimy. Jak bowiem mówią: ta dolina wynosi dwie mile drogi, a wyspa na dwa dni drogi szeroka, i przez to oznaczają odległość około 12 mil wynoszącą; tak też można powiedzieć: średnica kuli ziemskiej wynosi 283 dni drogi, czyli na przebycie prostej linii na wskróś przez środek ziemi przechodzącej, cały rok jest potrzebny.

A jak daleko może być do księżyca?

Jak tylko ludzie nauczyli się mierzyć i rachować, tak zaraz zdjęła ich ciekawość znalezienia na to wielkie pytanie, stosownej odpowiedzi, a jak każden wie, kto zajrzy do kalendarza, kiedy będzie zaćmienie słońca lub księżyca; tak są uczeni mężowie, którzy wielkie odległości na niebie wymierzyć i wyrachować umieją. Tylko do tych wymiarów innego łokcia i sążnia to jest miary na wiele mil długiej używają. Taką miarą jest nasza kula ziemska, której grubość 1700 mil wynosi. Wymiar i rachunek okazały, że od ziemi aż do księżyca trzebaby 29 tak wielkich kul jak nasza ziemia w prostej linii, jednę na drugiej postawić; a więc księżyc na 29 lat drogi, czyli jaśniej mówiąc na 51.000 mil jest od ziemi oddalony.

Najwyższe góry od poziomu morza mają do 28.000 stóp, czyli w prostej linii, cokolwiek więcej nad milę wysokości, a obłoki zaledwie na trzy mile unoszą się nad ziemią.

Wysoko zaiste księżyc unosi się nad nami, ale słońce i gwiazdy ponad nim w niedościgłych przestrzeniach niebios krążące, daleko zapewne wyżej niż na 29 lat drogi, są od nas oddalone.

Zobaczmy teraz, jaką odległość od ziemi uczeni badacze słońcu naznaczają. Na ten koniec użyli oni owej długiej miary owej średnicy kuli ziemskiej, czyli rocznej drogi z 1700 mil składającej się, i taki ze swego rachunku otrzymali wypadek, że 13.000 takich kul jak nasza ziemia, należałoby jednę na drugiej postawić, aby tym sposobem otrzymać sznur takiego ogromu pereł do samego słońca sięgających; ta więc odległość od ziemi wynosi przeszło 20 milionów mil, czyli 13 tysięcy rocznych dróg po 1700 mil.

Przypuściwszy że droga do słońca prowadząca byłaby równa i wygodna; to jednak człowiek zaledwieby stoczterdziestą część tej odległości uszedł, chociażby całe 80 lat życia swojego na to poświęcił. A gdyby można było wystawić most od ziemi, i na nim urządzić kolej żelazną na której mocą pary możnaby dniem i nocą 4 mile na godzinę bez przerwy ubiegać, to zaledwie w 500 lat wóz parowy stanąłby na słońcu.

Teraz już łatwiej możemy sobie ogrom świata wystawić, kiedy nasza ziemia w tak wielkiej odległości swobodnie się około słońca obraca, bez zetknięcia się na drodze z jakiem innem ciałem; a jednakże nie stanowi to jeszcze miary, za pomocą której dałby się świat wymierzyć; bo nad słońcem, w niesłychanej odległości, stałe gwiazdy stami tysięcy pokazują się po niebie rozsiane, a jeźli można przypuścić, że są osobnemi słońcami, w niezmierzonej przestrzeni daleko od siebie rozstawionemi, to i domyślać się należy podobnego około nich krążenia takich ziem, jak nasza i płanet dla nas z przyczyny zbytniej odległości niewidzianych; tak więc do nieskończoności prawie na wszystkie strony, rozciąga się ów obszar nieba, który wszechświatem zowiemy!

Jeżeli się w te badania myślą zapuścimy, i choć przybliżonym rachunkiem sprawdzić zechcemy, wtedy zapewne z podziwieniem zawołamy: Zaprawdę: jakże świat jest wielki!

A jakże wielki i potężny musi być Bóg, który to wszystko stworzył, w całości i porządku wszystko utrzymuje, i wszechmocnie tem wszystkiem zarządza!

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Pszczelnictwo.

Razem z ogrodami upadło u włościan naszych hodowanie pszczół.

Kwiat owocowych drzew dostarcza pszczołom obficie najpierwszego pokarmu, którego jeszcze na polach i łąkach nie mają. Niegdyś w każdej wiosce był pasiecznik albo bartnik który wiedział jak obchodzić się z pszczołami; a chociaż nie miał dokładnych wiadomości, potrafił jednakże chwytać i osadzać roje, poznał czy jest matka w ulu, czy jej nie ma, podbierał i oczyszczał pszczoły i przy staraniu ówczesnych pszczolarzy utrzymywały się i mnożyły te pożyteczne stworzenia. Dziś tak dalece zaniedbano hodowlę pszczół w wielu powiatach że trudno wyszukać człowieka, któryby o nich jakie takie miał wyobrażenie.

Zakładanie i pomnażanie hodowli pszczół, może bardzo powiększyć dochód włościan i powinni o nich pamiętać.

Niechby tylko włościanin hodował ośm rojów corocznie, miałby z nich mniej więcej od sześciu do ośmiu złr. z każdego roju, a ktoby chciał i mógł więcej pszczół trzymać, zbierałby z nich piękne pieniądze.

Dopóki zatem nie wyuczą się u nas doskonali pszczolarze, którzyby umieli obchodzić się z pszczołami podług najnowszych ulepszonych sposobów, podam wam krótkie nauki za pomocą których będzie mógł każdy włościanin hodować sobie kilka rojów, byle tylko był uważny i miał ochotę; a potem jak się już raz z niemi lepiej obezna i przekona się że ma z nich pożytek, wtenczas zaprowadzi w swej pasiece ulepszone i nowe sposoby.

Prawie każdy wie, że pszczoły w ulu są trojakie: jedne które miód i wosk znoszą, budują komórki, żywią i pielęgnują młody zalążek, zgoła wszystkie prace wykonywują i te zowią się **pszczołami roboczemi**.

Drugie są **matki** a trzecie **trądy** czyli samce.

Matka znosi jaja na wszystkie pszczoły. Jest tylko jedna w ulu, pszczoły robocze mają około niej największe staranie, one ją karmią, otaczają i strzegą. Jeżeli wylęgnie się dwie lub więcej matek, wtenczas albo odlatują z częścią pszczół i tworzą nowe roje, albo też biją się jedne z drugiemi; mocniejsza lub ta której więcej sprzyjają pszczoły robocze, zabije drugą i sama zostanie. Rój bez matki nie może się utrzymać. Jeżeli przypadkiem matka zginie lub umrze, a pszczoły robocze widzą że z młodych zalążków nie potrafią wychować sobie nowej matki, wtedy przestają nosić na miód i wosk, są smutne, rozłażą się w koło ula i w ciągu kilku tygodni zmarnieją. Jeżeli zaś zaczną pielęgnować zalążek na nową matkę, wtenczas pracują tak gorliwie, jak zazwyczaj, a po kilkunastu dniach młoda matka wychodzi ze swojej komórki i rój utrzymuje się należycie. Matka wyleciawszy z ula, parzy się z samcami czyli trądami a potem znosi jaja od wiosny aż do jesieni, i tak ciągle nowych pszczół do ula przybywa. Mądre

w tem jest rozporządzenie Boga, bo pszczoły latając w pole na robotę, bardzo wielu przypadkom podlegają. Wiele z nich utonie w wodzie, wiele schwycą i pożrą ptaki, jakoto jaskółki, żółny i inne; wiele zmęczy się w locie, upadnie w trawę i tam zginie. Niektórzy pszczolarze utrzymują, że prawie wszystkie pszczoły robocze przeszłoroczne wyginą do zimy i tylko te zostaną, które wylęgły się i urosły od wiosny do jesieni; gdyby więc matka codzień jaj nie znosiła to wkrótce zabrakłoby pszczół w roju.

Na początku jesieni, pszczoły robocze wypędzają z ula i wybijają trądów, które już wtedy nie są potrzebne a z zalążków na wiosnę wylęgną się nowe.

Matka pszczół nie żyje dłużej nad dwa lub trzy lata a najlepsza do rojenia się jest w drugim roku życia.

Najważniejszą jest rzeczą, żeby ten, który pszczoły chce hodować, umiał rozróżnić matkę od pszczół roboczych i mógł poznać czy ona jest w ulu czy jej nie ma.

Matka jest dłuższa i smaglejsza niż pszczoły robocze; skrzydła ma za krótkie w stosunku do swej długości; jednakże póki jest młoda i ma całe skrzydła, dobrze lata, ale czasem, gdy bije się z inną matką, skrzydła może mieć poszarpane i obgryzione a wtedy gdy wyleci z ula, upadnie na ziemię i zginie. Trądy czyli samce są grubsze od pszczoły roboczej i bez żądła; mają kosmatsze piersi i głowę.

Gdy jest dużo trądów w ulu robią nie małą szkodę, bo bardzo wiele miodu zjadają, a sami na niego nie pracują.

Plastry pszczolne składają się z komórek sześciościennych, które jedne do drugich tak przytykają iż pomiędzy niemi nic próżnego miejsca nie zostaje a są tak równe i regularne, iż najdoskonalszy robotnik lepiejby nie zrobił.

Komórki te są trojakie, tak samo jak i pszczoły: małe na miód, na zalążki i na pszczoły robocze, drugie nieco większe na trądy, trzecie największe, przy bokach plastrów poprzyczepiane, na matki, są wielkości łupiny żołędzi, z wierzchu niekształtne, a wygładzone wewnątrz. Plastry mają komórki po obu stronach a dno wspólne. Matka prze-

chodząc się po plastrach próżnych, składa w każdą komórkę jedno jajko, z czego wylęgają się młode pszczoły i takim instynktem jest obdarzona, że jajka na trądy znosi do większych komórek — na pszczoły robocze do mniejszych.

Pszczoły zaczynają robić plastry od góry i przyczepiają one do krzyża albo listeczek osadzonych w ulu. Taka jest natura pszczół, że w górze ula zakładają plastry z miodem, w środku zaś i ku dołowi robią plastry z komórkami na zalążki. Ten ich obyczaj naprowadził terazniejszych pszczolników na różne sposoby obchodzenia się z pszczołami.

Ule czyli pomieszkania dla pszczół, nie są osobliwą rzeczą i wszyscy je widzieliście, albo widzieć możecie. Są one albo drewniane albo słomiane; ule drewniane zowią się pniami, a słomiane koszkami. Gdzie drożyzna i niedostatek drzewa tam rzadko zobaczysz ul pniowy ale po największej części są tylko słomiane. Ule słomiane robią się z czystej słomy, mocno i ściśle uplecione; do związywania przewiąseł słomianych używać trzeba łyka albo pręcików łoziny, bo pszczoły nie lubią nici. Ule słomiane wyglądają tak samo jak kosze które plotą wieśniacy dla wsypywania w nie i chowania rozmaitych rzeczy. Przez długi czas robiono koszki spiczaste u góry, pękate we środku i trochę zwężające się u dołu; ale teraz robią je równe, okrągłe jak walce, ścięte, z dnem płaskiem u góry; kosze spiczaste mają tę dogodność że można na nich zawiesić pokrycie z słomy i od deszczu zabezpieczyć, a płaskie stać muszą pod nakryciem; ale za to płaskie są z innych przyczyn, które zaraz wyłożę, daleko lepsze, i warto postarać się o zrobienie daszku spadzistego pokrytego słomą, a opartego na czterech słupkach, pod którym ule słomiane czyli koszki stać będą.

Koszki wypalają się ostrożnie we środku, żeby nie było zadrów, zewnątrz zaś obrzucają się wapnem mięszanem i piaskiem albo gliną z krowieńcem i robi się z tego pokrywa której mysz nie pogryzie.

C. d. n.

RÓŻNOŚCI.

Sposób aby mieć zawsze pieniądze w kieszeni. Dwie bardzo proste reguły, ściśle zachowywane, prowadzą do tego celu. Oto jest pierwsza: Niechaj uczciwość i praca będą nieodstępnemi twemi towarzyszkami. Druga zaś: Wydawaj codzień mniej, aniżeli masz czystego dochodu. Przy pomocy tych sposobów szczupła twoja kieszeń pocznie się wnet wzdymać i nie będzie się więcej żaliła, że jej wnętrze jest próżne.

Przykład miłości bliźniego. W obecnym czasie donoszą pisma publiczne o zacnym kapłanie, dostojniku kościoła, który swojem poświęceniem się wyratował z płomieni bliźniego z niebezpieczeństwem własnego życia. Dla uczczenia pamięci tego szlachetnego męża, udzielamy i wam w tem pisemku tej o nim wiadomości.

„W Auch w górnych Pireneach we Francyi, dwa domy stały w płomieniach. Z jednego zalatywały krzyki: ratunku! ratunku! Najboleśniej brzmiał głos jakiejś matki: ratujcie moje dziecko! Przed palący się dom przybył i arcybiskup. Dopóki mógł, pracował z gaszącymi i ich zachęcał. „Dwadzieściapięć lujdorów, zawołał, dwadzieściapięć lujdorów temu, kto wyratuje tę kobietę i jej dziecko.“ Słowa te zrobiły niejakie wrażenie, kilku mężczyzn wystąpiło naprzód kilka kroków, ale cofnęli się wkrótce. „Pięćdziesiąt lujdorów temu, kto wyratuje z płomieni dziecko i jego matkę,“ zawołał donośniej arcybiskup. Wszyscy słyszeli, ale nikt się nie ruszył. Wówczas prawdziwy ten pasterz swojego ludu umaczał prześcieradło w wodzie, owinął się niem i wstąpił na drabinę przystawioną do muru. Lud poruszony do głębi tym nadzwyczajnym przykładem miłości bliźniego, padł na kolana i utkwił wzrok w czcigodnego prałata. Dostał on się szczęśliwie do okna, z którego buchały płomienie i znikł. Wkrótce potem przy temże oknie ujrzano go znowu, a zarazem ową kobietę z dziecięciem. Byli uratowani. Arcybiskup będąc już na dole, zdjął z siebie wpół spalone prześcieradło, i uklęknąwszy zmówił krótką modlitwę, a potem dobywszy pieniędzy, rzekł do owej kobiety, którą pożar przywiódł teraz do ostatecznej nędzy. „Nie troszczcie się matko! zarobiłem pięćdziesiąt lujdorów, przyjmcie je odemnie na pierwsze potrzeby“.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 4.

1. sierpnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziwne zrządzenie Opatrzności

czyli:

Powiastka prawdziwa o zginionym chłopczyku wiejskim.

I.

Kończy się wiek czyli lat sto od czasu pierwszych nieszczęść, jakie spadły na naszą ukochaną ojczyznę Polskę, z powodu domowych niezgód i wmieszania się w sprawy nasze sąsiednich narodów a szczególniej Moskwy, od dawna czychającej na zgubę naszą. Pod pozorem przywrócenia zgody wprowadziła carowa Katarzyna ogromne wojska do Polski i szerząc mordy i pożogi, rozlewała niewinną krew prawych obrońców upadającego narodu. Po całym obszarze Polski toczyły się z różnem szczęściem krwawe zapasy wojenne, a nikt nie był pewnym życia swego i mienia.

W owym to dla naszego narodu nieszczęśliwym czasie, nad ujściem rzeki Bugu do Wisły, opodal od wioski, stała pod

samym lasem uboga chatka wdowy Doroty po rybaku Wosiu, dopiero przed kilku zmarłym miesiącami. Na potrzeby do życia wystarczał wdowie mały obok domu ogródek, a przytem trudniła się robieniem sieci i innych przyrządów rybackich, czego się od nieboszczyka męża swego wyuczyła.

Jedyną jej pociechą był jej pięcioletni synek Antoś, dziecię posłuszne, miłe, każdemu się podobające. Na brzegu lasu rosła piękna buczyna, gdzie chłopczyk z małym koszyczkiem często w towarzystwie swej matki a niekiedy i sam chodził na zbieranie bukwi, z której matka olej do nocnej pracy na długie zimowe wieczory wyrabiać umiała. Życzeniem jedynem było matki, dochowania swemu Antosiowi, gdy dorośnie, prawa rybackiego, dlatego łódź i pozostałe po mężu przyrządy do połowu ryb potrzebne, troskliwie przechowywała, aby się w niczem nie uszkodziły; przyczem z obowiązku dobrej matki i chrześcijanki postanowiła wychowywać swego jedynaka na miłego Bogu i ludziom pożytecznego człowieka.

Było to już przy końcu lata, lecz upały nie zmniejszały się z nadejściem dni krótszych; pewnego dnia powrócił przed południem mały Antoś zmęczony i spocony z pełnym koszyczkiem bukwi w lesie uzbieranej, z uciechą dziecinną, że kochanej swej matce może być już pomocnym i obiecując, że po południu, skoro upał nieco zelży, drugi pełny koszyczek nazbiera.

Parno było w izdebce Doroty — dlatego zgotowany obiadek wyniosła do zjedzenia pod młodego buczka, opodal od domu na murawie rosnącego, gdzie chłodek miły i spokój od natrętnych much domowych znaleźli. Po spożytym obiedzie i złożeniu dziękczynnych modłów Bogu za posiłek, usłała matka swemu Antosiowi lekkie posłanie pod drzewem, mówiąc mu, żeby się trochę przespał, zanim upał przeminie. Sama tymczasem udała się do domu, gdzie ją pilna czekała robota. Przy pracy zeszło jej blisko dwie godziny. Ułatwiwszy się cokolwiek, pobiegła spiesznie obudzić swego Antosia, gdyż się jej zdawało, że za długo spoczywa. Przybywszy pod drzewo, nie zastała już chłopczyny, lecz pomyślała sobie:

— Dobre me dziecię, obudziwszy się, samo bez mego zlecenia poszło z koszykiem do lasku na bukiew, dla zrobienia mi tej miłej przysługi; o jakże cię uściskam i wycałuję, gdy wrócisz, kiedy sercu memu tyle sprawiasz radości i tak piękną na przyszłość rokujesz nadzieję.

Zajęła się na nowo dalszą swą pracą — lecz ta nie szła jej po myśli, była bowiem niespokojną o chłopca z obawy, żeby go co złego w samotności nie spotkało. Nie mogąc przeprzeć dręczącej ją niespokojności, pobiegła do lasku i przebiegła cały wołając Antosia po imieniu, lecz gdy go nigdzie nie znalazła, ogarnęła ją przerażająca trwoga i zaczęła sobie robić wyrzuty, że pozwoliła chłopczynie tak jeszcze małemu zbierać samotnie bukiew po lasku. Zaczekała chwil kilka, lecz znowu napróżno; wróciła więc płacząc i narzekając do wsi, a podzielający jej smutek wieśniacy rozbiegli się na wszystkie strony dla odszukania zabłąkanego chłopczyka. Nadszedł wreszcie i wieczór, wszelkie poszukiwania były daremne, chłopiec przepadł bez wieści; wtedy żal matki nie miał już granic. Rybacy obiecali go szukać przy nocnym połowie ryb w zakrętach rzeki, sądząc, że przez nieostrożność utonął. Nieszczęśliwa matka przebyła noc całą na modlitwie i płaczu, narzekając na swą lekkomyślność i niedbalstwo w nadzorowaniu jedynaka; zaledwo ranek zaświtał pobiegła z bijącem sercem na brzeg rzeki, aby choć zwłoki swego drogiego dziecięcia zobaczyć, dla oddania ich drugiej matce — ziemi, lecz i tej nie doznała ulgi.

Gdy po kilku tygodniach daremnego poszukiwania przyszła do kościoła parafialnego na niedzielne nabożeństwo, kto się jej wychudłej, bladej twarzy i zapadniętym oczom przypatrzył, mógł stanowczo wyrzec, że nieszczęśliwa Dorota niezadługo pójdzie do innego świata, połączyć się z swoim mężem i synem.

Pleban tej parafji, czcigodny starzec — gdy się tylko o nieszczęściu Doroty dowiedział, dokładał wszelkiego starania, aby się wywiedzieć w okolicy o zginionym chłopczynie i sam kilka razy odwiedził ją w chacie, przynosząc kapłańskie pocieszenia. Zobaczywszy wynędzniałą w kościele, kazał ją po nabożeństwie do siebie przywołać. Wszedłszy Dorota do pokoju

*

szanownego duszpasterza, zastała go siedzącego przy pisaniu. Czcigodny kapłan kazał jej zaczekać, aż swoją zaczętą skończy pracę. Tymczasem przypatrywała się Dorota wiszącym po ścianach obrazom, z pomiędzy których jeden w okrągłych złoconych ramkach mocno ją wzruszył i do łez rozczulił. Ksiądz proboszcz ukończywszy pismo wstał od stołu, a spostrzegłszy wzruszenie Doroty na widok obrazu wiszącego na ścianie, z dobrocią serca ją zapytał:

— Czy wiesz kobieto, kogo ten obraz przedstawia?

— Wiem — rzekła nieszczęśliwa wdowa — jest to obraz Bogarodzicy, opłakującej śmierć swego Najświętszego Syna a naszego najdroższego Zbawiciela!

— Otóż — rzekł ksiądz proboszcz — właśnie jest to piękny, oraz pocieszający przykład dla ciebie, nieszczęśliwa matko! Rozważ dobrze: ten właśnie miecz tkwiący w piersi Bogarodzicy nie jestże wyobrażeniem najgłębszej Jej boleści, która Ją niewinną śmiercią męczeńską Syna Jej boskiego według przepowiedni Symeona dotknęła? Jej oczy łzami zroszone i ku niebu wzniesione ręce, nie dająż nam przekonania o Jej najczystszej pobożności i zupełnem poddaniu się woli Bożej? Złociste zaś promienie, otaczające Jej świętą głowę nie oznaczająż tej wspaniałości, którą za poddanie się woli Bożej otoczył ją w niebie Majestat Boski? Tak, poczciwa Doroto — mówił dalej pleban — dużoś w niedługim czasie straciła: i męża i syna; i twoje serce przeszył miecz boleści, lecz pomnij, że Marya Bogarodzicielka we wszystkiem poddała się woli Stwórcy nietylko wtedy, gdy stała pod krzyżem patrząc na mękę swego Boskiego Syna, lecz także i w ówczas, gdy wesołe poselstwo anielskie usłyszała, mówiąc z pokorą: „Oto ja służebnica Pana mojego, niechaj się stanie według słowa twego.“ Ufaj więc kobieto Bogu, a wszystkie cierpienia duszy, jakie dotąd z woli Jego świętej przebyłaś, ofiaruj Jemu, gdyż nieodgadnione są wyroki Opatrzności.

— O czcigodny księże proboszczu — rzekła pocieszona wdowa — we wszystkiem pójdę za przykładem Najświętszej Matki Bożej, poddaję się bez narzekania woli Jego świętej

i odtąd postanowię sobie stale, że tylko w szczerej modlitwie i pracy pocieszenia szukać będę.

— Pochwalam twoje pobożne postanowienie — odrzekł pleban — i życzę ci biedna kobieto, abyś całe twoje życie tą myślą się przejmowała; aby ci zaś dać dowód, jak umiem oceniać twoje ochocze poddanie się woli Boga, daruję ci ten obrazek dla twego pocieszenia, a na odwrotnej stronie obrazu opiszę wypadek twój bolesny.

To powiedziawszy zdjął czcigodny starzec obrazek Bogarodzicy ze ściany, a rozebrawszy go, na odwrotnej stronie jego napisał:

„W roku 1771 dnia 30. września po raz ostatni widziałam „mego synka Antosia, ułożywszy go do snu pod cienistym „buczkiem opodal od domu rosnącym, podczas południowego „upału. Nie zastałam go już pod drzewem, zginął bez wieści „mój chłopczyna, mający wtedy lat 5 i 3 miesiące, gdy się „udał na zbieranie bukwi do bliskiego lasku. Jeżeli żyje, Boże „mój, miej go w swej świętej opiece, a jak niegdyś Swą ukochaną Matkę pod krzyżem pocieszałeś — pociesz i mnie „strapioną grzesznicę Dorotę, wdowę po zmarłym rybaku Wosiu."

Przybywszy Dorota z darowanym obrazkiem do domu, umyśliła wykuć otwór w tym młodym buczku, pod którym ostatni raz jej synek spoczywał, dla umieszczenia w nim obrazu Bogarodzicy, który jej szanowny pleban podarował i tak też zrobiła. Codziennie po kilka razy przychodziła pod to drzewko, zkąd po szczerze odmówionej modlitwie zawsze pocieszona na duszy wracała.

II.

Podczas gdy nieszczęśliwa Dorota śmierć swego syna Antosia w tak bolesny sposób opłakiwała, przybył on tymczasem do Warszawy, stolicy kraju, gdzie znalazł dziwnym zbiegiem okoliczności piękne mieszkanie i pańskie ubiory, gdzie czule pielęgnowała go druga matka, a troskliwie zajmował się nim przybrany ojciec, gdzie wreszcie najzdolniejsi kształcili go nauczyciele. Jakim sposobem to wszystko się zdarzyło, opowiem w krótkości.

Gdy się chłopczyna po dwugodzinnym niemal spoczynku pod drzewem przebudził, pobiegł do bliskiego lasku z koszyczkiem, aby zbierać dojrzewającą bukiew; uzbierawszy już do połowy koszyka dorodnej bukwi, zaszedł nieznacznie dalej w las, gdzie już buczyna nie rosła; okolica lasu się zmieniła, i chłopczyna nazad do domu z powrotem nie znalazł drogi. Idąc dalej, postrzegł że las się przerzedza; nakoniec stanął zdumiały nad brzegiem Wisły, której jeszcze nigdy nie widział. Coraz to nowe nasuwały mu się przedmioty, — a co najmocniej go w podziw wprawiło, to był piękny domek zbudowany na dużej łodzi przybitej do brzegu. Galaru, jakie zwykle po Wiśle płyną nigdy chłopczyna nie widział. Jeszcze nie wyszedł z tego zachwycenia, gdy na zwirze rzeki spostrzegł kilkoro pięknie ubranych dziatek, zajętych zbieraniem ładnych kamyczków. Antoś choć ubogo, był także schludnie odziany; skoro go dzieci spostrzegły, przybiegły do niego, przywitały się z nim jakby ze znajomym, Antoś wzajemnie się z niemi witał, goszcząc je uzbieraną bukwią, którą dzieci pierwszy raz widząc i jedząc, nie mogły się nachwalić smaku tych trójgrannych orzeszków. Gdy dzieci spostrzegły, że Antoś ma ochotę zobaczyć z bliska pływający po wodzie domek czyli galar, na którym podróżni do Warszawy płynęli, zaprowadziły go do wnętrza galaru, gdzie każdą rzecz z podziwieniem oglądał. Tymczasem gdy już wszystko do dalszej podróży było przygotowane, odbił galar od brzegu niesiony bystrym prądem rzeki, i płynął zwolna ku miejscu przeznaczenia swego. Nikt z podróżnych nie uważał że obce dziecko na galar przybyło, bowiem Antoś ani myśląc o powrocie, zajęty zabawkami dziecinnemi, zaprzyjaźnił się z dziećmi a osobliwie z czteroletnią Helenką, jedyną córeczką bogatego kupca, pana S. z Warszawy, który z powodu toczącej się w kraju wojny, kosztowne towary dla bezpieczeństwa galarami z Gdańska prowadził, wioząc z sobą żonę i córeczkę z Krakowa, gdzie dłuższy czas dla poznania tego starożytnego grodu i jego szczegółów zamieszkiwały. Dok. nast.

Wieś.

Jakże to śliczne:
Te wioski liczne,
Ten kraj kochany,
Bogate łany,
Bujne ogrody;
Łączka wesoła,
A na niej trzody
Widzisz do koła.
Z daleka borek,
Na górze dworek,
W koło topole,
A tam... na dole,
Strumyk jak wstęga
Ku rzece sięga.
Tu nizkie chatki,
A przy nich dziatki
Hoże, rumiane,
Jak malowane.
Co to za życie!
Oj, takie dziecię
Widzieć wam trzeba
Z partyką chleba,
Z ułamkiem sera.
Tam dusza szczera,
Pełno prostoty
A niebrak cnoty.
Przy chacie chatka,
W pracy czeladka,
W polu figury
W podwórku kury,
Na oknie kotek,
Przy płotku płotek,
I pies przy budzie.
A co za ludzie!
Każdy gotowy
Sercem i głowy
Przyjąć w gościnę,
Da i pierzynę.
Sobie odejmie
A da uprzejmie.
Zboże w stodole,
A chleb na stole,
A piwo w dzbanie,
Pij i jedz panie!
Gdyś wstąpił w progi:
Toś sercu drogi,
My nieostatni!
Tu uścisk bratni
Rzecz to nie rzadka.—
Tu zacna matka
Uczy pacierza,
O Bogu prawi
I błogosławi.
Nie umie czytać,
A proszę spytać:
Co nas szczęśliwi?
Aż cię zadziwi,
Jak ci odpowie,
Bo rozum w głowie.
Nie jedź po świecie,
Znajdziesz tu przecie
Niezgorsze rzeczy.
Nikt nie zaprzeczy,
Że w tym kąciku,
Cnoty bez liku,
Uczucia żywe,
Serca poczciwe.

S. J.

Dzika róża.

Pojechał sobie Janek do boru
By furę drzewa przywieźć do dworu;

Ale że droga kręci się zmudnie,
Więc go przy pracy zaszło południe.
Puścił konika, niech się popasie;
I on też sobie podje w tym czasie,
Pódje, posiedzi, odpocznie krzynę,
A że ogniście lubił brzezinę,
Co stoi w gaju jak panna biała,
Kiedy jej służba włos rozczesała;
Więc tuż pod brzozką właśnie przysiada,
Dobył chleb z torby, kraje, zajada,
I w koło siebie patrzy po borze,
Aż wreszcie westchnął: Boże mój Boże!
Co to za marne krzaczki, te róże:
Ni to z innemi pnie się ku górze,
Ni żadnym liściem wspaniałym stroi,
Jak niebożątko przy dołku stoi,
I nigdy człowiek nie zgadłby w świecie,
Że w takie śliczne rozkwitnie kwiecie.
  Tak mówił Janek, a tu tymczasem
Mały słowiczek leci gdzieś lasem;
Leci, przeleci, siądzie na drzewie
I tak się w słodkim odezwie śpiewie:
— Jak ten krzaczek dzikiej róży
Ślicznym kwiatem Bogu służy,
I woń swoją śle do koła,
Choć nie wspina w górę czoła,
Tak wieśniaku, w tym sposobie
Kwitnąć życiem dano tobie.
Pod sukmany świtą szarą
Strzelaj w niebo uczuć wiarą,
I miłości węzłem żywym
Z serc się bratnich spój ogniwem;
A jak z onej róży w lesie,
Woń się cnoty twojej wzniesie
Aż przed Bożych stóp podnóże.
Lecz, wieśniaku, wiesz, że róże
Mają kolce ku obronie,
Aby w czystem kwiata łonie
Jadu swego wąż nie złożył;
Tak ty biedny, obyś dożył
Życiem ziemskiem chwały nieba.
Zbroję pracy mieć ci trzeba. *M. J.*

Dzienna praca i nocny spoczynek.

Już dotąd wiele tysięcy ludzi lądem i morzem na około ziemi podróż odprawiło, a wszędzie otaczało ich powietrze, a nad niem wysoko unosiły się obłoki — a daleko wyżej księżyc, słońce i gwiazdy. Te same ciała niebieskie, na sklepieniu nieba widzieli wędrowcy tak w Ameryce jak i w Europie, tenże sam księżyc, słońce to samo. Ziemia więc jest niezmiernej wielkości kulą, unoszącą się powietrzu w obrocie swoim codziennym.

Nadto, kto na jednęm ciągle miejscu, lub w tej samej okolicy przebywa, to mu się zdaje, że słońce ku wieczorowi zniża się i za ziemią znika, a po upływie nocy z przeciwnej strony na jaw występuje. Jakkolwiek każdy do tego codziennego widowiska przyzwyczajony, nie wątpi o jego powrocie, to zdarzają się przecież niekiedy ludzie, życzący sobie ciągłej jego obecności, dla utrzymania wiecznego światła i ciepła na ziemi. Ta przemiana jednak dnia i nocy, światła i ciemności, a nawet ciepła we dnie a chłodu w nocy, z wielu urządzeniami tu na ziemi i między jej mieszkańcami w tak ścisłym związku zostaje, że spełnienie tego życzenia sprowadziłoby największy nieład w porządku dotychczasowym na świecie.

Łatwo można sobie wystawić, coby się stało, gdyby na przykład słońce zupełnie prostopadle nad Europą stanęło; — wtedy druga strona ziemi byłaby zawsze w ciemnościach nocnych pogrążona; rośliny przestałyby się rozkrzewiać, ludzie i zwierzęta dla braku słońca chroniliby się do nas, i większa połowa kuli ziemskiej byłaby pusta, sucha, bezludna. Gorąco zwłaszcza w okolicy na działanie prostopadłych promieni słońca wystawionej, zwiększyłoby się w żar nie do wytrzymania; rośliny przeto potrzebujące zmiany światła i ciemności, a zwierzęta różnego czasu do swego zajęcia i wypoczynku, ludzie nareszcie, dla których zmiana między pracą a wytchnieniem, między czuwaniem a snem jest konieczną potrzebą; na wielkie uciążliwości w utrzymaniu życia, byłyby wszystkie te istoty wystawione.

Teraz nad tą konieczną potrzebą użycia sił naszych i wytchnienia się zastanowimy, dla tem lepszego przekonania się o dobrodziejstwie, jakie z przemiany dnia i nocy wynika. Wiemy z doświadczenia, że po przydłuższem a ciągłem zajęciu jaką robotą, przy ruchu rąk, ramion lub nóg, a nawet po krótkiem ale gwałtownem wysileniu w czasie np. biegania, skakania, dźwigania, zwykle czujemy się osłabieni i zupełnie bezsilni. Jeżeli zaś pomimo tego unużenia nie przestajemy natężać się w pracy, to w końcu wszelkich sił pozbawieni, wpadamy w niemoc a często i w chorobę.

Dokładniejsze zbadanie składu naszego ciała okazało, że przy pracy i wytężeniu sił wszelkie pierwiastki, stanowiące muszkuły, niweczą się; tylko pokarm przez nas pożywany może je znowu przywrócić. To zaś najlepiej i najprędzej dokonywa się w czasie spoczynku, a najskuteczniejszym wypoczynkiem jest sen. Przy znojnej pracy i znacznem zużyciu cząstek w skład muszkułów wchodzących, należy nam je do dawnego przywrócić stanu, a zatem potrzeba jeść wiele pokarmów pożywnych, jakiemi są: mięso, jaja, groch, chleb żytni itd.; ale to wszystko nie utrzyma nas jeszcze przy siłach. Pomimo obfitego pokarmu i napoju nie możemy wielu dni na bezustanną poświęcać pracę, a nawet ciągle chodzić lub stać niepodobna; potrzeba więc dać ciału wypocząć należycie: leżeć lub siedzieć, jeżeli pokarm za pomocą krwi do osłabionych z wysilenia nie dostanie się muszkułów i sobą zużytych pierwiastków nie zastąpi.

Zachowany porządek w przemianie zatrudnień i wytchnienia, natężonej pracy i wypoczynku, użycza nam zdrowia, swobody i siły. Po częstokroć uciążliwych obowiązkach, smakuje nam pokarm i napój, orzeźwia odpoczynek, a sen spokojny nowych sił dodaje, wolną myślą i ochotą do zajęcia się na nowo naszemi sprawami, obdarza. Czuwanie i sen, praca i wypoczynek, są w odpowiednim stosunku z przemianą dnia i nocy. We dnie, oświetlonym jasnym słońca promieniem, widzimy się wpośród ruchu i czynnego działania przyrody; w tej porze bowiem otwierają kwiaty swoje kielichy i miłą woń w koło siebie roznoszą; ptaki spiewają, pszczoły brzęczą, wszystko nas do czyn-

ności pobudza; wszelkie zatrudnienia wykonywamy z łatwością, i wszystko udaje się nam pomyślnie Praca we dnie uskuteczniona jest najlepsza. Można wprawdzie i w nocy podróżować i zajmować się robotą, ale pilny jej wykonawca tysiączne ma do pokonania przeszkody: nie dostaje mu światła dziennego, a wszelkie świece, lampy i latarnie zastąpić go nie zdołają. Wędrownik utyka idąc z latarnią, a robotnik przy bladym połysku świecy lub lampy, jednem o drugie potrąca, nie na swojem miejscu kładzie, często mylnie bierze się do przedmiotu swej pracy. W nocy dokonywane roboty ręczne, nigdy się tak dobrze w jasnym dniu nie okażą, jak się przy świetle lampy lub świecy wydawały.

Złodziejowi tylko do jego niecnych czynności jest noc przyjazna, ale to trud pełen trwogi i mozołu. Zamiast wdzięcznego spiewu skowronka, głos sowy lub puszczyka strachu go nabawia i krew w żyłach jego ścina; zamiast serdecznego pozdrowienia pracą dzienną zajętego robotnika: „Szczęść Boże!" z przerażeniem słyszy złodziej psa szczekanie, lub groźne „kto idzie!" nocnego stróża; a tak pełen trwogi i utrudzenia po nocnej wyprawie, spokojnie we dnie, żeby się nie zdradził, zasnąć nie może. Kradzież to czyn niegodziwy i przewrotny, jak wszystkie dzieła ciemności. Noc na spoczynek pan Bóg przeznaczył, i sen nocny najskuteczniej orzeźwia, pokrzepia i wzmacnia.

Noc jest chłodna, żadne światło nie drażni nas, nie przeszkadza, żadna wrzawa nie rozbudza i nie przestrasza nas; podczas snu dobroczynna natura ożywia nas i posila. Spokojne uderzenie serca roznosi pokarmem zasiloną krew po wszystkich członkach i zostawia w nich składy pierwiastków do utworzenia włókien, tłuszczu i kości służących, dla wynagrodzenia wszelkiego ubytku, aż do ostatniej kropli potu, a ranę i wszelkie uszkodzenia do zdrowia przywraca. A gdy dobroczynna natura tajemne ciche swoje działanie uskuteczniła, wtedy kogut daje znać o zbliżającem się zaraniu, a niebawem i słońce wychyla się z poza widnokręgu, lekki sen ranny ulata, a człowiek budzi się jak odrodzony w nowe siły i zdrowie.

Dniem dobrym wita jeden drugiego i żwawo bierze się do pracy.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Pszczelnictwo.

Ciąg dalszy.

Koszka powinna być wysoka cali 30 czyli łokieć i ćwierć, szeroka u góry cali 10, a w spodzie cali 15. U góry daje się zagłówek, czyli nakrycie drewniane albo słomiane i wpuszcza się szczelnie w najpierwsze sploty koszka. W środku zagłówka robi się otwór na dwa cale szeroki, zatykający się drewnianym szpontem, jak u beczki. U spodu daje się dno drewniane albo słomiane.

Takie koszki stawiają się na tarcicach albo na legarach. Pod zagłówkami o dwa cale przyszywa się wązka obróżka, a na niej zakładają się listewki drewniane, wązkie, do których pszczoły zaczną przyczepiać swoje plastry. Przy osadzaniu pszczół trzeba do tych listewek poprzylepiać woskiem paski czystego suszu, z komórkami próżnemi, a zaraz pszczoły swoją robotę do nich przyczepią i dalej ją prowadzić będą. Oczko do zwyczajnego wylotu pszczół wyrabia się w górze, na dziesięć cali od zagłówka; musi być pół cala wysokie a trzy cale szerokie. Przed niem daje się zasówka blaszana z durszlaczkiem, żeby można pszczoły zamknąć na zimę, albo w zimne dni na wiosnę, a mimo tego zachować przystęp świeżego powietrza. Drugie oczko daje się przy samem dnie, żeby pszczołom łatwiej było wylatać i wracać z robotą, gdy już koszki w górze zarobią. Oczko jedno tylko może być otwarte, drugie zamknięte, bo przy dwóch utworach mogłyby wedrzeć się do ula pszczoły rozbójnicze, a miejscowe nie dałyby im rady. Dno i zagłówki powinny być do kosza przymocowane i oblepione zewnątrz wapnem z piaskiem albo gliną z krowieńcem, żeby przez szpary nie wcisnęły się myszy albo jakie robaki pszczołom szkodliwe. Żeby pszczoły wiodły się pomyślnie, potrzeba obmyśleć dla nich

dogodne miejsce. Owóż więc miejsce to musi być suche, bo wilgoć zabija pszczoły; musi być dobrze ogrodzone, żeby kury i bydło nie miały przystępu do niego; zasłonić je trzeba od północnych, zachodnich i wschodnich wiatrów; z jednej tylko południowej strony powinno być miejsce otwarte; a kiedy w lecie wielki upał doskwiera, natenczas osłonisz kosze swoje nakryciami ze słomy, które nie dopuszczą, żeby słońce miód w ulu rozgrzewało. Pszczoły nie mogą także stać blizko drogi, chlewów świńskich i stajen, bo smrodu świńskiego i potu końskiego znieść nie mogą i zajadle rzucają się na konie, a ule blisko chlewów świńskich postawione porzucają. Najlepsze zatem dla nich miejsce jest w ogródku, gdzie można tak zasadzić drzewa, żeby zarazem były dla pszczół zasłoną od wiatrów, i dostarczały im kwiatów.

Kto się lęka, żeby mu w zimie pszczół nie wykradziono, ten je przenosi do domu swego i stawia pod strychem na górze; ale w takim razie trzeba, żeby tam nie pukano i nie hałasowano, bo pszczoły przez zimę siedzą skupione w kłąb, pół uśpione, wtedy nie potrzebują jedzenia, ale jak się rozbudzą od stuku i hałasu, zaraz jeść zaczynają a potem zabraknie im miodu na wiosnę, nim jeszcze będą mogły zbierać z kwiatów i kończy się na tem, że z głodu wymrą. Trzeba także dać pilne baczenie, żeby myszy nie zakradły się do ulów, a pod strychem może się to łatwo zdarzyć. Najlepiej jest, kiedy pszczoły tam zimują, gdzie stały latem. Grube, dobrze oplecione koszki, obrzucone po wierzchu wapnem i gliną, ochronią od mrozów, a mianowicie, jeżeli rój jest wielki i dobrze zapełniony miodem i pszczołami.

Nie trzeba także stawiać ulów blisko wielkiej rzeki, jeziora lub stawu, bo pszczoły lecąc za robotą na drugi brzeg, topią się, zwłaszcza gdy powracają obciążone miodem i pyłkiem. Pszczoły potrzebują wody; mała struga lub sadzawka jest dla nich pożyteczna; a gdzie nie ma wody w pobliżu, tam trzeba stawiać płytkie korytko wodą nalane i potrząśnięte gałązkami cienkiemi, żeby na nich siadać mogły: ma się rozumieć, że tę wodę odmieniać trzeba. Przed ławką, na której stoją koszki

czyli ule, trzeba uprzątnąć zielsko na trzy łokcie w około, ziemię czysto udeptać i zrównać, a to dlatego, żeby zobaczyć czy pszczoły nie zabijają jedne drugich, czy nie mrą, czy już wybijają trądów i czyli im matka nie wyszła z ula, nie padła na ziemię i nie zamarła.

Dobre powodzenie zależy po największej części od miejsca. Jeżeli w pobliskości są drzewa owocowe: wiśnie, śliwki, jabłka i gruszki, maliny, porzeczki, które wcześniej kwitną i z nich pszczoły najpierwszy mają pożytek; jeżeli sieją obficie rzepaki zimowe, z których kwiatu pszczoły obficie miód i wosk zbierają, jeżeli są piękne i obszerne łąki, jeżeli w ogrodach i przy drogach zasadzone są lipy, których kwiat najpiękniejszego miodu dostarcza; jeżeli sieją koniczynę białą, rzepak letni, tatarkę, tam pszczołom pożywienia nie brak, tam liczne pasieki utrzymywać można. Nie dziw zatem, że u nas po zniszczeniu ogródków wiejskich, po wytępieniu lip, po wycięciu lasów, po zoraniu paśników na pole, po zaniechaniu siana, tatarki i rzepaku letniego, upadło pszczelnictwo; bo na czystych zoranych polach, na łanach żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, pszczoła nie wiele znajdzie pożytku.

Chcąc zatem pomnożyć u nas hodowanie pszczół i mieć z nich zyski, trzeba pomyśleć o zakładaniu ogrodów, nasadzaniu lip i sianiu takich zbóż, z których jest pożytek w gospodarstwie, a kwiat dostarczy pszczołom wosku i miodu Do takiej pracy powinna wziąść się cała osada wiejska, i właściciele większych folwarków: niech razem zapewnią pożywienie pszczołom, i razem ich hodują tyle ile okolica wyżywić może a wówczas będą mieli dochód, który im łożone starania wynagrodzi. Wtenczas będą mogli na wspólny koszt trzymać pasiecznika, nauczonego należycie, który zaprowadzi rozmaite ulepszenia i nowe sposoby urządzenia ulów. — Wyrachowano, że na włoce jednej w gruntach średnich, przy łąkach i gdzie jest trochę drzew, ogrodów i lasu, może wyżywić się w zwyczajnych latach, ani zbyt mokrych ani zbyt skwarnych, ośm do dziesięciu rojów. Policzmy więc sobie, ile nam korzyści przyniosłyby pszczoły, gdybyśmy je hodowali porządnie. Gdybyśmy dochód

z każdego roju tylko na 4 złr. obrachowali, to z włoki przybyłoby 32 złr., a z gospodarskiej półwłokowej osady 16 złr. rocznie. Każda zatem osada włościańska byłaby o pareset reńskich droższa.

A tymczasem, niech każdy włościanin stara się o to, żeby sobie hodował przynajmniej trzy lub cztery roje.

Po szczęśliwem przezimowaniu powinien na wiosnę oczyścić pszczoły i zobaczyć, w jakim są stanie: czy ich jest dosyć w ulu, czy przez zimę nie wyginęło ich dużo, czy się robaki i pleśń nie zakradła do ula. To wszystko uskutecznia następującym sposobem: Weźmie na głowę kapę z sitkiem włosianem i obwiąże ją pod szyją; na ręce włoży rękawice i opatrzy się przytem i pozapina, żeby mu pszczoły za sukmanę nie wlazły. — Weźmie potem koszkę, podniesie do góry, a na desce, na której stała, znajdzie mnóstwo nieczystości, co się nagromadziły przez zimę; te wszystkie obmiecie i wyrzuci. Podkurzy potem pszczoły dymem, najlepiej z torfu, a będą spokojniejsze i obejrzy plastry, czy w nich nie ma zgniłych zalążków. Jeżeli ma ul z dwoma przyprawionemi denkami, spodniem i wierzchniem, to po kolei jedno i drugie odejmie, pszczoły obejrzy, oczyści i znowu denka zasadzi i zalepi należycie. Takie oczyszczanie odbywa dwa razy: zaraz z wiosny i w parę tygodni potem, kiedy kwitną wiśnie i śliwki, to wystarczy: bo gdy już pszczoły zaczną chodzić na robotę, to powyrzucają z komórek resztę nieczystości, jakie były jeszcze w środku ula. Jeżeli przy takiem oglądaniu znajdziecie w plastrach miód stwardniały, ziarnisty, to go trzeba wybrać, a dolawszy do niego wody i roztopiwszy nad ogniem, można go dawać pszczołom na pokarm, jeżeli tego potrzebować będą.

Ponieważ w kraju naszym długo trwają przymrozki i słoty na wiosnę, bardzo jest ważną rzeczą utrzymać pszczoły w spokojności tak, żeby nie budziły się, nie wylatywały z ula i nie jadły zapaśnego miodu, który im został z przeszłego roku. Lecz gdy nastają dnie ciepłe, trudno utrzymać je w ulu i trzeba odsunąć im oko, żeby się przewietrzyły i przeczyściły. Przy wylataniu pszczół łatwo poznać, czy ul jest mocen czy słaby, czy matkę

ma czy też ją stracił przez zimę. Po tem poznasz rój dobry, że pszczoły gęsto siedzą przy oku; a jeżeliby ich tam w czas chłodny nie było widać, to trzeba w ul zapukać lekko i ucho do ula przyłożyć. Jeżeli zaszumią mocno jednostajnym głosem i szum wzmagać się będzie, a pszczoły do oczka gęsto wylezą, rój jest dobry. Przeciwnie zaś, jeżeli zaszumią nierówno, lecz jedne będą piszczeć, inne ćwierkotać — jest to znak, że matki nie mają. Zajrzawszy do środka, jeżeli zobaczysz, że pszczoły siedzą gęsto nad robotą, jest to także znak dobrego roju Kwas i smród zgnilizny buchający z ula jest bardzo złym znakiem. Jak już nastaną ciepłe dni, a drzewa i rośliny coraz bardziej kwitnąć będą, pszczoły jeżeli są zdrowe i silne z zimy, prędko zarobią miodem te plastry, które wyjadły w zimie i na początku wiosny. Matka znosi codzień po dwieście i więcej jaj. Trzeba więc zobaczyć, żeby pszczołom w koszce miejsca nie zabrakło. Poznanie to łatwe, gdyż będą wyłazić na powierzchnię ula i leżeć na nim nie latając na robotę, bo tej którą zebrały, nie mają gdzie składać. Wtenczas zabierają się do rojenia. Czas rojenia nie wszędzie jest jednaki: tam gdzie są drzewa leśne i ogrodowe, pszczoły roją się prędzej, bo nazbierają pyłku kwiatowego, który przerabiając z miodem robią z niego pokarm dla młodych pszczół wylęgłych z jaj i z początku robaczkami będących; gdzie zaś drzew takich nie ma, roją się później, aż w lipcu.

C. d. n.

RÓŻNOŚCI.

Przypomnienia gospodarskie na miesiąc sierpień W tym miesiącu trzeba siać rzepak zimowy, pszenicę i żyto, kończyć zbiór ozimin i żąć jarzyny, rwać len, suszyć, obijać ziemię, słać lub moczyć, zacząć kopanie buraków, w ogrodach zbierać nasiona, przygotowywać na zimę masło, ser, jaja, ogórki, grzyby i powidła. Miesiąc to radośny dla tych co szczęśliwie zwiozą dar boży do domu, a okropny dla tych, których zniszczyły grady i ulewy, ztąd przysłowie:

Z sierpem w ręku witać sierpień
Wiele uciech! wiele cierpień.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 5.

11. sierpnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziwne zrządzenie Opatrzności

czyli:

Powiastka prawdziwa o zginionym chłopczyku wiejskim.

II.

Dokończenie.

Dopiero z nadejściem wieczora zatęsknił Antoś za matką, prosząc, by go do niej odprowadzono, gdy tymczasem kilka mil drogi od miejsca swego urodzenia się oddalił.

Wszyscy się nie mało tem zdziwili, zkąd obce i niewiedzieć czyje dziecię na galarze się znalazło? Najbardziej obeszło to sternika, jako właściciela galaru, który obawiając się, by jemu to dziecię ciężarem się nie stało, gniewnie krzyczał na malca, wziąwszy go rubasznie za ramię:

— Zkąd jesteś chłopcze, czyj jesteś i jak się zowiesz?

Przelękniony surowem zapytaniem sternika, odrzekł z płaczem chłopczyna, że mu na imię Antoś, że mama jego zowie się Dorotą, jak ją we wsi nazywają, — że ojca już nie ma, a więcej niczego od pięcioletniego dziecięcia wywiedzieć się nie zdołano, bowiem Antoś ani nazwiska zmarłego ojca, ani swej rodzinnej wioski nie wiedział.

Właśnie płynął galar obok jakiejś na brzegu Wisły leżącej wioski, zatrzymał się sternik, by chłopca oddać do wójta, aby go matce, gdy się o miejscu mieszkania jej dowie, napowrót dostawił; gdy oto usłyszeli z dala strzały armatnie; zadrzeli wszyscy z przestrachu, bowiem był to odgłos toczącej się niedaleko bitwy, oraz i obawiać się należało, że nieprzyjaciel ku Wiśle posunąć się może. Przerażony kupiec pan S. o swoją rodzinę i znaczną część na galarze znajdującego się majątku, chcąc jak najspieszniej odpłynąć z tak niebezpiecznego miejsca, a do tego tknięty do żywego tą sceną sternika z Antosiem, i pobudzony prośbami swej córeczki Helenki, która płacząc rzewnie za Antosiem prosiła, by mu nic złego nie robiono; stanął przed sternikiem i rzekł:

— Widzę w tym wypadku dziwne zrządzenie Opatrzności, bo właściwie moja córeczka swoją namową, jak rzecz tę zbadałem, owego obcego chłopczyka na galar sprowadziła; biorę go więc w swoję opiekę, a jeżeli własnej matce nie będę go mógł zwrócić, uznam go za swego syna; a teraz panie sterniku zgoda, i czem najspieszniej opuśćmy to miejsce, które nam wszystkim niebezpieczeństwem zagraża; że zaś dzisiejszej nocy księżyc w całej pełni przyświeca, żądam aby podróż nasza nieprzerwanie się odbywała, abyśmy najprędzej do stolicy zdążyli.

Za kilkanaście godzin istotnie bez żadnego wypadku stanęli nasi podróżni w Warszawie, gdzie kupiec pan S. piękny i duży posiadał dom i znaczny prowadził handel. Wywiadywał się dość długo o matkę Antosia, lecz w końcu, gdy zabiegi były daremne, kontenci byli oboje państwo S., że chłopiec przy nich został.

Nie długo tęsknił mały Antoś za matką swoją, bowiem przywiązanie Helenki, które do niego jakby do brata powzięła,

przytem pieszczoty obojga państwa S., któremi go, jakby właśni rodzice obsypywali, wynagradzały biednemu sierocie utratę matki; to też jakby przeczuciem wiedziony, przylgnął całem sercem dziecinnem do nowych swoich rodziców i do przybranej swej siostrzyczki. Po dwu latach, gdy Antoś i Helenka okazywali już chęć do pobierania początkowych nauk, postarali się państwo S. o zdolnych w owym czasie nauczycieli, którzy nieprzerwanie pod pilnym dozorem matki, młode to rodzeństwo nie tylko w rozwoju ich rozumu, lecz także w uszlachetnianiu ich serc ku miłości Boga i bliźniego a kształcili.

Gdy Antoś wyrósł na dorodnego młodziana, z pociechą serca spostrzegł przybrany jego ojciec pan S., że wszelkie dobrego syna posiadał przymioty, a nadto okazywał chęci i zdolności do zawodu kupieckiego; to też wtajemniczał go po trochu w interesa handlowe, w końcu, chcąc sam po długoletniej wypocząć pracy, oddał w zarząd kochanemu Antosiowi cały swój majątek, a powodując się obojga dzieci wzajemną ku sobie miłością, zezwolili oboje państwo S. na połączenie się Antosia ślubem małżeńskim z ukochaną ich córką Helenką. Nie mogli państwo S. lepszego na tej ziemi wyszukać sobie zięcia a dla swej córki czulszego męża, jakiego w osobie Antosia znaleźli; starał on się usilnie, aby swym przybranym rodzicom, obok wdzięczności za tak staranne wychowanie i położone w nim zaufanie, wywięzywać się ciągłą i najtroskliwszą ku nim i żonie swej miłością, jaką tylko najlepszy syn dla swych rodziców w wdzięcznem sercu wypielęgnować może. — To też podeszli w lata państwo S. oddawszy cały swój majątek na rzecz dzieci, zamieszkali przy nich, patrząc na zupełne ich szczęście.

III.

Od wydarzeń, któremi niniejszą powieść zaczęliśmy, upłynęło lat przeszło 20. W skutek czteroletniego sejmu w Warszawie i ogłoszonych dnia 3. Maja 1791 roku nowych praw zbawiennych dla całego narodu polskiego, wkroczyły wojska

moskiewskie i pruskie do Polski, aby obalić te świeżo ogłoszone prawa, rozpoczęły się znowu kroki nieprzyjacielskie, a skończyły się zniszczeniem kraju i ostatnim rozbiorem Polski w roku 1795 dokonanym.

Nie mogli dłużej przeżyć niedoli swej ojczyzny państwo S., przenieśli się do lepszego życia, błogosławiąc swe dziatki przy zgonie.

Na życzenie swej żony porzucił pan Antoni S. handel i zakupił wojną zniszczone dobra ziemskie nad ujściem rzeki Bugu do Wisły.

Musimy wrócić z opowiadaniem do nieszczęśliwej Doroty, która po stracie swego synka Antosia nie mogąc znaleźć spokoju w swym własnym domku, do swego brata na mieszkanie się przeniosła. Nie długiego i tam używała spokoju, bowiem wypadki wojenne przy pierwszym rozbiorze Polski zniszczyły wieś zupełnie, zniewoliły jej brata, po spaleniu się całego mienia, do porzucenia swej ojczystej zagrody i szukania u obcych przytułku i chleba dla swej rodziny. Miała Dorota siostrę cioteczną, wydaną za włościanina nad granicą Galicyi mieszkającego, do niej się więc na niejaki czas udała i tam lat kilkanaście przebyła; dopiero na dwa lata przed drugą wojną wróciła na pisemne wezwanie do brata, któremu właśnie żona umarła.

Zaraz po swoim powrocie do domu braterskiego zajęła się odszukaniem owego buczka, w którym przed laty niemal dwudziestu obraz Boga Rodzicy umieściła. Lecz jakaż zmiana po tylu latach! nawet miejsca, na którem jej domek niegdyś stał, rozpoznać nie mogła, tem mniej owego buczka — las rozrósł się niepospolicie, gdzie dawniej cienkie rosły drzewka i nizkie stały krzewy, teraz cienisty las szumiał, kołysany wiatrem.

Nadaremno każde drzewo troskliwie oglądała — a nieznalazłszy i tej pociechy aby się mogła pomodlić przed wizerunkiem swej Świętej Opiekunki, zaprzestała dalszego poszukiwania.

Tymczasem syn jej pan Antoni S. mieszkał nie daleko z swą żoną i maleńką córeczką w wspaniałym dworze do którego i wioska jego rodzinna należała. Gdy spokój w kraju zupełnie zaprowadzonym został, oglądał ludzki pan Antoni dobra swoje świeżo nabyte, a spostrzegłszy z bolem serca, że niszcząca wojna wiele śladów swej srogości i tutaj zostawiła, postanowił to naprawić i poddanych swoich ojcowską opieką do dobrego bytu przyprowadzić Najprzód rozdał dużo zboża między cierpiących nędzę, a pieniądze na inne potrzeby gospodarskie; tym zaś którym domy podczas wojny zgorzały, przeznaczył pewien dzień do przybycia z furami do lasu po drzewo na budulec i na opał zimowy; a nawet przyrzekł że sam osobiście przy rozdzielaniu będzie obecnym, aby nikomu krzywdy lub niesprawiedliwości słudzy jego, których jeszcze z uczciwości nie znał, nie zrobili.

W oznaczonym tedy dniu zjechało się dużo gospodarzy i z tej wioski, gdzie wdowa Dorota przy bracie mieszkała, do lasu po drzewo.

Ponieważ brat Doroty był właśnie ciężką złożony chorobą więc jego siostra Dorota już dobrze w lata podeszła zastępując jego miejsce, z furami do lasu przybyła. Z porządku rzeczy tak jakoś wypadło, że przy podziale drzew opałowych jeden pięknie rosnący buk do ścięcia dla brata Doroty przeznaczonym został. Pan Antoni S. uprzejmy dla wszystkich, mile rozmawiał z wdową Dorotą, nie przeczuwając, że to jego rodzona matka; i byliby się może na zawsze rozstali, nie poznawszy się nigdy, gdyby Bóg Wszechmocny nie nadarzył był wypadku, który tej rzeczy inny nadał obrót.

Do wyznaczonego buka zaraz parobcy przystawili siekiery, a w kilka chwil z łoskotem zwalił się na ziemię.

W tem parobcy i obecni ludzie naraz wykrzyknęli: Cud! cud!

I oto z małego otworu, zarośniętego zupełnie korą ściętego buka, wypadł piękny obraz Boga Rodzicy w okrągłych złoconych rameczkach. Wszyscy z pobożnem podziwieniem na to niepojęte spoglądali zjawisko, tymczasem co raz więcej z lasu zbiegało się ludzi; nadszedł i młody dziedzic, pod któ-

rego dozorem niedaleko leśniczy dalej drzewo wyznaczał, dowiedzieć się o przyczynie tego zbiegowiska i hałasu. Podniósł ów obraz, którego nikt z obecnych dotknąć się jeszcze nie poważył, zupełnie nieuszkodzony, a że przy obaleniu się drzewa ramki obrazu się rozeszły, wyczytał na odwrotnej stronie jego następujące pismo: „W roku 1771 dnia 30. Września po raz ostatni widziałam mego synka Antosia, ułożywszy go do snu pod cienistym buczkiem, opodal od domu rosnącym w czasie południowego upału; nie zastałam go już pod drzewem, zginął bez wieści mój chłopczyna, mający wtedy lat 5 i trzy miesiące, gdy się udał na zbieranie bukwi do bliskiego lasku. Jeżeli żyje, Boże mój, miej go w swej świętej opiece, a jak niegdyś swą ukochaną Matkę pod krzyżem pocieszałeś, — pociesz i mnie strapioną grzeszną matkę, Dorotę wdowę po rybaku Wosiu.“

Podczas tego czytania mogłeś na twarzy nowego dziedzica tych włości i lasów dostrzedz śmiertelną bladość na twarzy i drżenie na całem ciele, wszyscy zdziwieni wyczekiwali w milczeniu rozwiązania tej sceny. Młody pan Antoni przebiegłszy myślą całą swą przeszłość doszedł od razu tajemnicy swej własnej historyi, wspomniawszy z bolem serca o ukochanej swej matce Dorocie, o której sądził, że dawno w grobie już spoczywa; jak gdyby przebudzony po śnie głębokim wszystkie a nawet i najdrobniejsze szczegóły dzieciństwa swego przywiódł sobie w pamięci, — i już miał się nie mówiąc o niczem nikomu, z powrotem do domu, biorąc ów obraz ku wiecznej dla siebie pamiątce jako jedyną pozostałość po drogiej swej matce, — gdy oto kobieta wiekiem schylona, lecz schludnie odziana, dosłyszawszy o odkryciu obrazu w lesie, pędzona jakby siłą młodości bez tchu w piersiach przybiega i woła omdlałym głosem do zebranej gromadki, między którą i młody dziedzic z obrazkiem w ręku się znajdował:

— O wróćcie mi mój obraz, mój skarb najdroższy, jedyną moję pamiątkę, która mi się po stracie mego dziecięcia została. Zobaczywszy ów obraz w ręku dziedzica, schyla mu się do nóg i ze łzami gorzkiemi w oczach prosi:

— Panie! miej litość nad nieszczęśliwą a nie pozbawiaj tej ostatniej pociechy strapioną matkę, zwróć mi ów obraz, który, jak napis tam poświadczy, do mnie należy; dostałam go po stracie mego dziecięcia od czcigodnego tej parafii kapłana, dawno już w Bogu spoczywającego, który na prośby moje wypadek ten na odwrotnej stronie tego obrazu napisał; a jam go w tym buczku naówczas jeszcze nie wielkim, gdzie Antoś mój po raz ostatni spoczywał, w otworze siekierą zrobionym umieściła — i znaleźć go nie mogłam po wielu latach mojej tu niebytności.

Z uczuciem synowskiem podniósł młody dziedzic Dorotę do nóg jego schyloną, nie wątpiąc, że ta kobieta jego jest matką; lecz nie chciał dać się od razu poznać, aby jej przy owem wzruszeniu niespodziewana radość nie szkodziła — pocieszał ją tylko że może jeszcze odszukać swego syna, że go nawet zna i wie gdzie się znajduje.

— O powiedz drogi panie, rzekła wdowa, gdzie mój Antoś przebywa, a pobiegnę lotem ptaka, choćby na krańce świata, zobaczyć moje kochane dziecię, zanim dokończę tej ciernistej życia mego pielgrzymki.

— Uspokójcie się droga matko, rzekł dziedzic, oto twój syn zdrowy, szczęśliwy i bogaty stoi przed tobą!

To wymówiwszy rozczulony rzuca się pan Antoni do nóg swej matce a całując jej stopy i ręce z uniesieniem zawołał:

— O matko moja! przyjmij do serca twego znalezionego syna, błogosław mi i zapomnij o przebytych cierpieniach, które dla mnie przeniosłaś — bowiem tylko niezbadana w wyrokach swoich opatrzność zezwoliła na odszukanie się serc dwojga: matki i syna. Padł powtórnie na kolana a obok niego uszczęśliwiona matka wraz z zdumiałą gromadką zebranego ludu składając dziękczynne modły do pana zastępów za cudowne się odszukanie.

Przybyła też niebawem i młoda żona dziedzica, z rozczuleniem uścisnęła matkę swego ukochanego męża, świeżo odszukaną i zabrała ją w pięknym powozie do dworu.

Odtąd poczęły się dla wdowy Doroty dnie prawdziwego szczęścia, — pokochała całem sercem nie tylko syna lecz także i swoją synowę, a pieszcząc małe wnuczęta, nie przestawała Bogu składać dzięki, że choć przy końcu życia, prawdziwego dał jej zakosztować szczęścia. Pan Antoni zaś nie szczędząc kosztów, wymurował na owem miejscu gdzie drzewo z ukrytym obrazem Boga rodzicy stało, piękną kaplicę a w jej ołtarzu umieścił ten obraz.

Cóż więcej powiemy? Powieść nasza jakby już skończona. — O młodym dziedzicu, panu Antonim dla czci i pochwały jego to dodajemy, że jedynie dobrocią serca powodowany, zajął się uszczęśliwieniem ludu, że szlachetne usposobienie jego do dobrych czynów nie opuszczało go w całem jego życiu: karmił zgłodniałych, ratował nieszczęściem podupadłych, pocieszał smutnych, ocierał łzy cierpiącym, bronił niewinnie prześladowanych — słowem on i jego cnotliwa małżonka byli opiekuńczymi aniołami na ziemi, i zasłużyli sobie u wdzięcznych swoich poddanych na zaszczytne imię ojców i opiekunów ludu. Pokój ich duszom!

Napisał Władysław Skarbowski,
naucz. w Brzyskach pod Liwoczem.

Bartosz zachęca do ukochania swego stanu.

Ceńcie drogo tę sukmanę,
Co macie na grzbiecie,
I to ziarno ukochane,
Co w ziemię siejecie.

Wróbel w pawia się nie stroi,
Kocha suknię szarą,
Chłopku! pilnuj pracy swojej,
Kochaj rolę starą.

Pług to miłe wam narzędzie,
Oj nie ma lepszego,
Póki ten świat światem będzie,
Trudno żyć bez niego.

Więc kochajcie stan wasz kmiecie!
To wam Bartosz śpiewa;
A szczęśliwi tu będziecie,
Wyżywi was niwa

Wszystko, wszystko zawieść może
Nie zawiedzie niwa,
Ona wam da złote zboże,
To wam Bartosz śpiewa

Hej słuchajcie wy Bartosza,
On wam prawdę prawi,
Tu szukajcie w pracy grosza,
Gdzie Bóg błogosławi.

Jak za zyskiem się puścicie
Po rozległym świecie,
Marnie pójdzie całe życie,
Niczem nie będziecie.

Dziś jesteście mocny Boże,
Pożytecznym ludem,
Wy niesiecie światu zboże,
Nie zrażcie się trudem.

Uszanują tę sukmanę,
I panowie sami,
I ja bracia tu zostanę,
Na tej roli z wami.

S. J.

Księżyc i tydzień.

Dlaczego tydzień składa się z siedmiu dni?

Siedmiodniowy tydzień był u Izraelitów prawami nadanemi postanowiony, a Chrześcianie przyjęli ten podział czasu, i równie z niemi święcili siódmy dzień tygodnia, jako dzień świąteczny. To wyjaśnienie jak się zdaje, byłoby dostateczne. Jednakże Grecy i Rzymianie także mieli tydzień z siedmiu dni złożony, choć prawa Mojżesza daleko wcześniejsze, równie jak i późniejsze Chrześcijaństwo zupełnie były im nieznane; innego więc należy nam jeszcze poszukać powodu, do podobnego podziału czasu; nie jeden wszakże łatwo się domyśli, że tydzień odpowiedni jest prawie odmianom księżyca. Od jednej pełni do drugiej upływa 27 dni i kilka godzin, a więc blizko 28 dni. W tym przeciągu czasu dają się na tarczy cztery postrzegać zjawiska: nów, pierwsza kwadra, pełnia i ostatnia kwadra; każda taka przemiana trwa 7 dni prawie: to było zapewne powodem do liczenia siedmiodniowych tygodni. Chińczykowie tylko dzielą czas na pięciodniowe tygodnie.

Zwyczaj wtrącania dnia świątecznego w każdym tygodniu, czyli ustanowienie po sześciu dniach roboczych jednego z nich na wypoczynek, wszędzie się prawie upowszechnił, i pomimo rozlicznych religijnych wyznań, ma także szczególne swoje w samej naturze ludzkiej uzasadnienie. Codzienna bowiem

przemiana pracy i spoczynku, w przydłuższym zwłaszcza przeciągu czasu, nie byłaby dostateczna do utrzymania rzeźwości i świeżości umysłu człowieka wystawionego na ciągłe bezprzerwy unużenie. Jakkolwiek bardzo pilni i zamiłowani ludzie w pracy, przez dłuższy czas codziennie tą samą chętnie zajmują się robotą; to przecież ostatecznie ogarnia ich zniechęcenie, a nawet i osłabienie z jednostajności zatrudnienia pochodzące. Uciska ich jakieś nieodgadnione uczucie, jako skutek przeciągłej a jednakowej zawsze roboty, tak n. p. nieustanne obracanie koła, sprawia zawrót głowy; czerpanie sitem wody, wydaje się karą piekielną. Kto jednak wiecznie w niczem niezmiennej a nużącej nie zaniecha pracy, tego nakoniec samo osłabienie, a nawet i choroba do koniecznego znagli wypoczynku, którego sobie dobrowolnie odmawiał.

Każdy przeto powinienby to przyjąć za zasadę, żeby choć krótkiego wytchnienia, jako dnia świątecznego nie odmawiał sobie, jeżeli to do pokrzepienia sił ciała i orzeźwienia jego umysłu koniecznie jest potrzebne.

W towarzyskiem jednak życiu, wspólny dla wszystkich dzień wypoczynku, czyli dzień świąteczny, jest potrzebny ze względu na zachowanie pewnego porządku w wykonywaniu spraw naszych; gdyby wyrobnik dzisiaj miał ochotę świętować, a jutro jego dozorca, w ten dzień kupiec, a w ów kupujący, dzisiaj dzieci a jutro rodzice, wtedy wszelkie zajęcia, prace, zatrudnienia byłyby zatamowane. Siódmy dzień na wypoczynek przeznaczony, a wszystkich obowiązujący, pod każdym względem za najwłaściwszy uważać należy. Krótszy niż z siedmiu dni tydzień, zdaje się być nie potrzebny, bo za wiele czasu ujmowałby zwyczajnej pracy, a dłuższy stałby się nadwerężenia sił powodem.

Francuzi w czasie wielkiej w końcu przeszłego wieku w swym kraju rewolucyi, we wszystkiem zmiany zaprowadzając, i miesiąc też nie na 4 ale na 3 tygodnie dziesięciodniowe podzielili. Nowy ten rozdział czasu w obawę wprawiał inne narody, wyrachowano bowiem, że Francuzi przy nowych swoich tygodniach, 30 dni tylko w roku mieli na spoczynek

przeznaczonych, czyli dni świątecznych, i tym sposobem 16 dni roboczych zyskiwali, gdy przeciwnie wszędzie gdzieindziej 52 dni niedzielnych w roku w powszechnem były używaniu. Gdyby więc 10 milionów robotników we Francyi przez 16 dni dłużej pracowało, wtedyby swoje wyroby w niższej mogli dawać cenie, a tem samem naraziliby na straty zagranicznych przedsiębiorców. Ale wkrótce okazało się, że przedłużone o trzy dni tygodnie, wycieńczały siły pracujących; ztąd powstała niechęć i coraz bardziej powiększające się niezadowolenie między służącemi i wyrobnikami; chętnie więc Francuzi do dawnego o siedmiu dniach tygodnia wrócili.

Od wielu wieków w Europie, siódmy dzień tygodnia jest dniem wypoczynku, pomimo różnych dni w tygodniu według wyznania wiary za świąteczny obranych, jakiemi są: u Chrześcian Niedziela, u Żydów Sobota, a Piątek u Turków; tak więc tydzień uzyskał wyższe znaczenie, a dzień odpoczynku stał się dniem świątecznym. Z jego nadejściem spada ciężar z bark wyrobnika, pot z utrudzenia osycha, wszyscy weselą się swobodnie, każdy w swoim sposobie bierze czynny udział w wytchnieniu i wszelkich przyjemnościach; błogi pokój zdaje się z niebios zstępować na ziemię, i całe przyrodzenie uświęca niejako ten dzień błogosławiony.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Pszczelnictwo.

Ciąg dalszy.

Pszczoła nie wychodzi ze zniesionego jajka wprost pszczołą, jak z jaja kury wylęga się kurczę: pszczoła z jajka wychodzi robakiem w niczem do niej nic podobnym. Ten robak potrzebuje osobnego pokarmu, w który go pszczoły zaopatrują, zagniatając pyłek kwiatów miodem, czyli robią ową rdzę, do rozgniecionego chleba razowego podobną. Takiego pokarmu

wiele robak zjada i prędko rośnie, a gdy zupełnie dorośnie, skurcza się w swojej komórce, zasklepia i odtąd już nie potrzebuje pokarmu; dopiero z tego zasklepienia wychodzi po pewnym czasie skrzydlata pszczoła, takaż jak inne.

Gdy już dużo tym sposobem pszczół młodych namnoży się w ulu, i z niemi wylęgną się jedna lub dwie młode matki, wtenczas część pszczół z matką wylatuje i szuka dla siebie nowego pomieszkania. Najnowsze doświadczenia nauczyły, że stara przeszłoroczna matka ustępuje miejsca młodej, zostawia ją w ulu a sama ze starszemi pszczołami wylata. Taki pierwszy rój bywa najmocniejszym.

Młoda matka zostawszy w dawnym ulu, znosi jaja, z nich wylęgają się najprzód robaki, które w ciągu dni pietnastu dorastają, a potem i pszczoły, które jeżeli piękna pora sprzyja noszeniu miodu i wosku tworzą rój drugi a czasem i trzeci, lecz ten zwykle bywa słaby i późny i pasiecznicy takim rojom odbierają matkę i łączą je z dawnemi rojami.

W najpomyślniejszym razie, nie można więcej rojów liczyć jak dwa z jednego ula, a częstokroć jeden tylko, kto więc przechowa przez zimę dwa mocne roje, może mieć na wiosnę drugie dwa, a razem cztery.

Chwytanie i osadzanie wylatujących rojów nie jest rzeczą trudną i potrzebuje tylko uwagi i pilności. W pobliskości pszczół nie trzeba mieć wysokich drzew, bo na nich czepiają się a trudno ich ztamtąd wydostać. Gdzie zaś są takie drzewa wysokie i należą do kogo innego, to najlepiej będzie zawiesić na nich koszki słomiane, wytarte melissą: (jest to roślina, której zapach pszczoły bardzo lubią i do niej ciągną) a młody rój sam wleci do przygotowanego mieszkania. Jeżeli nie ma w pobliskości drzewek, to można wbić w ziemię pal na pięć łokci wysoki, zaczepić do niego gałązkę świeżej leszczyny albo lipiny, to rój ulatujący uczepi się na niej, a wtedy go schwytacie i w koszkę osadzicie. Że młody rój osadzony został wraz z matką, po tem poznać można, że się skupia w jeden kląb, że brzęczy rażno, że zaraz pszczoły biorą się do roboty; zalepiają szparki wewnątrz między obrączkami i słomą,

i noszą robotę na wosk i miód. Jeżeli matka w przelocie zginęła, pszczoły błąkają się, chcąc powrócić do dawnego ula i marnieją. Jeżeli to jest rój mocny i liczny, trzeba mu zawiesić wyjęty z innego ula plaster z zalążkami, w którym jest komórka z zalążkiem na matkę, to one zaraz zakrzątną się około wychowania tej matki i w dni kilkanaście mieć ją będą, a czując że im się wkrótce wylęże, pracować będą tak, jak gdyby ją miały.

Najlepsze roje zdarzają się przed Św. Janem, ale na to trzeba ciepłej i wczesnej wiosny i mocnego i dobrze przezimowanego roju. Roje do połowy Lipca wychodzące, nie są jeszcze późne i kiedy posłuży pszczołom lato dobre, niezbyt suche ani dżdżyste, uzbierają potrzebną ilość zapasu na zimę. Roje późniejsze, zazwyczaj są słabe i zimy nie wytrzymają.

Kiedy pszczoły wydawszy dwa roje, chcą roić się raz trzeci, osłabia się przez to rój dawny, a młody na mało się przyda; trzeba zatem, zebrawszy ten rój trzeci, wyszukać w nim matki, zabrać ją pszczołom, a one powrócą do dawnego ula. Najlepiej to można uskutecznić, zebrawszy pszczoły do koszyka zakrytego płachtą i zlawszy je wodą; wtenczas wyszukasz matkę i zachowasz ją osobno. Pszczoły postawione przy macierzystym ulu, ogrzane promieniami słońca, prędko latać zaczną a postrzegłszy że matki nie mają, powrócą na dawne miejsce.

Matkę zachować można w klateczce z umysłu zrobionej i żywić ją miodem; a jeżeli który młody ul stracił swoją matkę, dać ją tym osierociałym pszczołom.

Częstokroć pszczoły nie rojąc się występują na powierzchnię ula: jest to dowodem, że wszystkie plastry zapełnione są nie miodem ale zalążkami, wtenczas trzeba im dać nadstawki, które mogą być albo drewniane, albo słomiane. W słomianych koszkach lepsze będą nadstawki słomiane, tej samej objętości zupełnie co koszka, tylko o czwartą część niższe Nagłówek wyjmuje się z koszki, nadstawek przymocuje się niciami do ostatniego pierścienia, potem się zalepi należycie, a zagłówek zasadza się w górze u nadstawka. Z boku zro-

bione jest okno do wylotu pszczół. Zasłonić trzeba dawne okno, a pszczoły znalazłszy miejsce próżne, zarobią je plastrami miodu.

Na zimę możesz odjąć ten nadstawek, jeżeli jest dosyć miodu w roju; albo go zostawisz, jeżeli go jest mało.

Najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem pszczół są pszczoły rozbójnicze. Każdy rój stać się może rozbójniczym, jeżeli właściciel pszczół nie będzie na to zwracał baczenia.

Pszczoły z natury swojej niezmiernie są chciwe miodu, szukają go i zbierają zkąd tylko mogą. Na wiosnę zatem, kiedy jeszcze kwiaty nie rozrosną się, w ciepłe dni, pszczoły wylecą z ula, napadają na inne ule w których miód poczują i zaczynają je rabować. Toż samo czynią na jesień, kiedy już kwiaty opadną i nie mają co nosić z pola. Jeżeli rój jest mocny i dobrze opatrzony, wtenczas obroni się napastnikom, małe zaś roje, późno wylężone, zostają zrabowane. Pszczoły bronią się tym napastnikom i w tej bitwie wiele ich ginie. Poznać można łatwo tę napaść po tem, że z początku kilkanaście pszczół lata koło ula, szuka szpar któremiby sie wcisnąć mogły, a gdy im się uda ukraść miodu, zaraz więcej pszczół naprowadzą. Powstaje około ula szum coraz większy; pszczoły wychodzą na wierzch ula całą masą, chwytają i gryzą rabusiów, a tymczasem ci wpadają wewnątrz ula, zjadają miód i prędko wylatują. Jeżli rabusie wezmą górę i zabiją matkę, wtedy napadnięte pszczoły tracą odwagę, same łączą się z napastnikami, i przejdą wszystkie do roju rabującego. Jeżeli pasiecznik temu nie zaradzi, to zniszczywszy jeden ul, rozbójnicze pszczoły uderzą na drugi, cała pasieka cudza zlata się i w ciągu jednej lub dwóch godzin, wszystkie ule zostaną zrabowane i zniszczone.

Ul rozbójniczy poznasz, że chociaż nie ma w polu z czego zbierać miodu, pszczoły z takiego ula wylatują od rana do wieczora, jak gdyby najwięcej było kwiatów.

Przeciw rozbójniczym pszczołom można uchronić się, przestrzegając, żeby żadna kapka miodu nie pozostała przy ulu, co się zwykle trafia przy podbieraniu, a co ściąga cudze

pszczoły i zachęca je do rabunku; żeby w ulach nie było szpar, i żeby oczko do wylotu nie było wielkie. Jeżeli postrzeże właściciel że cudze pszczoły kręcą się koło ula, niech natychmiast ściśnie oczko na mały palec i potrze w koło niego czosnkiem, cebulą, piołunem, dzikim rumiankiem, żeby zamiast zapachu miodowego, rabusie poczuły odrazę, to zazwyczaj pokręciwszy się, odlecą. A jeżeli mimo tego ciągle zalatują do oczka, a miejscowe pszczoły nie bronią im wnijścia, to trzeba złapać kilku rabusiów, wydrzeć z nich pęcherzyk z żądłem i jadem i tem oczko natrzeć. Mówią że to odstręczy rabusiów a miejscowym pszczołom doda ochoty do obrony. Wszakże jeżeli i to nie pomoże a rabusie coraz bardziej nacierają, jest to znak że rój stracił matkę, stał się słaby albo już znacznie zrabowany. Wtedy trzeba sitkiem zasunąć oczko, a wieczorem ul obejrzeć i jeżeli go poratować nie można, zabierz resztę miodu, a pszczoły wybij.

Tym sposobem zapobieżysz, że rabusie nie rzucą się na ul drugi. Są jeszcze rozmaite inne zaradcze środki, ale te można pominąć w krótkiej nauce o obchodzeniu się nie z liczną pasieką ale z kilkoma ulami.

Jeden gatunek ćmy, czyli omaciny, jest także bardzo szkodliwym nieprzyjacielem pszczół. Zakrada się ona do ulów i w nich składa jaja, a z nich wylęgają się robaki, które zapaskudzają próżne plastry, same oprzędują się w nich tak, że im pszczoły rady dać nie mogą, i nareszcie swoją pajęczyną koszkę zapełnią, że pszczoły z niej ustąpić muszą, i albo naraz odlecą, albo też powoli marnieją. Przeciw nim to jedyne jest lekarstwo, żeby na wiosnę oczyszczając ul, te robaki wytępić. Jeżeli jaja są wylężone, wyglądają czerwonawo; podkurzając plastry dymem, można je wypędzić z komórek. Jeżeli zaś założyły sobie gniazdo w plastrach, trzeba te plastry powyrzynać. Lecz w ogólności im jest rój młodszy i silniejszy, tem łatwiej sam obróci się przed tem robactwem.

Do nieprzyjaciół pszczół należą jeszcze myszy, osy, mrówki i ptaki. Trzeba więc na te wszystkie dać baczenie i bronić im przystępu do ula. Duże mrówki ciemno-czerwonawe, wy-

noszą z ula nie tylko miód, ale i młode zalążki; trzeba zatem mrowiska powyniszczać na kilkaset kroków w około tego miejsca, gdzie stoją ule. Wróble, żołny i sikory chwytają i pożerają pszczół nie mało.

Dok. nast.

RÓŻNOŚCI.

Żmudzini. W całej Polsce nie ma tak uprzejmego, tak gościnego i tak pobożnego ludu jak na Żmudzi. Wieśniak jadący drogą przed każdym zatrzymuje się krzyżem, zdejmuje czapkę i przynajmniej *Ojcze nasz* zmówi, każdego też, kogo tylko na drodze spotka, pozdrawia słowami: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.* Kto zaś powie *dobry dzień*, *dobry wieczór*, lub podobnie, miany bywa za poganina i grubo złajany. Kędy tylko pojedziesz na Żmudzi, wszędy napotkasz lud dobry i ochoczy, każdy ci się nastręczy za przewodnika, każdy ci ofiaruje w swoim domu gościnność, każdy się z tobą czem ma podzieli, nie żądając za to żadnej nagrody, — jeżeli mu jaką dać zechcesz, nie przyjmie.

Piękny przykład. Sebastyan Kubinek, wieśniak czeski który więcej niż sto tysięcy książek między ludem rozszerzył. W kraju czeskim i morawskim szeroko zasłynął teraz Sebastyan Kubinek, ubogi jeden włościanin, umiejący zaledwie czytać i pisać. Zasmakowawszy w czytaniu pożytecznych książek a widząc że lud czeski i morawski nie bardzo garnie się do czytania, sprzedał całe swoje gospodarstwo i ofiarował się Towarzystwu, które ma na celu rozpowszechnianie dobrych a tanich książek, że będzie takowe roznosił i sprzedawał. Bóg pobłogosławił jego zamiarom Z laską w ręku i skrzynką z książkami na plecach przeszedł wzdłuż i wszerz całe Czechy i Morawię, nie mijając żadnej chatki, żadnego dworku. Do każdych drzwi, do każdego serca puka i zacząwszy od modlitwy przechodzi do nauki i zachęty a potem do targu. Powiadają o nim że już przeszło sto tysięcy książek między ludem rozprzedał, toż czczą go i szanują wszędzie jakby to był anioł umyślnie z nieba zesłany na szerzenie światła po świecie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. **Nr. 6.**

21. sierpnia **1868.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Grzegorz Durak.

Ludziom na chwałę i pożytek

opowiedział

Bartek Szkolarz.

Każdy gospodarz ładnej i ludnej wsi Sośniny przyznawał, że nie ma tyle krajcarów, co Grzegorz Durak cwancygierów srebrnych, tyle kur, co ten ich sąsiad ładnych krówek i jałówek. Prócz tego dobytku było w chacie Grzegorza i szczęście, bo ładna i młoda żona dzielnie pomagała mężowi w trudach gospodarskich a zdrowe i piękne dzieci dorastały już do pracy. Przy takim dostatku chyba człowiek z nieczystem sumieniem nie mógłby być szczęśliwym. Grzegorz był uczciwym i pracowitym gospodarzem a przecież nie widać było by się czuł tak szczęśliwym, jak się to po jego bogactwie spodziewać należało. Nie rzadko spotkałeś na jego czole chmurkę niezadowolenia i troski, a czasem był nawet tak

mocno zasępiony, jakby mu życie niemiłem było. Musiał więc i Grzegorz mieć jakąś zgryzotę, o którą tak łatwo w życiu ludzkiem i ztąd pewnie powód tego częstego smutku.

Podsłuchajmy Grzegorza w jego poufnej rozmowie z żoną, a może uda nam się pochwycić powód tego smutku, boć przed każdą osobą bliską, kochaną człek zwykł spowiadać się z swych trosk i smutków tak, jak przed Bogiem z grzechów i uchybień.

— Mów, co chcesz moja Kasiu, ale tu jest czem smucić się — rzekł Grzegorz do swojej żony i przychylił mocno ku ziemi stroskaną głowę.

— At — nie obrażałbyś Boga, odrzekła poczciwa Katarzyna. Żadnego uczciwego człowieka nie krzywdzi nigdy nazwisko, choćby najszkaradniejsze. Nazwisko jest dla człowieka tem, czem czapka dla głowy. Choćbyś nawet najszkaradniejszy kapelusz włożył na głowę zawsze będziesz tem, czem jesteś.

— Dobrze mówisz moja Kasiu, rzekł Grzegorz nie mniej zafrasowany — ale zawsze to źle. Co mi tam po majątku i dobytku jeżeli mam ludziom na pośmiech być wystawionym. A przecież tak jest rzeczywiście. Gdybyś wiedziała jak mi przykro było, gdy dziś pod kościołem Jacek Szlachetka wobec całej gromady umyślnie przekręcił moje nazwisko i nazwał mnie dur...

Tu przerwał Grzegorz, oczy mu się bardzo roziskrzyły a ściśnięte ze złości palce zbiegły się w groźną, olbrzymią pięść.

— Mocny Boże! ciągnął po chwili nieco uspokojony; gdyby nie widok świątyni Bożej, odpłaciłbym się temu zuchwalcowi za to. — Ha nie dopuszczę, by i dzieci moje tak niewinnie cierpiały. Pisarz mówił mi że lada dzień dostaniemy rezolucyę z namiestnictwa. Dużo mię to bardzo kosztowało ale przecież w końcu utrę nosa złośliwym ludziom. Będę się zwał Duracki i pewnie już nikt nie waży się poniewierać tem nazwiskiem.

Katarzyna milczała ciągle, bo wiedziała że Grzegorz, chociaż ją tak kochał, był przytem bardzo popędliwy. Nie chciała mu się sprzeciwić by się nie narazić na gniew jego, ale w duchu mówiła sobie.

— Mój Boże! ani jemu, ani jego dzieciom nic nie szkodzi to nazwisko. Człowiek wstydzić się powinien tylko złych uczynków, które z jego winy wypłynęły, ale nie nazwiska.

Pisarz gromadzki Piórko, wyssawszy jak pijawka z kieszeni Grzegorza mnóstwo pieniędzy pod różnemi pozorami, to na stemple, to na papier, oznajmił mu w końcu, że już przyszło długo wyczekiwane pozwolenie zmiany nazwiska.

— Winszuję wam więc panie Duracki — rzekł do Grzegorza i uścisnął go serdecznie ale chytrze. Jesteście teraz pierwszym gospodarzem Sośniny, bo macie największy majątek i najładniejsze nazwisko.

W pierwszej chwili, powziąwszy tę wesołą nowinę uradował się mocno Grzegorz, bo dopiął już tego, o co się tak długo z niemałą stratą czasu i pieniędzy usilnie dobijał. Ale jest już to widać takie zrządzenie boskie, że po radości każdej smutek następuje. Toż i Grzegorz zaledwie się tą wesołą nowiną z żoną swoją podzielił, popadł nagle w głęboką, smętną zadumę.

— Czy godziło się — myślał, dla żartów jakiegoś tam głupca, które milczeniem należało zgromić, wyrzec się nazwiska ojcowskiego, którego dotąd żaden grzech, najmniejsza skaza nawet nie splamiła? Wszakżeż mój dziad i pradziad tak samo się nazywali, a przecież nigdy nie pomyśleli nawet o grzesznej zmianie swego nazwiska. Wszyscy ich zawsze poważali, bo byli poczciwi i sumienni.

Katarzyna mniej więcej tak samo myślała, ale nie chciała na ten postępek swego męża głośno wyrzekać, by mu nie psuć tej jego chwilowej radości. Grzegorz bowiem po tym chwilowym smutku wrócił napowrót do dawnej wesołości.

— Dlaczegoż mam się tak niepotrzebnie smucić? — pomyślał znowu. Wszakże zrobiłem to nie dla dumy i pychy ale dla moich dzieci, którym obok pięknego majątku i ładne nazwisko po śmierci chcę zostawić.

Tak to podobno zawsze człowiek stara się każdy swój zły uczynek różnemi godziwemi przyczynami okrasić, byle tylko stłumić niepokój i wyrzuty sumienia. Grzegorz zrobił źle, bo usłuchał niesfornego głosu pychy i dumy, a łudził się tem, że troskliwość i miłość ojcowska były do tego właściwą pobudką.

W następnym numerze opowiemy wam jak dziwne przygody spotkały Grzegorza z powodu tej zmiany nazwiska.

Dok. nast.

Garnek w popiele.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju,
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłem skonaniu,
Ani przed żoną lub dzieckiem;
I długo, długo, tak w zaniedbaniu,
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni pośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę
Przyjąwszy datek z ochotą:
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

X. J. H.

Leszek Biały i Goworek.

Leszek zwany Białym był królem polskim z rodu owego Piasta, kmiecia z Kruszwicy, a Goworek możnym panem i jego w sieroctwie opiekunem, wychowawcą i doradzcą. Łączyła ich obu prawdziwa przyjaźń, o jaką trudno dzisiaj na świecie, bo Leszek korony wyrzekł się dla Goworka, ten zaś dobrowolnie poszedł na wygnanie, aby mu nie zagradzać drogi do sławy i panowania. Owóż jak to było:

Śmierć króla Kazimierza Sprawiedliwego nie tylko naród okryła żałobą ale stała się jeszcze powodem niesnasków pomiędzy książętami. Została po Kazimierzu wdowa, księżna Helena i dwóch synów, z których Leszek, później Białym nazwany, liczył dopiero lat sześć. Leszek miał prawo objąć tron po ojcu, lecz ubiegał się także o koronę stryj jego Mieczysław. Ludzie mówili że „chociaż każdemu państwu potrzebny jest król jak pszczołom matka, to przecież powinien on być taki, którypy celował cnotami, rozumem i doświadczeniem," a książe Mieczysław przedstawiał, że „dziecińustwem jest powierzać dziecinnej nieroztropności panowanie nad dojrzałym rozumem." — Jednakże Krakowianie bali się Mieczysława, którego wielkiej surowości już dawniej doświadczyli, toż na głos biskupa krakowskiego Pełki, który krwi Kazimierza całem sercem sprzyjał, Leszka obrali królem, a że był jeszcze dzieckiem, przydali mu opiekunów.

Rozgniewany Mieczysław, mieczem praw swoich dochodzić postanowił, i zebrawszy wojsko, ruszył z niem przeciwko Krakowianom. Ci pod wodzą opiekunów Leszka, to jest woje-

wodów Mikołaja i Goworka, stanęli w pogotowiu, przyzwawszy na pomoc Rusinów. Spotkały się wojska nad rzeczką Mozgawą i walczyły zacięcie, ale żadna strona nie zwyciężyła, bo Mieczysław ledwo z życiem uciekł z pola bitwy i syna w boju utracił, z drugiej zaś strony wojewoda Goworek dostał się do niewoli a Rusini poszli w rozsypkę.

Leszek utrzymał się na tronie pod opieką matki, biskupa Pełki i panów. Mieczysław widząc że wojną nic nie wskóra, wziął się na inny sposób. Owóż zaczął przed księżną Heleną udawać życzliwego przyjaciela i szeptał jej:

— Niech mi syn twój ustąpi panowania, ja go za to przybiorę za syna i z pominięciem własnej krwi następcą po sobie ustanowię... Ja władzę krolewską utrwalę i rozszerzę, toż mu lżej będzie panować.

Jak zaczął namawiać królowę i przedstawiać jej że według słuszności jemu się należy tron bo bracie, ustąpiła mu dobrowolnie Krakowa i przeniosła się z Leszkiem do Sandomierza.

Goworek odkąd powrócił z niewoli nie odstępował Leszka. Zacny to był mąż, sławny z męstwa i odwagi na wojnie a z prawego postępowania podczas pokoju. Zaprawiał do szabli rękę młodocianego księcia; serce zaś jego kształcił w cnotach, a rozum w sztuce uszczęśliwiania narodu — toż Leszek całem sercem umiłował Goworka.

Mieczysław tymczasem panował w Krakowie; ale jak narzucił poddanym żelazne pęta, jak zaczął ich mienie obciążać daninami, wygnali go po roku i znowu Leszka wezwali. Przybył Leszek z Goworkiem, zasiadł na tronie ojcowskim, a przy jego boku stanęli jako doradzcy biskup Pełka i Wojewoda Mikołaj; ale wygnany Mieczysław wichrzyć nie przestawał. Podburzał Leszka aby władzę panów ukrócił, i spotwarzał przed nim wojewodę Mikołaja. Goworek widział także iż panowie zbyt wiele sobie pozwalają ze szkodą władzy królewskiej, nie domyślając się więc podstępu księcia Mieczysława, doradził Leszkowi aby wojewodę Mikołaja usunął. Stało się to, lecz wówczas Mikołaj pałając zemstą przeciwko Leszkowi

i Goworkowi udał się do księcia Mieczysława i otworzył mu wszystkie drogi do tronu a Leszek znowu z matką i Goworkiem uchodzić musiał do Sandomierza. Lecz oto Mieczysław, zaledwo wyciągnął rękę po koronę, sądząc że teraz już mu nikt jej nie wydrze, umarł, niedoczekawszy się owocu swoich tyloletnich zabiegów.

Zdawało się teraz że dla Leszka znikła już wszelka przeszkoda, że mógł panować znowu swobodnie. Jakoż ofiarowano mu koronę, ale wojewoda Mikołaj, mszcząc się za swoje wygnanie, położył warunek aby Goworka posłał na wygnanie.

Goworek który od tak dawna podzielał z Leszkiem złe i dobre, usłyszawszy że on tylko jest mu przeszkodą do panowania, chciał się natychmiast oddalić, ale Leszek wierny przyjaźni, nie pozwolił na to.

— Niech sobie Krakowianie szukają innego książęcia, odpowiedział posłom; ja wyżej cenię przyjaciela nad wszystkie trony świata.

Zdumieli się tą cnotą księcia Krakowianie ale jej nie uszanowali i obrali królem Władysława Laskonogiego, syna Mieczysława.

Był to z początku łagodny i przystępny monarcha, ale wkrótce zaczął za przykładem ojca pracować nad rozszerzeniem władzy królewskiej, toż niebawem stał się niemiłym narodowi.

Zaczęto znowu przybąkiwać o Leszku, zwłaszcza biskup Pełka gorąco za nim przemawiał; ale wojewoda Mikołaj był mu przeciwny. Goworek, aby nie być panu przeszkodą, aby przyjaźni Leszka powtórnie na trudną nie narażać próbę, tajemnie ujechał do Węgier. W tem Leszek odnosi nad Rusinami sławne pod Zawichostem zwycięztwo. To mu jedna serca wszystkich, a przeciwnik jego wojewoda Mikołaj umiera. Krakowianie sprzykrzywszy sobie Władysława zmuszają go do porzucenia tronu i wzywają Leszka a jemu nic już nie stoi na przeszkodzie odkąd nie żyje Mikołaj, toż i Goworek wraca czemprędzej z wygnania a Leszek wjeżdża do Krakowa, witany z czcią największą i zasiada na tronie.

S. Kr.

Piękny przykład.

Włościanie z Januszkowic i tamtejszy dwór.

Mam znajomego gospodarza w niedalekiej odemnie wsi Januszkowicach około Brzostku. Człowiek to gospodarny, trzeźwy, a i oleju jak to mówią nie skąpo ma w głowie, widział trochę światu służąc wojskowo, a że go też wszystko obchodziło, nabył nie mało wiadomości pożytecznych i ma też wiele pojęcia o większych miastach i o różnych ludziach. Przytem jest człowiek piśmienny, co mu też wiele do różnych wiadomości pomaga. Miła też to z nim rozmowa, bo jak zacznie opowiadać: co on to w świecie widział, jak bywał na posiedzeniach naszych posłów w Wiedniu, jak to tam gdzieindziej dbają ludzie o oświatę, jak gospodarzą, co by to u nas zdało się wykorzenić złego między ludem a co zaprowadzić; to moi mili czytelnicy długą miałbym historyę do pisania, abym to wszystko chciał wypowiedzieć — ale że ani czasu po temu nie mam, ani was chcę nudzić długo, więc tylko w krótkości jeszcze z ostatniej naszej rozmowy cokolwiek opowiem.

Zaczęliśmy rozmowę, jak to teraz wszędzie bywa, o naszej biedzie i przyszło mi na myśl zapytać go, zkąd on też wie tyle różnych pięknych rzeczy o naszym kraju rodzinnym, szczególniej o jego teraz nowej ustawie, którą jak na włościanina rozumie i pojmuje doskonale. Pytałem go się dalej, zkąd wie o różnych ważnych wypadkach w kraju i za granicą; a on mi na to:

— Ej panie kochany, najprzód wam powiem że jestem niezmiernie ciekawy na takie rzeczy, a to ztąd pochodzi że kraj nasz kocham serdecznie i nieraz nad jego nieszczęsną dolą ubolewałem; a może też Bóg moich modłów wysłuchał, że nam lepsza dola jakby jutrzenka świtać zaczyna. Gdybyśmy tylko razem a szczerze pracować nie przestali i gdyby nam tylko niezgoda nie przeszkadzała w dokonaniu rozpoczętego

dzieła w kraju a natomiast oświata szczerze nas zajęła; to byśmy wnet stanęli jako naród silny i zamożny.

Ale mój panie za nicby mi była ciekawość, gdybym nie miał pomocy w czytaniu różnych pięknych i pożytecznych ksiąg; czytam przytem Dzwonek, Nowiny ze świata i wiele innych pism, które mi wolny czas od pracy bardzo mile zajmują.

Na to ja zagadnąłem:

— Toż nie żałujecie przecież pieniędzy na te pisma i książki? a może je gmina zapisuje?

— Ej gdzieby tam gmina; żalby im było pieniędzy, których tam, co prawda to prawda, w naszej małej gminie i nie wiele mają; mnie zaś nie żal, ale nie staćby było samemu płacić, bo grunt mam malutki a do tego żonę i dzieci. Ale Bóg dał nam państwo we dworze łaskawe co na to nakładają i chętnie każdemu w gminie pożyczą. Tam też jest naszej wsi ucieczka, czy to po radę, czy po zapomogę, czy po leki, czy po jakie wiadomości. Panienka nasza to anioł prawdziwy; jej słowa słodziutkie, jej rady zbawienne, których i najbiedniejszemu nie skąpi, jej gotowość niesienia chorym pomocy i pociechy, choćby i z innych wsi i miasteczek, to dla nas skarby nieocenione. Ona mową, przykładem i czynem zachęca nas wszystkich do cnót, do oświaty, miłości Boga, kraju i bliźniego; słowem: to nasza pocieszycielka, opiekunka, to anioł powtarzam, którego czcić, kochać, uwielbiać należy.

Jeżeli mój Panie przybędziecie do nas w którą sobotę na nabożeństwo w kaplicy przez zacnych tych państwa w ogrodzie postawionej, co wielkiem jest dla nas z braku kościoła dobrodziejstwem, a ujrzycie naszych dostojnych państwa, nie modnie ale po staropolsku, u stóp Najwyższego się korzących, otoczonych licznem gronem nas biednych wieśniaków i dworskiej służby — i panienkę, naszego anioła, pośród nas klęczącą, to pewnie nie pożałujecie ani swej fatygi, ani też bez łzy w oku od nas nie wyjdziecie, a taka łza nie będzie szkodliwą, bo ją wyciśnie widok radośny.

Mamy tu zatem mili czytelnicy dwa piękne przykłady:

Staropolską cnotę, pobożność i przychylność do włościan naszych zacnych panów i pań, i wdzięcznych włościan Januszkowic, którzy umiejąc cenić dobrodziejstwa dworu, nie stronią od niego, ale owszem tam czerpią radę, tam szukają pociechy, tam kładą zaufanie i za swe państwo modły wznoszą do Boga.

Edmund Janicki, *naucz. z Błażkowy.*

Góry i doliny.

Kto często na góry wstępować był znaglony, ten im zapewne nieraz złorzeczył, a równiny wychwalał. Te w rzeczy samej nie małe przynoszą korzyści. Na równej roli łatwo się orze i sieje, a gdzie w około domu ziemianina leżą pola jak na stole rozłożone, a grunta wszędzie dobre, ze szczytu domu łatwe do obejrzenia, tam całem gospodarstwem można się jak ogrodem zajmować. Po równej drodze wygodnie się i chodzi i jedzie, to najwłaściwszy grunt dla rączego konia, któren jeźdzca lub lekki zaprzęg szybko z jednego miejsca na drugie przenosi, i wszelkie stosunki towarzyskie wygodnie i bezpiecznie ułatwia.

Nie byłożby to lepiej, ktoś sobie może pomyśli, żeby między poziomemi morzami i jeziorami, wszystek ląd był równy i płaski, tak na 5 do 10 sążni wyżej nad nie wzniesiony, bez żadnej góry, ani doliny na ziemi? — We wszystkich pięciu częściach ziemi, dosyć jest takich okolic, a ludzie tam osiedleni, używają pomyślności; wielu jednakże górzyste okolice, na stały swój pobyt przekłada, w wielu też miejscach są one zaludnione jak równiny, i są dowodem, że i górzyste siedziby, mają swoje właściwe sobie przyjemności, połączone z pożytkiem.

I to jeszcze nie wszystko; tęsknota za wysoką, do skał przypartą chatą rodzinną, bardziej udręcza gór mieszkańców

na doliny schodzących, gdzie niejako w gościnie zostają, niż na równinach osiadłych, gdy góry zwiedzają. Dobrze jest znana tęsknota Szwajcarów w obczyźnie bawiących, za rodzinnym krajem, a to samo na wszystkich w górach zamieszkałych, a od swych okolic oddalonych, postrzegać się daje. I cóż to tych gór mieszkańców do ich rodzinnej ziemi tak silnie przywiązuje? — Świeże, lekkie powietrze i czysta woda. Powietrze w wyższych zwłaszcza warstwach jest cieńsze i lżejsze jak w niższych, nad morzem zaś jest najgęstsze i najcięższe, bo wyższe ciąży na nim, i uciska je.

Powietrze tem jest rzadsze i lżejsze im wyżej w górę się wznosimy, a kto na wyżynach zamieszkał, ten do tego lżejszego przywykł powietrza, gdy zaś z gór swoich zejdzie na doliny, wtedy gęstsze i cięższe powietrze oddech mu tamuje i piersi ściska, uszy zdają mu się, jakby nie na swojem miał miejscu, smutek go ogarnia, czuje jakąś zmianę w swem zdrowiu, jakiś niepokój go trwoży, i to są właściwe znamiona choroby, tęsknotą za rodzinnem miejscem zwanej, na którą czyste, lekkie górskie powietrze, jedynem jest lekarstwem.

Jeżeli przez dłuższy czas mieszkaniec gór na samych pozostaje nizinach, to z czasem ciało jego i do nich nawyknie, jak to często człowiek do wielu z razu uciążliwych rzeczy przyzwyczaja się, i z mniejszą znosi je dolegliwością. Ale gdy znowu do swych ukochanych gór powróci i lżejszego zaczerpnie powietrza, wtedy i piersi jego są swobodniejsze i zdrowie czerstwiejsze, i po długich nawet latach z radością wita swą chatę rodzinną.

Drugą właściwością gór jest czysta, miękka woda w górnych żródłach i strumykach; deszczowa bowiem jak i ze śniegu i lodu woda jest jeszcze po większej części pierwotną, mało cząstek wapiennych i ziemnych w sobie zawierającą, które ją zanieczyszczają i twardą czynią; do takiej przeto czystej, miękkiej wody, do trawienia pokarmów pomocnej, a zdrowiu ciała dogodnej, tak łatwo się mieszkaniec gór przyzwyczaja, że mu się z przykrością bez niej obejść przychodzi, gdy na doliny, a zwłaszcza na rozległe płaszczyzny przybędzie, gdzie

wcale odmienną wodę, od swojej górskiej zastaje. Tu w napływowym kraju woda studzienna wiele ziemnych i solnych cząstek rozpuściła, dlatego nie jest czysta, a po większej części twarda. Na wielkich równinach, woda nie mająca odpływu, tworzy bagna, a jeszcze ją bardziej zanieczyszczają gnijące rośliny i niepoliczone roje nader maleńkich żyjątek, które w niej przebywają i w niej giną. Taka woda sprowadza często gorączkę i inne słabości, i tem bardziej działa na przychodnia z gór, przyzwyczajonego do czystej bieżącej wody, tak więc do tęsknoty za rodzinnym krajem przybywa i choroba, a gór mieszkaniec obrzydza sobie równiny, a swoją ojczystą okolicę w najpiękniejszych sobie maluje barwach. Wreszcie nie znachodzą oni jeszcze świeżego, chłodnego powietrza podczas gorącego lata na nizkich płaszczyznach, gdzie osłabiający par, dokuczliwy upał, i ciężkie z mokrzadeł wyziewy, ogarniają człowieka; posusza wypala i niszczy rośliny i ziemię rozsadza. Wtedy nie jeden z równin chętnie wybiera się w góry, wabiące go swoją świeżą zielonością, kwiatami na łąkach, i pełnemi chłodu i cienia lasami, gdzie miłego orzeźwienia i swobodnego doznaje wytchnienia.

Dlatego piękne i tyle nam pożytku przynoszące góry, tak jak są, zostawmy w pokoju. Gdybyśmy je skopali i niemi równiny wypełnili, i całą ziemię wszędzie pod strychulec wyrównali, wtedyby ona wiele ze swej piękności straciła, i doliny wiele by na tem szkodowały, szczególniej dla trudności nawodnienia za pomocą rzek. Ziemia wszędzie wyrównana stałaby się bagniskiem, bo woda deszczowa nigdzie prędkiego nie znajdując odpływu, aż to wyschnięcia zostawałaby na jej powierzchni. To złe okazujące się w swej szkodliwości, daje nam dopiero teraz poznać, jak dobroczynne są dla nas góry i doliny z przyczyny nierównego gruntu.

Woda płynąca jest świeża i zdrowa; dlatego przybieranie i opadanie morza i ciągły ruch fal jego, wielki pożytek przynoszą; dlatego i płynące na stałym lądzie wody słusznie nad stojące przenoszą.

Błogosławione są góry, z których woda źródlana czystemi spływa strumykami, które przez coraz to niższe doliny przechodząc, w ogromne urastają rzeki i strumienie. W niepoliczonych korytach, jak rozgałęzione żyły ciała zwierzęcego rozpościerają się wody po lądzie stałym; nad niemi to ludzie po większej części zakładali wsie i miasta, jak to na mapie widzimy: człowiek zarówno wody, jak i powietrza potrzebuje, szuka ich skrzętnie, i stałe na jednem osiada miejscu. Przekonamy się o tem, jeżeli od źródła począwszy, do samego morza za wodą pójdziemy.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Pszczelnictwo.

Dokończenie.

Pszczoły podlegają różnym chorobom: najniebezpieczniejszą jest zgnilec. Choroba ta objawia się przez to, że zalążki pszczolne to jest robaki, czyli tak zwany czerw, zamiera w komórkach i robi się z niego brunatna lepka i bardzo śmierdząca masa. Trochę miodu z takiego zarażonego ula zaraża ule pobliskie. Ul zarażony nie da się wyczyścić i pszczoły w nim osadzone dostaną zgnilca i wymrą. Zgnilec pochodzi początkowo z karmienia miodem po zarażonych pszczołach a potem rozszerza się przez dotykanie, jak morowe powietrze u ludzi. Na pociechę waszą powiem wam, że nie zdarza się tak często; a jeżeli zaglądając do waszych pszczół, poczujecie brzydki smród w ulu, zamiast zapachu z miodu i wosku a w plastrach zgniłe, śmierdzące zalążki, to niezwłocznie wybijcie cały ten rój aż do ostatniej pszczoły. Miód i wosk weźcie na wasz użytek, bo nie jest szkodliwym, koszkę słomianą spalcie, a zdrowe roje przenieście na inne miejsce, i uważajcie, czy tam nie pojawi się ta choroba.

Drugą chorobą pszczół jest biegunka: dostają jej zbierając miód już w póżnej jesieni z wrzosów i gdy go zasklepić

nie mogą w komórkach, miód taki w zimie wycieka z plastrów, pada na dno, pszczoły chciwie go jedzą a nie mogąc wylecieć z ula na powietrze, odchody swoje wyrzucają na plastry, a że takiej nieczystości nie cierpią, więc od niej marnieją. Najczęściej zdarza się ta choroba, gdy pszczoły przez zimę stoją w miejscu ciepłem, gdy się mysz dostanie do ula, albo gdy je pukaniem lub hałasowaniem rozbudzą. Mocny ul zostawiony na dworze, mający dużo pszczół i miodu, może także dostać biegunki i udusić się, jeżeli oczko zatka się śniegiem albo lodem i nie ma przystępu świeże powietrze.

Na tę chorobę póki nie jest zbyt wielka są łatwe sposoby: daje się pszczołom lekarstwo składające się z utartej na proszek gałki muszkatołowej, z odrobiny bobrowego stroju, nie większej jak ziarnko grochu i z pół kwaterka miodu i pół kwaterka wody na jeden ul. Pszczoły zjadłszy taki miód wylecą z ula i oczyszczą się, a plastry mocno powalane trzeba powyrzynać, chociażby przez to opóźniło się rojenie.

Ale jak to już wspomniałem, same tylko pszczoły słabe, żywione podawanym cudzym miodem, źle zachowane na zimę i nie mające dobrego dozoru, podpadają tej chorobie. Żeby więc dochować się i otrzymać kilka, lub dziesiątek rojów, które tworzyć mają pasiekę włościańską, trzeba zostawiać na zimę ule pszczół młodych, licznych, zdrowych i zaopatrzonych w zapas miodu tak żeby nie tylko wystarczył na zwyczajną zimę i pierwsze miesiące wiosny, lecz i na przypadki nadzwyczajne, kiedy długo trwające zimna, a po nich skwar i susza niszczą kwiaty na polach, i pszczoły nie mogą znaleźć nowego pożywienia. Żaden pszczolarz nie potrafi należycie oznaczyć ile pszczołom wziąść można miodu w jesieni, a ile im zostawić na zimę i wiosnę; a tem bardziej nie pozna tego w pniach drzewnych i w koszkach słomianych takich, jakie dotąd są pospolicie używane. W koszkach można poznać siłę i zamożność pszczół jedynie tylko po ich wadze. Trzeba zważyć pustą słomianą koszkę, wprzódy nim pszczoły będą w niej osadzone i zapisać to sobie.

Na jesieni, gdy już pszczoły przestaną znosić miód i wosk do ula, co zwykle następuje w pierwszych dniach Września, mianowicie tam, gdzie nie ma lasów w pobliskości wrzosami porosłych, które właśnie we Wrześniu kwitną i pszczołom dostarczają obfitego pożywienia, trzeba koszki z pszczołami i miodem zważyć. Jeżeli po odtrąceniu tego co waży pusta koszka, zostanie na pszczoły, miód i susz funtów trzydzieści dwa, a przynajmniej dwadzieścia i ośm, rój taki jest silny i zamożny, i zimę przetrzyma niezawodnie. Jeżeli więcej waży, to można mu odjąć plastry z miodem, aż do 32 funtów wagi; ale powtarzam raz jeszcze, po odtrąceniu tego co próżna koszka ważyła. Jeżeli zaś waży 18, 20 do 28 funtów, taki rój jest słaby i nie dotrzyma aż do nowych kwiatów na wiosnę; trzeba go zatem podkarmiać i jest koło niego wiele zachodów a mało pożytku.

Z tej przyczyny w bardzo wielu krajach niemieckich i u nas na Podolu, gdzie najwięcej pszczół hodują i wielki z tego dochód mają, nie podbierają ulów i ja wąm to samo radzę.

— Jakiż więc z nich mają dochód? zapyta każdy kto to czytać będzie.

— Oto taki, że zostawiają pewną liczbę rojów na nasienniki, i na to wybierają najlepsze; tych nie podbierają wcale, zresztą co jest nad tę liczbę, albo sprzedają takim, którzy chcą dochować się pszczół, albo je wyduszają dymem, a miód i wosk zabierają ze wszystkiem.

Prawda to że ludziom żal jest zabijać tak niewinne i pracowite stworzenia, jak są pszczoły. Nie jeden myśli sobie: uchowałem sobie sześć ulów i podbiorę im miodu bardzo mało, albo nic wcale; na rok przyszły wyda mi każdy po dwa roje; będę więc miał ulów dwanaście a wtedy wynagrodzę sobie to, żem przez rok nie podbierał i nie wybijał pszczół moich. Dobrze on sobie radzi, ale w takim tylko razie, jeżeli ani jego sąsiedzi gospodarze, ani więksi właściciele pszczół jeszcze nie chowają. Lecz jeżeli hodowla pszczół rozszerzy się w kraju, czego się spodziewać potrzeba, to wtedy będzie to samo

z pszczołami, co z każdym dobytkiem, że ich tyle trzymać będą, ile się wyżywić zdoła w obrębie ćwierć mili w około; bo chociaż pszczoła może za robotą polecieć dalej, jednakowoż nie wiele razy zawróci do ula, mniej więc zbierze roboty, a nie mało zemdleje w drodze i zginie.

Jeżeli więc przekonacie się w jednym i drugim roku, że pszczoły wasze nie zebrały dla siebie tyle, ile im koniecznie potrzeba, bo nie będą ważyć przynajmniej 32 funty, to nie czekając aż same wymarnieją w zimie i na wiosnę, będziecie musieli roje najsłabsze zniszczyć, a miód po nich pozostały zachować dla tych rojów, które chcecie utrzymać, i one podkarmiać na wiosnę; resztę dopiero obróćcie na własny pożytek. Tak więc doświadczenie nauczy was, ile rojów może wyżywić się w waszej okolicy, ido tego z astosować się musicie. A przytem hodowanie sześciu, ośmiu, a choćby i dziesięciu rojów nie tak wiele czasu zabierze, i przy innych robotach gospodarskich można ich należycie dojrzeć; ale hodowanie pasieki o 20tu lub 30tu ulach potrzebuje osobnego zagrodzenia, większego dozoru, a mianowicie bezpiecznego i zdrowego schowania na zimę, a to nie u każdego się znajdzie.

Dok. nast.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Pożyteczniejsze mądrego siedzenie albo próżnowanie, niż głupiego zakręt albo robota.

Dobrym szkodzi, kto złym odpuszcza.

Poradę każdy da, ale pomoc rzadki.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 7.

1. września 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cudowny obraz Matki Boskiej w Myślenicach.

Żył niegdyś w kraju włoskim sławny jeden malarz, nazwiskiem Rafael, który wielokrotnie i w rozmaitych postaciach malował Najświętszą Pannę, a zawsze tak cudnie, jakby daną mu była łaska oglądać żywe oblicze królowej nieba i ziemi. Świat cały podziwiał malarza, podziwiał obrazy, a uwielbiał Matkę Bożą w niewidzianej dotąd przedstawianą piękności.

Jeden z tych obrazów wielkiego Rafaela, przedstawiający także Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Jezus, stał się własnością Papieża, Sykstusa piątego, tego samego który z pastuszka wyszedł stopień po stopniu na namiestnika Chrystusowego, zasłużywszy sobie na to najwyższe dostojeństwo zarówno rozumem i nauką jak i świętobliwością. Jakoś niedługo potem zdarzyło się że ojciec św. podarował obraz Rafaela jednej swojej krewnej, niewieście bardzo świątobliwej, która była przełożoną klasztoru w mieście Wenecyi. — Do tego miasta przybył

jadący do Rzymu pan polski książę Jerzy Zbaraski, który później fundował w mieście swojem Zbarażu klasztór dla księży Bernardynów i wspaniałą kaplicę wystawił w Krakowie przy kościele Św. Trójcy. Pan ten, zwiedzając Wenecyę, zaszedł też i do tego klasztoru, w którym znajdował się ów obraz Rafaela i bardzo się nim zachwycił. A że to był pan możny i nie trudno mu było wyświadczyć klasztorowi to i owo dobrodziejstwo, uprosił więc z łatwością ksienię że mu ten obraz odstąpiła.

Tym sposobem obraz Rafaela dostał się z księciem Zbaraskim do Polski i został umieszczony w Krakowie; ale tam o mało zatracony nie został.

Właśnie pod owe czasy wybuchło w Krakowie morowe powietrze. Ludzie padali tysiącami, a domów pustkami stojących, to jest takich, których wszyscy mieszkańcy wymarli na zarazę, przybywało coraz więcej. Było wówczas w zwyczaju że wszystkie rzeczy co się znajdowały w domu, który takiego doznał losu, palono, aby się zaraza przez ich przenoszenie nie szerzyła; i obraz Rafaela przez księcia Zbaraskiego przywieziony z Wenecyi był już na stosie; jeszcze chwilka a już byłoby po nim. Ale mieszczanin jeden, Marcin Grabysz obaczywszy to świętokradztwo, nie dopuścił aby obraz tak piękny miał także stać się pastwą płomieni i prosił aby raczej pozwolono jemu wziąść go do siebie. — Tłumaczono mu na co się naraża, objaśniano że z tym obrazem przyniesie sobie chorobę do domu i będzie musiał umierać wraz z rodziną, ale on na to nie zważał.

Stało się zadość jego prośbie, otrzymał czego żądał a obraz przez niego ocalony jego teraz ocalił, bo nietylko nie sprowadził mu zarazy, ale owszem odwrócił ją od niego i od jego domu. Odtąd obraz coraz bardziej zaczął słynąć, zwłaszcza gdy Grabysz przeniósł się do Myślenic gdzie osiadł. A gdy cuda za przyczyną Matki Najświętszej u tego obrazu w domu Grabysza doznane, coraz stawały się głośniejsze, biskup krakowski wysłał do Myślenic komisyę, dla przekonania się o prawdzie tego co ludzie mówili. Prawda była wi-

doczną. Zjechało więc do Myślenic mnóstwo księży i dla uczczenia Najświętszej Panny odprawiono wielce uroczyste nabożeństwo, które trwało dni kilka, poczem przeniesiono obraz cudowny do kaplicy, gdzie umieszczony w ołtarzu dotąd zostaje.

Dziś obrazy Rafaela cenione są niezmiernie w całym świecie, płacą je na wagę złota i przechowują jako największe osobliwości. I Polska także szczyci się jego dziełem w Myślenicach, ale nie dlatego że za niego tyle a tyle zapłaciła, ale dlatego, ponieważ Najświętsza Panna tak sobie ten swój obraz upodobała, że świadczy przez niego łaski i cuda. Tem też Polska ma dzisiaj wyższość nad innemi narodami, tą swoją pobożnością i wiarą. Bo jako dawniej rycerstwo polskie szło do boju śpiewając pieśń do Najświętszej Panny, tak i dziś w każdem nieszczęściu naród Polski u Niej szuka pociechy i ratunku a miejsca Jej czci poświęcone największem otacza uszanowaniem. Toż w Bogu nadzieja że nas nie zawiedzie ta wiara i pobożność nasza. A Najświętsza Panna co prawie widocznie czyniła cuda dla ocalenia swojej świątyni w Częstochowie gdy zwycięzcy Szwedzi zagarnąwszy już prawie całą Polskę, tu tylko pod murami jasnogórskiego klasztoru pierwszy a silny napotkali opór — Najświętsza Panna u której obrazu w Myślenicach tylu chorych odzyskało zdrowie, tylu cierpiących uprosiło sobie łaskę — wyjedna kiedyś całemu, dziś tak nieszczęśliwemu narodowi polskiemu, pokój, szczęście i chwałę.

Modlitwa w czasie burzy.

Boże! co światom w przestrzeni,
Wskazujesz biegów ich drogę,
Przed Tobą upokorzeni
Błagamy, odpędź tę trwogę;
Odwróć ten kielich goryczy.
Oto chmura z dala płynie,

Oto burza z dala ryczy,
Nie jeden człowiek dziś zginie,
Jeżli Twa ręka z góry
Nie odwróci zniszczenia,
Nie wyrwie błysków z chmury,
Z piorunów płomienia.
Panie! niech nagłą śmiercią grzesznik dziś nie zginie,
Odwróć piorun i dozwól czasu do pokuty,
Ach! człowiek w więzy ciała tak silnie okuty,
Możeż być czystym w śmierci i sądu godzinie?
Z głębokości serc naszych, prosimy Cię Panie!
Wysłuchaj prośby nasze, przyjm nasze błaganie!
Zlituj się, któż niewinny przed Twemi oczami,
Panie! zlituj się nad nami! —
Święta Maryo! módl się, niech w śmierci godzinie
Dusza będzie na straszny Boski sąd gotowa;
Niech pokuta się spełni i nieprawość zginie;
Niech ostatnie do Boga będą grzesznych słowa;
Niech się o swoje zbrodnie oskarzają sami;
Niechaj w ich duszy promień Bożej łaski świeci,
Królowo niebios! módl się za nami,
My Twoje dzieci!
Święci! coście tu niegdyś żyli na tej ziemi,
Co znacie serca ludzkie, i słabość i cnoty —
Święci! dziś uwieńczeni w wieniec szczęścia złoty,
Pośrednicy, pomóżcie modłami swojemi.
Z wysokich niebios spojrzyj i zlituj się Panie!
Klęsk nad ziemią zwieszonych, zwróć ciężar daleki,
I niech się wola Twa stanie
Na wieków wieki!
Amen.

J. I. K.

Kochajmy się.

Kochajmy się bracia mili!
Zgodę, jedność w każdej chwili.
Od pałaców w chatki kmieci:
Kochajmy się — niech głos leci,

Któż to nam może przeszkodzić
Z bratem się swoim pogodzić;
Z nim się cieszyć lub weselić,
Z nim los, mienie, życie dzielić?

Kochajmy się tylko wzajem —
Każde miejsce będzie rajem.
Bo gdzie wejdzie miłość, zgoda,
Tam wnet wchodzi i swoboda.

Ach! gdy nas ujrzy złączonych,
Wiarą, miłością spojonych;
Ufajmy śmiało w tej porze,
Że i Bóg nam dopomoże.

A. G.

Grzegorz Durak.

Ludziom na chwałę i pożytek

opowiedział

Bartek Szkolarz.

Dokończenie.

W kilka dni potem na drodze wiodącej do miasta powiatowego toczył się szybko wóz lekki i zgrabny a przytem bardzo silny bo żelazem okuty. Na wozie siedział Grzegorz i ciągłem trzaskaniem z bata zachęcał tłuste, żwawe koniki do prędszego biegu. Był to właśnie dzień odpustowy, na drodze więc wśród gęstej kurzawy widać było mnóstwo wozów nawzajem się wyprzedzających. Ale ze wszystkich najprędzej toczył się wóz Grzegorza, bo o całą godzinę prędzej stanął w karczmie na popas.

Okolica przez którą teraz Grzegorz przejeżdżał była mu prawie wcale nie znaną. W karczmie zastał więc mnóstwo ludzi nieznajomych, którzy ciekawie spoglądali na Grzegorza jadącego takiemi dzielnemi końmi.

Już pod koniec popasu wdał się Grzegorz w rozmowę z dwoma nieznajomymi, którzy obok niego siedzieli na ławce. Nieszczęście chciało, że byli to właśnie zawołani pijacy, ludzie zwadliwi i niespokojni. Toż z uprzejmej z początku i poufnej pogadanki wyrwało im się nawet podobno rozmyślnie słówko obraźliwe. Grzegorz nie był wprawdzie zawadiaką ale też człowiekiem dbałym o swój honor; więc niejeden, który przebrał miarkę i obraził go, poznał się często bardzo blisko z jego sękatą laską lub żylastą ręką. Toż i teraz za obelgę odpłacił się równą miarą. Jeden z tych pijaków powstał z ławki, zmierzył Grzegorza groźnie od stóp do głowy i rzekł:

— A cóż to znowu? Jakem Maciej Bruzda, nie daruję tego

— Czy tak? — rzekł odważnie naperzony Grzegorz — Jakem Duracki nie boję się niczego.

Gdy Grzegorz wymówił swoje nazwisko obaj jego przeciwnicy zamilkli nagle, spojrzeli na siebie znacząco i wyszli z karczmy. Grzegorz myślał, że szlacheckie jego nazwisko napędziło im takiego boja i już w duchu rozmyślał, jakie to wielkie znaczenie ma ładne nazwisko, skoro nawet tacy zawadiacy ulękli się jego brzmienia; gdy w tem obaj jego przeciwnicy zaszli go niespodziewanie z tyłu i silnemi postronkami ręce i nogi związali. Grzegorz chciał siłą odeprzeć tę napaść i szamotał się mocno, ale silnie skrępowane ręce nie pozwoliły mu dłużej walczyć z mocniejszym przeciwnikiem, wołał więc ludzi na ratunek. Ale ci zamiast spieszyć mu w pomoc, pomogli obu napastnikom zanieść związanego Grzegorza na jego własny wóz.

— Cóż to za napaść? — krzyczał rozgniewany Grzegorz.

— Mamy cię panie Drapacki — odpowiedział jeden z napastników. Podpaliłeś dwór w Gajowie i ukradłeś podczas pożaru konie ze stajni. Cyrkuł już dawno cię szuka i obiecał dziesięć złotych temu w nagrodę, kto cię żywego do kryminału odstawi.

Grzegorz zastraszony patrzał osłupiałym wzrokiem na obu pijaków.

— Ależ to zapewne jakiś inny Duracki — wołał błagającym głosem.

Napastnicy nie słuchali tego, pobrali konie, wzięli lice do ręki i siadłszy na przodzie, pędem pognali do miasta.

Grzegorz rzucał się niespokojnie na wozie, szamotał się rozpaczliwie, tłumaczył się i zaklinał ale nadaremnie. Słowa jego głuszył turkot spiesznie pędzącego woza. Upadł więc bezsilny na wóz i czekał końca swego nieszczęśliwego trafunku.

Nareszcie po całogodzinnej jeździe zatrzymał się wóz przed karczmą. Grzegorz ponawiał tu jeszcze raz swe prośby i tłumaczenia ale znowu nadaremnie. Bruzda poszedł do karczmy a towarzysz jego został na straży przy koniach.

Tuż obok Grzegorza stał na popasie drugi wóz a na nim siedział jakiś człowiek, podobnie nieszczęśliwy bo także związany. Chciał go Grzegorz zapytać o przyczynę jego uwięzienia, gdy w tem przed karczmą wszczął się nagle wielki hałas. Bruzda pijany wszczął kłótnie a następnie i bójkę z dwoma innymi chłopami.

— To nieprawda, byście wy złapali Drapackiego, krzyczał Bruzda, bo on mnie wpadł do ręki.

— Toż go właśnie wieziemy do cyrkułu, odpowiadali przeciwnicy — a nam prędzej tam uwierzą niżeli wam przybłędom.

I dalej tak wrzała kłótnia. Bruzda i jego wspólnik utrzymywali, że Drapacki, którego na wozie trzymają jest właśnie tym podpalaczem i złodziejem, za którego ich nagroda czeka, a ich przeciwnicy utrzymywali z swej strony, że oni mają prawdziwego Drapackiego.

Bóg wie jaki koniec wynikłby z tej kłótni, gdy właśnie jakby na szczęście nadszedł żandarm. Obie strony przedłożyły mu swoją sprawę. Żandarm dobył z torby papier, na którym opisana była dokumentnie cała postać poszukiwanego Drapackiego, porównał obu uwięzionych imienników i kazał Bruzdzie opuścić powrozy z więźnia, a przeciwnej stronie zawieść prawdziwego podpalacza do cyrkułu.

Bruzda i jego towarzysz stali ogromnie zdziwieni i zmartwieni.

— A to wymknęło się nam z ręki dziesięć złotych, rzekł Bruzda.

— Nie darujmy tego, rzekł jego towarzysz, wieźmy go do cyrkułu a zapłacą nam za stracony dzień.

Grzegorz obawiał się by go jeszcze gorszy wstyd nie spotkał, gdyby go przez miasto jak złodzieja wieźli. Dał więc Bruzdzie dziesięć złotych, a ten za to uwolnił go z więzów i puścił do domu.

Grzegorz nie jechał już na odpust, ale wracał do domu. Gdy znowu nadjechał do tej karczmy, gdzie się spotkał tak nieszczęśliwie z Bruzdą, wybiegli wszyscy ludzie i puścili się za nim w pogoń z krzykiem:

— A toć to ten sam podpalacz i złodziej Drapacki co go Maciej i Kuba do cyrkułu powieźli. A to hultaj, kiedy się im z ręki tak sprytnie wyśliznąć potrafił. Łapajcie! łapajcie!

I zewsząd zbiegali się znowu ludzie i biegli za Grzegorzem, a ten uciekał co tchu, przeklinając tę godzinę, w której podał się do Namiestnictwa o zmianę nazwiska, ślubując Bogu że zbuduje kaplicę, jeżeli tylko ujdzie szczęśliwie tej napaści.

Ludzie widząc że galopujących koni nie potrafią dogonić, wrócili do domu, Grzegorz odetchnął swobodniej.

Ale dzień dzisiejszy był już dla Grzegorza aż nadto nieszczęśliwy. Uciekając szybko przed pogonią, puścił rącze konie na oślep, a te zamiast iść prostą, bitą drogą skręciły na bok na prywatny gościniec. Grzegorz miał teraz do domu zamiast trzech aż siedm mil opętanych.

Dojeżdżając do jednej wsi usłyszał Grzegorz zdala donośny huk dzwonów a zbliżywszy się do niej zobaczył wielki orszak pogrzebowy. Mnóstwo chorągwi powiewało w powietrzu, za niemi szedł ksiądz w żałobnym ornacie, a za nim

tłum ludzi. Każdy z nich był smutnym, z oka wyzierała rzewna łza.

Grzegorz zlazł z woza, przeżegnał się nabożnie i rzekł do jednego chłopa z orszaku.

— A czyj to pogrzeb kumie?

— A cóż to nie wiecie, odpowiedział mu smutny wieśniak, że umarł nasz pan, Jan Świnka? To jego dziś do grobu odprowadzamy.

Usłyszawszy to nazwisko Grzegorz omal że głośnym śmiechem nie parsknął. Ale pomiarkował się prędko, przeżegnał się jeszcze raz nabożnie, by odpędzić tę pustą myśl i przyłączył się do orszaku. Ale wieśniak dostrzegł dobrze, że się Grzegorzowi na śmiech zbierało, rzekł więc do niego:

— A to wy zapewnie z gór przybyli, żeście o naszym panu nic nie słyszeli? Śmieszy was nazwisko, bo nie znacie ani nieboszczyka ani jego przodków, o których dowiedzieć się można z historyi polskiej; ale wy widać do książek nie zaglądacie.

Po tych słowach odszedł. Grzegorz tak mocno się zawstydził, że radby był pod ziemię się schować. Szedł więc sam jeden na boku aż na cmentarz. Tu ksiądz przemówił bardzo ładnie do ludu. Grzegorz dowiedział się o wielkich cnotach nieboszczyka i za każdem słowem rumienił się ze wstydu, że tak niepotrzebnie zaparł się swego nazwiska.

Całkiem innym człowiekiem stał się Grzegorz, gdy do domu powrócił. Pisarz Piórko chodził ciągle za nimi mówił do niego zawsze „panie Duracki,“ ale Grzegorz zgromił go za to tak dzielnie, że pan pisarz o dziesięć kroków już go omijał. I zawsze odtąd, kiedy tylko tego potrzeba wymagała i sposobność była, podpisywał się dużemi literami: **Grzegorz Durak.**

Jacek Szlachetka gdy się dowiedział o tych wszystkich przypadkach niefortunnych Grzegorza krzyczał przed całą gromadą:

— Wyjechał Durak a przyjechał dureń.

Ale przyszła kreska na Matyska. Wkrótce potem bowiem ta sama gromada poważała Grzegorza a śmiała się i pogardzała Jackiem Szlachetką za to, że gdzieś w cudzym lesie szkodę narobił i za karę w areszcie długi czas odsiedział.

Otóż widzicie że nazwisko nic nie znaczy, chyba jeżeli je człowiek jakim uczynkiem bezbożnym sam zohydzi.

Pszczelnictwo.

Dokończenie.

Kto zatem chce przez lato hodować rojów ośm, lub dziesięć, ten niechaj na jesień wybierze cztery najlepsze roje, to jest te, które mają najwięcej pszczół i najwięcej miodu; niechaj ich nie podbiera i zostawi na zarodek. Roje takie powinny być młode, to jest tegoroczne, najpierwsze, a przynajmniej dwuletnie. Im starszy jest rój, tem łatwiej zalęgają się w nim motylice bo susz w plastrach dwuletnich lub trzyletnich czernieje, robactwo łatwiej się w nim zalęga niżeli w młodym i białym suszu.

Takie cztery roje, przechowane w spokojnem miejscu pod strychem, gdzieby im ani za zimno ani za gorąco nie było, dadzą na wiosnę po dwa roje i to wcześnie przed Św. Janem, albo zaraz po nim, a te młode roje będą miały czas do nazbierania miodu i wosku. Pozostałe sześć słabszych rojów albo sprzedacie jeżeli na żywe znajdzie się kupiec, albo też nazbieracie bedłków zwanych purchawkami, podkurzycie niemi pszczoły, a one usną i opadną na ziemię, nieżywe, a wszystek po nich miód i susz pójdzie na korzyść waszą.

Z pszczołami waszemi tak samo postąpicie jak i innym waszym dobytkiem. Wszakże jeżeli miarkujecie, że nie wyżywicie przez zimę wszystkiego inwentarza, to najlepsze sztuki zostawiacie dla siebie a słabsze i starsze przedajecie, lub zabijacie i zjadacie. Byłżeby rozumnym taki gospodarz, któryby

wszystkie przychówki zostawił na zimę, cały inwentarz ogłodził, schudził i jeszcze wydał ostatnie pieniądze na zakupienie paszy? Zapewne że nie. Otóż tak samo nierozsądnie postępuje z pszczołami ten, kto sam, albo spuszczając się na jakiego pszczolarza, podbiera wszystkie roje, zostawia na zimę i mocniejsze i słabsze a potem gdy mu pszczoły zmarnują się i roić nie chcą, bo na wiosnę nie miały czem żywić się, narzeka, że mu się pszczoły nie wiodły i wszystkie nareszcie zatraci.

Do tych rad dodam jeszcze że chociaż nie podbierzecie miodu waszym pszczołom, może zdarzyć się że ich trzeba będzie karmić z pozimku, a to wtedy, gdy zima będzie ciepła a wiosna przez długi czas mroźna, tak że dopiero po Św. Pankracym, Serwacym i Bonifacym zaczną kwitnąć drzewa i rośliny na polach i łąkach. Zdarza się toż samo około Ś. Jana, kiedy w ulu pełno jest czerwiu już wylęgującego się a przez kilka tygodni trwają słoty, tak iż pszczoły nie mogą wylecieć na paszę, wtenczas najwięcej potrzebują karmu i z głodu wymierają.

Do karmienia bierze się czysty miód, byle tylko nie zaprawny mąką i nie od pszczół zarażonych zgnilcem; trochę rozrzedza się wodą, leje się w korytko i stawia się przy roju nad wieczorem, żeby pszczół rozbójniczych nie przyciągnąć. Na dzień trzeba korytko uprzątnąć i nie porozlewać miodu po desce przed koszką, bo to ściąga rozbójnicze pszczoły. Można także miód wpuścić do ula otworem zrobionym w górnem nakryciu, który zwykle jest zatknięty szpuntem. Wyjmuje się szpunt, otwór pokrywa się płatkiem albo papierem, kładzie się miód na nim i w ul wpuszcza, a potem przyciska się szpuntem. Pszczoły poczują miód i wybiorą go co do szczętu.

Rozmaitość źródeł.

Szczęśliwy kto nad pięknym, bezpiecznym brzegiem morskim zamieszkał, bo nie wyczerpana obfitość ryb i innego

zwierza dostarcza mu pożywienia, a śmiałemu żeglarzowi świat cały stoi otworem; duch przedsiębiorczy i skrzętna zabiegłość, dogodną ma tu sposobność do nabycia dóbr i skarbów, ze wszystkich krajów całego świata. Szczęśliwy także osadnik nad brzegiem wielkiego spławnego strumienia, rybak żyje tu z rybołostwa, ogrodnik i rolnik z łatwością swoje płody na wielkich pozbywają targach, przemysłowiec i kupiec z rozległego i ożywionego ruchu handlowego wielkie odnoszą korzyści. Ale i ten szczęśliwy, kto się nad źródłem w dobrą wodę obfitem, osiedlił. Czem jest morze dla całej ziemi, a strumień dla kraju, tem źródło dla domu; jest to skarbnica nieoceniona. Gdzie nie ma wody, tam najlepszego nie dostaje dobra.

Bez naturalnego źródła, albo kunsztowie wykopanej studni, dobrze urządzonego gospodarstwa domowego, rolnego lub ogrodnictwa zakładać zbyt trudno, bo woda nieodbicie do wszystkiego potrzebna. I piwo składa się z wody, i najlepsze wino ma na 100, 80 części wody. Świeżo udojone mleko zawiera w sobie 90 części wody, 4 masła, 4 sera a dwie części cukru; owoce, jarzyna, zboże, drzewo, wszelkie rośliny, powiększej części składają się z wody i samo nawet nasze ciało więcej jak w połowie stanowi woda. Używamy jej nie tylko do picia, ale i do prania, gotowania: dobra woda jest pierwszym warunkiem życia, ochędóstwa i uprzyjemnienia naszego bytu w świecie.

Woda jednakże jest rozmaita: inna w morzu, inna w rzekach i w każdem szczególnem źródle odmienna. Ta rozmaitość pochodzi albo od połączenia się jej z rozlicznemi ciał cząstkami, i z rozpuszczenia się w niej różnych materyi. Woda ma własność rozpuszczania wielu ciał n. p. soli kuchennej, cukru i t. p.; jednakże rozkłada ona i twarde kamienie, wapno, a nawet i krzemień. Wiemy że krople wody kamień wydrążają. Nie dzieje się to przez uderzenie spadającej kropli, jak za pomocą kuli, młotka lub dłuta, ale przez rozpuszczanie się kamienia, przy ciągłem spadaniu kropel, a więc przez wielką ilość wody. Myjemy sobie ręce w wodzie, bo ona brud rozmiękcza i rozpuszcza; z tej samej przyczyny piorą się w wodzie

suknie, materye, bielizna. Gorąca woda jeszcze lepiej niektóre ciała rozpuszcza, dlatego gotujemy pokarmy na miękko, a pożywne cząstki mięsa wygotowane, dają nam pożywne rosoły.

Woda zaś po ziemi spływająca, wsiąka w nią, lub przez szpary, rozpadliny i wydrążone kamienie i skały przeciska się, i wtedy rozpuszcza sole, wapno, krzemionkę, żelazo, miedź i wszystko, co się daje rozpuścić; a woda źródlana zbierająca się w miejscach obfitujących w wymienione ciała, mniej więcej napojona jest ich cząstkami, są więc źródła wody słonej żelaznej, wapiennej i t. p.

Źródła czystej wody, jakie na wysokich górach napotykamy, jeżeli z deszczu i śniegu powstały, mają wodę miekką, dobrą do prania i do gotowania. Im dłużej jednak przez podziemia przepływa, tem więcej nasyca się cząstkami ciał spotkanemi na drodze i przez to staje się nieczysta i twarda. Źródła u stóp wysokich gór, i studnie na dolinach mają zwykle twardą wodę; ta najłatwiej rozpuszcza wapno, dlatego źródła w górach wapiennych i gruncie obfitującym w wapno twardej pospolicie dostarczają wody.

Jeżeli woda przez dłuższy czas w naczyniu stoi w spoczynku, lub w rzekach i strumykach w nieprzerwanym jest ruchu, wtedy wiele cząstek z rozpuszczonych ciał na dnie osadza, i znowu staje się miękka i w takim więc razie woda rzeczna, błotem, gliną albo innem jakiem ciałem zanieczyszczona, jako miękka do gotowania i prania użyta być może.

Woda przez krzemionki i kwase przechodząca bardzo mało ich rozpuszcza; ztąd źródła z piaskowych i kwarcowych skał bijące, najczystszej dostarczają wody. Nieczystą nawet lub twardą, można oczyścić czyli filtrować za pomocą piasku, bo przez to rozpuszczone albo pływające w niej cząstki błota i gliny opadają a woda czystą odpływa.

Wykopywane studnie, są podobnie kunsztownemi tylko źródłami, i według właściwości gruntu dostarczają tu miękkiej, tam twardej, tu słodkiej, a gdzieindziej słonej wody. To wszystko daje się dostatecznie wytłómaczyć, ale jest znowu wiele tajemniczych źródeł i studzien, nad których istnieniem

nie mało sobie głowy nałamano. Zkądże bowiem pochodzą ciepłe i gorące źródła? Kto je rozgrzewa, rozpala? Źródła w Cieplicach (Teplitz) w Czechach mają 20 do 27 stopni ciepła. Źródło w Gastein wysoko w górach leżące, źródło tryskające w Karlsbadzie, źródło w Lasnothe we Francyi 60 do 70 stopni ciepła okazują. Źródło Geiser w dalekiej północy na wyspie Islandyi, wodę wrzącą na kilkadziesiąt stóp w górę wyrzuca.

Kto te źródła napełnił ogromną obfitością wody?

Główne źródło w Cieplicach dostarcza co godzina 805.000 stóp sześciennych wody, źródła zaś Karlsbadzkie codziennie 128.212 wiader wody wylewają. Ciepłych i gorących źródeł kilkaset już na naszej kuli ziemskiej naliczono.

Któż tak ogrzewa te źródła od niepamiętnych czasów że wedle uzasadnionych powodów zawsze tę samą okazują gorącość? W Karlsbadzie odkryto źródła w r. 1335; w gorących wodach w Akwisgranie kąpał się Karol Wielki przed tysiącem lat, a w ciepłych kąpielach w Mont d'or (Mą-dor) w południowej Francyi kąpał się Juliusz Cezar, sławny wojownik rzymski, przed Narodzeniem Chrystusa, a zatem prze szło przed 1860 latami.

Górnicy odpowiadają nam na to pytanie. Oni najgłębiej wkopawszy się we wnętrze ziemi, mówią że ciepło ziemi (o czem się łatwo co zima w piwnicy przekonać można), w miarę powiększającej się głębokości przybiera, i to za każdem zniżeniem się o sto stóp prawie, przybywa jeden stopień ciepła; ztąd więc wnoszą uczeni badacze natury, że we wnętrzu ziemi jest ciągły żar gorejący, roztopionym niejako metalem i gorejącemi rodzajami powietrza (gazami) otoczony. Tu zapewne jest przyczyna gorących i ciepłych źródeł i wybuchu ogień wyrzucających gór.

Źródła są wielkiem dla ludzi dobrodziejstwem. Do wód mineralnych i źródeł uzdrawiających, corocznie tysiące się chorych wybiera, i tamże odzyskuje zdrowie; ale i wszelkie źródło czystej wody jest dla nas zbawienne, za co Bogu dziękować powinniśmy, i każda studnia czystej wody przyczynia

się do utrzymania nas w czerstwości, dlatego błogosławiony niech będzie, kto ją dla swych dzieci i dalekich prawnuków na użytek zostawił.

Ile warte jedno zaczerpnięcie ustami wody, tylko na próżno złakniony na puszczy, wie o tem jedynie.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Winna macica.

Drzewa w dniu stworzenia, chełpliwie przesadzały się jedne nad drugie w pochwałach własnych.

— Mnie Pan zasadził, mówił cedr wzniosły, moc i zapach, trwałość i siłę, to wszytko we mnie połączył.

— Z łaski Jehowy błogosławieństwo przynoszę, tak przemawiała palma, pożytek z pięknością zjednoczył on we mnie.

— Jabłoń mówiła: Jak róża między cierniami, tak ja wznoszę się między swojem rodzeństwem, nizkiemi krzakami.

Tak się wszystkie przechwalały, i oliwne i figowe drzewo, nawet sosna i jodła miały się z czego pochełpić.

Jedynie tylko winna macica milczała, i schylona ku ziemi, rzekła do siebie: Mnie jak się zdaje, wszystkiego odmówiono, i pnia i gałęzi, kwiatu i owocu; lecz jakkolwiek słaba, niedołężna, będę czekać i mieć nadzieję. — Rozpłakana padła na ziemię.

Nie długo płacząc czekała; bo bóstwo opiekuńcze ziemi, przyjazny człowiek przystąpił do niej, a widząc słabą roślinę, jako igraszkę swawolnych wiatrów zemdloną, i wzywającą cudzej pomocy, z litości podniósł ją i rozpiął tę delikatną krzewinę w około swego w ogrodzie chłodnika. Weselej teraz igrały z jej latoroślami wietrzyki; żar słoneczny przeniknął teraz jej twarde, zielone ziarna, sposobiąc w nich sok miły, napój dla niebian i ludzi. Strojny teraz w przepyszne grona, skłaniał się wdzięczny szczep winny ku swemu panu, a ten wziąwszy do ust grono pełne orzeźwiającego soku, nazwał go swoim przyjacielem. Dumne drzewa zazdrościły teraz słabej latorośli, bo nie

jedne z pomiędzy nich były już bez owocu; a ona chełpiła się ze swojej smagłej postaci i wytrwałej nadziei. — Dla tego dotąd jej sok rozwesela serce człowieka, upadłemu na duchu dodaje odwagi, a smutnego orzeźwia swoim uroczym nektarem.

Ty co poczytujesz się za opuszczonego„, nie rozpaczaj i wytrwaj cierpliwie!.. Niepozorna trzcina cukrowa najsłodszy sok z siebie wysącza; słaby szczep winny użycza natchnienia i w zachwycenie wprawia.

RÓŻNOŚCI.

Wieże kościoła farnego w Chełmnie. W mieście polskiem Chełmnie nad Wisłą, w Prusach zachodnich jest kościół farny bardzo piękny, ale jedna jego wieża jest zupełnie niewykończoną. Dlaczego budowniczy tej drugiej wieży nie dokończył, tego nikt nie wie, lud zaś opowiada o tem następujące podanie. Budowniczy przyrzekł że w pewnym oznaczonym czasie tę wieżę wystawi, ale gdy czas się zbliżył, a on spostrzegł, że mu będzie trudno przyrzeczenie spełnić, kazał robotnikom w niedziele i święta pracować, aby tylko zamierzone dzieło wykonać. Jakoż w dniu oznaczonym wieża stanęła. Zgromadził się lud wierny aby być przytomnym poświęceniu, gdy w tem zaszumiało w powietrzu i oto zdumiony lud zobaczył anioła z ognistym mieczem, z nieba przybywającego, a ten anioł zapalił niedawno skończoną wieżę, tak iż zgorzała, druga jednakże wieża i kościół sam żadnej nie poniósł szkody. Gdy później chciano na nowo wykończyć wieżę, wtedy piorun zniszczył budowę, tak że po dziś dzień wieża nie jest skończona. Podanie to zawiera naukę, aby nie gwałcić dni świętych, a niestety, dziś tak często dni święte ludzie znieważają. Niechże to podanie o kościele chełmińskim przypomni im, że kiedyś anioł z ognistym mieczem zapędzi ich na miejsce potępienia.

Pewny środek na zatrzymanie krwi ciekącej z nosa jest że trzeba rękę na odpowiedniej stronie prosto do góry podnieść i głowę prosto trzymać.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 8.
11 września 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ksiądz biskup Ludwik Łętowski.

Niedawno, dopiero kilka miesięcy temu, wielka panowała radość w murach Krakowa, bo zasłużony i wielce poważany biskup, ksiądz Ludwik Łętowski, odprawiał sekundycyę czyli mszę pięćdziesięcioletnią na pamiątkę, iż mu Bóg dozwolił przeżyć szczęśliwie lat pięćdziesiąt w stanie kapłańskim. Po zwykłej uroczystości w kościele, weselił się ksiądz biskup z zaproszonymi gośćmi w swoim domu, w którym nie pominął także ubogich i stu zaprosił do hojnie zastawionego stołu.

Lecz jakże smutno zrobiło się na dniu 25. sierpnia b. r. w starożytnym grodzie! Karty poprzebowe doniosły wieść smutną, że wielki dostojnik kościoła zakończył doczesny żywot.

Tłumy ludzi spieszyły oglądać martwe zwłoki, by przy nich pomodlić się za czcigodną jego duszę. W czarno obitym pokoju leżał szanowny jubilat w miedzianej, po wierzchu wy-

złacanej trumnie, z śrebrzystą infułą na głowie, w ornacie złotem tkanym, w białych atłasowych, również wyzłacanych trzewikach; na rękach miał fioletowe rękawiczki trzymając krzyż złoty. W około trumny gorzały świece — na prost był utworzony ołtarzyk z wizerunkiem Zbawiciela Pana, przy którym odmawiał modlitwy kapłan a opodal klęczały zakonnice i szeptali pacierze pobożni wierni, wpatrując się pilnie w miłą, mało co zmienioną twarz dostojnego staruszka.

Kto był przy trumnie a znał życie tego znakomitego męża, ten pewnie pomyślał sobie, że mało jest ludzi, którzyby łaską Bożą i pracą własną tak wysoko stanęli w narodzie; pomyślał sobie, że mało takich, którychby tak dziwnie w życiu prowadziła opatrzność Boża! Bo posłuchajcie cokolwiek o życiu jego!

Urodził się dnia 15. września 1786 r. we wsi Tarnawaczce w ziemi przemyskiej, w owym prawie czasie, kiedy niezadługo Polska rozebraną być miała. Dzieckiem będąc okazywał niepospolitą dobroć serca i w wysokim stopniu religijne usposobienie. Od wszystkich w domu był bardzo kochanym, tembardziej jeszcze, że się uczył wyśmienicie. Oddano go później do szkoły wojskowej gwardyi galicyjskiej w Wiedniu, gdzie się uczył wyższych rachunków i tego, co do stanu wojskowego jest potrzebnem.

Jednakże w roku 1809 opuścił Wiedeń i wstąpił do pułku dragonów udając się na wojnę. Miał wtenczas lat dwadzieścia i kilka. Po skończonej wojnie przybywa on do Krakowa, zastaje tu polskie wojsko pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, wstępuje więc w jego szeregi i w przeciągu jednego roku zostaje kapitanem. Jeździ po kraju, zbiera plany, wymierza drogi, rzeki.... W roku 1812 odbywa wielką kampanię, w Wilnie dostaje się do niewoli, którą mu drugi raz przerywa służbę wojskową. W roku 1814 przybył do Warszawy i po kongresie wiedeńskim wstąpił do sztabu W. Księcia Konstantego w czasie nowo ogłoszonego królestwa polskiego. Wszelakoż po dwóch latach nowej służby obrzydza sobie stan wojskowy, a uczuwszy w sobie

młodociane usposobienie religijne, występuje z szeregów, jedzie do Kielc, przedstawia się księdzu biskupowi Wojciechowi Górskiemu, który znał jego rodziców, i prosi o przyjęcie do seminaryum.

Ksiądz biskup słysząc nieraz o Łętowskim jako dzielnym i światowym oficerze, zadziwił się mocno i mówi do niego:

— Rozumiałem, że jegomość przyjechał po dyspenzę od zapowiedzi a jegomość na księdza?

Łętowski powtórzył jeszcze raz życzenie swoje i był przyjętym do nowicyatu. Szlachetnem postępowaniem i wzorową pracą i tu znowu zjednał sobie szacunek nie tylko u kolegów ale i u przełożonych swoich i po roku wyświęconym był na księdza. Mając wielkie u wszystkich zaufanie jeździ do Warszawy w klasztornej sprawie; w roku zostaje proboszczem w Końskich, niezadługo w Stobnicy, ztamtąd wnet go bierze do siebie krakowski biskup Woronicz, robi go asesorem w konsystorzu, komisarzem biskupim do klasztoru PP. Franciszkanek w Krakowie. Następnie zostaje członkiem komitetu budowy pomnika dla Kościuszki, deputowanym na sejm Warszawski; niebawem wykłada nauki duchowne w seminaryum kieleckiem a w cztery lata zostaje marszałkiem sejmiku powiatów stobnickiego i szydłowskiego, otrzymuje stopień kanonika w katedrze krakowskiej. W tym czasie osiada w Krakowie, pełni swoje obowiązki a zaszczyty coraz nowe sypią się rok po roku jak z rękawa. Zostaje senatorem Rzeczy pospolitej krakowskiej, doktorem świętej teologii, prezesem szpitalów krakowskich dla wojskowości, prezesem domu roboczego, kustoszem katedralnym, prezesem towarzystwa dobroczynności, zarządcą szkółek okręgowych, zastępcą komisarza rządowego nad wszystkiemi zakładami naukowemi, członkiem towarzystwa naukowego krakowskiego. Otrzymuje rozmaite oznaki za swoje zasługi; zostaje kawalerem orderów Wielkiego krzyża św. Stanisława, korony żelaznej II. klasy i wielu innych — za czyny polityczne i cywilne.

W roku 1841 zostaje administratorem jeneralnym dyecezyi krakowskiej, wikaryuszem apostolskim a w cztery lata

wyświęca się na biskupa jopejskiego Niebawem zostaje dziekanem katedry krakowskiej, prezesem komitetu sierotek płci żeńskiej i dostępuje wielu innych tytułów.

Pomimo takich godności, jakie piastował, był zawsze uprzejmy, skromny, przystępny i wszędzie zapobiegliwy. Nieraz mogłeś samego, pojedynczo ubranego staruszka widzieć na plantacyach jak się przechadzał a zawsze był z miłym uśmiechem na ustach, zawsze zamyślony, bo niejedna mądra książka wyszła z jego głowy. Nie zrażał on się ogromem pracy, jakiej wymagały rozliczne jego urzędowania, ale w chwilach sposobnych zastanawiał się nad dziejami naszemi, nad pamiątkami miasta Krakowa i pisał mądre księgi. Wszędzie w nich język piękny, bo to mowca i kaznodzieja był wielki. Oprócz wielu drobnych jego książek najznakomitsze są: *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich*, 4 tomy; potem ogromna księga: *Katedra na Wawelu*, w której opisuje wszystkie ciekawe rzeczy o kościele na zamku.

Tak to własną a żelazną pracą i wytrwałością doszedł ksiądz biskup Łętowski do takiej wysokiej nauki i do takich wielkich godności.

O pismach jego tak pisze jeden uczony:

— Nie jedno zdanie i sąd o dziejach zapisany w księgach biskupa Łętowskiego, rozbierać będą późniejsze czasy, biorąc naukę dla siebie, a wtedy jeszcze, gdy pastorał już rozsypie się w trumnie w martwej ręce zacnego kapłana, to co mądrego zrobił i napisał, potomnym świecić będzie.

Kochał ojczyznę swoję gorącem sercem, służył jej ochoczo czynem, słowem i piórem a nadto wspierał ubogich, dopomagał im cichaczem a jak dbał o nieszczęśliwych, dowodzi czyn piękny, gdy w 1853 r. założył ochronkę dla zaniedbanych dzieci z przedmieścia Kazimierza pod wezwaniem św. Elżbiety. Lecz gorąca miłość bliźniego i gorliwość w chwale bożej były dlań pobudką do piękniejszego czynu. W 1859 r. zakupił pustki niegdyś kościoła śś. Szymona i Judy na Kleparzu przy Krakowie, założył z nich i uposażył zakon Sióstr

miłosierdzia z nowicyatem. Co więcej zdziałał, widział on sam i Bóg w niebiesiech.

Takich cichych cnót kapłanem chlubił się Kraków, czcił go wysoko, to też każdy, kto stanął przy trumnie czcigodnego nieboszczyka żałował zgonu jego, chociaż 82 lat przeżył na świecie a przeszło 50 pracował gorliwie w winnicy pańskiej. I któżby był pomyślał, że ten, który dzierzył pałasz, w tak późnym wieku z pastorałem w ręku umierać będzie?..

O! dziwne jest kierownictwo Opatrzności Bożej! Kiedy na dniu 27. sierpnia dzwony stolicy razem z sławnym Zygmuntem na Wawelu żałobnym ozwały się głosem, tysiące ludzi zaległy plac przy zamku, bo w tem miejscu mieszkał ksiądz biskup. Wystąpiły wszystkie cechy z chorągwiami, wszystkie klasztory męzkie, niektóre żeńskie, wszystkie bractwa, zakłady ubogich, ochronki obojej płci, księża świeccy miejscowi i okoliczni pod naczelnictwem W. księdza kanonika Scypiona, a i ludu wiejskiego nie brakowało z okolicy Krakowa.

Trumnę niesiono z ulicy kanonnej ulicą grodzką na zamek do katedry, gdzie ją złożono na wyzłacanym katafalku. Rozpoczęły się wilije, potem msze święte jedna za drugą od pół do dziewiątej do jedynastej godziny przed południem, mowa pogrzebowa i inne ceremonie pod przewodnictwem księdza biskupa Gałeckiego, nakoniec przeniesiono zwłoki nad otwór grobów biskupich w katedrze; ksiądz biskup je pobłogosławił i tamże zostały złożone tymczasowo, ponieważ mają być przeniesione do klasztoru założyciela.

Tak przeżył i zakończył znakomite a nauczające życie ksiądz Ludwik Ogończyk z Łętowa Łętowski, żołnierz, profesor, senator, biskup, mowca i pisarz! Uczmy się z życia jego pracy i wytrwałości, szlachetności i miłości bliźniego i módlmy się za czcigodną duszę jego, która po tylu zasługach poszła po nagrodę do niebieskiego Pana. Oby nam Bóg pozwolił więcej mieć takich biskupów i takich znakomitych ludzi, którzyby służyli kościołowi, nauce a krajowi byli pociechą!

Śmierć tego wielkiego męża jest stratą dla kościoła, nauki i całego narodu.

Pokój popiołom jego!

Józef z Bochni.

Powrót z odpustu.

Poszedł Stach na odpust do blizkiego sioła,
Zeszedł się z kumami, nie wszedł do kościoła:
Lecz trafił do karczmy, gdzie pełno gawiedzi,
Zaraz się więc brata, do wieczora siedzi.
Pije gorzałczysko, przytem mówi wiele,
I zapomniał biedak, że on nie w kościele.
W końcu przecie skrucha tak go owładnęła,
Że mu głowę silnie do ziemi nagięła.
Przewraca się Staszek, głową bije szczerze,
I pod nosem mruczy niby to pacierze....
Wreszcie zniknął z karczmy, szedł i wpadł do chrustu,
I aż rano poznał, że wraca z odpustu.
Cały poplamiony, cały podrapany,
A bucików nie ma i nowej sukmany.
Wyśmiał go też sąsiad, gdy go szukał w chruście:
Szczęść ci Boże, Stachu! po takim odpuście!...
Kto jak Staszek, bracia, po odpustach chodzi,
Ten nie tylko duszy, ale zdrowiu szkodzi.
Tego każdy człowiek wyszydzi, wyśmieje,
Z tego korzystają z pewnością złodzieje.
Kiedy chcesz się modlić, idź jak człowiek prawy,
Ale na odpuście nie szukaj zabawy;
Tylko lenie bracia drogie chwile trwonią —
Chodzą do kaplicy, gdzie kieliszkiem dzwonią.

Józef z Bochni.

Morze.

Ziemia jest piękna, a jej największą pięknością jest morze. Kto się wspaniałym górom, powabnym dolinom, zielonym lasom i kwiecistym łąkom, strachem przejmującym parowom i śmiejącym się niwom, do sytości napatrzył, a stanie nad morzem, tego zdumiewa i orzeźwia widok tej kołyszącej się, dziwnej w wzbieraniu i opadaniu, niezmierzonej wód płaszczyzny, która w zaledwie dojrzanej oddali przypiera do niebios sklepienia, i w niem się niejako rozpływa, a złudzonemu tem widowiskiem oku, zdaje się, że nie trudno byłoby nietylko dostać się na wynurzające się niejako z głębi toń morskich słońce, na księżyc i gwiazdy, ale nawet ująć je rękami.

Kto tylko choćby i największe rzeki, stawy i jeziora widział, ten jeszcze nie pojmie wrażenia, jakie widok morza na zdumionym wędrowcu wywiera. Rzeka, staw i jezioro mają widoczne brzegi i granice; na wybrzeżu zaś morskiem rodzi się w nas myśl niczem nieograniczonej nieskończoności. Rzeki są często mętne, błotniste; ze stawu wybłyska dno jego; jeziora są to rozległe i głębokie stawy; morze tylko zawsze jest czyste i jasne, są to święte, pierwotne, niezmienione wody od chwili w której z woli Wszechmocnego powstały: nic ich nie zamąci, nie skala, pomimo naniesionego przez rzeki kału, pomimo straszliwych burz olbrzymie miotających fale w spienionych bałwanach. Wszelkie naniesione rzekami nieczystości i błota, prędko opadają w głębiach morza, w pobliżu jego brzegów, a tak niezmierzone są jego przepaście, że dotąd żadna jeszcze ołowianka ostatecznego nie dosięgnęła w niem gruntu; bo ani liny, ani drutu metalowego niepodobna w takiej sile dokonać, żeby się własnym wprzódy nie zerwały ciężarem, nim najgłębszego dna dosięgną.

Tak więc morze nie ulega zepsuciu, jest niezgruntowane prawie nic do poskromienia, a przecież w swojej niepohamowanej w niczem swobodzie i potędze, bywa od czasu do

czasu ciche, łagodne, powolne, cierpliwe. Wyrównywa wtedy swoje ponuro poorane oblicze, na jasne zwierściadło błyszczące jak gwiazdeczki uśmiechajacego się dziecięcia; igra z pochylonemi nad jego brzegiem kwiatami, a jaskółka swobodnie nad niem ugania się za muchami; rośliny morskie występują z głębi, i w promieniach słonecznych roznosząc wonie, roztaczają swoje różnobarwne kwiaty, a stęskniony wzrok ciekawie upatruje pluskania srebrem i złotem lśniących wodnego państwa mieszkańców. Wtem nagle nieogarniony wód przestwór podnosi się, wzdyma, a silniejszy, ogromniejszy bałwan zalewa suchy piasek, i w coraz to większych falach, rozpływa się po brzegach, a po sześciu godzinach wznosi się woda na kilka sążni wysoko, i w milowych przestrzeniach pokrywa sobą płaskie wybrzeże, i daleko w ląd wszelkie statki zapędza.

Oniemiały prawie z zdumienia wędrownik, poraz pierwszy patrzy na biegnące w czasie wezbrania fale morskie na przyległe brzegi. Nagle jakby złamany w swej sile Ocean, staje niby zagłębiony w myślach, i wygładza swoje zwierciadlane oblicze. Teraz znowu zdaje się, jakby raptownie wyschnąć miało, albo zapaść się w niezgłębionych przepaściach; fale usuwają się spiesznie od brzegów, piasek coraz to bardziej odsłania się zdumionemu oku, i tak przez następne 6 godzin dalej i dalej usuwa się, dopóki nie dójdzie do dawnego a najgłębszego stanowiska, aby znowu grę wzrastających fali na nowo rozpocząć.

Czyliż morze ma właściwe sobie życie, i na podobieństwo wężów pierścienie fal zatacza? Czyliż się wznosi i opada jak uderzenie skrzydłem dzielnego orła? Cóż jest przyczyną szczególniejszego zjawiska wzbieraniem i opadaniem morza zwanego? Przyciąganie księżyca, odpowiadają nam uczeni badacze.

Kuleczka żywego srebra, zbliżona do drugiej, zlewa się z nią w jedną całość; podobnież dwie krople wody na zakurzonym, lub tłustością przesiąkłym stole, blisko siebie leżące, przyciągają się do siebie i łączą się z sobą. Krople deszczu zawieszają się na szybach okien, bo szkło przyciąga do siebie kropelki wody; ale wielkie krople ściekają po prostopadłej

szybie, bo je i ziemia przyciąga. Dlatego i deszcz spada z chmur na ziemię; ona bowiem z przyczyny swego ogromu i wielkiej masy wszystko gwałtownie do siebie porywa. Kamień pionowo w powietrze rzucony spada na powrót, czyli ziemia silnie go do siebie przyciąga. Jeżeli zaś kamień ze szczytu wysokiej wieży na dół spuścimy, to on prostopadle spadnie na ziemię; rzucony zaś poziomo z wysokiego miejsca, biegnie ku ziemi w obłączastym kierunku. Spadające ciała w pierwszej sekundzie 15 stóp ubiegają, w drugiej 30, w trzeciej 45 stóp, i w tym stosunku w każdej sekundzie, coraz to prędzej do ziemi pospieszają. Są jeszcze inne rodzaje przyciągania się ciał między sobą: i tak magnes przyciąga żelazo, a potarta laska laku, drobne okrawki papieru. Przyciąganie się ciał wzajemne, jest powszechnem prawem natury, tak więc ziemia nie tylko wypuszczony z rąk kamień, ale i mniejsze meteory (zjawiska nadpowietrzne), znacznie do niej zbliżone, a nawet i księżyc na 50 tysięcy mil od kuli naszej odległy, silnie do siebie przyciąga.

Ciała przyciągają się wzajemnie, dlatego i księżyc ziemię, a słońce, ziemię i księżyc i wszystkie planety przygarnia ku sobie. Na mocy tej ogólnej własności ciał, i obieg księżyca około ziemi, i tejże około słońca, i wszelki ruch ciał niebieskich, dają się wytłumaczyć, i ich drogi tak dokładnie wyrachować, że uczeni w umiejętności, o ciałach niebieskich, na wiele lat wprzódy te ruchy oznaczyć i wszystkie n. p. zaćmienia słońca i księżyca przepowiedzieć i w kalendarzu jako rzecz nieomylną ogłaszać umieją.

Uczeni ci bystrego rozumu mężowie doszli, że wzbieranie i opadanie morza, stosujące się do ruchów księżyca, są także skutkiem siły przyciągającej. W czasie obrotu ziemi księżyc część ziemi ku sobie zwróconej, a zatem bliższej, silniej do siebie przyciąga, niżeli jej stronę przeciwległą; lekkie powietrze towarzyszy mu wtedy, i tym sposobem sprawia szczególny rodzaj prądu powietrznego, wody naówczas morskie wznoszą się cokolwiek ku niemu, i w ten sposób powstaje ze strony stanowiska księżyca, przypływ, a ze strony przeciwnej ziemi,

opadanie morza. Ten codzienny ruch Oceanu, wielce jest użyteczny, poruszona bowiem woda staje się świeższa niż w stojącem bagnie. Największe jednak korzyści odnosi żegluga. Ta okazuje się w wielkich nadmorskich miastach, a szczególniej w Londynie. Przez to olbrzymie miasto o stu tysiącach domów, a trzech milionach mieszkańców, płynie Tamiza mała aż po to miasto rzeka, dla łodzi tylko przydatna; ale już od połowy tej stolicy ku dołowi na 10 mil od morza Tamiza coraz to bardziej, staje się szersza i głębsza, i największe unosi okręty. To samo już uczyniłoby Londyn wielkiem miastem nadmorskiem, koryto bowiem rzeki od tego miejsca począwszy, na równej prawie z morzem stojąc wysokości, wyborny stanowi kanał. Przybieranie i ubywanie morza, aż do tego miejsca swój wpływ wywierające, największe sprawiają dogodności.

Przybyt pędzi przez 6 godzin wodę morską do rzeki, wznosi ją gwałtownie, i prze do samego Londynu; wtedy okręty z szybkością truchtem idącego konia płyną z morza w górę ku miastu; poczem znowu przez drugie 6 godzin odbywa się opadanie wody. Cokolwiek prędzej niż się wznosiła, odpływa teraz woda do dawnych fal swoich, a wydalające się okręty płyną łatwo i bezpiecznie bez żagli i wioseł do morza. To działanie odbywa się codziennie dwa razy, przybyt wprowadza jedne okręty do portów, a odpływ zabiera drugie za sobą, a tak przeszło 30 tysięcy okrętów po tej drodze corocznie od ujścia Tamizy ma z całym światem stosunki handlowe.

Niektórzy utrzymują, że morze odgranicza kraje i ludy od siebie; było to rzeczywiście niegdyś tam, gdzie nadbrzeżni mieszkańcy nie śmieli go jeszcze opływać; ale teraz morze jest gładkim utorowanym gościńcem, po którym tysiące okrętów, wzbieraniem i opadaniem, wiatrem i parą gnane, stanowią ruchome niejako mosty, wszystkie kraje i ludy ze sobą łączące, do zawięzywania coraz to ściślejszych za sobą stosunków.

Wielkie jeszcze dobrodziejstwo wyświadcza ludziom morze, i to nie tylko samym mieszkańcom wybrzeży; z morza albowiem

wznoszą się pary wodne, z których powstają chmury, a te wiatrami w dalekie kraje pędzone, udzielają nam obficie dobroczynnego deszczu, a z nim urodzaj wszędzie na ziemi rozpleniają, przyczyniając się skutecznie do wzrostu roślin i utrzymania życia ludzkiego.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Z nauki zdrowia.

O zachowaniu się w chorobach.

W pierwszych chwilach choroby, gdy człowiek czuje opadnienie z sił; ociężałość, znużenie, niemoc, należy zaprzestać nużącej pracy, odpocząć, zająć się jakiem lekkiem zatrudnieniem lub zabawą, sam częstokroć odpoczynek zdrowie powraca. Jeżeli niemoc zwrasta i zniewala do położenia się, nie trzeba się zbyt opierać, położyć się w łóżko świeżo, wygodnie i biało usłane, w bieliźnie odmienionej i świeżej, co wszystko pomaga do spocznienia i transpiracyi.

Najpierwsze staranie dla złożnego chorobą, ma być zapewnienie mu spokojności; należy oddalić wszystko ile można, aby spoczynek, którego chory mocno potrzebuje, jakimkolwiek sposobem naruszyć mogło i przeszkodzić snu, spocznienia i spokojnej myśli. Następnie odmieniać często bieliznę i prześcielać łóżko, a co lepsza, gdy kto może, z jednego łóżka na drugie przenosić. Potem starannie oddalać to wszystko, co może psuć powietrze, jakoto: zmniejszyć liczbę ludzi razem w tejże izbie śpiących, co równie choremu jak i zdrowym szkodzi, zwłaszcza gdy choroba jest zaraźliwa

Dla zachowania zdrowego powietrza, które jest najpierwszem chorego lekarstwem, jak złe powietrze trucizną, potrzeba naprzód: mieszkanie jak najochędożniej utrzymywać; powtóre: codzień, a nawet w zimie, choć na krótką chwilę osłoniwszy dobrze chorego, wpuszczać do izby świeże powie-

trze, drzwi lub okna otwierając; potrzecie: kadzić jałowcem, mirą, a najlepiej octem. W lecie lepiej jest złożyć chorego w stodole, w spichlerzu, jak w gorącej i dusznej izbie.

Co do pokarmu pamiętać należy: że sama natura wskazuje choremu potrzebę wstrzemięźliwości, odbierając mu chęć do jadła, czyniąc nawet wstręt do pokarmów. Tego gwałcić nie należy i nie jeść, kiedy się nie chce. Pokarm jednakże staje się lekarstwem, gdy osłabienie, niemoc, pochodzi z wycieńczenia sił, z niedostatku dobrego pokarmu przy ciągłej pracy, z biedy, z nędzy, z głodu. Wtedy chorego pokrzepiać należy zwolna i w miarę pokarmami posilnemi, a łatwemi do strawienia, jakoto: rosołami, dobrem i kruchem mięsiwem, po trochu wina lub miodu, jaj i t. p.

Unikać najpilniej należy: rad złych i niepewnych, lekarstw gwałtownych i lekarzy ladajakich, nieumiejętnych i oszustów, co wszystko więcej ludzi zabiło, niż choroby.

Wyliczenie wszystkich gwałtowych lekarstw jest prawie niepodobne, między niemi są niepotrzebnie wewnątrz brane, korzenne, tęgie napoje, a szczególnie wódka i różne spirytusy. Najgwałtowniejsze zaś lekarstwo i najzwyczajniejsze jest krwi puszczanie, które gdy jest niepotrzebne, wiele złego, a często śmierć przynosi. Nigdy więc bez porady biegłego lekarza krwi puszczać nie należy. Więcej ludziom niepotrzebne krwi puszczenie zaszkodziło, niż jej zatrzymanie. Kiedy więc potrzeba i kiedy można, radzić się znanych i doświadczonych, roztropnych i od Rządu upoważnionych lekarzy, lub żadnych. Bo kiedy nie można z pewnością wiedzieć, co robić, to wtedy najrozumniejsza i najlepsza rada jest, nic nie robić. Bóg dał samej naturze dążenie do naprawy swojej. Kto jej źle pomaga, to przeszkadza. Ponieważ zaś wrodzona niespokojność, chęć ulgi i trwoga prowadzi chorego jak i osoby nim zajmujące się, do szukania rady; w niedostatku więc biegłego lekarza, lepiej jest zasięgać rady od osób rozsądnych i oświeconych, które podadzą tylko sposoby zachowania się w chorobie ostrożnie, tudzież lekarstwa, co jeżeli nie pomogą, to przynajmniej nic zaszkodzą, niżeli słuchać bab, szarlatanów, cyganów,

żydów, olejkarzów i t. p. oszukujących dla swego pożytku.

Najwięcej tak dobrego i złego, zależy od wewnętrznego usposobienia umysłu i stanu duszy chorującego. Trwoga, zgryzota, niespokojność, bojaźń śmierci, każdą chorobę powiększają. Bóg zaś, czas i natura najlepszemi są lekarzami. A zatem spokojność umysłu, która jest skutkiem ufności w Bogu, spuszczanie się zupełne na Jego wolą, a ztąd cierpliwość i nadzieja, najskuteczniejszem są usposobieniem do odzyskania zdrowia i często jedynem lekarstwem. Najroztropniejsza więc dla chrześcianina rada jest, aby na początku znaczniejszej słabości, gdy jeszcze niebezpieczeństwa nie tylko śmierci, ale ani oczywistego cięższej choroby nie ma, usprawiedliwił się Bogu, przed kapłanem. Wtedy czyni to człowiek spokojnie i bez trwogi, i tem samem często spokojność odzyskuje. Gdy zaś czyni się to tylko wtenczas, kiedy jest prawdziwe niebezpieczeństwo, samo zwiastowanie tego niebezpieczeństwa zastraszyć i szkodliwy skutek na umyśle chorego sprawić może. A często później gorączka i nieprzytomność umysłu sposobność do tego odebrać zdoła.

Przychodząc do zdrowia ostrożnie zachować się należy z jadłem i pracą, posilać się często, lecz po trochu, coraz więcej zdrowemi, posilnemi i łatwemi do strawienia pokarmami. Nagłe bowiem obciążenie żołądka jeszcze słabego i nagła nad siły jeszcze niezupełnie odzyskane praca, chorobę przywrócić mogą. Powstając z choroby trzeba się tem bardziej ochraniać, gdy powrócona choroba zwykle bywa cięższą i niebezpieczniejszą.

Kara boża.

Miasto Brzozów jest dawne miasto polskie. Za króla Kazimierza Wielkiego był na tem miejscu las, który pozwolił ten król wykarczować i fundował tu wieś, a chłopom dał prawo

założenia sobie kościoła, darował nawet dla xiędza grunt. Ta wieś dostała się potem biskupom polskim w Przemyślu. Ale król Jagiełło, który lubił przesiadywać w Medyce i Przemyślu i który dał biskupom polskim kościół koło zamku przemyskiego zrobił to znowu dla biskupów z wielkiej pobożności, że wieś, gdzie stoi miasto Brzozów, zamienił na miasto, a ponieważ ta wieś stała na miejscu, gdzie był wykarczowany las brzozowy, toż wieś stara została odtąd miastem Brzozowem nazwana. — Król Jagiełło udarował to nowe miasto prawami, dopomógł wystawić kościół, a kościół ten spalili Węgrzy pod Rakoczym roku 1657, kiedy przyszli do kraju polskiego i zamyślali razem z Szwedami cały kraj zabrać.

Niedaleko Brzozowa leży wieś Górki, która należy do parafii w Humniskach, a w tych Górkach żył Wojciech Bednarczyk, trochę z pańska, trochę z chłopska, rzemieślnik dobry, szewc pański, ale pijak, który lał w siebie beczkami gorzałkę, co jeno zarobił, a nieraz żyd zabrał mu i przyodziewkę i zostawił w koszuli podartej. Jak robił, to nie żartował i leciały buty po dworach z jego rąk, jak z worka; nie był ou niego ani dnia ani nocy, jeno szył buty i wyśpiewywał sobie i przygadywał żarciki różne, a ludzie śmiali się z niego, zwyczajnie jak z pijaka zapamiętałego. Przesiedział też nieraz i ranki niedzielne nad butami, nie zajrzał do kościoła na nabożeństwo, a jak dostał płacę we dworze, to nie wyszedł z karczmy, aż był bez grosza i prawie nagi.

Takto trwało dosyć długo. Ale czekaj nieboże, bo gdy ci nic na świecie nie pomoże, to jest Bóg na wysokiem Niebie, i dostanie cię ręką swoją, a biada ci wtedy!

Tak się też stało z tym Wojtkiem pijakiem!

Byłoto w wielkim poście, ludzie szli do św. spowiedzi i wracali do dom skruszeni i poprawieni bo z ludźmi można sobie pożartować, można ich zwodzić i długo zwodzić, ale z Bogiem tak robić to nie uchodzi biedny grzeszniku!

—A wy Wojciechu, pytał go sąsiad, kiedy pójdziecie do św. spowiedzi i kiedy wy zaczniecie pokutę?

— Jeszcze dość czasu na mnie jednego, odpowiadał: a jak pójdę do św. spowiedzi, to już nie będę pić. —

— Ej! Wojciechu, mówił mu drugi sąsiad, miejcie też choć raz rozum taki, jaki macie spryt w rękach; głowa wam już siwieje, nogi ustają, oczy poczerwieniały, guzy twarz obsypały, ciało całe sinieje, kości wam wysychają, a co się dzieje tam w środku z waszą duszą niebogą? a przecież jej szkoda!

Wojtek pijak rozśmiał się i odszedł dalej.

Trafiła mu się robota w jednym dworze dwie niedziel przed samą Wielkanocą. Siedział cały tydzień nad robotą, jak przykuty, wyśpiewywał sobie, przypowiadał każdemu, nie darował żadnej osobie, przymówił żarcik i biednemu, śmiali się we dworze z Wojtka pijaka, jakby z jakiego duraka! Był on na oko wesoły! —

W palmową niedzielę zapłacili mu za robotę i chcieli mu zatrzymać co pieniędzy, aby miał choć chleb święcony na Wielkanoc, ale on powiada:

— W tym tygodniu zaczynam pokutę i pójdę przed wielkim piątkiem do kościoła, aby mię ludzie już nie tykali palcami. I poszedł ze dworu i miał naprawdę na myśli kościół i św. spowiedź.

Nie wiedział nieboraczek, że tylko te trzy dni w wielki tydzień miał od Boga zostawione.

Szedł więc do domu, w palmową niedzielę omijał każdą karczmę, choć go ciągło do karczmy jak magnes żelazo. Nocował u jednego chłopa i śniło mu się, że widział czarne mary, że leżał na marach jakiś umarły, od którego ludzie uciekali i palcami go wytykali, ani pacierza nie mówili, ani mu nie dzwonili, a mary same posuwały się z nim na cmętarz. Rano wstał i opowiadał to gospodarzowi, gdzie nocował, a gospodarz rzecze:

— Wojciechu! Wojciechu! może to sen dla was samych na przestrogę i napomnienie.

— Ha! rzecze przestraszony Wojtek, może to i tak, jak gadacie, toż idę zaraz do dom prosto i do kościoła. —

I poszedł Wojtek dalej! Ale są na ludzi pokusy i sidła, słodkie słówka i mamidła, a jak ich kto nie zwycięży i śmiało nie zdepce nogami, to one go przezwyciężą i zrównają z bydlętami!

Tak się stało i z grzesznym Wojtkiem!

Szedł w Poniedziałek dobrze i przyszedł do swojej wsi Gorki już koło wieczora. Wtem gada mu coś w głowie

— Wleź do karczmy, boś strudzony, boś głodny i przeziębiony, potrzebny ci odpoczynek, nie zawadzi na to trunek, a chałupa nie daleko, to cię nogi tam zawleką, choćby i w nocy.

Na te myśli stanął Wojtek i dumał sobie o tem, co mu się śniło i co mu tamten chłop powiedział, i już miał iść dalej. — Ale oto wyszedł na to pijak z karczmy, a jak zobaczył Wojtka zaraz do niego słodziutko mówi:

— A bracie Wojciechu! jak się masz? a czy ty nas nie znasz? wstąp na jeden kieliszeczek, a ożyjesz jak ptasze na wiosnę!

I Wojtek usłuchał, wstąpił i tu był grób jego, tu czekała śmierć na niego.

Pił noc całą na wielki wtorek, pił cały dzień, a w środę skonał pod ławą żyda, skonał bez św. spowiedzi, nawet nie wiedział co się z nim dzieje, i leżał w podartej koszuli na środku ziemi, bo umarłego kazał żyd wywlec z izby, aby się go dzieci nie bały.

Nie było za co trumny zrobić, toż gromada złożyła się na trumnę, a w wielki czwartek wypadł jego pogrzeb, toż mu nie dzwonili, z karczmy wynieśli dziady trumnę na cmętarz i tam pochowany.

Spełniło się to, co mu się wyśniło i co mu chłop tamten przepowiadał.

Strach padł z tego wielki na gromady, a ludzie powtarzają do dziś:

Jak sobie zarobisz przez twe życie,
Tak ci Bóg zapłaci sowicie!

A wy, co to czytacie, weźcie to dobrze na uwagę i strzeżcie się pijaństwa i namowy do niego!

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 9.

21. września 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pokutnik Gołonogi.

Ojciec ludu.

W naszym polskim kraju, co go Moskal zabrał niesprawiedliwie i dziś tam ściga katolików, leży wieś Będzin niedaleko Warszawy, a blisko wsi jest góra zarosła lasem, a na tej górze stoi kościół wielki, nazywany od Polaków razem z tą górą: kościół Gołonog.—Jak wszystkie nasze polskie kościoły po górach i w lasach są cudowne, mają wielkie odpusty, a ludzie opowiadają sobie o nich rozmaite ciekawości, tak też i kościół Gołonog ma taki prawie cudowny swój początek, ma wielkie odpusty, a ludzie opowiadają o fundatorze tego kościoła takie przykładne i pobożne szczegóły:

We wsi Będzinie żył kiedyś bogacz wielki nie tylko na całą wieś ale i na całą okolicę. — A dobrzeto gadają mądrzy ludzie:

Gdy masz wszystkiego za wiele,
To ci się w głowie nieraz głupstwo miele

A tak się miele i kręci
Aż ci rozum i sumienie pokręci. —

I świętą prawdę gadają, bo się tak zrobiło z niejednym bogaczem na świecie, a tak samo pokręciło bogactwo głowę i sumienie temu bogaczowi we wsi Będzinie. Dokazywał on i jak to mówią chodził na głowie, a gdy Bóg dał nogi do chodu za dobrem, a głowę dał do rozumu na dobre i kazał, aby ręce i nogi słuchały rozumu, toż jak kto ten boży porządek psuje, za to prędzej czy później odpokutuje. Na grzesznego Matyska, przyjdzie w końcu kreska. I na rozpustnego bogacza w Będzinie przyszła kara boża, bo miał kilkoro dzieci i na każde wyznaczył część, a zapomniał nieborak, że inaczej rządzą ludzie niedobrzy, a inaczej Bóg, a co nie raz oni sobie ułożą, to Bóg to rozłoży, a co oni rozłożą to Bóg to złoży. Co rok prawie umierało mu jedno dziecko, choć było zdrowiusieńkie, a nie pomagały ani lekarstwa ani płacze. I tak za kilka lat został ten bogacz sam jak palec na cały swój majątek, podstarzał się i zaczął po wszystkich w domu pogrzebach myśleć i o swoim pogrzebie i niemylnej godzinie śmierci. Przesiedział tak sam rok cały jeden i drugi, poznał, że trzeba wszystkiego odstąpić na ziemi i zabrać z sobą na tamten świat tylko dobre uczynki, otóż raz modlił się i prosił Najświętszej Panny, aby mu pomogła uprosić sobie u Boga tyle życia, by mógł złe naprawić, ludziom się odpłacić i duszę zbawić. I przyszła mu myśl święta do głowy taka: Część jednę dam na wieś dla ubogich, część drugą dam na dzieci i sieroty, aby się nauczyły czegoś lepszego, niż mię nauczyli źli ludzie za młodu, a resztę zostawię dla siebie na pokutę.

Otóż za kilka dni nie był on już bogaczem rozpustnym, ale miłosiernym człowiekiem, nie był światowym, ale nawróconym pokutnikiem i zabrał się ze wsi swojej i poszedł w las na górę blisko wsi, tam sobie wystawił chatkę pustelniczą, postawił krzyż w lesie i codzień chodził boso i gołemi nogami do tego krzyża za pokutę, a co tydzień przychodził do wsi i nauczał ludzi, jak mają na majątek zarabiać, na co zarobek każdy obrócić, jak mają kochać Boga i bliźniego i jak sobie

zarobić u Boga i u ludzi na dobrą chwałę i duszne zbawienie. Co mu zostało z majątku jeszcze, to rozdawał co rok na prawdziwych ubogich, a znowu w lesie na górze zaczął sam stawiać kaplicę na chwałę bożą i tak stanęła na górze pustej kaplica, do której chodzili ludzie i modlili się razem z pokutnikiem, tam się uczyli od niego poprawy, upamiętania i pobożnego życia, a pokutnik uczył słowem i przykładem, mową i uczynkiem jak żyć potrzeba na tym marnym świecie, i został z czasem ten pokutnik prawdziwym nauczycielem ludzi na całą okolicę. A znowu we wsi Będzinie powstała szkoła z ofiar tego pokutnika, aby się małe dzieci uczyły wszystkiego dobrego, powstał szpital dla ubogich i starych, dla kalek i sierot, a niejeden ubogi, zaratowany od pokutnika, dorobił się chleba i za poradą jego obracał to na chwałę bożą i na zbawienie swoje i drugich. Co zbyło z tego wszystkiego temu pokutnikowi, to zakupił przeróżne książki i rozdawał między ludzi, aby czytali i uczyli się wszystkiego dobrego. Po górach i w lesie zbierał on różne zioła, kwiaty, szyszki, leśny miód, żywicę i wyrabiał różne lekarstwa i rozdawał między ludzi, aby się ratowali w chorobach i bolach, a zaś sam odwiedzał chorych, pomagał, ratował i został na całą okolicę cudownym prawie człowiekiem dla wsi naokoło.

Założył bractwo pobożne takie, że jak się kto wpisał do bractwa, to miał święty obowiązek robić każdą robotę sumiennie i rzetelnie, wystrzegać się robienia krzywdy, szkody, cygaństwa, oszukaństwa i t. d. a co było uczciwie zarobione i złożone, to szło na dobre uczynki dla siebie i dla drugich.

Za takie życie odbierał on wszędzie pochwały i naprawił to złe, co narobił za młodu. Z grzesznika stał się dobrym, z rozpustnika cnotliwym, z światowego pobożnym, z łakomego ojcem, nauczycielem i opiekunem ludu, aże chodził zawsze lato i zimę boso i gołonogi, dlatego przezwali go ludzie pokutnikiem gołonogim, a tę kaplicę jego na górze kaplicą gołonogiego, a na końcu przezwali tę górę z lasem na wieczną pamiątkę górą gołonoską. —

Owóż co rozpowiadają ludzie do dziś o pokutniku gołonogim we wsi Będzinie. Wybaczył Bóg miłosierny temu grzesznikowi, dał mu czas do poprawy i pokuty, a ludzie dobrzy złożyli ofiary i wystawili na miejscu kaplicy pokutnika kościół okazały, który stoi do dziś we wsi Będzinie i na wieczną pamiątkę nazwali kościołem Gołonog, a o pokutniku ojcu opowiadają każdemu, co to on robił za życia i jak życie zakończył. Dziś są tam wielkie odpusty a Polacy idą tam zdaleka. —

A źle i bardzo źle dzieje się teraz z katolikami Polakami pod Moskalem, bo gdzie były dawno klasztory i kościoły, tam teraz zamknięte albo na cerkwie moskiewskie zamienione, gdzie uczyli xięża katolicy, tam teraz uczą popi schyzmatyccy wiary moskiewskiej. Wszystkie prawie cudowne miejsca z odpustami skasowane a na odpust nie wolno chodzić katolikom ani osobno ani z processyami, a co dawni pobożni fundatorowie fundowali, czy to szpitale, czy szkoły, czy probostwa, to Moskale pozabierali i pokasowali. I kościół Gołonog na tej górze we wsi Będzinie stoi zamknięty; odpustów nie ma a co zrobił dobrego pokutnik gołonogi dla ludzi, to wszystko zniszczyli Moskale, nawet nie wolno ludziom wspominać pod karą o tym świętym pokutniku. Gdzie się kościół katolicki zawali, to nie wolno katolikom nawet dać ofiary na poprawę domu bożego, a na placu katolickich kościołów budują Moskale swoje cerkwie, blachą świecącą pokryte aby ludziom oczy mamiły. Płacze cały polski kraj pod Moskalem, wołają do Boga katolicy Polacy o pomoc i ratunek, woła i Ojciec św. bo Moskal nie da się ostać katolikowi nigdzie ani na urzędzie, ani w kościele, jeno go ściga i zmusza aby porzucił św. katolicką wiarę a został Moskalem. A jak który katolik nie chce być Moskalem, to go biją na śmierć albo wywożą za dziesiątą granicę od dzieci, od pracy, od swojaków, aby marnie przepadł jak kamyk w morzu. Otóż pamiętajcie moi kochani o tym św. pokutniku gołonogim, o jego kaplicy, pamiętajcie o katolikach nieszczęśliwych pod Moskalem, módlcie się za nimi i ja z wami.

Xiądz Wojciech z Zalessan

Kowal.

Pod jesionem, pod zielonym,
Stoi kuźnia w środku sioła,
Od poranku, bez przestanku
Brzmi kowala pieśń wesoła.
Niech się cieszy, tem nie grzeszy,
Czemu niema śpiewać, czemu?...
Ręka zdrowa, trzeźwa głowa,
Nie zawinił nic bliźniemu!
Przy piosence, z młotem w ręce,
Dzień mu mignie jak godzina.
Aż wieczorem, z całym dworem
Spocznie sobie u komina.
W tym kominie, na słoninie
Zraz pieczeni się dosmaża,
Zapach jaki, — a ziemniaki!
Nie potrzeba tu kucharza...
Starsza córka, jak przepiórka,
Pani matce dąży w ślady.
Stół nakrywa, dzbanek piwa
Postawiła do biesiady.
A więc kołem, za tym stołem
Siądź kowalu z dziatwą hożą,
Pokrzep siły, by służyły,
I za łaskę dziękuj Bożą.
Tej to łaski, święte blaski
Póty będą świecić Tobie,
Póki wiernie, choć przez ciernie,
Będziesz chciał ją skarbić sobie.
Póki w pocie, przy twym płocie,
Pracę zrobisz twym aniołem,
Coć ustrzeże w ojców wierze,
Przed próżniackich pokus kołem.

A choć kiedy przyjdą biedy,
Ból się ciężki w serca wkradnie
Wzrok w niebiosa—ztamtąd rosa,
Ztamtąd balsam pociech spadnie.
Lecz dla Boga! ta nieboga
Mała Kachna, oczka mruży —
Już dziewiąta — stół się sprząta,
Jako może kazdy służy.
Potem razem, przed obrazem
Klęka cicho grono całe:
Obok matki, hoże dziatki
Jak przy gruszy płonki małe.
A pacierze: Zdrowaś, Wierzę, .
Mówi synek złotowłosy.
Stare słowa, wiejska mowa,
Przecież poszła wprost w Niebiosy.
W słońc koronie, na chmur tronie
Bóg usłyszał ją z wysoka,
I skrzydlaty stróż tej chaty
Spłynął w srebrnej mgle obłoku.
Twarde łoże, gdzieś w komorze
Okrył blaskiem piór promiennych,
A upiory, blade zmory,
Nie śmiały się dotknąć sennych.
Za to zorza, służka Boża,
Zaświeciła prosto w oczy;
Wstaj kowalu, rzuć bez żalu
Sennych marzeń kraj uroczy.
I jak wczora, do wieczora
Niech piosenka twa rozbrzmiewa,
To próżniacy klną przy pracy,
A poczciwy człowiek śpiewa!...

M. J.

Człowiek.

Wielki rozległy świat, cudów jest pełen. Miliony gwiazd w nieskończonej przestrzeni, rozsiane słońca, ruchome ziemie i

księżyc, zdumiewają nas swoim przepychem i ogromem, a nasza ziemia, na której my jak na zielonej wyspie w pośród modrego niobios sklepienia swobodnie i bezpiecznie żyjemy.

Kwitnące ogrody naszej okolicy, obfitującej w niepoliczone rośliny, krzewy, drzewa owocowe, jarzyny, zboża, w pełne woni lasy, łąki i pastwiska, które nietylko nasze ale i zwierząt domowych potrzeby hojnie zaspakajają; miliony nakoniec zwierząt czołgających się, biegających, pływających lub latających, niemi i głośni uczestnicy pełnego ruchu życia; czyliż one nie są cudownemi stworzeniami, dziełami rąk Wszechmocnego, mądrego i miłującego nas Boga.

Ogrom świata pełen jest cudów, ale zaprawdę największym z nich jest człowiek, uważany co do swoich przyrodzonych zdolności, sił i wysokich celów, dla których stworzony. Do cudów codziennych przyzwyczajeni, zbyt często je przeoczamy. Za blisko stojącemu wzniosłego przedmiotu, trudno go naraz okiem ogarnąć; wielkiemu obrazowi, lub rozległej budowli, lepiej z daleka przypatrzyć się możemy.

Wystawmy sobie tę ziemię naszą, jako zupełnie dla nas obcą, zupełnie nieznaną; przypuśćmy że nieprzyszliśmy na ten świat zamroczeni mgłą w naszym wieku dziecinnym, ale już dorośli i z dojrzałym rozumem, dopiero co z jakiej gwiazdy tu się dostali, i pierwszy raz na tę ziemię zstąpili. Wtedy zapewne piękne góry z lśnącemi w słońcu koronami ludów, i wieńce zielonych lasów, różnobarwne kobierce rozkwitających łąk, a w szczególności silny rozłożysty dąb, kwiatem okryty krzak różany aż do skromnego fiołka, wielceby się nam podobały, a jeszcze bardziej stworzenia pełne życia i ruchu, i ściągnęłyby naszą na siebie uwagę: podobnież tłumami rojące się mrówki, przędzący pająk, przemyślna pszczoła, motyle różnobarwne, z trawy wyskakujący zając, dumny koń, wzlatujący gołąb, śpiewający w powietrzu skowronek, rozważny słoń, wprawiłyby nas w niemałe zadziwienie.

Przypuśćmy wreszcie że obcy przychodzień dostał się na naszą ziemię przypadkiem w puste okolice, gdzie tylko piękności gór i dolin z ich lasami, łąkami, gdzie przepychem ma-

miąca rozliczność i mnogie zwierzęta nastręczały się jego ciekawemu oku, a niespodzianie potem wyszedłszy z tych miejsc zawrotnych, napotkał nagle... piramidy Egipskie...

Któż tę ogromną massę kamienia tak w górę napiętrzył? Czy możny lew? czy dumny koń, czy słoń tyle rozumu okazujący? Któż się wyborem tych kamieni zajmował? Kto je obciosał? Kto ten budynek wzniósł tak wysoko do góry, i cztery jego krawędzie do czterech stron świata tak dokładnie skierował? Kto jego położenie wymierzył?..

Żadne z pomiędzy zwierząt i w nieskończenie mniejszych nawet rozmiarach, nic podobnego dokonaćby nie zdołało. Przychodzień idzie dalej i znajduje na drodze węgielnicę, nóż i zegarek... Któż to wynalazł? Któż może te rzeczy powtórnie, i zawsze wyrabiać?... Cudzoziemiec upatruje, szuka tej nowej dla siebie a żyjącej istoty, obdarzonej tak wielką siłą, takim rozumem i przemysłem, którejby wykonanie jednego z tych dzieł przyznać można było. W tem spotyka człowieka z młotem w ręku. Jego to zaiste za zdolnego do podjęcia podobnych utworów poczytał. Ten lekką ale chroniącą go osłoną okryty, w obówiu na nogach, mający głowę od żaru słońca zabezpieczoną, idzie wyprostowany, głową swobodnie porusza, ruchome oczy łagodnego wejrzenia, zwraca na wszystkie strony, spokojnie i bacznie, a nie trwożliwie jak wilk, lub podstępnie i chytrze jak lis, nie lękliwie jak owca, lecz uśmiecha się i pozdrawia

P o k ó j z t o b ą! W i t a j b r a c i e!

— On mówi, a więc myśli!... To on zapewne jest rzeczywiście najznakomitszym z pomiędzy wszystkich istot żyjących! Jak on w ręce młot trzyma, tak potrafi ująć i siekierę, pocisk, łuk, i zręcznie ich używać.

To on, pan ziemi!

Cóż pocznie wąż przeciw niemu? On mu na głowę nadepcze. Co wilk, co lew przeciw niemu dokaże? On im młotem czaszki roztrzaska. Za lotnym w powietrzu ptakiem, jeszcze szybciejszą strzałę wyseła. Koniowi wkłada wędzidło, albo

wskakuje na jego grzbiet, i pędzi z nim na stepie, dopóki zwierz umordowany nie uzna go za swego pana. — Wieloryba tysiąc razy od siebie cięższego, ostrem żelazem harpuny zabija.

Człowiek przystępuje do przechodnia, przyjaźnie podaje mu rękę i zaprasza go w gościnę do swego domu.

Podaje mu rękę!

Rękę! ona to jego broń cała, ona jedyne narzędzie od natury otrzymane, tą ręką on świat cały zawojował.

Najistotniejszy dar przyrodzenia, człowiekowi dany jest cudotworcza ręka!

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Nieludzkość i ludzkość.

Któż nie wie jaką to straszną klęską jest pożar, co często w jednej chwili całą włościanina zagrodę w perzynę obraca a jego z rodziną do ostatniej nędzy przywodzi? Taka klęska spotkała Jana Zębatego w Drogowie. Jednakowoż Jan, mając zasługi u dziedzica, mając we wsi zamożnych krewnych, nie zginął. Ale Magdusia sierota, która u niego służyła i także przez pożar okropną poniosła klęskę, bo straciła wszystką przyodziewę, osiadła teraz na lodzie. Jan jej trzymać nie mógł bo ledwie sam miał co jeść. Szukała służby gdzieindziej, ale nie znalazła, bo jak na nieszczęście nikt służącej nie potrzebował. Chodziła wprawdzie na zarobek do dworu, ale co zarobiła, to przeszło na jadło, na nocleg, bo i za niego płacić musiała, nie mogła więc przyjść tak prędko do nowej przyodziewy... toż łachmany na niej świeciły gorzej jak na żebraczce z rzemiosła.

Gorzka była dola Magdusi. Jedni się jej wstydzili, drudzy bali się aby czego nie ukradła, a to wszystko bolało srodze biedną dziewczynę, bo Magdusia była sierotą, a u sieroty serce na wszystkie strony nożami pokłute toż piecze okropnie każda nowa rana.

Nakoniec Marcinowa, zamożna gospodyni przyjęła Magdusię do służby. Nie wiele i przez to poprawił się los jej sierocy, bo Marcinowa była kobietą nieludzką. Umiała korzystać z nieszczęśliwego położenia Magdusi i zgodziła ją za połowę zwykłych zasług, wiedząc że z potrzeby poprzestanie i na najlichszej płacy. Obchodziła się też z nią gorzej jak z psem. Magdusia musiała sypiać na gołej ziemi i jadła to, co się dla trzody warzyło a pracowała i za siebie i za konia.

Biedna sierota przez kilka miesięcy cierpliwie los swój znosiła, ale Marcinowa wcale się dla niej lepszą nie okazywała. Niegodziwa, brzydziła się jej nędzą, wymawiała jej co chwila że łachmanami trzęsie a nakoniec, zmierziwszy ją sobie do reszty, wygoniła od siebie.

Magdusia poszła łzami zalana, ale nie biedała na swoją dolę, bo przed nią rozciągał się świat szeroki i długi, a z nią był Pan co tym światem włada. Pan ten zesłał anioła swego na przewodnika sierocie. Nie widziała go, ani się domyślała. kto z nią idzie, ale anioł stał ciągle obok niej i kierował jej krokami aż zaszła do wioski pięć mil od Drogowa odległej gdzie mieszkali ludzie poczciwsi i więcej litościwi jak ci których dotąd widziała.

* *
*

Dziesiątek lat minął od tego czasu, nie jedno zmieniło się na świecie... Pewnego wieczora żebraczka łachmanami odziana stała pod progiem białej kmiecej zagrody i szepcząc pacierze prosiła o jałmużnę. Gospodyni wyniosła jej kawałek chleba i pieniądz — ale gdy na nią spojrzała, cofnęła się w tył jakby z przerażenia. Żebraczka jednak obojętnie wyciągnęła rękę po jałmużnę. Toż i gospodyni udała że jej nie poznaje, ale zaprosiła ją na nocleg do izby.

Żebraczka weszła i ujrzała tu dostatek i schludność. Gospodarz siedział pod piecem otoczony trojgiem dziatek, rumianych a wesołych i zabawiał się z niemi. Gospodyni mrugnęła na męża, wnet zrobił miejsce starej kobiecie, posadzono ją przy stole i zaproszono do wieczerzy.

Zaraz się i gawęda zawiązała

— Z daleka idziecie matko? spytał gospodarz.

— Jestem z Drogowa, pięć mil ztąd, odrzekła żebraczka, ale teraz, odkąd Pan Bóg na mnie taką nędzę zesłał, nawet tam nie zaglądam, bo mię wstyd. Ot, ze świata idę.

— Wy z Drogowa? podchwyci gospodarz, toż i moja żona ztamtąd.

Gospodyni znowu mrugnęła na męża, dając mu znać aby dał pokój tej gawędzie która biednej kobiecie może smutne jakie wspomnienia przywodzi na pamięć.

Żebraczka zmieszała się, popatrzyła na nią z pod oka i rzekła:

— Wy także z Drogowa? Cóż z tego... pewnie mię nie znacie. Mnie teraz nikt nie zna; tu i owdzie z pod progu odepchną... czasem psami poszczują...

Magdusia nie mogąc dłużej powstrzymać wzruszenia, z głośnym płaczem do nóg żebraczce upadła.

— O moi drodzy, jabym tego nigdy nie zrobiła...

— Boże, to ona, to Magdusia! zawoła żebraczka kryjąc twarz w dłoniach.

— Nie lękajcie mi się, nie odsuwajcie się odemnie, rzecze poczciwa kobieta; Bóg świadkiem że wam już dawno przebaczyłam, że nawet nigdy żalu do was nie miałam. Owszem wdzięczną wam jestem żeście się mi pozbyli, bo inaczej może nigdy nie byłabym doznała tego szczęścia które mi tutaj zgotował ojciec niebieski.

— Magdusiu, Magdusiu, mówiła z płaczem Marcinowa, gdybyś wiedziała ilem ja wycierpiała, ile cierpię jeszcze za ciebie!... za ciebie, o! bo mówię szczerze niczem więcej tak bardzo Boga nie obraziłam...

— Jeszcze raz wam powtarzam, powie Magdusia, że żalu do was nie mam. Wszystko już dawno przebaczyłam i zapomniałam, a teraz Bogu dziękuję że was pod nasz dach sprowadził bo może zdołamy uczynić dla was choć cokolwiek.

Nastąpiło tkliwe serdeczne uściśnienie, któremu mąż Magdusi przypatrywał się z wzruszeniem. Marcinowa brała potem

każde z dzieci w objęcia, całowała i błogosławiła. Magdusia pocieszywszy ją ile mogła, pospieszyła przygotować dla biednej opuszczonej wdowy, a więc także sieroty, wygodne posłanie i białą do przewdziania bieliznę.

Stanisław Krakowczyk.

O potrzebie większego dozoru nad dziećmi.

Nie kończy się na tem obowiązek rodziców że dziecięciu swemu dadzą jeść kilka razy dziennie, nie kończy się na tem że mu czasami okażą pieszczoty lub je skarcą za złe, ani na tem że co niedziela w czystą ubiorą koszulkę, ani też nawet na tem że je pacierza nauczą lub poślą do szkoły. Najważniejszym obowiązkiem rodziców jest dozór nad dziećmi, jest pilnowanie i przestrzeganie baczne a nieustanne aby nic takiego nie uczyniły coby ich zdrowiu szkodzić, lub, co się także często zdarza, o śmierć przyprawić je mogło. Dzieci za nadto mało mają rozumu i przezorności aby rozlicznych niebezpieczeństw na jakie bywają narażone uniknąć zdołały; cóż dopiero niemowlęta? A pod jakimże te dozorem tak jedne jak drugie zostawać zwykły? Ojciec nie ma czasu pilnować dzieci bo od świtu do nocy zajęty pracą za domem; matka wprawdzie więcej siedzi w domu, ale i ją często przynagla potrzeba wydalić się, i ona siedząc w domu pracuje ciągle a jeżeli ma dzieci kilkoro, prawie niepodobna wymagać od niej aby wszystkie przy boku swoim trzymała; bywają bowiem dzieci bardzo żywe i swawolne których w izbie długo więzić nie można. Brać dzieci z sobą w pole, brać je gdy się idzie do sąsiada, do dworu lub do miasta, w jakiej sprawie lub za kupnem, także nie zawsze jest możebnem.

Cóż się ztąd dzieje? Oto dzieci bawią się same koło domu, lub same, często zamknięte aby się nie wydobyły, zostają w domu. Tak w pierwszym jak w drugim razie żadnego nad

sobą nie mają dozoru — co najwięcej dziewczynka sześcio lub siedmioletnia pilnuje młodszych od siebie braciszków i siostrzyczek, lecz dozór taki nie wiele wart, bo dzieci sześcio i siedmioletnie prawie takiego samego jak młodsze potrzebują dozoru.

Jakoż śmiało powiedzieć można że dzieci naszych nikt nie pilnuje i nie broni od grożących im niebezpieczeństw. Ztąd to pochodzą te częste wypadki że gdy dziecię z psem igra a nikt go nie przestrzeże iż pies ukąsić może i nikt nie pilnuje aby do tego nie przyszło; pies zniecierpliwiony rzuca się na dziecię i kaleczy je często śmiertelnie; ztąd to pochodzi że gdy pies wściekły pojawi się we wsi, rzuca się naprzód na gromadkę dzieci, które nieprzestrzeżone i niepilnowane, bawią się samopas. Jeżeli nie pies — często kotka podrapie twarz dziecięcia, kura mu oczy wydzióbie, przejadą je bawiące się same na drodze, wpada do studni i tonie; w kałuży także topią się często dzieci, jak niemniej w kąpieli gdy ich nie pilnuje, nie dogląda, lub przy pławieniu koni. Gdzieindziej znowu dzieci znowu zostawione bez dozoru, aby się zabawić, rozniecają ogień o co nie trudno, bo oto pudełko z zapałkami leży na murku a dzieci wiedzą jak się z niemi obchodzić — lecz przebóg, zapalają na sobie odzienie, zajmują się sprzęty, dom cały stoi w płomieniach, a one w pośrodku nich dogorewają, jako ofiary naszego niedbalstwa, niedozoru. Bogdaj to się skończyło na jednym domu, ale ileż to razy i kilka domów sąsiednich i wieś cała spłonie, a wszystko od jednej zapałki, wszystko skutkiem tego, że dzieci zostają w domu bez żadnego dozoru, że niema komu zganić ich za niebezpieczną zabawkę ani ratować gdy niebezpieczeństwo za pasem.

I inne jeszcze niebezpieczeństwa grożą życiu i zdrowiu dzieci skutkiem niedozoru a mianowicie: przepalenia głowy, gdy chłopcy bez kapelusza, bez czapki, dziewczęta bez chusteczki na głowie biegają po słońcu. Takie zaś przepalenie głowy doprowadzić może do zapalenia mózgu. Kiedyindziej znowu dzieci najadłszy się niedojrzałych owoców dostają biegunki, lub trują się blekotem i bieluniem. Nakoniec wysłane na pastuszków, zwłaszcza chłopcy z dziewczętami wdają się

w zabawy także często do chorób prowadzące, czemu wszystkiemu możnaby zaradzić gdyby tylko dzieci nie chowały się same, lecz zostawały pod jakim takim dozorem.

Prawda to że dozór jest trudny, bo jak tu pracować i gospodarzyć i dzieci zarazem pilnować. Wielka to prawda, ale jednak miłość rodzicielska mówi że trzeba koniecznie znaleść sobie czas na to. A jeżeli głos tej miłości świętej którą Bóg tak obficie w sercach matek i ojców wszczepił, nie dość głośno i skutecznie do nas przemawia, to pomyślmy o tem że kiedyś trzeba będzie na sądzie Boskim zdać sprawę cośmy z temi dziećmi uczynili które naszej pieczy poruczono. Cóż powiemy wtenczas? Pies je zagryzł lub świnia, utopiło się w kałuży, umarło z trucizny której się najadło, spaliło się w płomieniach które samo wznieciło. A Bóg odpowie na to: Tyś winien ojcze wyrodny, tyś winna matko nieczuła, bo się to stało przez wasz niedozór, przez wasze niedbalstwo.

Popatrzmy jak to zwierzęta czule dzieci swoje pielęgnują, jak dbają o nie, jak ich pilnują i chronią; jak ich chronią, od wszelakiego przypadku i zawstydźmy się że one nas przewyższają w dopełnianiu najświętszego najszczytniejszego a tak słodkiego, i miłego obowiązku.

O mięsie.

Mięsa nieszczęściem u nas włościanie bardzo mało jadają; mówię nieszczęściem, bo gdyby mogli więcej mięsa jadać, toby daleko dłużej żyli i byliby zdrowszymi.

Do czego jakie stworzenie Pan Bóg przeznaczył, do tego też dał mu odpowiednie członki. I tak: ptak do latania, więc ma skrzydła, ryba do pływania, więc ma pletwy, świnia do rycia, to i ma ryj.

Czem żyje wilk? mięsem, — zajrzyjcie wilkowi w pysk, a ujrzycie że ma wszystkie zęby kończyste, bo do szarpania mięsa przeznaczone. Bydlę ma zęby wszystkie podobne do na-

szych trzonowych, a zęby te przeznaczone są jakoby młyńskie kamienie do kruszenia ziarna. A jakież my mamy zęby?

Przednie są do przecinania pożywienia, dalej idą kończate kły, wyraźnie przeznaczone do szarpania mięsa, a po tych dopiero trzonowe, które mają kruszyć ziarno, czyli jeść to, co ziemia wydaje, więc zboże i inne roślinne pożywienie, jako to: ziemniaki, kapustę, buraki, marchew i tam dalej.

Więc też ztąd widno, że człowiek jest przenaczony do jedzenia mięsa, obok innych pokarmów, a jakże go mało po wsiach jadają.

Znajdą się tacy co powiedzą: ho, ho, jaki mi mądry, radzi żeby mięso jeść, to niech da pieniędzy — mięso drogie, a ja im na to:

Mięso drogie dlatego, że bydła po wsiach mało trzymają; że ledwie się cielę urodzi, już je sprzedają rzeźnikowi. Ale im więcej bydła, tem więcej gnoju, tem lepiej się rodzi; a mięso byłoby tańsze, gdyby go więcej jedli, bo i w aptece lekarstwo drogie, bo go mało używają, a chleb i ziemniaki tanie, bo ich ludzie więcej jedzą, więc się też więcej zboża sieje i ziemniaków sadzi; że gdyby ludność wiejska mięso jadła, toby więcej chowano bydła. Mięso drogie, bo gorzałka tania, bo za te pieniądze, co nie jeden przepije w karczmie, toby mógł mieć najmniej trzy razy w tydzień mięso dla całej rodziny.

A drugi znów rzecze:

— Mój ojciec, dziad i pradziad mięsa nie jadali, a przecież żyli, — ja też go nie jem, jeść nie będę, a będę żył.

A ja mu na to:

Widziałem i ja konie u biednych ludzi co całe życie owsa nie jadały tylko siano, a przecież żyły; ale co wart taki koń co ziarna nie je? — nędzny, chudy, do roboty słaby i nie wytrwały, tak też człowiek, który mięsa nie jada, nie ma siły i wytrwałości takiej, jak ten co je, bo zkądże jej weźmie, kiedy z mięsa przybywa najwięcej mocy. Mamy i tak wigilie, w tygodniu posty. Post wielki, adwent, suchedni, tak wstrzymywać się od mięsnych pokarmów kościół nakazuje, ale za to

w inne dnie jeść je powinniśmy, bo na to Pan Bóg dał człowiekowi rozum do oswajania zwierząt, aby je chował i mięso z nich spożywał.

Są na ziemi dwa kraje jeden przy drugim, jeden zowie się Anglia, drugi Irlandya. W Anglii każdy choćby najbiedniejszy wyrobnik mięso jada; w Irlandyi żywi się ziemniakami, a mięsa nie je. Więc też Anglik dzielnie pracuje, jest zdrów i wygląda jak siłacz. Irlandczyk jest próżniak, do pracy ciężki i leniwy, a często pijak i złodziej.

Dlaczego narzekamy, że u nas dużo pijaków, zkąd taka chęć do wódki, czemu to między bogatszymi rzadko się pijak trafi. Oto dlatego, że ten co mięsa nie jada, tylko jałową strawę, szuka sobie czegoś, żeby zastąpić mięso, bo choć o tem nie wie, przecież natura w człowieku potrzebuje koniecznie mięsa. Nie będąc zwyczajny jeść mięsa, szuka siły w gorzałce i ma ją na chwilę, ale potem traci zdrowie i nie pożyje długo. Po miastach dużo jest siwych staruszków, po wsiach mało, bo jedzenie mięsa życie przedłuża, a wódka je skraca, kto chce długo żyć niech je mięso.

Spytajcie każdego co przeciwko mięsu gada, czyby je często jadał, gdyby miał za darmo, ręczę wam że powie, iżby je jadał i trzy razy na dzień.

Słyszałem tu ludzi w mieście mówiących: dlaczego to człowiek z miasta, daleko mniej jada, aniżeli człowiek ze wsi, który się opycha ziemniakami, aż brzydko patrzeć; dlaczego? dla tego, że ty miejski mędralo jesz mięso, a tamtem biedak je jałowiznę. Więc ty jesteś jakoby koło u wozu, które posmarowane prędko i dobrze się toczy; a tamten biedak jak koło nienasmarowane co wciąż skrzypi. Ty potrzebujesz mniej jeść, boś nawykł od małości jeść rzeczy posilne. Tamten je dużo, bo jałowiznę w niego pchają, a on je i je i sił niema, a pracować musi ciężko. Praca sprawia głód, jałowe pokarmy przykrzą się żołądkowi, więc je przyprawia wódką. Gdyby po wsiach ludzie mięso jadali, mniej byłoby pijaństwa. Daj Boże aby to weszło w zwyczaj, a wtedy braciszkowie moi wyglą-

daliby lepiej i mieli sił więcej, robiliby więcej i żyliby dłużej w czerstwem zdrowiu.

Kto je mięso, powinien uważać, aby nie jadł z chorego bydlęcia; kto kupuje mięso, powinien uważać aby było świeże, żeby z bydląt padających lub chorujących na jaką zarazę nie jeść, bo to grozi utratą zdrowia i śmiercią.

Piast.

RÓŻNOŚCI.

Aby czkawkę zgubić, zapala się kawałek szarej bibuły i zadmuchnąwszy, trzyma się takową przed ustami pod nosem. Skoro się kilka razy dymem odetchnie, czkawka natychmiast ustanie.

Przewracanie się cieczy i wydobywanie się bulek przed zawrzeniem wody. Nim woda zawrze daje się postrzegać leniwe przewracanie się cieczy i wydobywanie się baniek. Przewracanie się pochodzi ztąd, że części wody mocniej ogrzane, jak lżejsze, wznoszą się do góry. Bulki czyli bańki są wydobywającem się z wody powietrzem. Ztąd to pochodzi różnica między wodą surową a przegotowaną: pierwsza jest z powietrzem, druga bez powietrza, a różnica ta, pociąga za sobą różnicę w smaku i własnościach wody.

Hodowanie chmielu. W dziełku J. Flatau o „hodowaniu chmielu" radzi tenże życzącym założyć chmielnik, zasiać takowy nasieniem, albo też rozsadkami z korzenia rozpoczynać; przy przy tym drugim sposobie radzi atoli zwracać szczególniejszą uwagę na to, aby rozsadki zawsze z ziemi gorszej na lepszą przesadzać, nigdy zaś przeciwnie, gdyż w drugim razie chmiel wyda zbiór lichy. Przy obieraniu miejsca na chmielnik, należy postępować ostrożnie, bo próby są kosztowne; chmiel dziko rosnący jest najpewniejszą wskazówką dobroci gruntu. Jeżeli w niektórych miejscach zaprzestano chmielu, to jest winą błędnego postępowania a nie gruntu. Za przykład przytacza okolice Tomyśla w Poznańskiem. Od stu lat wprowadzona tam uprawa chmielu, aż do r. 1837 nie przynosiła więcej jak 500 cent. po 9 tal. cetnar. Tymczasem w r. 1860 wydała 20,000 cet. po 110 tal. cetnar; zaleca więc zaprowadzenie umiejętnej uprawy, jako najpewniejszy środek podniesienia wartości gruntu mniej bogato od natury uposażonego. W Tomyślu w przeciągu lat czterech przynosił dawniej morg 70 talarów a w r. 1860 już 400 do 500 tal.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. **Nr. 10.**

1. października **1868.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mateusz Grzęda wójt jakich mało.

Walenty Grzęda wzorowym był gospodarzem, oszczędnym i pracowitym, to też mu się wiodło i z każdym rokiem przybywało mienia. Dobrą miał żonę i dwóch synów, Jędrzeja i Mateusza. Był dostatek w jego chacie, że nawet biedniejsi zazdrościli mu tego wszystkiego, lecz on chwaląc Boga pracował nieustannie a swem postępowaniem i cnotliwem zachowaniem się zjednywał sobie szacunek i poważanie w całej gromadzie; że zaś nikomu nie zrobił krzywdy więc go lubiono i za wzór drugim stawiano. Gdy tak powszechną zjednał sobie miłość, zaufanie i powagę, wybrano go na przełożonego gminy, sołtysa czyli wójta — on też nie wzbraniał się od posług gromadzkich i przyjął z chęcią ten obowiązek na siebie, obiecując go wypełniać sumiennie i troskliwie dla dobra całej gromady.

Urząd ten przełożonego całej gminy jak nastręcza dla człowieka roztropnego szerokie pole do czynów sprawiedliwych,

dobrych i zacnych, tak znowu dla słabszych duchem śliską jest drogą do zepsucia, rozpusty, niesprawiedliwości i czynów krzywdzących. Przyczynia się do tego najbardziej przykład starszych w gromadzie, przywykłych najczęściej do pijatyki przy sądzeniu sporów jakie się często nadarzają między włościanami, a z nimi i sołtys zwykł trzymać, odprawując sądy przy kieliszku wódki spijanej kosztem sądzonych.

Walenty właśnie wszedł między takich ludzi. Z początku nie podobało mu się bardzo takie ich postępowanie, lecz nie miał na tyle siły by oprzeć się wszystkim jak i dotychczasowemu postępowaniu, i chcąc niechcąc musiał rozsądzać spory w karczmie i spijać gorzałkę. Nie sprzeciwiając im w niczem zasądzał często sprawy po ich woli, choć przekonany był, że nie całkiem sprawiedliwie rozstrzyga i czyni krzywdę swemu bliźniemu. I takie sądy odbywały się dosyć często a zawsze w karczmie, przy pijatyce, i kończyły się zwykle na nowej kłótni i bitce, nieraz i z samym wójtem, które służyły do nowych sądów i kar.

Przyzwyczaił się więc Walenty pomału do takich sądów i towarzystwa karczemnego, że rzadko kiedy był taki dzień żeby nie zajrzał do karczmy i obszedł się bez gorzałki, a jeżeli kiedy się to zdarzyło, to już chodził taki, jakby mu czego brakowało. A że sądy takie nie bywały codziennie by mógł cudzym kosztem używać tego palącego trunku, więc musiał pić za swoje pieniądze lub robić długi, za które żyd dobry procent kazał sobie płacić.

Takim więc sposobem nie przybywało mu mienia, lecz ubywało dosyć znacznie dobytku a zaniedbana rola nie rodziła tak obficie jak przedtem, gdy Walenty strarannie koło niej chodził. I opuścił tak dom i gospodarstwo wysiadując wciąż prawie w karczmie, zapomniał o Bogu i kościele, o żonie i dzieciach wzrosłszy w pychę i dumę.

Po kilku latach takiej gospodarki i urzędowania Walentego znaczny ukazał się ubytek w jego majątku, w oborach chudoby już mało co było, a zboża to już całkiem brakło, gdy dawniej

stajnie pełne były a zboża dosyć w zapasie. Lecz Walenty nie mógł się upamiętać i zapanować nad sobą, tylko brnął wciąż w długi i więcej jeszcze pił niż pierwej — i doprowadził do tego że ostatnie bydlę z obory sprzedanem zostało i jeszcze na grunt jego żyd pożyczył mu coś pieniędzy.

Gdy tak potracił wszystko i został prawie ubogim, ludzie stronili od niego i zrzucili go z urzędu a innego wybrali. Żona jego długi czas się martwiła i gryzła postępowaniem Walentego, w końcu zachorowała i umarła. Walenty pił dalej i gdy swego już nie starczyło, to zaczął wypożyczać od drugich, wreszcie jak mu się udało skrzywdzić jakie sieroty to sumienie nie powstrzymywało go od tego czynu — i doprowadził do tego że grunt i chatę jego sprzedano, zostawiając go z dziećmi bez niczego.

Zmartwiło go to bardzo, bo przypomniał sobie niedawną zamożność swoją, znaczenie i cześć u ludzi, gdy teraz został ubogim, wydziedziczonym przez swych dawnych sąsiadów — i z rozpaczy zaczął pić bez opamiętania za resztki pozostałości z całego mienia, tak że zachorował z tego i po długich męczarniach umarł w zgryzocie i nędzy, zostawiając dwóch synów bez opieki, bez chaty i roli.

Pozostali synowie Walentego Jędrzej i Mateusz byli już dosyć tęgimi parobczakami, że mogli zarobić na siebie, jednak wychowani w dostatku i wygodzie, nie mogli się odważyć pójść w służbę za zarobkiem. Z rozpaczą spoglądali na chatę swoich ojców, z której kazano im się wynosić, z żalem spoglądali na piękną rolę, która wyżywiła nie jedno pokolenie darząc obfitym plonem. I serce z bolu ściskało się obom gdy przyszło im opuścić swoje gniazdo rodzinne, swoją chatę i rolę, i łza rozpaczy cisnęła się do oka, bo nie wiedzieli gdzie się mają udać i do kogo. Wreszcie po długich naradach i żalach postanowili szukać sobie służby by zapracować na chleb powszedni, i rozeszli się każdy w inną stronę — Jędrzej do karczmy, Mateusz do kościoła i na plebanię do księdza.

Jędrzej udał się pod opiekę żyda, który mu poradził że na frasunek dobry trunek; usłuchawszy go zaczął pić gorzałkę

*

i poszedł całkiem w ślady ojca, z początku po trochu, a później więcej, tak że co zarobił swoją pracą, to nawet mu nie wystarczało na zapłacenie żydowi za wypity trunek. I marniał tak za młodu w nałogowem pijaństwie od którego żadne perswazye i namowy ludzkie oderwać go nie mogły — zmarniał bo wiara wygasła w jego duszy — zapomniał o ludziach i Bogu.

Mateusz zaś po rozstaniu się z bratem poszedł do kościoła i pomodlił się szczerze, a modlitwa pokrzepiła go mocno bo uczuł się rzeźwym i silniejszym na duchu, poczem udał się na plebanię do księdza z prośbą o radę i wskązanie drogi w przykrej doli. Ksiądz wiedząc o całem nieszczęściu jakie dotknęło dom Grzędów, przyjął go uprzejmie, pytając się czego żąda, wreszcie co myśli z sobą robić? po odpowiedziach Mateusza, rzekł mu:

— Chcesz być człowiekiem uczciwym i szczęśliwym, nie zapominaj nigdy o Bogu i postępuj cnotliwie i sprawiedliwie; chcesz być bogatym, to pracuj i oszczędzaj, zapracowany grosz składaj i szanuj, bo co stracisz marnie to już ci się nie wróci a grosz składany do grosza będzie się pomnażać i zawsze przybywać, bo jak to mówią, ziarnko do ziarnka będzie miarka, tak samo i z pieniędzmi. Jednak zawsze i wszędzie niech wiara przyświeca ci czysta i święta, i w każdym czynie niech myśl twa wznosi się do Boga i prosi o błogosławieństwo i siłę niepoddania się złej pokusie.

Potem przedstawił mu postępowanie ojca, który póki był cnotliwy, pracowity i bogobojny, póty mu się dobrze wiodło, a jak zapomniał o Bogu i wiara w nim zagasła, rozpił się i utracił cały majątek, przyprowadziwszy całą rodzinę do upadku a sam umarł w nędzy, opuszczony od wszystkich — a kara za jego postępki spadła także na dzieci, które przebłagać Boga mogą tylko dobrem postępowaniem i sprawiedliwemi czynami. Wreszcie powiedział mu, aby szukał służby i pracy, bo próżniactwo wiedzie do złego i grzechu, do rozpusty i pijaństwa. Poradził mu iść do dworu, gdzie właśnie potrzebowali parobka.

Mateusz usłuchał rady księdza, poszedł do dworu gdzie go przyjęto do służby — i szczerze wziął się do pracy, zachowując się przyzwoicie i cnotliwie, przez co zjednał sobie zaufanie pana i przełożonych a lubionym był od wszystkich. Słowa księdza zawsze miał w myśli; nie zapominał nigdy o Bogu i nikomu najmniejszej nie zrobił krzywdy, ani też obraził słowem. Do kościoła chodził w niedzielę rano, a po południu na plebanię do księdza, który nauczał go religii i dawał przykłady cnotliwych i bogobojnych ludzi. Mateusz słuchał z uwagą nauki i opowiadania księdza, które nietylko wskazywały drogę do spokoju i szczęścia na ziemi ale i do dusznego zbawienia. Przyczem ksiądz poradził mu jak z zapracowanym groszem ma sobie postępować, by go nie stracił marnie, lecz składał i oszczędzał, żeby z czasem mógł przyjść do własnej chaty i roli i został samowładnym gospodarzem tak jak jego ojcowie bywali.

To też Mateusz jak tylko dostał zasługi, sprawił sobie to tylko co mu było koniecznie potrzebnem, a za resztę kupował małe cielaki i dawał na wychowek między biedniejszych gospodarzy, dzieląc się z nimi na połowę zyskiem. I tak powoli, powoli przybywało mu chudoby bo sprzedając dorosłe cielaki kupował znowu małe.

Mateusz po kilkunastu latach przyszedł tym sposobem do majątku, bowiem miał już dosyć między gospodarzami na przychowku bydła, które sprzedawszy miałby sporo grosza. A gdyby nie wiara która go utrzymywała w cnocie i obyczajności a powstrzymywała od zepsucia i marnotrawstwa, toby tak samo był wpadł i zniszczał jak jego ojciec i brat. Lecz on swojem zachowaniem się, pracowitością i oszczędnością nie tylko że przyszedł do majątku ale zjednał sobie miłość i szacunek ludzi, a wiarą i pobożnością błogosławieństwo Boga.

Gdy widział że już ma tyle majątku, że mu na kupno roli wystarczy, podziękował za służbę, posprzedawał wszystką chudobę i odkupił tę samą chatę i rolę, którą jego ojcowie mieli, ożenił się i został samowładnym gospodarzem. —

Tak widzicie Mateusz który rozpoczął z Bogiem, z wiarą i cnotą, pobożnością, pracowitością i oszczędnością doprowadził choć po długich latach, że odzyskał to co ojciec jego stracił w krótkim czasie, a nauczony biedą, nie dał się naprowadzić na drogę rozpusty i pijaństwa, lecz owszem odradzał bratu i drugim, by się upamiętali i porzucili na zawsze ten obrzydliwy nałóg pijaństwa, który do grzechu i nędzy prowadzi.

Jędrzej całkiem inaczej się pokierował, zapomniał o Bogu i kościele, wiarę przygasił w sobie pijaństwem i rozpustą — i zmarniał za młodu żyjąc jak nieludzkie stworzenie; co zarobił przepił, nigdy nie miał złamanego szeląga przy sobie, bowiem wszystko tonęło u żyda na gorzałkę. Ludzie porządniejsi stronili od niego, nawet brat rodzony wstydził się i wolał go całkiem nie widzieć na oczy, niż ujrzeć pijanego, zaniedbanego, obdartego jak dziada. I biedował tak wiodąc żywot w okropnej nędzy, choć miał siłę i zdrowie po temu by się wyratować od upadku a nakoniec umarł w karczmie pod ławą.

Tak to bywa że kto się za wczasu nie opamięta i na dobrą nie wstąpi drogę, nie zahartuje się wiarą, cnotą i pracą, ten przepadł na zawsze dla siebie, dla ludzi i Boga!

Mateusz po kilku latach gospodarstwa na własnym gruncie przyszedł do majątku i znaczenia, bowiem swojem prowadzeniem się i uczciwością zjednał sobie szacunek i zaufanie w gromadzie, która tak samo jak jego ojca niegdyś, wybrała go sobie na przełożonego, t. j. sołtysa czyli wójta. Mateusz się wzbraniał z początku, lecz po namyśle postawił ten warunek, że tylko wtedy przyjmie ten urząd, jeżeli przystaną wszyscy na to, by rady nad sprawami gromadzkiemi i sądy nie odbywały się odtąd nigdy w karczmie lecz w chacie przełożonego lub u którego ze starszyzny gromadzkiej, a w lecie pod gołem niebem.

Większość gospodarzy przystała z chęcią na ten warunek, mała tylko garstka opierała się temu, chcąc i nadal cudzym kosztem wieść żywot pijacki.

Mateusz postawił drugi warunek:

— By kara jaką będą wymierzać na winnych, nie obracaną była na gorzałkę i przepicie, lecz częściowo na kościół,

szkołę i zakupno pożytecznych książeczek, z którychby wszyscy mogli korzystać ci którzy umią czytać czytaliby tym, którzy nie umią.

I na ten warunek większość gospodarzy przystała z ochotą a Mateusza uściskali za tak praktyczne i dobre zaprowadzenie, bowiem w karczmie przy sądach gorzałczanych nieraz przychodzi do większych zwad i bijatyk jak te które sądzili, zkąd pochodzi że nieustanne bywają sądy i bitki — a takiem zaprowadzeniem uchyla się dużo złego, bo nietylko że po trzeźwemu nie przyjdzie do takich zaciętych bójek i obrazy, ale bezstronne i sprawiedliwe osądzenie zapadnie bez krzywdy niewinnych.

I od czasu jak Mateusz Grzęda został przełożonym w Dąbrowie rady i sądy gromadzkie nie odbywają się już nigdy w karczmie, lecz u niego w domu lub gdzie indziej, winnych skązują na dnie pracy, a co skazany w tych dniach zarobi to za to kupują książeczki, dają na szkołę lub kościół. Wszyscy zadowoleni z tego, nawet i ci którzy ulegną karze, i dziś choćby kto inny został sołtysem, to jużby od tego zwyczaju nie chcieli odstąpi

Gdyby tak wszędzie zaprowadzonem zostało, niejdenego uniknęłoby się złego – a ku dobremu rozwarło drogę. Daj Boże, by za tym przykładem poszły i inne gromady — i takich wójtów miewały!

Józef z Medyki.

Św. Izydor.

Jasna zorza wśród przestworza
 Blaskiem niebo skryta w pół,
We wsi budzi, ze snu ludzi
 Jakby w barci roje pszczół.
Już skowronek wita dzionek
 Hej oraczu gotuj pług!

Rola czeka — ręki człeka,
 Pracowitym sprzyja Bóg.
Rzędem długiem woły z pługiem
 Ciągną w pola z mnogich stron,
W tem na wieży, dzwon uderzy,
 Wiernych Bogu woła on.

Próżno woła, od kościoła
  Obojętny stroni lud,
Rola czeka, ręki człeka,
  Trzeba zorać zagon wprzód.
Jeden tylko — modły chwilką
  Spieszy Bogu oddać cześć,
By Pan z Nieba, tak jak trzeba
  Krzyż na barkach dał mu nieść.
Mówią kmiecie: czy nie wiecie
  Jak we włości srogi pan?
Izydorze — kto zaorze
  Wymierzony tobie łan?
On nie słucha — bo moc ducha
  Do kościelnych pcha go wrót,
Inni orzą ziemię Bożą,
  On chce Boga uczcić wprzód.
A pan srogi — słyszy z drogi
  Izydora słodki śpiew,
Jak grom bieży — włos się jeży
  Lica wściekły pali gniew.
Biada! biada, kto pług składa
  Nim zaorze ziemi łan!

Bóg wysoko, sępie oko
  Wlepił w kmieci srogi pan.
Lecz o Boże! byćże może?
  Pan jak martwy stanął głaz,
Jak smug długi - wszystkie pługi
  Czarną ziemię orzą wraz.
A wśród kmieci, cudnie świeci
  Postać biała w wieńcu z róż,
Spłynął z góry, złotopióry,
  Izydora Anioł stróż!
I wesoły pognał woły
  Ostry lemiesz w ziemię wrył,
A z kościoła — w pocie czoła
  Bieży kmiotek ile sił.
—Izydorze dziecię Boże,
  Woła kornie drżący pan,
Łaska w Niebie chroni ciebie
  Twój Stróż Anioł orze łan. —
Pomnij ludu, w pośród trudu
  Spłynie tobie z Nieba cud,
Bóg pomoże — lecz w pokorze,
  Błagaj — błagaj łaski wprzód.

S. P.

Wojciech Jastrzębiec, Arcybiskup.

Już przeszło czterysta lat temu, jak żył Wojciech Jastrzębiec, Arcybiskup gnieźnieński. Jego ojciec, choć pochodził z panów herbowych był ubogim i na utrzymanie siebie i dość licznej rodziny pracować musiał jak prosty chłop. Niczem też nie różnił się od prostego chłopa, ani obyczajami, ani nauką, ani mieniem, bo ledwie chłopski grunt w Lubnicy pod Pacanowem trzymał; toż Arcybiskupa Wojciecha słusznie do rzędu tych zaliczyć można, co wyszedłszy z pod słomianej strzechy, wznieśli się wysoko tak nauką jak i zasługami położonemi dla matki ojczyzny, a wyszedłszy na panów, wzbogacili także ubogie niegdyś swoje rodziny.

Gdy Wojciech podrósł, zaprowadził go ojciec do Beszowy, wioski sąsiedniej gdzie była szkoła i oddał go wiejskiemu nauczycielowi w naukę. Kosztowała go ta nauka nie mało, a jeszcze więcej w przyszłości kosztować miała, pragnął bowiem oddać syna potem do wyższych szkół, aby mógł z czasem zostać księdzem. Na ubogiego człowieka był to wydatek prawie nad siły, pomimo tego stary ojciec nigdy sobie nie układał, aby syn kiedyś jemu albo swemu rodzeństwu zwrócił te wydatki — jednego tylko żądał od niego, a to, skoro zostanie biskupem, aby ufundował w Beszowie kościół i klasztór Paulinów i zaklął go aby to uczynił. Poczciwe i pewnie miłe Bogu było to zaklęcie i mało zaiste takich dzisiaj znajdzie się ojców, coby łożąc na naukę dzieci swoich, niczego więcej od nich nie żądali, jeno tego, aby nabyte w przyszłości dostatki obrócili na chwałę Bożą — wszelako i żądanie było trudne do wykonania i nadzieja wątła aby mu kiedyś stało się zadosyć, bo gdzie to dziecku, co się w wiejskiej szkole uczy, myśleć o infule, o zakładaniu kościoła i klasztoru!

Wojciech wyuczywszy się u nauczyciela wiejskiego w Beszowie, poszedł do wyższej szkoły, a ztąd do jeszcze wyższej i sposobił się na księdza; ale lata mijały a nauka się nie kończyła. Stary ojciec czekał i czekał, a doczekać się nie mógł, już nie biskupstwa i fundacyi, ale przynajmniej tego, aby mu syna wyświęcili na księdza i nie doczekawszy się tego zaszczytu umarł. Przecież przed śmiercią skazał jeszcze do syna, przypominając mu zaklęcie.

Nakoniec Wojciech został księdzem, a musiał to być człek nielada, bo wkrótce potem wyszedł na kanonika gnieźnieńskiego i krakowskiego, został kanclerzem królowej polskiej Jadwigi (żony króla Władysława co Litwę swoją do chrześciaństwa nawrócił i z Polską połączył), wysełany był jako poseł do Rzymu do ojca św. i w jego imieniu trzymał do chrztu córkę królowej; poczem niedługo został biskupem poznańskim.

Tak spełniło się jedno życzenie ojca jego i to nawet nad-

spodziewanie prędko, a stało się to widocznie za łaską bożą, boć zaiste rzadki to przykład aby kto w tak krótkim czasie tak wysoko się wzniósł, biskup Wojciech liczył bowiem naówczas lat zaledwie dwadzieścia kilka A czy teraz, stanąwszy na tym wysokim stopniu pamiętał o rodzinie swojej, o ojcu ubogim, co go niegdyś piechotą do szkoły prowadził? Czy pamiętał o jego życzeniu i zaklęciu? Często się tak dzieje na świecie że młodzieniec z niskiego stanu wyszedłszy na człowieka, zapomina gdzie się urodził, czasem się własnego ojca wstydzi, a cóż dopiero rodzeństwa. Miałżeby taki pamiętać o co go ojciec w dzieciństwie zaklinał? Miałżeby uszanować wolę ojca i spełnić jego życzenia?

Biskup Wojciech nie zaparł się rodziny, owszem, świadczył krewnym wiele dobrego i myślał o ich przyszłości chociaż wiele na jego głowie spoczywało, bo biskup w Polsce był zarazem jakoby ministrem i nietylko kościelnemi ale i krajowemi sprawami zajmować się musiał, Miała wtenczas Polska kłopoty wielkie z rycerzami niemieckimi Krzyżakami, toż biskup Wojciech musiał się układać to z nimi to z cesarzem niemieckim. Gdy w końcu mimo wszystkie układy Krzyżacy Polsce nie przestali krzywd wyrządzać i przyszło z nimi do wojny, biskup Wojciech, jako osoba duchowna nie mogąc służyć matce ojczyźnie szablą, służył jej pieniędzmi i pułk cały swoim kosztem wystawił, a nawet na plac boju z królem Władysławem pojechał.

Obok wielu czynów pięknych, świadczących o jego rozumie, cnotach i zacności wielkiej, dokonał i tego, że ojca swego życzenia spełnił i tak jak mu był przyrzekł, kościół w Beszowie z klasztorem dla księży Paulinów wystawił.

Długo jeszcze potem żył biskup Wojciech. Z poznańskiego został potem krakowskim biskupem a nakoniec Arcybiskupem gnieźnieńskim który w Polsce jest najwyższą osobą duchowną i nazywa się prymas; jest pierwszym po królu i nawet go podczas bezkrólewia zastępuje. Założył miasteczko Jastrzębiec, kilka zamków zbudował, kilka kościołów wzniósł i hojnie uposażył, a rodzinie swojej znaczne pokupił dobra.

Zarzucano mu nie jedno, ale nikt nie jest bez ale i on więc mógł błądzić jako człowiek; ale że był mężem niepospolitym, świadczy o tem historya za jego czasów pisana, świadczą o tem mury i świątynie które dźwignął. Bądź co bądź w rzędzie ludzi co z pod słomianej wyszli strzechy jedno w pierwszych i najzaszczytniejszych miejsc zajmuje, nie tylko dlatego że się wzniósł wysoko, nie tylko dlatego że nieznaną i ubogą rodzinę swoją uczynił możną i bogatą ale i jeszcze bardziej dla tego, ponieważ wolę ojca swego, choć już nieżyjącego, uszanował i pobożne jego życzenia święcie dopełnił, czem okazał się równie wdzięcznym dla swego rodzica, jak był dobrym i prawym synem matki ojczyzny.

Stanisław Krakowczyk.

Obieg wody.

Morze dwie trzecie całej powierzchni ziemi zajmuje; jedna tylko trzecia część na pięć ogromnej obszerności lądów czyli części świata, i na bardzo wiele mniejszych wysp podzielona, stanowi ląd stały który bez wody byłby suższym, kamienistszym zupełnie prawie piasczystym lub gliniastym, gruntem bez lasów, łąk, drzew, trawy i mchu, bez roślin, te bowiem tylko w miejscach falami morskiemi zwilżonych, rosnąćby mogły; a o nie wiele kroków od brzegu niedosięgniętego bałwanem, zaczynałaby się pustynia, straszliwa przez brak roślinności i żyjącego stworzenia, jak Sahara w Afryce, lub Arabska pustynia w Azyi.

Dobrodziejstwo rozdziału wody po całym stałym lądzie, winniśmy słońcu i wiatrom, te odbywają działania, które dopiero po ich bliższem rozpoznaniu i dostatecznem obliczeniu, prawdziwie podziwiać zdołamy. Morze od wielu tysięcy lat, w tych samych prawie granicach zostaje, możemy więc bez popełnienia znacznej niedokładności w rachunku przypuścić, że codziennie tyle się wody z morza ulatnia, ile jej natomiast

z przypływu rzek przybywa. Wyrachowana masa wody Renem do północnego morza wpadającej, wynosi 76 tysięcy stóp sześciennych na sekundę. Z tego więc łatwo domyślić się można, jakiej ogromnej ilości wody tak liczne wielkie i pomniejsze rzeki Europejskie, przez ujście swoje morzu dostarczają. W Afryce Nil, w Azyi Wołga, Indus, Ganges i Chińskie olbrzymie rzeki: Hoangho i Jantsekiang jeszcze obfitsze massy wody wlewają do morza. Strumienie jednak Amerykańskie jak Amazonka i Missisipi, przewyższają swoim ogromem, wszystkie poprzednie rzeki. Ztąd więc prawdopodobnie przypuścić możemy, że ta sama ilość wody w przecięciu z morza w pary wstępuje w powietrze, jaka do niego rzekami wpada, bo inaczej w krótkim czasie znacznieby wezbrało i z brzegów wystąpiło; teraz zaś zapytać się nam należy, jakim sposobem taka niesłychana masa ciężkiej wody wznosi się do góry?

Wiemy z jakim to trudem przychodzi wyciągnąć wiadro wody z głębokiej studni, albo ją wynieść na trzecie lub czwarte piętro. Dla wyprowadzenia z jakiej szyby górniczej wody, mogącej maleńki strumyczek utworzyć, potrzebaby do tego użyć parowej machiny o sile stu koni, zastępującej pracę dwóch tysięcy ludzi. Cóż to przeciwnie za potężna siła być musi, która codziennie tysiące milionów cetnarów wody z morza, jezior, stawów, bagnisk i rzek, więcej niż w milowe wysokości w górę wynosi, i na sta mil po nad lądy przepędza, gdzie się niepoliczone drobniuteńkie kuleczki pary łączą w kropelki i tworzą chmury, obłoki. Słońce i wiatr pomagają sobie wzajemnie w tej pracy.

To działanie można sobie niejako w następujący sposób wystawić: nad morzem unosi się jak wszędzie, powietrze, na podobieństwo delikatnej, przezroczystej gąbki, bo i powietrze wciąga w siebie wodę, i jeszcze chciwiej od gąbki; ta bowiem napojona wodą, wysycha w powietrzu, to jest: powietrze wyciąga z niej wodę, jak z rozwieszonej mokrej bielizny, lub ze wszystkiego, gdzie tylko wodę na drodze napotka; a więc i z morza, jezior, rzek, stawów, tak podobnie jak z miski lub talerza w naszych własnych oczach. A im cieplej-

sze jest powietrze, tem chciwiej wciąga w siebie wodę, i silniej ją utrzymuje; dlatego w zimie mokrą bieliznę rozwieszają przy piecu, a w lecie na słońcu. Kiedy więc słońce rozgrzeje powietrze, wtedy wodna para z morza i ze wszystkich zbiorowisk wody, tem wyżej się wznosi, im bardziej było powietrze rozgrzane; łatwo sobie przeto wystawić możemy, jak silne parowanie na morzu odbywa się w gorących strefach ziemi, gdzie słońce prostopadłe rzuca promienie. Z nierówno zatem rozgrzanego powietrza, powstają wiatry w rozlicznych okolicach, a mianowicie z gorących stref ku południowi i północy wpadające, niosąc ze sobą miliony wiader wody po nad lądem stałym, wysoko ponad równiny, doliny i góry. Nawet ze szczytu najwyższych gór, widzimy jeszcze chmury wysoko ponad sobą, unoszące się w powietrzu, co jest dowodem jak wysoko w niem para wodna nie tylko wznieść, ale i utrzymać się może.

Kiedy się powietrze ochładza, wtedy już do wciągania w siebie i zatrzymania pary wodnej niezdolne; wówczas to uchodzi z nieskończenie maleńkich, delikatnych otworków para, która gromadzi się w nader drobniuchne kropelki. Takim sposobem powstaje mgła wieczorna, bo gdy powietrze w dolinach ochłódnie, wtedy i zimne góry, pokrywją się mgłą, i z niej tworzą się w wysokich, zimnych warstwach powietrza, rozlicznego kształtu chmury. Powietrze pomimo swej subtelności może unosić chmury i mgłę, jak również i drobny pyłek utrzymuje na sobie; ale skoro tylko maleńkie kropelki w większe zbiją się krople, opuszcza się mgła i deszcz z unoszących się chmur, podobnie jak piasek w powietrze rzucony, na dół opada. Jeżli powietrze bardzo jest zimne, a ciepło zwolna zbliża się do punktu marznącej wody, wtedy delikatne cząstki pary wodnej ziębnąc, w śnieg się zamieniają, i wtedy śnieg pada; jeżli zaś nagle ciepło poniżej punktu zmarznięcia, opada, jak się to w lecie dziać zwykło, to naówczas wielkie krople, stają się lodem, i spadają w postaci gradu albo krup. Tak więc woda morska wznosi się w kształcie pary w powietrze, a spada na powrót w postaci deszczu, śniegu lub gradu.

Przytem jeszcze jedno dobroczynne urządzenie natury

uwzględnić należy. Woda morska jest gorzka i słona wieloma z ziemi uniesionemi cząstkami ciał zanieczyszczona, a przeto nie do użycia; woda w wielu jeziorach i bagnach zepsuta i obrzydliwa, lecz gdy w powietrze wstępuje i w parę się zamienia, czyli paruje, wtedy się oczyszcza jak w alembiku, dlatego to woda deszczowa jest tak miękka, czysta i zdrowa, jak dystylowana z apteki. Taką to wielką przysługę, a dzielną w skutkach robotę, za darmo słońce nam wyświadcza.

Już dlatego samego wiele zawdzięczamy powietrzu, że nam wodę daleko z morza po wszystkich krajach rozprowadza, i na najwyższe góry zanosi; słońcu jednakże, jeszcze więcej winni jesteśmy, bo w jego gorących promieniach woda morska i z wszelkich mokrzadeł, niejako się wygotowywa i dystyluje. Gdyby nam samym przyszło to uskutecznić, wtedy wszystkie nasze dystylarnie i w gorzelniach i aptekach, i wszelkie kotły parowe nie byłyby dostateczne, a drzewa i węgla zabrakłoby pewnie na świecie, do utrzymania bez przerwy tak silnego na ten koniec, ognia.

A przecież potrzebujemy czystej wody nie tylko do picia, gotowania i prania, ale i w browarach nie możnaby ważyć piwa z morskiej wody, ani płócien blichować, ani materyi farbować, ani skór garbować, ani w ogrodzie roślin podlewać, te bowiem wygniłyby po większej części nie zasilone miękką wodą deszczową i czystą rosy wilgocią.

Deszcz zwilża ziemię, przez co rośliny pomyślnie wzrastają, on napełnia źródła, strumienie i rzeki, a te znowu wpadają do morza; tym więc sposobem dopiero uzupełnia się ten piękny a dziwny obieg wody na naszej ziemi.

I góry wreszcie są do tego działania pomocne, bo na nich woda się zbiera, która potem z wielkim dla wszystkich istot pożytkiem, po wszystkich także rozpływa się krajach.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Kasy oszczędności.

Są narody szczęśliwe, bogate a nas trapią bieda i nędza, dla tego też tamte narody są potężne i szanowane, a nami wszyscy poniewierają. Jeżeli chcemy podnieść się z upadku, to pierwszą jest rzeczą abyśmy się stali moralnymi i zamożnymi.

Do moralności prowadzi religia, do bogactw zaś prowadzi praca i oszczędność. My jesteśmy pracowici, tego zaprzeczyć trudno, ale też i to przyznać trzeba że nie lubimy oszczędzać — a nawet, co zresztą bardzo nierozsądnie, wyśmiewamy tych co oszczędzają, zapominając że kto nie oszczędza, nigdy się niczego nie dorobi a co gorsza stopniowo w coraz gorszą wpada nędzę.

Oszczędność nie jest rzeczą łatwą. Mając parę groszy w kieszeni oprzeć się pokusom, odmówić sobie jakiej przyjemności, lepszego jadła, lepszego odzienia, bardzo trudno tym, którzy nawet wtedy panować nad sobą nie umieją gdy mają pustki w kieszeniach, i byle żołądkowi dogodzić, gotowi są robić długi — szczęściem ludzie rozumni wymyślili bardzo skuteczny środek na obronę od tych pokus, a środkiem tym są kasy oszczędności.

Kasa oszczędności jest to kasa jak każda inna, czyli dom, w którym są skrzynie żelazne na pieniądze, są urzędnicy którzy pieniądze odbierają i wydają, i z nich się rachują, a wszystko co się tam robi, robi się publicznie, nie pokryjomu, tak iż ci którzy tam składają swoje pieniądze, w każdej chwili mogą wiedzieć jak stoi ich sprawa. Są dni wyznaczone w których do kasy przyjmują pieniądze, są wyznaczone i dni w których je wydają. Jeżeli więc oszczędzi kto małą sumkę, choćby tylko kilka złotych, choćby złoty, a lęka się aby mu się nie rozeszły, lub aby mu ich nie skradziono, niech je zaniesie do kasy oszczędności. Tam odbiorą od niego i schowają do żelaznej skrzyni jego pieniądze, a jemu dadzą książeczkę, w której będzie zapisane wiele złożył. Tę książeczkę trzeba schować starannie a gdy się znowu jaka sumka uzbiera, idzie się znowu z książeczką do kasy oszczędności, a tam znowu pieniądze odbiorą a w książeczce do pierwszej sumki dopiszą tą drugą i tak dalej. Tym sposobem można zabezpieczyć swoje pieniądze od złodzieja i łatwiej się pokusom obronić, bo gdy się pieniędzy nie ma w ręku, łatwiej sobie odmówić mniej potrzebnego wydatku. Tymczasem pieniądze nasze, w kasie oszczędności złożone, pomnażają się powoli, bo kasa oszczędności płaci procent, od każdej setki trzy lub cztery na rok, więc od każdego złotego (który ma sto centów) trzy lub cztery centy, od każdych stu złotych, trzy lub cztery złote. Gdy zaś prawdziwa przyciśnie nas potrzeba, znowu z książeczką idziemy do kasy, i żądamy zwrotu części albo i wszystkich naszych

pieniędzy, a kasyer w tejże chwili, bez najmniejszej zwłoki, bez żadnego pytania, czyni zadość naszemu żądaniu.

A zkąd kasa bierze pieniędzy aby nam mogła procenta opłacać od sum które w niej składamy? Kasa oszczędności nie trzyma bezużytecznie pieniędzy w skrzyniach, lecz niemi obraca, a mianowicie pożycza je na hipoteki pewne, jakoto na dobra ziemskie, na kamienice i pobiera od sum wypożyczonych większy procent niżeli sama płaci, kupuje obligacye znaczniejszy procent niosące i t. d.

W Warszawie jest kilkanaście kas oszczędności **groszowych**, dla tego tak nazwanych, bo tam nawet grosz przyjmą gdy kto przyniesie, podczas gdy w zwyczajnej kasie oszczędności nie przyjmują tak małych wkładek. Kasy groszowe przeznaczone są dla ludzi najuboższych, zwłaszcza dla dzieci w terminie zostających. Chłopiec będący u majstra, często dostanie parę groszy za drogę, które zwykle na fraszki wydaje. Lecz jeżeli zamiast wydawać, będzie je zanosił do kasy oszczędności grosz do grosza przyłożony, wkrótce zamieni się w złotówkę, a złotówka niesie już procent. Tym sposobem dziecko od młodu przyzwyczaja się do szanowania grosza, do oszczędności, uczy się ograniczać swoje wydatki i hamować swoje zachcianki, a to już bardzo wiele i rzecz pewna że chłopiec który w dziecinnych latach nawet z jednego grosza dobry użytek zrobi, ten w późniejszym wieku będzie tysiącami roztropnie obracał, bo jak z grosza robi się złoty, tak ze złotego powstaje dziesięć i sto złotych a ze setek tysiące się tworzą.

W naszym kraju kas oszczędności jest bardzo mało, a o groszowe ani pytaj. Są jednak kraje i to wcale nie bardzo od nas dalekie, gdzie prawie w każdej wsi jest kasa oszczędności. Wsie takie zwykle w krótkim czasie bardzo zamożnemi się stają. Nie znają tam przednowku, nie znają żebractwa, nikt nie pożycza na lichwę, nie zdarzają się wypadki przymusowych sprzedaży. Nikogo tam jednoroczny nieurodzaj lub nawet dłuższa choroba nie zgubi, nikt się na wiano dla córki zapożyczać nie potrzebuje, bo każdy gospodarz ma w kasie oszczędności zapasik, a tego zapasu nawet w największej potrzebie do dna niewyczerpuje, lecz w najgorszym razie przynajmniej procenta na rozpłodek zostawia, a nadczerpnąwszy, stara się wszelkiemi siłami uzupełnić swój kapitał w jak najkrótszym czasie.

I w naszym kraju może być podobnie, niechby tylko każda wieś pomyślała o założeniu u siebie kasy oszczędności.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 11.

11. październiknika 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nadspodziewana pomoc w nieszczęściu.

Żyła w Jaśle przed kilkudziesiąt laty uboga, ale poczciwa rodzina. Ojciec, nazwiskiem Jan Słomka, ręczną pracą zarabiał na codzienny kawałek chleba; ale ani jego starania, ani praca żony i dwóch dorosłych bogobojnych córek, nie potrafiły przynieść tyle dochodu, żeby się mogli wyżywić. Nieszczęścia różne zagościły się w ich domu nie na żarty, byli to więc ludzie bardzo ubodzy, zwłaszcza, iż nie mieli ani kawałka pola, ani kąta swego, tylko najmując mieszkania, ostatniemi czasy już nawet za miastem w karczmie się jakiejś mieścili.

Byli to jednak ludzie pracowici i pobożni; krzywdą ludzką broń Boże się też dorabiać, nie zazdrościli nawet majątków i mienia innym, co właśnie przy ubóstwie świadczyło o ich uczciwości i jednało im wielu życzliwych.

Syn Robert był już nawet na siebie piekarzem w Jaśle i on się miał dosyć dobrze, a córka jedna zamężną była za siodlarzem. Dwie jeszcze pannami w domu przy rodzicach siedziały, bo chociaż urodne, pracowite i cnotliwe, ale ubogie;

każdy je chwalił, ale żenić się nikt nie odważył, bo też każdy się tam garnął gdzie czuł grosz, a wtedy to jeszcze nie trudno było dostać wiano cwancygierami, talarami lub dukatami, co się aż dusza śmiała do nich, to też pieniądz, ten stary kusiciel świata, odpędzał młodzież od biednych córek Jana Słomki.

Już jeden krawiec Ignacy o mało że się nie ożenił ze starszą i wszyscy mu to radzili:

— Ignacy żeńcie się z Karolcią, dziewczyna z dobrem sercem, rączki też ma nie do pierścionków jeno do pracy, nie wychowana na kołaczach tylko w biedzie, wam też takiej potrzeba, a że i dobry z was rzemieślnik, to wyżyjecie i za łaską Boga możecie przyjść do majątku. —

Ignacy słuchał tej mowy i aż mu serce mocniej pukało' tak się mu dziewczyna podobała, lecz, zawsze w końcu odpowiadał:

— Ej moi mili, jabym dziś dostał żony i za nią ze sześćset cwancygierów oprócz innej wyprawy, ale niechby Karolcia choć sto cwancygierów miała, tobym się żenił; tak bez niczego przecie tego nie zrobię, bo żona z pieniędzmi to jednak lepsza; człek sobie zaraz los poprawi a z biedną to sobie owszem pogorszy.

Więc bieda, jak to mówią na urząd, zagnieździła się u Słomków i co dzień było gorzej, tak, że jednego tygodnia, gdy przez brak roboty i jeść nic w domu nie mieli, stary Słomka widząc łzy w oczach żony i córek, wdział wytartą i już nieco połataną czamarę, kapelusz stary na głowę, laskę do ręki, i krzyż św. uczyniwszy, wyszedł z domu do miasta, sam nie wiedząc gdzie pójdzie i po co.

Idzie tak zamyślony przez uliczkę i radby przynajmniej którego kuma napotkać, coby go choć tabaką pogościł, ale jak bieda, to już na wszystko. Idzie więc zły, kapelusz nacisnął aż na nos, i choćby samemu panu staroście nie ukłoniłby się, tak go złe myśli trapiły. Ale wstąpił do kościoła, tam się ze wszystkiego od serca użaliwszy, po cichu wznosi modlitwy do przemienienia Pańskiego, i nareszcie wychodzi

z kościoła jakiś spokojniejszy: w tem spotyka znajomego sobie mieszczanina, nazwiskiem Słonka, więc bardzo podobnego jak on nazwiska.

— Hej! hej! panie Janie, odzywa się tamten, zażyjcie no tabaki, mospanie, powiem Wam coś nowego; jest na poczcie jakiś list, gdzieś mospanie aż z Prus, nibyto do mnie, bo napisano mospanie do Pana Słomki, ale ja z pradziada mospanie zowię się Słonka i ztąd to ponoś między nami różnica, o co nie raz mospanie już i z cechmistrzem się zbywałem; dlatego ja tego listu nie odbieram, chociaż go listonosz z pięć razy do do mnie przynosił; bo nawet niemam nikogo, coby tam mospanie z tego luterskiego kraju do mnie pisywał, i splunął; — więc może to do was, to idźcie i odbierzcie, niech mnie tam ta poczta nie nudzi.

Zdumiał się trochę starowina na te słowa i odrzekł:

— Ja mam jakąś siostrę gdzieś w świecie, ale Bóg św. wie czy w Prusach, czy gdzie się znajduje, a nawet czy żyje, bo nigdy do mnie nic nie pisała; może to ona do mnie pisze. A pożegnawszy swego znajomca poszedł prosto na pocztę, list odebrał i otworzywszy go, wyczytał te słowa:

„Kochany Bracie! Nie wiem czy list mój zastanie Cię przy życiu, bo jakoś nam tak zeszło, że ani się znamy, aniśmy do siebie pisali, ale dziś jestem już na schyłku życia i mam dość znaczny majątek, którego oddać nie mam komu, przeto proszę Cię, jeźli pamiętasz o mnie, przyjeżdżaj jak najspieszniej, niech Cię panem mojego majątku uczynię i z tobą, jak niegdyś dziecinne, tak teraz ostatnie chwile przepędzę. Bądź zdrów Twoja kochająca Cię siostra, Marya.“ —

Z jaką radością spieszył biedak do żony i dzieci z tym listem, tego opisywać nie będę, bo każdy z Was mili czytelnicy pojmie to najlepiej, a gdy wieść ta rozbiegła się w mgnieniu oka po Jaśle, iluż on zaraz przyjaciół znalazł! ten mu z poradą, ten z pomocą spieszy, ów go do siebie zaprasza, gości, ściska, całuje, bo taki to już świat z dawna, że biednego nikt nie zna, a w szczęściu łatwo o przyjaciół·

Nietrudno mu też było o przyodziewę nową i o pieniądze na podróż; przeto nie zwlekając pojechał daleko w świat, z przepełnioną różnemi myślami głową.

Przyjeżdża tedy na miejsce w liście wskazane i zastaje swoją siostrę już nad grobem, staruszkę, nadpodziw majętną, która go przyjmuje najmilej i cały majątek oddaje.

Pozostała żona i dzieci w Jaśle czekają obiecanego pisma, aż tu niedługo przychodzą dukaty i talary z listem i z takiem wezwaniem, aby żona wszystko wysprzedała, z córkami porządnie się okryła i żeby jak najspieszniej do Prus przyjeżdżali. Synowi Robertowi i córce zamężnej za siodlarzem tożsamo pieniędzy dość sporo udzielił, zostawiając im do woli, zostać w Jaśle lub razem przyjechać z tamtymi. Nasz krawiec Ignacy przebywa po całych dniach przy pięknej Karolci i oświadcza się z chęcią żenienia, ale mu powiedziała:

— Mój panie, skoroś nami wprzód pogardzał, to dziś już za późno; idź tam, gdzie dawno cwancygiery dla ciebie chowają, ja już pojadę z matką tam, gdzie Bóg poczciwość i pracę naszą nagradza.

Ignacy aż włosy targał ze złości; dobrze tak łakomcowi

Wkrótce wyjechała stara Słomkowa z dwoma córkami, i niedługo potem pisała do Jasła, że Karolcia idzie za mąż za jednego pana co ma trzy wsie, a druga córka za kupca do miasta i tak się istotnie stało; są paniami i żyją do dziś dnia.

Siodlarz w Jaśle tyle dostał pieniędzy że sobie sporo i gruntu kupił i kamieniczkę wystawił, ale wnet umarł, żona więc jego z córkami są w Prusach a syn Robert także po tym wypadku niedługo umarł w Tarnowie, gdzie był piekarzem.

Tak więc mili bracia, Bóg o każdem stworzeniu pamięta, bez jego św. woli, ani włos człowiekowi z głowy, ani biedne ptaszę nie zleci z gniazda ulepionego pod rodzinną strzechą, tylko pracą, cnotą, wykonywaniem Jego świętych praw, miłością bliźniego, trzeba sobie skarbić łaskę u tego najdobrotliwszego pana.

Edmund Janicki naucz. w Błażkowy.

Pieśń przy oraniu.

W Imię Twoje Boże,
Chłopek ziemię orze:
W Tobie ma nadzieję,
Kiedy ziarno sieje.
Dalej wołki dalej,
Będziem pracowali;
Bóg pracą nagrodzi,
Ziarnko tysiąc zrodzi.
Pod Boską opieką,
Upały nie spieką,
Grad zdaleka minie;
Zdziebełko nie zginie.

Czas szybko upływa,
Nadejdą i żniwa,
A nasze zagony,
Hojne dadzą plony.
Tak to z łaski Bożej,
Dobytek się mnoży,
Oby pożyć zdrowo,
Zarobić na nowo.
Dano dobrze użyć,
Wiernie Bogu służyć,
I plonem tej ziemi,
Dzielić się z biednemi.

S. P.

Kubuś.

Raz w Niedzielę rano,
Grabił Kubuś siano;
A że w święto grabił,
Więc piorun go zabił.
Módl się w święto zrana;
Bo święto dzień Pana,

Widzisz, Kubuś grabił,
I piorun go zabił
Wyraźnie Bóg woła:
W święto do kościoła!
Kubuś w święto grabił,
I piorun go zabił! —

Ubogi muzyk i jego kolega.

W pięknym dniu letnim odbywała się w Wiedniu w pobliskim Praterze, miejscu publicznych przechadzek, wielka uroczystość ludowa. Ochocze tłumy wszelkiemi drogami wychylają się ze wszystkich stron miasta; młodzi i starzy, bogaci i ubodzy chciwie pragną użyć przyjemności i swobody życia; nawet cudzoziemcy biorą udział w zabawie ludowej. Gdzie zaś między ludźmi wesołość i spokój panuje, tam i ubodzy, z miłosierdzia szczęśliwszych swych bliźnich żyjący, mogą ich wsparcia pewniejszą mieć nadzieję. Tak więc przybyło tu także nie mało żebraków, jakoteż organkarzy, arfiarek, z których każdy chciał coś wyprosić, coś zarobić na opędzenie swej biedy.

Wtedy właśnie mieszkał w Wiedniu stary wysłużony żołnierz; zbyt szczuple udzielona mu płaca jako inwalidowi, niedostateczną mu była na utrzymanie, a żebrać niepodobna było. Będąc wszakże z rodu zdatnych do muzyki Czechów, wziął się do skrzypców, bo od lat chłopięcych nauczył się grać od swojego ojca. Siadywał zwykle pod starem drzewem w Praterze, swego zaś pudla wyuczył trzymać kapelusz w który łaskawie słuchacze wrzucali swoją ofiarę.

I dzisiaj stał on tu pod drzewem i rzępolił a pies siedział przed nim z kapeluszem; obojętnie jednak przechodzili goście a kapelusz był próżny. Gdyby się kto uważniej przypatrzył staremu kalece pewnieby się nad nim ulitował. Rzadki siwy włos zaledwie pokrywał jego głowę; stary wytarty płaszcz żołnierski otulał wyschłe wiekiem ciało. Nie z jednej ciężkiej wyszedł on potrzeby, a każda napiętnowała go blizną, pamiątką niejako za poświęcenie życia w obronie kraju. Trzema tylko palcami prawej ręki wodził smyczkiem po strunach; bo kartacz pod Aspern strzaskał mu dwa drugie, a kula równocześnie nogę mu urwała. Nikt jednak nie spojrzał na starego kalekę żołnierza, a on przecież za ostatni grosz kupił struny na skrzypce i z wysileniem odwieczne marsze i tańce bez przerwy wygrywał. Smutno i tęskno spoglądał starzec na przesuwające się koło niego tłumy, na opromienione weselem twarze i na przepych niedzielnych ubiorów. Uśmiech każdego ranił jego serce i niepokoił duszę, a myśl że dzisiejszego wieczoru trzeba będzie iść głodnym na spoczynek tem była boleśniejszą dla niego, gdy wspomniał o psie ukochanym, o jedynym przyjacielu swoim.

Już słońce miało się ku schyłkowi, i jego nadzieja rozwiewała się, w miarę jak się wieczór przybliżał; bo już i rozchodzić się z zabawy zaczęto; wtedy głębokie cierpienie rozlało się po wyschłej a bliznami okrytej twarzy staruszka. W tem smutnem położeniu nie postrzegł wcale, że niedaleko od niego, wytwornie ubrany pan długo mu się przypatrywał, przysłuchiwał, i z głębokim wyrazem litości na niego spoglądał. Starzec zaś o szczudle, długiem staniem znużony i graniem

zmordowany, usiadł na kamieniu, wsparł czoło na ręce, a tajemne łzy zrosiły mu zwiędłe policzki.

Ale ów pan, nieopodal od starca o pień lipy oparty, widział te łzy, z ócz biednego kaleki płynące, a wzruszony, jak gdyby wrzące krople na jego serce spadały, poskoczył do niego, dał mu pieniądz złoty i rzekł z cudziemska, łamanym językiem:

— Proszę mi pozwolić tych skrzypców na godzinkę.

Starzec z wdzięcznością spojrzał na obcego, a choć nie pojmował myśli cudzoziemca, podał mu uprzejmie swe skrzypce. Nie były one tak złe, tylko ich właściciel ledwie rzępolić umiał. Nieznajomy wystroił je do czysta, stanął tuż obok starego kaleki i rzekł:

— Kolego, teraz ty zbieraj pieniądze, a ja będę grał.

W rzeczy samej zaczął grać a starzec ciekawie spoglądał na swoje skrzypce, jak gdyby ich nie poznawał; bo każden ton z nich wydobyty, przenikał serce słuchacza, a dźwięki jak perly roztaczały się na wszystkie strony. Niekiedy zdawało się, że głosy anielskie wydobywają się z głębi instrumentu, wyśpiewując radosne pienia wesela i swobody; a potem znowu jakieś użalenia, skargi, boleść a każden ton rzewny wzruszał i łzę z oczu wyciskał.

Teraz ludzie skupiać się poczęli, około tego wytwornie ubranego pana i z podziwieniem słuchali czarującej gry jego; każdy się z łatwością domyślał, że ten zacny mąż gra na korzyść ubogiego; ale nikt go nie znał. Koło słuchaczów coraz się bardziej powiększa Nawet powozy znakomitych osób stawają. Każden z obecnych stosując się do zamiaru cudzoziemca, hojne składa ofiary Złoto i srebro, miedź i papiery, według możności i uczucia każdego, sypały się do kapelusza starego żołnierza. Pies warczał; czy z radości czy z gniewu? Za ciężki był już dla niego kapelusz.

— Wypróżnijcie go staruszku, wołali obecni, on się jeszcze napełni!

Starzec usłuchał i rzeczywiście znowu się kapelusz pieniędzmi napełnił, które powtórnie wsypał to torby, służącej mu

na schowanie skrzypców. Cudzoziemiec rozpromieniony powodzeniem grał ciągle, bez ustanku, a ustawiczne oklaski rozlegały się w dalekich stronach Prateru. Wszyscy byli w zachwyceniu. Nareszcie muzyk zaczął grać pieśń ludową na cześć Cesarza; wtedy wszystkie kapelusze i czapki zsunęły się z głów słuchaczy, a zapał ludu wzmógł się tak że wszyscy ją chórem zanócili. Skrzypek grał pełen natchnienia, a gdy się pieśń skończyła z cudownie odegraną przygrywką i zachwycającemi odmianami, złożył skrzypce w ręce szczęśliwego inwalidy i nim starzec zdołał swą wdzięczność okazać, znikł w tłumie zgromadzonego ludu.

— Kto to był? ciekawie pytał się każdy.

Wtedy jakiś pan wystąpił i rzekł:

— Znam go dobrze, jest to najznakomitszy teraz w całym świecie skrzypek Aleksander Buszer (Boucher) Francuz, który tu swoją sztukę w celu dobroczynnym okazał. I my także idźmy za jego przykładem.

I ten pan znowu wystawił swój kapelusz i znowu sypały się pieniądze dla zdumionego starca; a gdy napełnił niemi torbę inwalidy zawołał:

— Niech żyje zacny Buszer!

— Niech żyje! ochotnie wszyscy krzyknęli. A starzec z wziesionemi ku niebu rękoma modlił się mówiąc: Dzięki ci składam dobrotliwy Boże! nagródź mu stokrotnie!

Tego wieczora niewątpliwie nie było w Wiedniu nikogo szczęśliwszego, jak starzec od nędzy na zawsze wyswobodzony i muzyk z najpiękniejszem w sercu za czyn chwalebny świadectwem, jakiegoby każden uczciwy człowiek zapragnął.

Co w lesie mieszka i przebywa.

Las pierwotny bardzo licznych ma w swojem Państwie mieszkańców, między drzewami, na gałęziach, na mchu i pod nim osiadłych. W umiarkowanych strefach, mieszkają pod jego dachem: sarny i jelenie, lisy, borsuki, rysie, niedźwiedzie

wilki, dziki, żubry i t. p. One poczytują się za właściwych posiadaczy lasu, a co obok nich i nad niemi przebywa, to oni znoszą tylko ich obecność i sąsiedztwo, lub za podwładnych swoich poczytują. Najlepsza pasza do nich należy, mchy służą im za legowisko, a za dach drzewa rozłożyste; ich także źródła i leśne strumienie do zaspokojenia spragnionych. Niebezpiecznie do nich zawitać; a jakkolwiek jelenie i sarny, trwożliwego są usposobienia, i niechętnie przystępują do zwady i walki; chociaż lisy, borsuki i rysie lepiej się rozumieją na złodziejstwie, niż na wstępnym boju z równemi sobie i mocniejszemi od siebie zwierzętami, i w czasie niebezpieczeństwa przezornie umieją się do swych jam uchronić; to jednak niedźwiedzie, dziki i żubry są nieposkromieni i niebezpieczni lasu domownicy, a wilki, to jawne rozbójniki; nie należy z niemi puszczać się w zapasy. Ryś i wilk to najzuchwalsze łotry, oni są rzeczywistemi panami naszych lasów Europejskich.

Ryś jest największy, rodzaj kota, w umiarkowanych strefach, gdzie lwy, tygrysy, lamparty nie mogły się z chłodniejszem powietrzem oswoić, nietylko napada on na sarny i jelenie, lecz nawet na łosia wzrostem koniowi równego. Wskakuje on na grzbiet tym zwierzętom, przerywa im żyły na szyi, co sprawia że przez ujście krwi martwe padają. Wilki i mniejsze od nich lisy należą do rodzaju psów, i zbierają się w gromady, dla pomagania sobie w rozboju. W ten sposób pokonywają bydło i konie, i częściej mordują z upodobania, niżli z potrzeby zaspokojenia swej żarłoczności. Lis przy słabszych siłach na mniejszych zwierzętach przestaje. Ściga zające i zasadza się na ptastwo, najbardziej lubi smaczne przekąski jakoto: gęsi, kury, kaczki; jeźli mu ich niedostaje, to chwyta łasice, skrzeczki, myszy, i małe ptaki. Co więc tylko może, to się chroni na drzewa przed mordercami, jak np. wiewiórki i większa część ptaków.

Ale i tu niema dla nich bezpiecznego schronienia, są bowiem i uskrzydlone rozbójniki i zbójcy, z ostremi dziobami i mocnemi szponami jakoto: jastrząb, sokół, sęp i orzeł; te we dnie zagrażają, w nocy zaś zjawiają się w powolnym, ledwo

dosłyszanym locie sowy, puszczyki, puchacze, i między zaspanem ptastwem mordy roznoszą. Jakby w powszechnem zamiłowaniu rozboju i mordu, i mniejsze zwierzęta napadają na jeszcze mniejsze od siebie. Kuna, tchórz, a nawet łasica żyją z mordu i rabunku; niedołężny nietoperz korzysta ze zmierzchu i chciwie chwyta, gdzie tylko muchę, ćmę lub motyla napadnie; kruki, wrony, sroki mordują co się odpowiedniego ich siłom nawinie. Kawki, dzierzby, kosy, piegże, słowiki żyją z połowu; dzięcioły długiemi językami wyciągają z rozpadłych drzew i z pod ich kory ukryte chrząszcze i robaki, a dzióbami zmorszałe rozdzióbują drzewo, mordując na co natrafią.

Jakby przez zemstę, zagrożone mordem zwierzęta, niszczą nasienie roślinne! osy niszczą żołędzie, gąsienice i kwiaty, a najmniejsze nawet chrząszczyki obsiadają sosny, jodły i swoją żarłocznością do uschnięcia drzewo przyprowadzają, a mordy i rabunki w całym lesie na porządku dziennym.

W tem człowiek przychodzi do lasu niepozorny cudzoziemiec w tak krwiożerczem Państwie. Daleko mniejszy od żubra i łosia, nie większy od wyprostowanego niedźwiedzia a słabszy od któregokolwiek ze zwierząt drapieżnych. Nie ma skrzydeł jak sęp i orzeł, a najmniejszy ptaszek bynajmniej na niego nie zważa, bo za wyciągnięciem jego ręki, wysoko na wierzchołek drzewa ulatuje. Człowiek nie ma szponów, pazurów, jak zwierzęta z rodzaju kotów, lub ptaków drapieżnych, ale miękkie ręce; niema kopyt jak koń, ani racic jak bydło, lub jeleń, ale miękkie, obnażone nogi; niema ani prostych ni rozłożystych rogów do obrony swej głowy jak wół lub jeleń i sarna; niema szerokich, zakrzywionych rogów do obrony swej głowy, jak koza i baran, tylko miękki długi włos powiewa na jego ciemieniu. Niema takich kłów jak dzik, ryś, wilk i lis, lecz pulchne wargi zakrywają mu krótkie zęby, do rozcierania tylko mączystych ziarn sposobne. Niema twardego pancerza naprzeciw ostrej broni, jak żółw lub pancernik, ani futra dla złagodzenia wszelkiego pchnięcia lub uderzenia, nie ma żadnej ochrony przed ostrym zębem napastnika. Bez żadnego widocznego

środka obrony, stawiła natura słabego człowieka, naprzeciw zastępom nieprzyjaciół, silnym rozbójnikom i zajadłym, mordu chciwym zwierzętom.

Żubr i jeleń godzą na człowieka potężną opatrzeni bronią, dzik zagraża mu ostremi kłami, koń bije kopytem, zgraja wilków rzuca się na niego, z wyszczerzonemi zębami, tygrys roztwiera swą paszczę, lew zamierza się do morderczego skoku, sęp i orzeł zataczają niecierpliwie koła ponad głową zewsząd zagrożonego człowieka, w stalowe niemal uzbrojeni dzióby i ostre pazury. Jakże ujść napadu nieprzyjaciół, choćby i skrzydłami był obdarzony? Jakim sposobem mógłby zostać ich panem? Bez żadnej ochrony i bezbronny, w lekkiem okryciu, wchodzi on do lasu pomiędzy dzikie zwierzęta. Zaciekawieni lasu mieszkańcy gromadzą się w około obcego przychodnia, którego jak przypuszczamy, nigdy nie widziały. Każde zwierzę wydaje mu się przeważnie silniejsze, aż do kąsającego lisa, który go może w szybkim napadzie pochwycić za łydkę i spiesznie ujść pogoni. Wystawmy sobie, że lis rzeczywiście chciał rzucić się na bezbronnego człowieka; ale ten, schyla się w tej chwili, podnosi kamień i zamierza się do rzutu. Jakaż to straszliwa broń przeciwko lisowi! Człowiek ciska funtowy kamień na zwierzę, a trafiwszy je w czoło, druzgocze mu kości i mózg rozsadza; bo silnie rzucony kamień w chwili uderzenia, jest jak cetnar ciężki Albo innym razem, człowiek rzuca kamień, na dzwoniącego zębami lisa, ten błyskawicą zwraca się w inną stronę, i odbiera pocisk, który mu gruchocze żebra; zalany krwią przeraźliwie wyjąc, ucieka ile mu sił starczy i kryje się w nóry, dla ocalenia siebie i swego potomstwa.

Trożliwie i inne groźne nawet zwierzęta ustępują: zając, sarna, jeleń i łoś, uciekają przed człowiekiem, ptaki zleknione wzlatują w powietrze, kozy wspinają się na skały, a koty na drzewa. Niedźwiedź tylko, grubem futrem okryty, rzutu kamienia na siebie, niepoczytuje za zbytnie niebezpieczeństwo, a żubr nie dosyć przezorny, a najdzielniejszy zwierz w umiarkowanych strefach, i król w lesie pierwotnym, wyzwany niejako,

przez nowo zjawiającego się władzcę, śmiało zapewnie stanie do boju, i rogami będzie usiłował przebić przeciwnika, i zranionego stratować nogami. Ale człowiek wznosi wysoko maczugę i wywija nią w powietrzu. Znowu potężna broń, której skutków śmiały żubr doświadczy. Gwałtownym zamachem pada ciężka maczuga na czoło dzikiego zwierza, i czaszkę druzgocze mu w kawałki. Ogłuszony zwierz powala się na ziemię, i niestawiając więcej oporu, życie zakończa.

Teraz i niedźwiedź, ryś i wilk stronią od tych zapasów, bo już rozstrzygnęło się panowanie człowieka nad zwierzętami leśnemi. Jakkolwiek niepokryty i bezbronny urodził się człowiek, otrzymał jednakże rękę, czyli narzędzie więcej warte, jak wszystkie przyrodzone osłony i wszelkie od natury udzielone bronie. Ręka mogąca wszystko ująć i podnieść, ciągnąć, pchnąć rzucać, uderzać i miotać, tysiące broni zastąpić zdoła.

Ręka czyni człowieka panem wszystkich zwierząt.

Mają i małpy wprawdzie ręce, i one rzucają owocami i orzechami, siedząc na drzewach, gdzie się jak na basztach, bronią przeciw napastnikom, i ujmują rękami kije i pałki; ale na tem przestają, bo im brakuje wynalazczego rozumu, do stósownego urządzenia i rozważnego użycia swej broni. Zamroczony ich umysł, jest im na przeszkodzie do wykształcenia rąk, tak więc te nieocenione narzędzia, czynią je niedołężniejszemi od bobrów mających nogi do pływania usposobione, i od ptaków, które swym dzióbem tyle zadziwiających nas robót dokonywają. Człowiek z nader kunsztownem narzędziem, czyli ręką i rozum w darze otrzymał, ażeby tego narzędzia jako osłony i broni używał; i tym to sposobem Stwórca przeznaczył go na doczesnego na tej ziemi pana.

W jaki więc sposób człowiek panowanie nad zwierzętami wyzyskał?—Naprzód jako strzelec w nieustannym boju z dzikim drapieżnym zwierzem, wytępiał rysia, wilka, lisa, kunę; na spłoszoną i strwożoną dziczyznę, wynalazł wszelkiego rodzaju broń, rozliczne narzędzia i sposoby myśliwskie: pocisk, łuk i strzałę, dmuchawkę, zastawiane doły, sidła, potrzaski, pułapki,

żelaza najeżone kolcami na lisy i kuny, wiatrówki, a nakoniec broń i proch strzelniczy, który nieporównanie silniej kulę z lufy wyrzuci, niżby tego ludzkie płuca z dmuchawki lub wiatrówki dokazać mogły.

Polowanie jest wesołem, uciesznem źródłem zarobku, ale ograniczona tylko liczba rodzin myśliwych, w jednej okolicy zamieszkać może, bo samo wytępianie i mordy, bez względu na przychowek, zmniejsza gromady zwierząt, które nie tak prędko odrastają. Na mili kwadratowej zaledwie 10 rodzin może wyżyć z polowania a z trudnością cała ludność między sobą pozostaje w pokoju. Jakże odgraniczyć dzielnice do polowania, kiedy je zwierz z łatwością w każdej chwili przekroczy? Ztąd zwykle wszczynają się zwady, spory i kłótnie, następnie przychodzi do najazdu i walki, i do wzajemnego wytępiania się. Tak się działo u ludów utrzymujących się z polowania, i to samo dzieje się dzisiaj w pierwotnych lasach w północnej Ameryce. Ludność miejscowa coraz się bardziej pomniejsza, a oświeceńsi i pracowitsi przychodnie wytępiają dawnych mieszkańców, lub ich znaglają do opuszczenia miejsc, w których potem rolnictwo i przemysł zakwita.

Rozsądniejsi ludzie zajęców, sarny, łosiów, niedźwiedzi i wszelkie zwierzęta, nietrudniące się rabunkiem i mordem, ale zawsze dzikie, zostawiali w pokoju, a łagodniejsze i powolniejsze obłaskawiali. Z tych najpotulniejszą okazała się owca, a najużyteczniejszem bydło, także kozy, kury, gołębie. Te człowiek roztropny przywodził z lasu do siebie, i z niemi urządzał sobie gospodarstwo.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Niema karmicielka.

Wielką przysługę ludziom wyświadcza krowa, bo swoim mlekiem, w przypadku słabości matki tysiącom dzieci życie ocala, żadnym bowiem innym pokarmem bez niebezpieczeństwa, nie da się dziecię wychować. Mleko nietylko dla niemowlęcia, ale i dla starszych dzieci jest najlepszem pożywieniem; doro-

słego nawet człowieka może być wyłącznym pokarmem, i rzeczywiście dla wielkiej liczby ludzi, szczególniej zaś na wsi, główną część pożywienia stanowi tak, że krowę słusznie niemą karmicielką nazwać możemy.

Z czegóż się składa ten tak nieoszacowany, z trudnością dający się zastąpić, służący zdrowiu pokarm, a będący zarazem pokarmem i napojem? Większa część świeżo udojonego mleka składa się z wody, i to prawie z dziewięciu dziesiątych części, albo dokładniej mówiąc z 86ciu do 90tu setnych części. Ta przeważna ilość wody w mleku, wcale nas dziwić nie powinna; samo białko w kurzem jaju ma w sobie 86 do 88 setnych części wody, tylko 12 do 14 setnych części pierwiastku suchego białka, a najlepsze i najmocniejsze wino ma tylko kilka setnych części spirytusu winnego i cukru, i zaledwie zważyć się dającą cząstkę pierwiastków korzennych i zapach dających, reszta wszystko jest wodą do rozpuszczenia i rozcieńczenia tych ciał potrzebną. W wodzie rozpuszczone pierwiastki mleka są cukier i ser; prócz tych w bardzo delikatnych krupeczkach masło, czyli tłuszcz mleczny. To są właściwe pierwiastki pokarmowe w mleku; sto funtów świeżo udojonego mleka krowiego, zawierają w sobie 4 do 5 funtów cukru, któren dla rozróżnienia go, od cukru ze trzciny cukrowej, z winogron i buraków, mlecznym cukrem nazywają; mniej wprawdzie jest słodki, jak cukier roślinny, ale nadaje świeżemu mleku przyjemny smak słodki; prócz tego znajduje się w tych stu funtach mleka około 4 funty serowego pierwiastku; nakoniec mała część soli, która z serem złączona, do trawienia, posilenia i tworzenia kości znacznie się przyczynia. Tak więc najważniejsze pożywne pierwiastki dla ludzi w mleku widzimy. Masło jest tego samego rodzaju, co oleje roślinne, i różne rodzaje tłuszczu zwierzęcego, a ten składa się z tej samej materyi, co mączka krochmalowa w roślinach, części mięsne owoców, korzonków jadalnych i narośli; te wszystkie ciała służą nam za pokarm, szczególniej dla rozniecenia potrzebnego ciepła żywotnego.

Pierwiastek serowy te same prawie ma części składowe

co mięso i zboże, tworzące właściwą massę krwi, szczególniej zaś do zastąpienia zużytych muszkułów służące, dla tego pierwiastek serowy jak mięso nadewszystko za posilny pokarm uważać należy. Cukier mleczny co do swego składu z cukrem roślinnym jest jednakowy, i nietylko służy za przyprawę, ale jak tłuszcz i krochmal, z któremi z tych samych składa się pierwiastków, za pożywienie. Gdy także i potrzebne sole i inne pierwiastki do ukształcenia i odnowienia kości i innych składowych części ciała w mleku się znajdują, to należy je za szczęśliwe połączenie z pożywnych pierwiastków poczytać, i za zdolne wszystkie inne zastąpić pokarmy tak, że człowiek samem tylko mlekiem i wyrobami z niego, jakoto masłem, serem i serwatką żyć może. Mleko także jakkolwiek w rozmaicie pomieszanych stósunkach, zdatne jest do trawienia; razem służąc za pokarm i napój, ma w sobie składowe cząstki krwi, i w tym to względzie, możemy mleko białą krwią nazywać.

Krowa tylko jedynie najlepszego dostarcza nam mleka; jednakże i mleko od innych zwierząt ssących jak kozie, owcze, ośle niemały przynosi nam pożytek; żadne wszakże nie wyrównywa w dobroci krowiemu. Stósownie do celu hodowana i karmiona krowa, odpłaca się wielką dla nas korzyścią. Ona bezwiednie najpożyteczniejszą dla ludzi odbywa robotę; zieloną bowiem niezdatną dla człowieka na pokarm trawę, w słodkie mleko zamienia, co niewyjaśnionym dotąd sposobem, w niewielu dokonywa się godzinach. Nie przestajemy jednak na tem, ale i cierpliwego wołu, jako powolnego a silnego sługę używamy do ciągnienia w zaprzęgu ciężarów, do orki i uprawy roli. I to jeszcze za mało. Jak krowa nam trawę, koniczynę i inne pokarmy w mleko zamienia, znowu wołu tak długo tuczymy, aż dopóki większą część swej paszy nie zamieni w mięso i tłuszcz, i gdy zwykle dorosły wół 6 do 8miu cetnarów waży, to upasiony aż do 20tu i więcej cetnarów ciężkości dochodzi.

Te szczególniejsze przymioty i zbyt ważne usługi zwierząt jako roboczych, dostarczających nam mleka i dających się utuczyć sprawiły, że od niepamiętnych czasów bydło zostało

najszacowniejszym domownikiem człowieka, a w Egipcie wół jako godło rolnictwa, za bożka był czczony.

Na górach bywa bydło po większej części silne, skupione w sobie, małego wzrostu, z krótkiemi rogami, do chodu po nierównym, kamienistym gruncie, i do paszenia się na spadzistościach usposobione. Na szeroko rozległych równinach z miękką ziemią a wysoką trawą i bydło swoje członki dogodnie rozszerza i jest roślejsze. Głowa, szyja i nogi wydłużają się na miękkim a nawet mokrawym gruncie, dla wygodnego chodu, szeroko rozszczepiają mu się racice, skóra zwiesza się na piersiach i słabiznach, a długie cieńkie rogi rozchodzą się daleko od siebie.

Kozę można poczytać za mniejszą, pośledniejszą krowę; przestaje ona na szczupłej, lichej paszy, ale i łakotliwa przy dobrym pokarmie, jest prawdziwie mlecznem zwierzęciem ubogich właścicieli ze szczupłej roli, lub ogrodu żyjących. Pochodzi ona z lasu, i jak jeleń z spokrewnioną sarną lubi zajadać gałązki liściaste, iglaste, korę i korzenne zioła na górach rosnące. Ogrodnik więc liściem z drzew owocowych i krzewów, opadkami z jarzynnych roślin i plewidłem, łatwo może łakotnisi dogodzić. Nie wpuszcza się wprawdzie wilka do obory, koza jednak należy do ogrodu, bo z niego najlepszy z małym kosztem otrzymuje pokarm, któren się prawie cały w mleko przemienia, bo niewiele jej do życia potrzeba, a mleko ma obfitsze w masło, cukier mleczny i ser aniżeli krowa.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Kto nie miawszy uczynić bez zwłoki odmówi, jakby połowę dał.

Z przyjaźnią jak z nową suknią, w ustawiczności spowszednieje, rzadziej używając, dłużej dobra.

Jak kto o kim przed tobą, pewnie o tobie przed drugim.

Bez miary lekarstwo, stanie za truciznę.

Wielka różnica zacząć dobrze, a dobrze skończyć.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX.

Nr. 12.

21 październik-
nika

1868.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.

Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 zlr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Andrzej Apostoł.

Święty Andrzej, jeden z dwunastu Apostołów, urodził się w Ziemi świętej, w wiosce Betsaidzie, często wspominanej w piśmie świętem, bo tam przebywał Zbawiciel świata, Jezus Chrystus i tam głosił najświętszą swoją naukę. Święty Andrzej pochodził z ubogiej rodziny rybackiej. Ojciec jego imieniem Jonasz był rybakiem, i brat jego Szymon także trudnił się tem rzemiosłem. Później gdy święty Jan Chrzciciel zaczął prostować ścieżki pańskie i zapowiadać przyjście Zbawiciela, Andrzej został jego uczniem i towarzyszem. Aż pewnego razu gdy Jezus chodził nad morzem galilejskiem, ujrzał obu braci, Szymona (nazwanego później Piotrem) i Andrzeja, którzy właśnie zapuszczali sieć w morze i rzekł do nich: Pójdźcie za mną a uczynię was rybitwami ludzi. Usłyszawszy to bracia opuścili sieci i poszli za Chrystusem. Od tej chwili stali się nieodstępnymi Zbawiciela towarzyszami i zostali później wybrani na Apostołów.

Gdy po śmierci Zbawiciela i cudownem zesłaniu Ducha świętego Apostołowie napełnieni nadziemską mądrością i obdarzeni mocą czynienia cudów, rozeszli się po wszystkich krajach świata dla opowiadania nauki ewangielii, Andrzej święty poszedł także daleko po za granice ziemi ojczystej, aby pogan nauczać i nawracać. W dalekich pielgrzymkach swoich zwiedził wiele, bardzo wiele krajów zamieszkałych jeszcze przez ludy wpół dzikie, wiele tysięcy pogan do wiary prawdziwej nawrócił i ochrzcił w imię boskiego swego nauczyciela, Jezusa Chrystusa. W odwiecznych księgach, w których spisana jest starożytna historya kraju ruskiego, można się doczytać, że święty Andrzej był nawet w Kijowie, mieście bardzo dawnem na Rusi i tu pierwszy zaszczepił wiarę Chrystusową. Nie koniec na tem. Andrzej święty szerząc światło ewangielii dotarł aż do ujścia rzeki Dniepru i do granic naszego kraju. Gdzie zresztą był, nie można wiedzieć z pewnością, bo wówczas jeszcze nauka pisania mało była znaną, toż historyi dokładnej owych czasów nie mamy; ale jak daleko pielgrzymował widać i ztąd, że Szkoci, lud mieszkający daleko za morzem, utrzymują, że święty ten Apostoł był także i u nich; uważają go za swego patrona i chlubią się posiadaniem jego relikwi.

W końcu udał się do Grecyi i tam odebrał nagrodę za swoje trudy, bo Bóg pozwolił mu ponieść śmierć męczeńską za wiarę, a tem samem stwierdzić prawdziwość tych nauk, które głosił. Andrzej święty został ukrzyżowany na poprzecznym krzyżu, zbitym z dwóch desek.

Tam gdzie śmierć poniósł tam też został pochowany i dopiero w 357 roku po narodzeniu Chrystusa Pana przeniesiono z należną czcią ciało świętego męczennika do miasta Konstantynopola i tam je złożono w kościele Apostołów niedawno przez Cesarza Konstantyna świętego wystawionym. Po pewnym lat przeciągu zabrano znowu relikwie św. Andrzeja z Konstantynopola i powieziono do kraju włoskiego. Tu umieszczone zostały w mieście Amolfi, w wspaniałym kościele katedralnym i tu znajdują się do dnia dzisiejszego; lecz i w kilku innych kościołach w kraju włoskim przechowują także cząstki tych relikwi.

Do Anioła Stróża.

I w domu, jakby w kościele,
Nie opuszszczaj mnie, Aniele!
Czuwaj, czuwaj przy mym boku,
Nie odstępuj ani kroku,
I zasłaniaj ode złego
Cieniami skrzydła swojego.

Kiedy zdrowo wstanę zrana,
I powitam pieniem Pana,
I pospieszę do roboty;
Dodawajże mi ochoty:
Nie opuszczaj mnie na chwilę;
Bo nie ufam własnej sile.

Kiedy każe wyrok Boski
Znosić smutki, znosić troski,
Stań Aniele! bo przy Tobie
Bardziej jakoś ufam sobie:
Ty mnie ręką swoją wspieraj,
Ty mi z czoła pot ocieraj.

Nie opuszczaj mnie, Aniele!
Gdy się z światem tym rozdzielę.
Smutno odstać od tej ziemi,
Pożegnać się ze swojemi;
Choć piękna droga do Nieba;
Twej pomocy jednak trzeba.

Do Matki Boskiej.

W źródle woda nieprzebrana,
A Tyś Matko ukochana!
Nieprzebrana w swej dobroci,
Twa nam szata pola złoci;
Kiedy nieco się odwinie,
To nam z Nieba światło płynie.

Gdy spragniona kmiotków niwa,
Łezka Twoja nam przybywa,
A w niej cuda nad cudami,
Że nie możem pojąć sami,
Żyzni ziarnko łezka z Nieba,
Niewidzialnie dajesz chleba.

Twoja, Pani! świeci zorza,
Płyną łaski jakby z morza,
Płyną, płyną nieskończenie,
Cuda głosi ptasząt pienie.
My nasz głos łączymy z niemi,
Niech Ci będzie cześć na ziemi!

Niech Cię nasz głos uweseli.
Nie umiemy jak anieli;
Lecz gdy się wzniesie z pokorą,
Aniołowie go odbiorą,
Radość w oku Ci zaświeci,
Boś Ty matka, a my dzieci!

Włościanie polscy
za panowania królów z rodu Piastów.

Za panowania Piastów cieszyła się wolnością osobistą cała ludność polska nie wyłączając kmieci. Tylko nieliczna stosunkowo część ludności rolnej, powstała z jeńców wojennych osadzonych na roli, była niewolną. Osadzanie na gruncie

czynszowych dzierżawców, wydzielanie jedno lub kilkołanowych parcéli na własność dziedziczną, zakładanie sołtystw i wójtostw, wszystko to przymnażało Polsce wolnych obywateli, drobnych właścicieli ziemskich, podczas kiedy potrzeba jak najwięcej rąk do obrony kraju, zewsząd i ciągle zagrożonego, nadawała każdemu wolnemu dziedzicowi, choćby najmniejszego kawałka ziemi, wolność noszenia broni, wkładała nań owszem obowiązek służby rycerskiej.

Nie wszystkich włościan w Polsce jednakowy był początek i też nie wszyscy włościanie polscy w czasach królów Piastów jednakowe posiadali prawo i nie na wszystkich jednakowe ciężyły obowiązki.

Rozróżniano tedy najprzód włościan z dziada, pradziada na roli osiadłych. Byli to właściwi kmiecie. Wolni co do osoby, byli oni zarazem dziedzicami swoich zagonów, mogli je przekazywać potomstwu, lub przedawać, byle tylko nie pozostawili gruntu odłogiem leżącego. Umierający bezdzietnie kmieć, mógł zapisać swój majątek żonie, kościołowi lub komukolwiek innemu. W razie jeżeli po bezdzietnie zmarłym kmieciu nie pozostawał żaden zapis, tedy wdowa zabierała co w dom męża wniosła, reszta zaś stawała się puścizną, do której mieli prawo bliżsi lub dalsi krewni zmarłego. Sądzili się przed urzędami królów i książąt, zanosili skargi nawet wprost do króla i sami panujący zastrzegali sobie prawo rozpoznawania spraw spadkowych kmieci. Powinności ich były dla kraju i dla rządu większe, dla panów mniejsze. Za Bolesława Chrobrego kmieć z łanu każdego winien był dostarczać corocznie pewną miarę ziarna na wyżywienie wojska po zamkach, co nazywano stróżą; był obowiązany do robót publicznych a prócz tego pełnił powinności nadzwyczajne, jako to: pomocne, naprawa dróg, podwody, budowa zamków, pogoń czyli ściganie złoczyńców, podejmowanie urzędników, myśliwców, psów i sokołów królewskich. Panu był obowiązany zwykle tylko do służb, już to ze starodawnego zwyczaju, już też z umowy wynikających; bywały to albo robocizny, albo opłaty i daniny w miodzie, ospach, drobiu i innych rzeczach.

Pośledniejsze po kmieciach miejsce zajmowali włościanie niewolni, lud służebny, poddańczy. Powstali oni dopiero po zaprowadzeniu chrześciaństwa, gdyż pierwej poddaństwa nie znano, i składali się już to z jeńców wojennych na roli osadzonych, już też z kupionych niewolników. Jakkolwiek wolność ich była daleko więcej ograniczoną niż kmieci, jakkolwiek nie posiadali dziedzicznej roli, toć jednak i ci niewolni włościanie dalecy byli jeszcze za królów Piastów od niewoli poddańczej.

Później jednak pogorszył się stan włościan w Polsce i różnica pomiędzy właściwymi kmieciami a owymi niewolnymi osadnikami poczęła się zacierać powoli. Książęta (bo nie było króla jednego lecz kilku książąt panowało na małych dzielnicach) obarczali wieśniaków wielu nowemi podatkami i daninami. Panowie poczęli przywłaszczać sobie puścizny kmiece i idąc za przykładem duchowieństwa, uzyskiwali od książąt pozwolenie sądzenia swoich poddanych.

Lecz król Kazimierz Wielki, zwany królem chłopków, usunął te nadużycia. Zabronił zabierać obumarszczyzny wieśniacze i odnowił dawniejsze prawo, aby oprócz kielicha sprawionego kościołowi reszta pozostałości na krewnych przechodziła. Pozwolił włościanom w ogóle przesiedlać się mimo woli pana, byleby przesiedlający się zapłacił pewną sumę. Zbiegłego wolno było panu poszukiwać i do tej opłaty go zniewolić, ale jeżeli przez przeciąg jednego roku uczynić to omieszkał, tracił nawet i to prawo. Kmieciom zabezpieczył prawem wolność opuszczania gruntu i pana, pod warunkiem osadzenia innego rolnika na swojem miejscu. Nakoniec w niektórych wypadkach, jakoto: jeżeliby pan dopuścił się gwałtu, albo jeżeliby włościanie za długi pana byli sądownie grabieni, pozwalał nawet wszystkim włościanom gromadnie pana swego porzucić i uwalniał ich od wszelkich obowiązków względem niego.

Byli także już w owych czasach poddani warunkowi, to jest tacy, którzy osiadali na gruncie pańskim tylko na pewne lata i pod rozmaitemi podług umowy warunkami; byli komornicy i zagrodnicy, którzy siedzieli najmem w chatach wiejskich, lub posiadali tym sposobem kmiece ogrody lub grunta. *L. T.*

STRACH MŁYŃSKI.

Każdemu wiadomo, jaka to ważna rzecz mieć paskę na Wielkanoc. Jak to pilno wtenczas każdemu o ładną mąkę choć na jedno ciasto; więc nic dziwnego, że wtenczas bywa wielki zjazd do młyna. Było to w sam wielki czwartek, jak to u nas bywa; panowie gospodarze i gospodynie spuszczają się na ostatnią godzinę, kiedy człowieka sobota już za kołnierz chwyta; tak i razu jednego w sam wielki czwartek pół wsi zjechało się do młyna, żeby choć ćwiartkę pszenicy spytlować, bo jak każdemu wiadomo, od wielkiego czwartku już tylko dwa dni do Wielkiejnocy. — A gdy się tak wszyscy zjechali, kumy i kumowie, swatowie i swachy, dziewczęta i chłopaki, każde usiadłszy na swoim worku zboża, czeka kolei do nasypu; mielnik się uwija, koła huczą, pytle turkoczą, skałeczki na kominku trzeszczą, a gromadka zebrana wtenczas się zabawia, to swataniem na przewodnią niedzielę, to uciechą bliskiego wesela, to opowiadaniem o przeszłorocznem święconem, a nareszcie gdy wieczór nadejdzie — o strachach; — bo jużciż młyn nie może być bez stracha.

Już było bardzo ludno w naszym młynie, a dobrze już się na dworze ciemno zrobiło — kiedy we drzwiach stanęła — nie strach — ale baba z workiem na plecach.

Wszyscy ją zaraz poznali — bo zaraz krzyknęli: a to nasza Mateuszowa! — Witajcież nam, witajcie! — A cóż to kumo tak późno? — gdzieżeście się tak wesolutko zabawiali, żeście się aż do wielkiego tygodnia spóźnili? — siadajcie no, a zabawcie się z nami — i my przy was się zabawimy — boć to nie daremnie nazywają was gromadzką swachą — cożeście tam słyszeli — a mąż, gdzie tam przebywa — a dzieci czy zdrowe, czy wysoko skaczą?

Tysiąc pytań do Mateuszowej, a Mateuszowa, rumiana babulka, uśmiecha się i kiwa głową na wszystkie strony, wszystkim rada, tylko temu nie rada, że się tak spóźniła, że w mieleniu będzie ostatnią, a tu pszeniczka aż się prosi — bo robota pilna.

— Ej żartujcie zdrowi — powiada Mateuszowa stawiając swój worek jak mogła najbliżej i siadając na nim — ledwiem tu przylazła, czepka mi z głowy omal nie zsadziło, tak tu markotno iść do tego młyna Na dworze chmurno, księżyc nie świeci, a od czasu jak zapamiętam to po tych drogach zawsze złe się ugania. Jak się człeka nieraz przyczepi, to go się i odżegnać nie można.

— E dajcie ta sobie pokój kumo — zawołały sąsiadki — złe dobremu nie zaszkodzi.

— Dobrze wam mówić, coście nigdy złego nie widziały, coście tylko z powiastki słuchały, jak drugim ludziom wstawały włosy na głowie, jak zimny pot występował na twarzy, a sameście nie widziały ani wiłkołaka, ani zmory, ani upiora. Oj kumoszki moje, kumoszki, jeszcze wy nie wiecie tego, co to za nieszczęścia za człowiekiem chodzą! — Gdyby się wam pokazało tylko jedno straszydło, co w tym młynie mieszka, toby się wam odechciało i święconej paski — bez czepców pouciekałybyście do domu.

— Niech nas Pan Bóg broni, żebyśmy co widziały, nie wyzywajcie kumo nieszczęścia, a powiedźcie co weselszego — ot czy nie poswatacie nam kogo na przewodnią?

— O nie, nie, Mateuszowa — wołali młodsi — powiedźcie nam co o strachach! — nas tyle razem i krzyż mamy na czole — nie stanie nam się żadna przygoda! —

Mateuszowa uśmiecha się — i pokręca głową.

— Mówcie nam, mówcie, jak to straszydło wygląda?

— Straszydło nijak nie wygląda i różnie wyglądać może: ot ten worek, na którym siedzisz, zwróciła się Mateuszowa do jednej dziewczyny, to już może się strach w pszenicę przerzucił...

— E nie żartujcie — mówiła dziewczyna — ale z ukosa zaczęła spoglądać na worek i tulić się do swojej sąsiadki.

— Tak, tak serdeńko — mówiła dalej Mateuszowa — strach, to upior, przerzuca się we wszystko żywe i nieżywe, otumani człowieka, wodzi go, Bóg wie którędy, czasem go niesie ponad lasy i sioła — zaniesie go w jednej godzinie w nieznane kraje!

Obejrzała się Mateuszowa po twarzach zgromadzonych i tak dalej zaczęła prawić:

— Już ja widziała i czarne i białe; — widziałam pokutujące dusze, jak okute kajdanami błąkają się po błotach; widziałam na własne oczy jak „On“ przesusza pieniądze i płomieniem swoim goni za człowiekiem, co się kusi na jego skarby; widziałam jak na mogile wisielca siedziało ogromne czarne kocisko i trzymało zapaloną świecę w zębach, a smołę czuć było na pół mili od niego! — Raz znowu mąż mój wracał ze skrzypkami z wesela i zabawił się trochę po drodze w miasteczku, kiedy już przeszedł na nasze pola, aż tu na rozstajnej drodze stoi jakiś paniczyk kuso ubrany, i kłania się i prosi skrzypka na wesele. Ciągnie za poły i dukatami potrząsa, niema rady, trzeba słuchać, mąż idzie za paniczem, panicz go wiedzie i skacze i drogę pokazuje, i pokazuje prześliczne pałace i na dziedziniec wprowadza. A tam gości bez liku, a wszystko kuso ubrane i wszyscy takiego małego wzrostu — ot jakby ten pies na ławie. — Gra mężulko ochoczo — a wciąż gra sztajera; kusaki kręcą się jak szaleni, a co który przetańczy, to dukaty sypie do skrzypki. Mąż się cieszy, że trafił na takich paniczów, a panicze się śmieją i w ręce klaszczą koło niego.

Kilka godzin szły tany; — nareszcie jak zaczną goście kichać, aż się Mateuszowi na skrzypcach struny porwały. Nagle zdaleka dał się słyszeć głos koguta, i jak piorun strzelił, wszystko znikło, pałac zapadł się w ziemię, a Mateusz spojrzał w koło siebie i poznal że jest na skale, którą wszyscy djablą nazywają — w skrzypcach zamiast dukatów, zostały same węgle! —

Raz znowu jechaliśmy z jarmarku oboje. Noc była widna, choćby szpilki zbierać. Kiedyśmy byli niedaleko tego młyna, Mateusz wstrzymuje konie i powiada, Agnieszko, coś leży na drodze, pójdźno zdejm. Przychodzę, patrzę, — cielę! — prześliczne cielę, nogi ma sznurkiem związane, ale żywe. Łatwo się domyślić, powiada Mateusz, jechał ktoś z jarmarku i zgubił. Weź żono zgubę na sanie. — Ja podnoszę, nie mogę, cielę

cięższe od krowy. Wstaje Mateusz, dźwigamy oboje, — ledwie po długich trudach. udało nam się włożyć je pomiędzy siebie. Cielę ciężko sapie i miłosiernie spogląda to na mnie, to na Mateusza, a my radzimy sobie, że jeźli się właściciel nie zgłosi, to będzie ładny przychowek. Wjeżdżamy na podwórko, niesiemy cielę do chaty, — aż tu z cielęcia robi się — kusy — jak klaśnie w dłonie, jak się zaśmieje cha, cha, cha, jak czmychnie w komin, ażeśmy się oboje poprzewracali pod ławę.

Ale to wszystko jeszcze nic. — Raz było jeszcze gorzej. Oj, aż mi teraz mróz kości przejmuje! bo wtedy dusza była już na ramieniu. Jechaliśmy oboje z wesela. Już późno w noc było kiedyśmy dojechali do cholerycznego cmentarza. Tuż przy drodze widno zdaleka, że coś stoi, zbliżamy się — a to ogromne psisko! Nie rusza się z drogi, lecz pyta: kto jedzie? — Mateusz człowiek nie bardzo lękliwy i trochę podochocony piwkiem, odpowiada: ludzie. — Cha, cha, cha, świnie ludzie, świnie ludzie, i jednym skokiem było na cmentarzu. — Konie jak ruszą z nami, jak zaczną wierzgać i parskać, aż dym buchał. Już nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, droga niby nasza, niby nie nasza, drzewa inne i wioski nie widno, a przecież od cmentarza już nie daleko! — Ej Agnieszko, błąd się nas uczepił, co duszko robić, którędy jechać? - Jedźmy prosto, powiadam, może się nas bieda odczepi.

Jedziemy, jedziemy, zawsze niby drogą, aż nareszcie pod kołami mokro i woda pluszcze, i brzegi się podnoszą, ba patrzymy — a konie idą potokiem. Ani zawrócić, ani do góry wyjechać. — Nastawia Mateusz ucha, nadstawiamy ucha oboje — coś turkocze. Wstaje Mateusz na wozie — i z radości woła: tać to nasz młyn widno — a my jedziemy rzeczułką pod łotoki. Nuż konie smagać i do brzegu nawracać — a tu już ani ratunku! — konie ugrzęzły, koła siedzą w błocie. Biegnie Mateusz do młyna, a młyn miele bez wody. Otwiera drzwi, a tam sto małp uwija się po młynie, i czarną mąką się sypie. On tam ze strachu umiera, a tu mnie z pod woza wygląda małpeczka i na drabiny się spina i woła: a to pani Mateuszowa, weselna swacha, cóż tu u nas robi? — Ja z woza, ona za mną, ja do

wody, — a tu dziesięć małp woła: „witamy, witamy, prosimy na wesele!“ Upadłam nieżywa do potoku — nie wiem co się potem stało, ale nazajutrz pubudziliśmy się z Mateuszem pod upustem, a koni z wozem — rozstąp się ziemia, — ani widno!

— Oj takie to gospodarstwo w tym młynie — gdyby nie paska, wolałabym drapać na żarnach, niż do tego pytla się zbliżać.

Opodal przy kominku słuchał tej rozmowy syn młynarza, który ze szkół na święta przyjechał. Pokręcał głową i litościwie uśmiechał się, jak rozum ludzki może w takie bajki wierzyć. — Tymczasem nasypany kosz wypróżniał się z pszeniczki i coraz głośniej kołatał.

Mateuszowa dla wytchnienia podniosła się z worka i wolno przeszła się ku drzwiom. Zaledwie na progu stanęła, przeraźliwy wydała krzyk: „Wszelki duch chwali Pana Boga!“ — i potoczyła się pod pytel.

Wszystko co żyło, porwało się we młynie i każdy z przestrachem i podziwieniem pobiegł ku drzwiom i przed młyn. — Strach młyński! — W imię Ojca i Syna! — Anioł pański — wołali wszyscy — co komu pierwszego na myśl przyszło — na widok, który zobaczyli przed sobą! — Lecz że zgromadzenie prawowiernych było tak liczne, to wszystkim dodawało odwagi, i nikt nie uciekał.

Na kilkanaście kroków od młyna stała postać biała, może na trzy sążnie wysoka. Stała nieporuszona i żadnego nie wydała głosu: „Duszo pobożna, czego żądasz? — zapytała jedna staruszka“; — lecz dusza nie rusza się i nie odpowiada. — Nareszcie student wysuwa się z pomiędzy patrzących i powiada: „Zobaczycie zaraz jak ta dusza nie potrzebuje pacierza i jak kija się boi.“ „Odezwij się duszo, bo jak ściągnę kołem po twoich szczudłach, to odrazu spadniesz i będziesz taka maleńka jak my wszyscy.“ Straszydło stoi i nie odpowiada. „Odezwij się, bo cię potłukę!“ — Straszydło zaczyna się cofać. — Student puszcza laskę za straszydłem, lecz nie zbyt mocno, by mu dać czas zeskoczyć. — Drewniane nogi straszydła zachwiały się, a tołub białą płachtą nakryty, hop na ziemię.

Wszyscy parsknęli śmiechem i biegną do ducha, — a z pod białej płachty wyszczerza do nich zęby — i serdecznie się śmieje — kto? — kum Mateusz! — Wszyscy pocieszeni wracają do młyna, pytel kołace, mąka się sypie, a przed koszem — trzymając się pod boki, stoi Mateuszowa i z uśmiechem woła: „Kto nasypie ten miele — powiada nasze przysłowie.“ — Otóż to i straszydło młyńskie! —

Mateusz, filut znany u gromady, wiedząc jaki zajazd we młynie — namówił się z żoną jak kumoszki zabawić i swoję pszeniczkę pierwej wsypać do kosza. Stuczka się udała — i chociaż Mateuszowa najpóźniej do młyna przyszła — najpierwsza z mąką wróciła do domu — ale odtąd w całej wsi nikt w upiory nie wierzył. *J. H.*

Jedna noc z życia przemyślnego lisa.

Już wieczorny zmrok zapada, już od kilku chwil po dziennej wrzawie głucha nastała cisza, cała przyroda zabiera się do nocnego spoczynku; tylko lis z swej nory przezornie za żerem wychodzi. Cały dzień przeczekał on zgłodniały w ukryciu, bo wielkie polowanie odbywające się w lesie, zatrzymało doświadczonego zwierza w najskrytszym zakątku jego siedziby, gdzie jeszcze podczas groźnych strzałów i psów szczekania, widział dla siebie bezpieczeństwo, nawet chociażby i jamnik w przelocie wytropił ślad nieprzyjaciela. Wrzawa polujących przesuwała się po różnych miejscach, w ciągu dnia całego; liczna gromada psów myśliwskich, wyśledziwszy strwożonego jelenia, w najżywszym zapale na wszystkie strony niczem niepowstrzymana, uganiała się w pobliżu zamieszkania naszego lisa. W ogólnem zamieszaniu, nietylko uszedł on baczności nacierających, ale i obiecywał sobie niejakie z tej gonitwy korzyści. Strzały bowiem długo nie ustawały, a wiele zapewne padło zwierzyny, a za ugodzoną psy się rozbiegały po zarośłach i krzakach; kto wie, może też jaki zwierz postrzelony ukrył się szczęśliwie niepostrzeżony, byłby to wtedy wyborny

kąsek dla naszego lisa. Żeby tak jeszcze postrzelonego jelenia można było gdzie wyśledzić! Smakowite to mięso jego i warte poświęcenia dłuższego czasu, na wytropienie śladów zbiegłego rogacza. Nasz lis już od kilku lat nie kosztował tak wybornego pokarmu, świeży więc jelonek jakżeby mu smakował! Ale i sarna i mięsisty zając, pożądanym są zawsze dla niego przysmakiem.

Przezorny lis przetrząsnął las cały, gonił tu za śladem jelenia, tam za sarną, zającem; całemi godzinami z natężonym węchem biegał po całej lasu dzielnicy — ale daremnie. Psy zrobiły swoją powinność, a myśliwym udało się pozbierać i zabrać z sobą ubitego zwierza.

Łowy te trwogi tylko nabawiły lisa, ale z otrzymanego plonu nic dla niego nie pozostało, i sam teraz musiał coś upolować dla siebie. Księżyc świecił wprawdzie, noc wszakże była nieprzyjemna; zimny wiatr jesienny dął przeraźliwie. Lis już wprawdzie dosyć dobre miał futro, bo w czasie lata gęstniał na nim zwolna włos na mroźną zimę, ale w czasie wiatru nie dobrze się poluje, zwierz i w większej odległości łatwo wietrzy swego nieprzyjaciela; tego i lis często zapewne doświadczył. Jeszcze raz przebiegł pod wiatr las cały, — ale i teraz niepomyślnie. Hałaśliwe polowanie obławą wszystkie wypłoszyło zwierzęta; co od kuli nie poległo, to się ratowało ucieczką, a co przez łańcuch naganiaczy szczęśliwie się przebiło i przekradło i w lesie pozostało, to jeszcze z przestrachu nieuspokojone, czuło skradającego się lisa. Sowy i puszczyki smutnie się odzywały, ptaki dzienne czuwały w swych gniazdach, bo po takim dniu trwogi spokojnie zasnąć nie mogły, a las dla samego lisa wielce był niemiły. Wybiegł więc z niego na szeroko otwarte pole w nadziei pomyślniejszego połowu.

Na samej krawędzi lasu spostrzegł zdechłego konia. Czyliżby on padł na polowaniu? Czy nie była to ponęta dla zwierzyny podrzucona? Nasz lis na innem miejscu o mało już nie utracił życia, bo kiedy się wziął do ścierwa, wypalona z zasadzki kula, tuż obok niego w ziemi utkwiła. Nowa chatka, a raczej schronka myśliwska, podejrzenie w naszym lisie wznie-

cała. Obszernym łukiem obiegł podejrzaną chatę, i udał się ku pobliskiej wsi na rabunek, coby się tylko nadarzyło. Zdaleka usłyszał psów szczekanie zbudzonych zapewne zbliżaniem się jakich nocnych wędrowców; z niepewnością przeto, i z niejakiem wahaniem się, zbliżał się ku domom, a po drodze pilnie śledził dogodniejszego łupu. Wtem spotyka łasicę, zwolna i ociężale wracającą do lasu, do syta najadła się ona po wiejskich podwórzach. Dla smagłego złodzieja rzadko jaka szpara za ciasna, rzadko jaka krata za wązka, tak więc łatwy ma przystęp do jaj, i wszelkich dla siebie łakotek. do których grubszy i niezgrabniejszy lis zbliżyć się nie może Zazdrością więc powodowany ku lepiej od natury uposażonemu zwierzęciu, już się do napaści na niego zabiera, lecz na szczęście łasica wcześniej go postrzegła, i do mysiej jamy wcisnęła się czemprędzej. Zapalony gniewem lis, rozkopuje ziemię, aby zbiega pochwycić, ale łasica już u drugiego wyjścia podziemnego ganku wysunęła się znowu dość spiesznie, a wyścignąwszy zajętego burzeniem krętych w podziemiu chodników, szczęśliwie dostała się do lasu.

Jeżeli komu użyteczna nie uda się praca, to zapewne czeka go zmartwienie, lecz jeźli niegodziwy zamiar zawiedzie, wtedy wszelkie udaremnione zabiegi tem więcej udręczą. Dobry w doznanej nawet niesprawiedliwości znajduje pociechę, zły zaś daremne widząc usiłowania w wyrządzeniu krzywdy drugiemu, wybucha w gniew, któren w sercu jego, jak gorejący węgiel zarzy się w popiele.

Z iskrzącemi oczyma odwraca się teraz lis, od rozszerzonego z pracą otworu, lecz gdy tymczasem węch nic mu pewnego ze śladów łasicy nie wskazuje, do wsi znowu zawraca. Wtem niezadługo na polu w zapóźno dojrzałej pszenicy postrzega tchórza na stanowisku. Krwiożerczy ten zwierz czychał na skrzeczka, który wychyliwszy głowę ze swojej nory, rozglądał się na około, czyliby mógł bezpiecznie garstkę zboża zanieść do swojej komory. Tak znowu kto inny uprzedził lisa, a więc znaglony był udać się do zabudowań gospodarskich. Psy zapewne zaniepokojone pierwej bytnością łasicy i tchórza

i innych jeszcze burzycieli spokoju rozbudzone, teraz dopiero wszystkie ucichły, najpodobniej z utrudzenia na nocnej stróży.

Lis skrada się ku podwórzom, nadsłuchuje, czatuje przy wszystkich płotach i wącha po wszystkich zamkniętych drzwiach. Za ostatniem podwórzem błyska i gaśnie słabe światełko. Tam są ludzie w ruchu, wśród nocy skradają się z ślepą latarką, z cicha szeptając ze sobą. To złodzieje! Lis przyczaił się do płotu żywego, i pilnie zwracał oczy na oddalających się z pełnemi workami ludzi. Gdy już odeszli, i wszędzie znowu cisza nastała, i już węchem nie poczuł obecności człowieka, wtedy coraz się bliżej zakradał. Tylne drzwi podwórza stały wprawdzie otworem, ale pies leżał przy nich nieporuszony. Nie żywy; złodzieje go otruli. Śmiało więc przeskoczył lis martwe ciało nieprzyjaciela, wbiegł szybko na podwórze, na wpół otwartemi od zabudowań gospodarskich drzwiami wpadł bez namysłu, i po kilku zręcznych skokach wysunął się w górę i między zaspanym na grzędach drobiem krwawe roznosząc pożogi, chwyta nareszcie najtuczniejszą kurę, i zbiega z nią na podwórze, ale tymczasem zastał drzwi przeciągiem wiatru zawarte, na krzyk wtedy kur i koguta wzywających pomocy, konie zaczęły tupać nogami, bydło ryczeć, przebudzony parobek zrywa się, sam gospodarz rozbudzony biegnie do okna, a stróż nocny w bliskości domu zabrzmiał na swoim rogu. Wtedy przerażony lis, opuszcza swą zdobycz, wskakuje na stos drzewa, a z niego przez ogrodzenie dostaje się na pole otwarte, i prosto ku lasowi podąża. Twardy to kawałek chleba kradzieżą nabyty, stracić go na drodze z goryczą przychodzi.

Lis znowu staje przy krańcu lasu, zkąd go na nowo mocny zapach ścierwa końskiego zalatuje. Głód wzmaga jego pożądliwość. Zapomina o wszelkiej przezorności i rzuca się z chciwością do żeru. Nagle pada strzał z chaty myśliwskiej; lis drgnął jakby piorunem rażony, potoczył się w boleści z zamglonemi oczami jeszcze parę kroków, i padł bez życia. Strzelec zbliża się ku niemu, podnosi go i z pierwszem zaraniem do wsi pospiesza. W drodze spotyka dwóch ludzi trwożliwie zbaczających z gościńca bez widocznego powodu. Woła na nich —

oni zaś biorą się do ucieczki. Stój! zakrzyknie, bo strzelę! Na to wezwanie zrzucają z swoich ramion brzemiona, i jeszcze prędzej uciekają. Wtedy strzał daje się słyszeć, a jeden ze zbiegów pochyla się i pada. To jeden ze złodziei, którzy cokolwiek wolniej od lisa ku lasowi podążali; z tych drugiego wszakże ludzie ze wsi w szybkiej pogoni szczęśliwie schwycili.

Praca we dnie, często w upał słoneczny w pocie czoła dopełniana, nieraz wydaje się bardzo uciążliwa, ale nocna wyprawa bardzo smutne za sobą pociąga skutki; uznojona praca dzienna jest słodką w porównaniu z trwogą doznawaną w nocy przy spełnianiu hańbiącego uczynku. W dniu jasnym człowiek wprawdzie przy ciężkiej pracy oblewa się potem, ale żartuje przy niej, śmieje się i śpiewa nawet, pracuje otwarcie i wesoło; w nocy zaś przy czynie niegodziwym, czoło z niespokojności pełnej obawy, potem jest uroszone; w piersiach oddech się tłumi jak w życia niebezpieczeństwie. Pot strachem wywołany, jest potem śmiertelnym.

Czyliż więc trudny jest wybór, między potem z uczciwej pracy, a potem z obawy i trwogi z niecnego czynu pochodzącym? *Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.*

Psia wiśnia.

Temi dniami jakiś włościanin przyniósł do Lwowa znaczniejszą ilość jagód czarnych, podobnych do wiśni i rozsprzedał je bardzo tanio pomiędzy uboższymi żydami i chrześciańskimi wyrobnikami. Po zjedzeniu tych jagód rozchorowało się niebezpiecznie 26 osób rozmaitego wieku. Przyzwani lekarze poznali zaraz, że choroba pochodzi z otrucia. Jakoż owe jagody były to owoce psiej wiśni, zwane pospolicie psianki, które są wielce szkodliwą trucizną. Ponieważ, jak się i z wypadku we Lwowie pokazuje, roślina ta nie każdemu jest znana, nie od rzeczy będzie podać także czytelnikom Dzwonka bliższą o niej wiadomość.

Psia wiśnia, zwana także wilczą jagodą lub pokrzykiem rośnie w całej Europie, mianowicie w lasach liściowych, górzystych, wilgotnych, na korczowiskach, na rumowisku i gnojach. Korzeń jest długotrwały, gałęzisty, kilka stóp długi,

często grubości pięści, i wypuszcza co rok jednę lub kilka łodyg, które w jesieni usychają, a w lasach cienistych tworzą często krzak do 5 stóp wysokości mający, bujnie okryty wielkiemi liśćmi i dość wielkiemi kwiaty. Kwiaty te są ciemno fioletowe, wewnątrz przy spodzie brudno zielono żółte, z brunatnemi żyłkami.

Jagody są podobne do wiśni, okrągłe, nieco spłaszczone, z początku zielone, potem czerwone, nakoniec prawie czarne i połyskujące, z czerwonym sokiem i pełne małych ziarnek. Psia wiśnia kwitnie od czerwca do października; jagody zaczynają dojrzewać w lipcu.

Roślina ta za świeża, roztarta w palcach wydaje zapach odurzający, smak ma gorzki. Sucha, jest prawie bez żadnego zapachu, smak ma gorzkawy, nieco ostry.

Jagody, które mają zapach odurzający, są smaku słodko kwaskowatego, nieco ostrego, potem piekącego.

Wszystkie części tej rośliny są bardzo jadowite. Jednak świniom, owcom, kozom, królikom nie szkodzi wcale, przeciwnie bardzo szkodliwą jest ta roślina bydłu rogatemu, koniom, psom i kotom.

Dorosły człowiek może zjeść trzy i cztery jagody bez żadnego skutku, ale ktoby zjadł więcej, otruć się może, a czasem i jedna jagoda zaszkodzi.

Żadną z naszych roślin jadowitych nie trują się ludzie tak często jak tą, zwłaszcza dzieci i osoby niedoświadczone uwiedzione podobieństwem jej jagód do wiśni.

Zdarza się często, że kury zdechają nagle niewiedzieć z czego, a nieraz bywa tego przyczyną, na co zwykle nie zwracamy uwagi, że jedzą młode liście i jagody psiej wiśni na śmieciskach rosnącej

Otrucie psią wiśnią pociąga za sobą następujące skutki: wielka suchość w ustach i gardle, kurczowe ściąganie się gardzieli, pieczenie w niej, ból przy połykaniu, wielkie pragnienie, wymioty lub nudności; na twarz występują mocne rumieńce, czasem i całe ciało staje się mocno czerwone, wargi sinieją, choremu ćmi się w oczach i stają mu iskry, widzi dwa razy każdy przedmiot lub nic zgoła nie widzi, nie może znieść światła; głowa się zawraca; chory popada w odurzenie i senność, nie może mówić ani chodzić, zatacza się, następuje porażenie członków, częste drgania szczególnie twarzy, rąk i nóg, kurcz w podbródku i t. d.

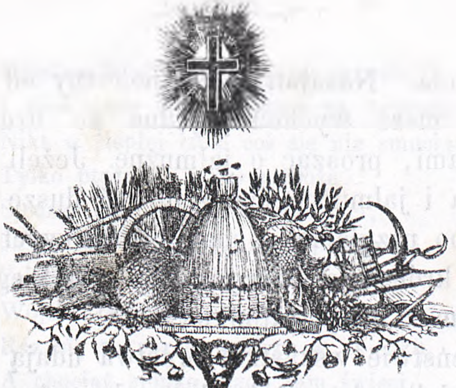
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 13.

1. listopada 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dzień zaduszny.

Od niepamiętnych czasów, nim jeszcze wiara nasza święta zaprowadzoną została, modlono się za umarłych, bo nawet poganie wierzyli że dusza człowieka nie umiera, lecz przenosi się do innego świata, po nagrodę lub karę; a u niektórych narodów pogańskich, jak niegdyś tak i dziś jeszcze, żony po śmierci mężów zadają sobie śmierć na ich grobach, wierząc, że ich dusze z duszami mężów znajdą się i połączą w szczęśliwszej krainie.

My chrześcijanie za barbarzyństwo poczytujemy takie pogan uczynki, a za grzech nieodpuszczony, zabójstwo popełnione po śmierci choćby najdroższej osoby. Wiara nasza nakazuje nam tylko modlić się za umarłych, a kościół wyznaczył nawet dzień osobny w roku na odprawianie tego nabożeństwa. Dzień ten nazywa się zadusznym i przypada nazajutrz po Wszystkich Świętych.

Nabożeństwo zaczyna się już w dniu Wszystkich Świętych po południu, żałobnemi nieszporami z wystawieniem katafalku

pośrodku kościoła. Nazajutrz lud pobożny od rana ciśnie się do kościołów, msze wychodzą jedna po drugiej, a ubodzy snują się tłumami, prosząc o jałmużnę. Jeżeli szczera z głębi duszy modlitwa i jałmużna ma uratować dusze rodziców, dzieci i krewnych albo przyjaciół z mąk czyśćcowych i wyprowadzić je ztamtąd do królestwa Bożego, któżby takiego datku odmawiał niemającym z nikąd ratunku?

Po nabożeństwie wszystkie bractwa udają się w procesii na cmentarz, gdzie także w kaplicy odprawia się nabożeństwo. często z kazaniem, a potem każdy odwiedza groby swoich krewnych i przyjaciół. Spieszy więc żona na grób męża, dzieci zlewają łzami groby rodziców, zdobią je w kwiaty i wieńce. W niektórych miastach istnieje nadto zwyczaj, że wieczór, gdy już zupełnie zciemnieje, pobożni zapalają świece i lampy na wszystkich grobach cmentarza. Od niezliczonego mnóstwa świateł noc w dzień się zamienia, a miejsce wiecznego smutku i żałoby ożywia się tkliwemi modły i rzewnemi łzami tłumów, które tu snują się do późna. We wszystkich sercach wezbrane uczucia tęsknoty i żalu po zmarłych zlewają się w modlitwę i jak woń kadzidła płyną ku niebu z tysiąckrotnie powtórzonem westchnieniem: Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!

Pomiędzy ludźmi nieoświeconymi utrzymują się w wielu miejscach naszego kraju rozmaite o dniu zadusznym przesądy. Prawie powszechną jest wiara, że w dniu zadusznym w nocy dusze zmarłych schodzą się do kościoła i tam się modlą nim kur zapieje i północ wybije; ale to wszystko są baśnie, które kościół potępia, a nawet zdrowy rozsądek wierzyć w nie nie pozwala.

Rolnik i ptaszek.

Wojtek Dąbrowa siadł przy okienku,
Prześlnicę struże swojej kobiecie:
Struże — wystruże snać należycie,
Bo kozik tylko miga mu w ręku,
A suche wióry lecą w około.

Dziatwa je chwyta krzycząc wesoło.
I choć wiatr chłodny wieje na dworze,
Nikt w ciepłej izbie coś się nie smuci;
Tylko ptaszyna jakaś nieboże.
Siedząc na płocie, żałośnie nuci,
Jakby się chciała ludziom poskarżyć,
Że zima idzie świat mrozem warzyć.
Wojtek Dąbrowa uciszył dzieci,
Raz się za razem spojrzy w okienko,
A chociaż słonko blado tam świeci,
On się odzywa taką piosenką —
Taką piosenką ojczystej nóty,
Z łąk i pól, gajów szumu wysnutej:

Szara ptaszyno! ranną godziną
Wstaliśmy sobie śpiewacy,
Lecz głos twój drżący, jak jęk skarżący,
A ja się śmieję przy pracy.
Śmieję się śmieję, bo choć wiatr wieje,
I blade chmurzą się nieba,
Ciepłą mam chatkę, dostatnią szatę,
Da Bóg, nie braknie mi chleba,
Lecz ty nieboże, w jakiej komorze,
Złożyłeś twoje zapasy?
Gdzie wasze chaty, rodzie skrzydlaty!
Na owe mroźnych dni czasy?
Gdzie? pustki w koło!... i już wesoło
Lasy nie nęcą zielone;
Wionęła zima, pszeniczki nie ma,
Zniknęły kłosy złocone.
Ha! cierpieć trzeba, wyroków nieba,
Niewczesna skarga nie zmieni,
Kto wiosnę całą igrał niedbało,
Plonu nie znajdzie w jesieni...
Pamiętasz może, w tej ślicznej porze,
Gdy się świat pierwszy rozwinął,
Jam pochylony, orał zagony,
Z czoła perlisty pot płynął;
Ty między krzaczki, goniąc robaczki,
W słodkiej bujałeś swawoli;
Brzmiały piosenki, mnie Bogu dzięki
Ziarnko wschodziło na roli;

*

Nadeszło lato, trudów zapłatą,
Plon się uśmiechnął nie marny,
W wieśniaczym domu, sobie i komu
Będzie chleb zdrowy, choć czarny,
A okruszyny z ręki dzieciny
Znajdą się ptaszku i tobie;
Lecz na podziękę, taką piosenkę
Zanuć jej w chłodnych dni dobie:

— Synu wieśniaka, przykładem ptaka
Naucz się starej tej prawdy:
Kto w wiosnę całą igrał niedbało,
W zimie głód będzie mrzeć zawdy.

M. J.

OKOLICE KRAKOWA.

Okolice Krakowa słyną z piękności w całym świecie. Radzibyśmy obznajomić z niemi naszych czytelników, ale nie starczyłoby nam miejsca, gdybyśmy chcieli opisać dokładnie wszystkie tamtejsze miasteczka i wioski, kościoły i pałace, osobliwości i pamiątki — i ledwie będziemy mogli wymienić w krótkości co tam jest godniejszego widzenia.

Owóż najprzód w zachodniej stronie, tuż za miastem leży **góra św. Bronisławy**, gdzie niegdyś ta święta odprawiała na osobności nabożeństwo. Na szczycie góry wznosi się usypana rękami ludu polskiego wysoka **mogiła** ku czci Tadeusza **Kościuszki**, męża najzacniejszego w świecie i wielkiego wodza, który choć miał prawie królewską władzę w ręku, nie sromał się chodzić w chłopskiej sukmanie i chłopskiej czapce, za co Pan Bóg tem go nagrodził, że mu pozwolił na czele chłopów krakowskich uzbrojonych tylko w kosy i piki świetne zwycięztwa odnosić nad Moskalami, choć ci mieli bagnety i armaty. Ze szczytu tej góry widać jak na dłoni całe miasto Kraków z wspaniałemi świątyniami i zamkiem niegdyś królewskim, dziś — co z bolem serca wyrzec przychodzi — żołnierstwu na mieszkanie oddanym. Dołem stara Wisła płynie

poważnie, przecudne wioseczki krakowskie uśmiechają się na około, a daleko, daleko, widzisz szczyty gór tatrzańskich wiecznym ubielone śniegiem. Kto tutaj stanie a popatrzy przed siebie, nasycić się nie może cudnym widokiem i radby tutaj życie całe przepędzić, aby bez ustanku patrzeć a patrzeć na ten cudny świat polski.

U stóp góry św. Bronisławy kilka pięknych leży wiosek, z tych najbliższą jest miasta Krakowa Wola Justowska z prześlicznym pałacem, zbudowanym niegdyś na wzór zamku królewskiego przez możnego pana, którego była własnością. Niedaleko ztąd ciągnie się pośrodku wzgórz lesistych pasmo skał najcudniejszych kształtów zwanych Panieńskiemi skałami, uwieńczonych w drzewa i krzewy, co prawdziwie zachwycający sprawia widok. Z drugiej znowu strony, już za górą św. Bronisławy wznosi się nad Wisłą wielka góra cienistem lasem porosła, zwana Bielany. Na jej szczycie bieleją mury kościoła księży Kamedułów, którzy tu pustelniczy wiodą żywot. Każdy ma osobny domek, w którym mieszka, i ogródek, który uprawia, a cała ta pustelnia otoczona jest murem wijącym się po urwiskach skał. Księża Kameduli poszczą prawie przez cały rok i tylko w niektóre dnie wolno im rozmawiać ze sobą. Podobnie też tylko w pewnych dniach roku kobiety mają dozwolony przystęp do ich kościoła. Wówczas zjeżdża się tu mnóstwo ludu z Krakowa i cicha pustelnia ożywia się na kilka godzin wesołym gwarem.

Niemniej pięknem miejscem acz w innej stronie i już w równinie położonem jest wioska Łobzów,* ulubione niegdyś miejsce pobytu króla Kazimierza W. Miał on tutaj letni pałac, w którym chętnie przepędzał wolne chwile i nawet najbiedniejszych chłopków przypuszczał przed swój majestat, czego pamięć żyje jeszcze pomiędzy ludźmi, a pieśń mówi:

Niegdyś królem chłopków zwany,
Sprawiedliwy i kochany,
Bo za prawem rządził
I sumiennie sądził.
I wziął Polskę budowaną,
A zostawił murowaną.

W tem miejscu gdzie stał niegdyś pałac króla Kazimierza, jest teraz szkoła wojskowa.

Z wielu innych wiosek krakowskich, z których każda szczyci się albo osobliwie pięknem położeniem, albo też dziwną urodzajnością ziemi, która nie rzadko bywa tak wielką, że jeden średniej wielkości zagon przynosi właścicielowi rocznie tysiąc złotych polskich czystego dochodu — wymienię tu jeszcze Prądnik, sławny z wypiekanego tam przez włościan chleba, o którym znowu jest pieśń taka:

Oto idzie z łaski boskiej
Chleb prądnicki, chleb krakowski!
By u wozu przednie koło
Toczy do dom się wesoło.

Święć się wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!
Tobą to się kmieć obdzieli
Od niedzieli do niedzieli.

Pierwszy kąsek dla matusi,
Przewybornej wart gębusi;
A dla dziatwy kąsek drugi..
Nuże w koło stańcie sługi!

Na ci Bartku, łepski chłopie,
A nie poleń się przy snopie!
Na ci Maćku nieboraku,
A pamiętaj o koniaku.

Ba i Kachnie widzę pachnie
I Marynie przy kominie.
Na i tobie psie kudłaty!
A bresźże mi koło chaty!

Resztę niechaj mać przysporzy,
Jeźli czeladź nie dołoży;
Święć się wielki Boże w niebie,
A na ziemi polski chlebie!

W Podgórzu już za Wisłą leżą skały Krzemionki; tam wznosi się mogiła odwieczna, usypana księciu Krakusowi co Kraków zbudował. Dobry to był pan; lud go kochał jak ojca, toż na jego grób nanosili ludzie ziemi rękami aż góra urosła. Rocznicę usypania tej mogiły dotąd obchodzą Krakowianie rok rocznie we wtorek Wielkanocny. W dniu tym schodzą się tłumnie do mogiły Krakusa i gwarzą tam o dawnych lepszych czasach, a najwięcej o ojcach i dziadach swoich, którzy także tam się schodzili; skupują chleb i bułki i rzucają z góry ubóstwu.

Obchód ten, który już prawie od tysiąca lat, rok rocznie zawsze jednakowo się odbywa, nazywają Rękawką.

Zielona trawa, zielona,
A stara Wisła spieniona!
Hen na Podgórzu Rękawka
I wielkanocna zabawka!

Niby krzemień chłop krakowski,
Bieda, krzesiwo ze stali,
A jak się próchno podpali,
Zniknął z Krakowa i troski!

A na Rękawkę się sypie
Naród z Krakowa po moście;
Ciesz się narodzie na stypie —
Bywa Wielkanoc po poście!

Zielona trawa, zielona,
Słońce przygrzewa z zachodu,
Na kopcu pełno narodu,
A stara Wisła spieniona.

Po tym Krakusie została córka Wanda i panowała cnotliwie, ale jak mówi podanie, gdy pewien książe niemiecki chciał ją przemocą pojąć za żonę i w tym celu kraj polski najechał i pustoszyć zaczął, utopiła się w Wiśle, nie chcąc zostać żoną cudzoziemca, ani ludu swego gubić w wojnie. I jej także usypali Krakowianie mogiłę taką jak ojcu, którą też godzi się zwiedzić.

O dalszych nieco okolicach Krakowa opowiemy wam w najbliższym numerze.

Skarby ziemi.

Powiastka Bartka Szkolarza.

Świadczę się Bogiem i sumieniem, że gdyby mi dał kto do wyboru wielki worek złotych pieniędzy a kawał naszej pięknej polskiej ziemi, wybrałbym natychmiast nie złoto ale rolę, wolałbym zostać rolnikiem niżeli bogaczem.

Gdym tak mówił do mego sąsiada Walentego, roześmiał się na te słowa i odpowiedział:

— Co też wy mówicie panie Bartłomieju! Bodajto mieć pieniądze w szkatule i żyć z procentu! Człowiek nie potrzebuje pracować, siedzi z założonemi rękami a kapitał wydaje procent, z którego można się utrzymać i jeszcze od biedy nowy kapitalik złożyć. Nie tak dzieje się nam rolnikom biednym. Nam potrzeba ciągle mozolnie pracować na ten skąpy kawałek chleba. A gdyby tak chciał kto opuścić ręce, to chyba mu z torbą iść pomiędzy ludzi i prosić o jałmużnę.

— Nie obrażajcie taką grzeszną mową pana Boga, mój kochany sąsiedzie — odpowiedziałem Walentemu. Mówicie że kapitalista nie pracuje, a ma ciągły zarobek. Prawda; ale czy zarobek taki co spadł nam do kieszeni ni ztąd ni zowąd ucieszy tak człowieka jak ten mały kawałek chleba, który

sobie ciężką pracą u Boga wysłużył? A do tego jeszcze człowiek taki wystawiony jest na ciągłą pokusę. Widzi, że pieniądz niesie mu procent dobry, złakomi się łatwo o większy jeszcze a tak pokrzywdzi bliźniego i obrazi przytem Boga. Bodajto być rolnikiem! Rolnik to jakby był w spółce z Panem Bogiem. Pan Bóg zwilży mu deszczem ziemię, by ją dobrze zorał i ziarnem zasiał. A gdy już zasiew spoczął w ziemi, Pan Bóg znowu łaskaw, każe słoneczku ogrzać ziemię, by ziarno zakiełkowało i na wierzch się wykłuło. I nie koniec na tem. Ciągle jeszcze Pan Bóg łaskaw, ciągle doziera naszego zasiewu, ciągle go zrasza deszczem i ogrzewa słońcem aż w końcu daje człowiekowi gotowy, bogaty plon do ręki. Bodaj to być rolnikiem!

Widać że słowa moje trafiły do przekonia Walentego, bo przy końcu nawet wyraźnie głową potakiwał. A że ja po skończonej robocie lubię bardzo z sąsiadem od serca pogawędzić, więc prawiłem dalej:

— Cudowny to prawdziwie wpływ wywiera ziemia na mieszkańców, którzy ją uprawiają. Przed bardzo wielu laty przebiegały Europę dzikie narody, którzy nie znali ani Boga ani ojczyzny, ani świętości związków rodzinnych. Mord, rabunek i pożoga były dla nich hasłem i celem życia. Dopiero gdy poznały uprawę roli, osiadły stale na pewnej części ziemi i przywiązały się tak do tej swojej ojczyzny, że już nigdy odtąd nie nawidzały innych zaniepokojonych narodów. Ci dzicy ludzie poznali teraz, co to jest ojczyzna, powzięli świętą miłość ku ojczystej ziemi, i w skutek tego postępowali coraz bardziej w ogładzie i oświacie.

Walenty słuchał a słuchał tak uważnie, że nie mogłem się powstrzymać w tej przyjemnej gawędzie, mówiłem więc dalej:

— A cóż to dopiero mówić o naszej polskiej ziemi! Jak piękna musi być ona, kiedy w nieszczęściu naszem jak kruki zbiegli się Niemcy i Moskale by ją nam wydrzeć. Ale daremnie, bo Polak woli dziesięć razy ginąć, niżeli odstąpić kawałek swej ziemi obcym najezdnikom. Gdzie tylko uśmiechnie

się jaka nadzieja odzyskania wolności i zabranej ziemi polskiej, każdy rzuca zaraz lemiesz a sięga po szablę i spieszy do boju! O tak! Cudną musi być ziemia nasza, kiedy tylu Czechów i Niemców co tu do nas za chlebem przychodzą, zapominają nawet o swojej ojczyźnie i nie ustępują się nigdy z polskiej krainy, która im się lepszą i piękniejszą od ich ziemi rodzinnej wydała!

Tu przerwałem moje opowiadanie. Widać, że mocno trafiłem do przekonania memu sąsiadowi, bo uścisnął mię serdecznie i rzekł do mnie:

— Świętą prawdę mówicie mi Bartłomieju! Widać zaraz że nie nadaremnie otarliście się o szkołę i książki. Za żadne pieniądze w świecie nie oddałbym kawałeczka mej skiby ojczystej.

Jakoż niezadługo przekonałem się, że nauka moja nie poszła w las, a Walenty wziął sobie słowa moje mocno do serca. Opowiem to zdarzenie, a przekonacie się sami, że wam tu szczerą prawdę mówię.

Walenty miał kilkanaście morgów pola, i jak ludzie mówili, nie próżną kabzę, bo umiał dobrze gospodarować i żyć skromnie. Brat jego Jan sąsiadował z nim na mniejszym o połowę gruncie, nie był wcale zamożnym, bo nie znał się i nie chciał się znać dobrze na gospodarce. Trudnił się więcej furmanką niżeli gospodarstwem, bo był łatwiejszy, a dla każdego leniucha i wygodniejszy sposób zarobkowania. Ale zarobek z furmanki jest niepewnym, nieraz można dużo zarobić, ale potem wypadnie na nową sposobność czekać bardzo długo. Tu nieraz nie stało Janowi pieniędzy na podatek i potrzeby domowe. Wtedy udawał się do ludzi, którzy mieli gotówkę i pożyczał nie wiedząc wcale zkąd i kiedy te ciągle rosnące długi pospłaca.

W tej samej wsi mieszkał Niemiec Hans Teifel. Przyszedł on jak tylu innych przybłędów, pieszo z Niemiec, z próżną zupełnie kieszenią. Po kilku latach rozmaitemi zabiegami i krętactwami

dobił się sporej sumki, za którą na publicznej licytacyi kupił sobie kawał gruntu po zmarłym kmiotku. Odtąd dobrze mu się już wiodło, powiększał w ten sam sposób swój majątek, chociaż ciągle przytem mocno wyrzekał na polską ziemię i polski ludek. Tak to wszyscy robią ci Niemcy, co nieproszeni wcale wcisnęli się w nasz kraj i spanoszyli się na naszej ziemi, by potem jeszcze odpłacać się taką niewdzięcznością. Mój Boże! Zamiast złości i nienawiści zbiera mi się na śmiech pusty. Ci przybłędy myślą może, że nam swoją obecnością jaką wielką radość sprawiają. Nie wiedzą może, jakby nam miło było widzieć naszą polską ziemię wolną zupełnie od tego obcego śmieciska. Pożegnalibyśmy ich — krzyżykiem na drogę.

Hans Teifel zasmakował snać bardzo w naszej ziemi, bo starał się ustawicznie o to, by jej z czasem jak najwięcej posiąść. Więc skoro tylko zmiarkował, że chłopek jaki potrzebuje pieniędzy, sam mu je do ręki wpychał i prosił, by się w potrzebie zawsze do niego udawał. A tymczasem okiem swem nienasyconem mierzył jego pole i w duchu czekał z upragnieniem tej chwili, w której dłużnik zubożały do reszty, zrzec się będzie musiał dla skąpej zapłaty ziemi ojców swoich.

U niego to tożsamo zadłużał się mocno Jan.

— To woda na mój młyn — myślał chytry Niemiec — Zadłuży się mocno, nie będzie miał zkąd oddać, dodam mu jeszcze cokolwiek i wezmę grunt jego. Bieda nie spi nigdy. I jego bratu, temu bogaczowi, braknie może pieniędzy — pożyczę, a gdy i jego grunt połknę, będę miał całą wieś w kieszeni!

Hans nie omylił się w swojej rachubie. Jan po całorocznem złem gospodarstwie popadł na przednowku w taką biedę, że tylko jakaś nowa pożyczka mogła go jeszcze ocalić z najokropniejszej nędzy. Ale o pożyczkę nie tak już tym razem łatwo było. Do brata swego Walentego nie miał Jan śmiałości nawet, bo winien mu był już dosyć. A do tego jeszcze nie żył z nim w zgodzie, bo Walenty jako poczciwy człowiek i starszy brat, naganiał go do pracy, a nieraz nawet ostro za lenistwo skarcił. Jan zamiast za tę mądrą radę i naganę brata opamiętać się i wziąść do pracy, rozgniewał się jeszcze na

Walentego i przysiągł sobie, nie odezwać się nawet do niego, choć ten w każdej chwili był gotów pogodzić się i wesprzeć zubożałego brata.

W takim stanie rzeczy nie pozostawało dla Jana już nic innego, jak tylko udać się do swego ryczałtowego wierzyciela, Hansa Teifla. Ale i ten choć w duszy rad był pewnie, że z tym nowym długiem nabędzie tem więcej pretensyi do pięknych zagonów Jana, zaczął się także z początku wymawiać.

Ale Jan prosił go bardzo, więc on też niby to ulegając tej prośbie, przystał wreszcie na nową pożyczkę.

Hans załatwiał wszystkie swe interesa w karczmie, bo tam w przebiegłym Herszku miał dzielnego sprzymierzeńca. W karczmie więc zastajemy Jana siedzącego za stołem z Hansem przy pełnej flaszce wódki, której żyd na rachunek dłużnika sporo zawsze dostarczał.

— Bo to widzicie mój kochany sąsiedzie — prawi Hans powoli wykrzywiając szatańsko swe usta po świeżym hauście obrzydliwej gorzałki — nie można tak ciągle pożyczać i pożyczać, a o oddaniu nigdy i nie pomyśleć. Mnie już nie stanie pieniędzy na pożyczkę, a wy zabrniecie tak daleko, że nie będziecie mieli zkąd oddać. Wy możecie potem pójść z torbą, i ja za moje dobre serce toż samo, bo wasz grunt i chałupa z pewnością nie wystarczą na zaspokojenie wszystkich wierzycieli.

— Sama prawda — wtórował żyd cmokając ustawicznie — A gdzie prowizia? a gdzie jeszcze nagroda za wygodę? Ha?

Jan siedział zadumany i na pół uspiony czwartym kieliszkiem wódki. Na twarzy jednak prócz widocznych śladów nałogowego pijaństwa, nie dostrzegłbyś żadnego smutku ani chwilowego zmartwienia.

Wreszcie po chwili ocknął się i rzekł nieco przytomniej:

— Et robicie już z komara małego Bóg wie jak wielkie zwierzę. Na wiosnę będę woził kamienie i drzewo do miasta gdzie właśnie kolej budować zaczną, zarobię dużo pieniędzy i oddam wam wszystko. Bo musicie także wiedzieć, że tam

płacą doskonale. Przy kolei już niejednego biedaka zrobiła lekka nawet robota wielkim bogaczem.

Hans połknął nowy kieliszek wódki, wykrzywił twarz okropnie i zaczął mówić powoli:

— Dobrze mówicie panie sąsiedzie. Przy budowie kolei można bardzo dużo zarobić. Ja sam nawet pojadę tam z mojemi końmi, bo z roli samej trudno wyżyć. Ale ja wam dam jeszcze lepszą radę. Dwom panom nie można nigdy służyć, jak wy to robić chcecie. Radzę więc wam zaniechać zupełnie głupiego gospodorstwa. Dałbym wam wtedy nawet więcej pieniędzy niżeli pożyczyć dzisiaj chcecie, podarłbym jeszcze do tego wasze dawne weksle, ale grunt wasz mizerny już moim będzie na zawsze.

— Mizerny! — zawołał nieco rozgniewany Jan.

— Grunt ten wart jest zawsze — prawił dalej uspokojony już Jan — najmniej dwieście reńskich, a weksle i dodatek wasz czyni razem tylko sto dwadzieścia. Odstąpię wam rolę, ale dodajcie tyle, ile wartość wynosi.

Żyd i Niemiec roześmiali się na te słowa.

(Dok. nast.)

Mrówki i pszczoły.

Mrówki i pszczoły są najskrzętniejsze w pracy zwierzęta, i zawsze uwagę ludzi na siebie zwracały. Mrówki swoją zabiegliwością bardziej nas jeszcze zajmują niż pszczoły. Jak to biega, pędzi cwałem i roi się w mrowisku, albo na drodze kiedy swój materjał budowlany, lub pokarm do swego mieszkania zawłóczy. Często wędrownik w pochodzie wstrzymuje się z podniesioną nogą, żeby ten czarny ludek nie doznał szkody, lub żeby go nie zdeptać bezkarnie, gdy w poprzek gładko udeptanej ścieżki, igiełki sosnowe albo maleńkie drzazgi jak belki mozolnie zawleka do domu, lub małe żyjące albo i martwe zwierzątka, ziarnka i okruszynki, także cząstki z większych zwierząt, owoców, miód, cukier i słodkie soki, jako swoje ulubione pokarmy, zanosi do swojej zagrody.

W ciągłym ruchu, w rozlicznym rozchodzą się kierunku, a zawsze spiesznie, ochoczo; w spotkaniu jakby dla powitania się i porozumienia, uderzają o siebie wzajemnie i zawsze do dania pomocy są gotowe, jeźli spotkana siostrzyczka dźwiganemu ciężarowi podołać nie może.

Zajmująca jest ich troskliwość o małe poczwarki, niewłaściwie mrówczemi jajami zwane, te bowiem są nader maleńkie, białe i lśniące. Jeżeli wybrane z mrowiska poczwarki, rozrzucone zobaczą, natychmiast z całą gorliwością zbierają je, i do swoich zabudowań odnoszą; jeżeli ziemia jest sucha, to składają je w dolnych salach swoich, a jeżeli za wilgotna, wtedy pielęgnowane przedmioty swej troskliwości, znowu na górę wynoszą; jeżeli słońce świeci na bliskie płaskie, a wklęsło leżące kamienie i ogrzewa je, to składają tam wtedy poczwarki, jakby do wylężenia w rozgrzane to wydrążenie.

Nie wiadomo dla czego zbierają żywicę, jak i dla czego nieużyteczne na pozór chodniki zakładają, i jak dla przyjemności tu i ówdzie biegają i na wszystkie strony rozlatują się i wracają z pospiechem. Widać pomiędzy niemi ruch i rojenie się bez końca, jak to niekiedy widzimy człowieka, który od wczesnego rana aż do zmroku kręci się po wszystkich kątach, tysiące czynności rozpoczyna, i na bok odkłada, i pomimo gorliwego zajęcia się bez wytchnienia, nic, lub mało co uskutecznia.

Pszczoły wcale w inny postępują sposób: co tylko przedsiębiorą, to zawsze w jakim widocznym zamiarze i celu. Każda z nich pracuje oddzielnie i dokonywa jaką część podjętej przez siebie pracy. Jedne czyszczą ul z pleśni i zbutwienia, drugie rozlatują się do zbierania miodu, za pyłkiem i mączką kwiatową i wodą; inne budują komórki na plastry miodu, te zalepiają szpary i rysy w ścianach, tamte chodują młode potomstwo, inne znowu mają obowiązek nawiewania świeżego powietrza do ula; inne trzymają straż przy otworze do wylotu, a nawet opuszczają ul niekiedy dla wyszukania sobie innej siedziby, kiedy cały rój wydalić się zamie-

rzył. W ich gospodarstwie rozliczne zatrudnienia są uporządkowane i między domowników porozdzielane, nigdzie ich nie ma zanadto, lub za mało, jedno drugiemu w niczem nie jest na zawadzie i cała ogólna robota w zadziwiającym odbywa się porządku. Dla tego też pszczoły do wyższej doskonałości doprowadzają swój zarząd domowy, niż mrówki. Te wprawdzie budują sobie niekształtny dom z nieregularnemi komórkami i gankami, gdzie i w zimie mogą przebywać; ale nigdy nie przysposobią sobie zapasów, któreby im w zimie i w pierwszych chwilach wiosny pokarmu użyczyły; z nadejściem przeto jesieni mdłe, zmorzone głodem wpadają w omdlenie i pozornie martwe ożywiają się dopiero na wiosnę przy powiększającem się cieple i możności znalezienia pokarmu.

Pszczoły przeciwnie urządzają sobie kunsztowny dom, prawdziwy pałac z wosku, i przez całe lato napełniają piękne, gładkie przegródki miodem, który w późnej jesieni i zimie za pokarm im służy. Są przytem oszczędne, i tylko tyle miodu spożywają, ile im w czasie zimna, w gęste roje skupionym koniecznego ciepła do życia potrzeba, bo najniebezpieczniejsza chwila niedostatku zjawia się dla nich dopiero ku wiośnie kiedy je słońce z ula wywabia, i one sposobią się do życia czynnego na otwartem polu, a tymczasem zimna i nowe burze znowu powrócą i rozwinięcie się kwiatów opóźnią; po daremnem wtedy po łąkach bujaniu umordowane i głodne do siebie wracają. Wtedy zaoszczędzony zapas wybornie smakuje i na nowe rozwinięcie się kwiatów bez troski mogą zaczekać.

Mrówki i pszczoły ważną z siebie dają nam naukę. Gorliwość i pilność w domowem zajęciu, niedostateczna jeszcze; konieczny jest nadto porządek, jeżli gospodarstwo uwieńczyć ma skutek pomyślny. Bezpożyteczne po wszystkich miejscach krzątanie się, rozpoczynanie i porzucanie roboty, nie przyczyni się do postępu dzieła, i niczego nie przywiedzie do końca. Jeżeli wielu ma udział w jednem zatrudnieniu, to każdy winien mieć swoją robotę na doręczu dla drugiego gotową; tak i w dobrze urządzonem gospodarstwie, każdy ma sobie wyznaczoną

pracę, i tę w swoim czasie dokładnie wykonywa, żeby następna ręka nie czekała na niego, i nikt na próżno czasu nie tracił.

Ludzie nie jako mrówki, ale jako pszczoły mają być pilni, staranni i wytrwali w pracy.

Waw. Cz. naucz. z Brz.

Jak zapobiedz zsychaniu, paczeniu i pękaniu drzewa?

Ażeby drzewo użyte do budowy lub na budulec nie zsychało się, nie paczyło i nie pękało, trzeba się najprzód starać aby ile możności jak najlepiej wyschło. Drzewo wysycha bardzo dobrze, gdy je przed ścięciem na wiosnę z kory ogołocimy, z wyjątkiem gałęzi, i zostawimy na pniu do jesieni. Ale tego sposobu może używać tylko ten, kto ma swój las; kto zaś już ścięte drzewo kupować musi, suszy je wystawiając na przeciąg powietrza. Przytem uważać trzeba, aby drzewo nie schło za prędko, bo wtedy pęka, ani za powoli, bo pruchnieje. Najlepiej ułożyć materjał pod dachem przewiewnym. Przedewszystkiem trzeba drzewo z kory ogołocić, bo kora przeszkadza schnięciu. Ale żeby drzewo nie schło za prędko, dobrze jest ogołacać je z kory częściowo, od dołu do góry. Przyczołki belków krąglaków oblepiają się papierem, gliną lub powlekają olejną farbą, aby wilgoć zbyt prędko nie uchodziła, bo przez to drzewo pęka. Drzewo ułożone pod dachem powinno leżeć na podkładach i należy je od czasu do czasu przekładać. Podkładki zaś powinny leżeć pod samemi końcami drzewa, ale najlepiej jeżeli drzewo na pół z kory ogołocone, ustawimy storcem w kozły. Starać się trzeba aby materyał sechł już na pół przyrządzony, to jest pokłuty, porąbany lub w deskach. Drobne kawałki wysuszają stolarze zasypując je piaskiem mocno rozgrzanym na ogniu. Czasami gdy chcemy zabezpieczyć drzewo od pękania, powleka się je olejem, farbą olejną lub smołą, ale jeżeli się powlecze drzewo jeszcze nie całkiem wyschnięte, to zamiast pożytku przyspiesza się tylko

jego pruchnienie; olej dobrze użyty, chroni drzewo od robactwa, zgnilizny i paczenia się.

Najskuteczniej zapobiega się paczeniu drzewa przez wypędzenie soków napełniających jego włókna. To się odbywa przez wymoczenie drzewa w wodzie zimnej lub gorącej. W pierwszym razie wkłada się drzewo w płynącą wodę tak, aby starszy koniec czyli odziomek był obrócony ku prądowi wody; woda przechodząc przez pory drzewa, rozpuszcza i zabiera z sobą jego soki. Drzewo musi tak przynajmniej trzy lata leżeć w wodzie, nim skutek będzie zupełny, bo woda bardzo powoli wciska się w pory. Wymoczenie wodą gorącą odbywa się tak, że drzewo na pół obrobione wkłada się w kocioł napełniony wodą i roznieca się pod nim ogień, póki woda nie zakipi. Jeżeli chcemy bardzo wielkie kawałki drzewa wyparzyć w wodzie gorącej, wkładamy je w odpowiedniej wielkości naczynie drewniane i rozgrzewamy wodę za pomocą pary.

RÓŻNOŚCI.

Niemiłosierny woźnica. Ciekawy szczegół podają gazety z jednej przejażdżki teraźniejszego cesarza austryackiego. Pojazd cesarski dojeżdżając do mostu w mieście Budzie w Węgrzech, spotkał wyładowaną brykę, której jednak ciężar przewyższał o wiele siłę pary wychudzonych koni. Niemiłosiernie też woźnica smagał batem biedne szkapy, które odmawiały widocznie posługi swojemu panu i cierpliwie znosiły srogie batożenie, nie mogąc dalej pociągnąć bryki. Cesarz kazał stanąć i zapytał nielitościwego furmana, czy nie wie że zakazanem jest pastwić się nad zwierzętami i przeciążać konie zbytnim ładunkiem, czy nie wie że za takie nadużycie mógłby być uwięzionym?

— To do pana nie należy — odrzekł woźnica, widocznie nieświadomy do kogo przemawia — z mojemi końmi wolno mi robić co mi się podoba i sam cesarz nie ma mi nic do zakazywania.

Na taką odpowiedź cesarz nie odrzekł słowa, ale żołnierz ze straży cesarskiej, który dotychczas w milczeniu się przypatrywał, zbliżył się w tej chwili i przyaresztował owego woźnicę, który dopiero teraz dowiedział się z kim miał do czynienia i do kogo tak zuchwale przemawiał.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 14.

11. listopada 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarby ziemi.

Powiastka Bartka Szkolarza.

(Dokończenie.)

Przypadek zrządził tak, że właśnie mnie i Walentemu wypadała droga koło karczmy. Przez oświetlone okna zobaczyliśmy Jana, Niemca i żyda, zajętych temi konszachtami. Obaj pomyśleliśmy zaraz, że w tem już nic dobrego być nie może. Podkradłem się niepostrzeżony pod drzwi i podsłuchałem całą ich rozmowę.

— Źle — rzekłem do Walentego — Jan sprzedaje swój grunt za bardzo niską cenę, a Niemiec, który go ma w kieszeni, gorzałką i diabelską wymową wydrwi od niego tę ojcowiznę za nic.

— A piękna to rola — rzekł Walenty — trzebaż jemu wyzuwać się z własności? Pożyczyłbym mu już dzisiaj pieniędzy bez wszelkich nawet przymówek. Ale to hardy człowiek! Gniewa się na mnie więc i nic nie zechce przyjąć!

— Ale potrzeba koniecznie tym planom Hansa przeszkoodzić — odpowiedziałem Mam już nawet myśl dobrą. Wstąpmy do kerczmy i weźmy grunt na licytację. Choćby nam dwa razy tyle dać wypadło ile to wszystko warto, nie damy się i kupimy. Przez noc może zaświta, da Bóg, w pustej głowie Jana, a wtedy oddamy mu jego ojcowiznę.

Na tę radę moją przystał Walenty bardzo chętnie. Grunt bowiem był bardzo wiele wart, a do tego jeszcze przytykał do naszego. Najbardziej zaś robiliśmy to dla tego, bo na gruncie tym była bardzo dobra studnia. W tym roku zaś była taka posucha, że wszystkie krynice powysychały, z wyjątkiem studni Jana i tego przybłędy Niemca, który jednak nikomu ze swojej zaczerpnąć nie dał. Byłaby więc bieda, gdyby się i ta studnia do niego dostała. Cała wieś musiałaby wtedy jeździć po wodę aż do młyna.

Prędko wtedy weszliśmy do karczmy, ale tak jakoś cicho, że nas nie dostrzeżono z początku.

Hans był właśnie zajęty rozmową.

— Zresztą — rzekł do Jana — żebyście wiedzieli, że jestem rzetelnym człowiekiem i mam dobre serce, dodam jeszcze do waszych długów sześćdziesiąt reńskich.

— A ja zapłacę wszystkie długi i dodam jeszcze sto! — rzekłem głosem tak donośnym i tak niespodziewanie, że Niemiec z żydem ze strachu i złości prawie pod stół się zatoczył.

— Sto?! — zabełkotał Hans.

— Nu jakto sto? — krzyczał jego wierny sprzymierzeniec Herszko. Kto tu może dać sto reńskich, kto ma prawo wtrącać się do nas?

Na to odparłem bardzo ostrym tonem:

— Ja śmiem mieszać się do rozmowy oszustów, którzy korzystają z biedy człowieka i chcą go wyzuć niesprawiedliwie z jego ojcowizny.

A odwróciwszy się do Jana dodałem:

— A więc zgoda!

— Co, zgoda? Nie ma zgody — krzyczeli jednym tchem Niemiec i żyd w niebogłosy. Tu między nami sprawa panie Janie. Dodam wam jeszcze o pięć reńskich więcej.

— A ja o dziesięć więcej — rzekłem już bardzo rozgniewany.

— Oho! — wołał Niemiec, który się aż pienił ze złości, bo mu widać bardzo się ta ziemia podobać musiała. — Jacy mi tu panowie! Słuchajcie mnie Janie, a dodam jeszcze dwa reńskie.

— A ja o pięć jeszcze więcej — zawołał nagle Walenty, bo już także ze złości w milczeniu wytrzymać nie mógł.

Niemiec i jego spólnik Herszko byliby ze złości Bóg wie jak wysoko cenę stopniowali, ale ja i Walenty nie dopuściliśmy tego.

— Nic z tego interesu — krzyknąłem Niemcowi prawie w same ucho. — Choćbyście tysiąc reńskich dali, ja zawsze dam jeszcze więcej.

Jak wąż jadowity w kłębek prawie zwinął się Niemiec ze złości. Chwycił się już ostatniego środka, byle tylko Jana do siebie przywabić.

— Jeżeli mi roli waszej nie sprzedacie — krzyczał strasznie głośno — to was jutro zaraz o dług wasz zapozwę!

— A ja wam dzisiaj zaraz wszystkie pieniądze wyliczę i możecie jeszcze dzisiaj wszystkie wasze długi pospłacać — rzekłem.

Jan nie był głupim. Widocznie skłaniał się na naszą stronę, więc wziąłem go pod rękę i wyszliśmy z karczmy.

Musieli też tam pewnie za naszem odejściem obaj ci oszuści włosy sobie z głowy wyrywać! A my śmialiśmy się ogromnie zwłaszcza nazajutrz, gdy jak to dobrze wiedziałem, Jana zupełnie opuściła ochota sprzedawania swojej pięknej ojcowizny.

Ale w Niemcu tym widać sam djabeł siedzieć musiał. Posłuchajcie tylko, co to on nam ze złości zrobił.

Gdyśmy na drugi dzień do studni Janowej po wodę przyszli, stanęliśmy nagle znowu zdziwieni. Studnia do połowy prawie była zasypana ziemią, a wody ani znaku nawet.

*

— To sprawka Hansa — rzekłem — W nocy pewnie ze złości zasypał nam studnię.

— Ale my mu się na złość nie damy — rzekł Walenty, który tymczasem prędko pobiegł do wsi i zwołał kilku sąsiadów z rydlami.

Zaczęliśmy odkopywać dawną studnię. Wszyscy mozolili się mocno i z równą ochotą, bo inaczej chybaby z pragnienia we wsi umierać przyszło bez tej studni. Ale robota szła bardzo nieszczęśliwie. Już bardzo głęboko wcisnęliśmy się do ziemi, a wody jeszcze widać nie było. Widać, że ten niecnota Niemiec źródło nawet zatkać musiał. Po długiej robocie, gdyśmy już z rydlem do ogromnej głębi dotarli, pokazało się kilka kropli wody.

— Woda — krzyknęli żywo robotnicy u dołu,

Źródło odkryte trysnęło silnie.

Jeden z robotników mocno zmęczony nabrał świeżej wody do kubka, ale gdy tylko ją do ust przyłożył, odskoczył jak oparzony.

— A to djabeł ten Niemiec! — zawołał — to szatańska sprawa? Wszak to nie woda ale jakaś trucizna, jak djabła czuć ją smołą.

Nuż tedy wszyscy zaczęli się dobywać na wierzch i uciekać co tchu do domu. Ale prędko wstrzymałem wszystkich, bo poznałem że nie ma w tem nic złego — żeśmy odkryli skarb wielki. Płynem tym smrodliwym była nafta.

Nie potrzebuję wam tłumaczyć, co to jest nafta, bo dzisiaj już wszyscy o niej wiedzą. Każdy już dzisiaj świeci naftą w domu, bo to o wiele taniej wynosi niżeli zwykłe świece. Ale może nie wszyscy wiedzą, że nafta dobywa się z ziemi. Jeżeli kiedy kto pojedzie do Borysławia pod Drohobyczą, to zobaczy całą ziemię do koła porytą. Tamto najwięcej nafty dobywają.

Szczęśliwy ten, na czyim gruncie nafta się znajduje, bo ni ztąd ni zowąd staje się naraz bogaczem. Za kawałeczek pola takiego płacą bowiem jak za złoto.

Takim to bogaczem stał się teraz Jan. Prędko pospłacał wszystkie długi, pokupił nowe konie i wozy i nazbierał dużo bardzo grosiwa i ciągle sobie teraz tylko z naftą po świecie jeździ. Niechżeby teraz kto spróbował kupić od niego kawałek ziemi za kilkanaście reńskich! Za maleńki spłacheć wziął niedawno kilka tysięcy. Przyznać jednak muszę że jest bardzo wdzięcznym, czego się nawet po nim trudno spodziewać było. Za to żem go odwiódł od sprzedaży ziemi, koniecznie wsunął mi za małą cenę kawałek gruntu, z którego jak ze źródła czerpię pieniądze, tak że dzisiaj mam już dzięki Bogu spory dobytek. Walentemu toż samo tak się odwdzięczył i żyje z nim odtąd w najświętszej zgodzie.

Zapytacie może co się z Hansem stało? Aż posiwiał ze złości, że zamiast szkody dał nam szczęście do ręki. Gdy u innych ludzi tożsamo pokazała się nafta, myślał Hans, że i na jego roli koniecznie znajdować się musi. Ale widać Pan Bóg nie błogosławił mu. Porozkopywał całą swą rolę, popsuł ziemię i stracił dużo pieniędzy. Ze złości aż schudł mocno. Widząc, że na nic jego robota, zabrał resztę swego majątku i wyniósł się do swojej ojczyzny. Czy pomyślał on kiedy o takim końcu niedawno, gdy jeszcze na palcach czas liczył, w którym szachrajstwem i matactwem spodziewał się posiąść wieś całą? Tak się to dziwnie nieraz dzieje na przekor ludzkim zamysłom i układom.

Zając i kuropatwa.

Gdzie się łączka zieleni, gdzie gaiczek miły,
I gdzie tryskał zdrój obficie,
Kuropatwa i zając w jednem miejscu żyły,
Wiodąc spokojnie swe życie.
A w tem razem niespodzianie
Słychać w lesie huk straszliwy,
Rumaków rżenie, ogarów granie,

I dźwięk trąby przeraźliwy.
Zrywa się zając i leci przez błonia,
Skryć się w znane mu ustronia;
W tem go do koła obskoczyły charty,
I już rozdarty.
Kuropatwa się śmieje: Ty coś był tak rączy,
Czemuż bieg ten, z któregoś tyle szukał chluby,
Nie ratował cię od zguby?
Lecz zaledwie mówić kończy,
I ją otacza psów zgraja;
Ona się w krzakach przyczaja,
I nagle bystrym wznosi się lotem.
W tem błysło z ognistej broni,
Wypada nabój z łoskotem,
Już po niej.

Żartować z cudzych nieszczęść nigdy się nie godzi,
Bo któżto swemi zarządza losami?
Dziś co zamierzym wszystko się powodzi,
Jutro być możem nieszczęśliwi sami.

M. G.

Trawy.

Jak wysokie drzewa i niziuchne mchy, tak i trawy po rozległych łanach rozrastają się gromadnie; potrzebują piasku krzemienistego, z rozpuszczonej bowiem krzemionki formuje się zewnętrzna ich łodyg pokrywa, a niektóre trawy w samym piasku rosną, jeżeli tylko dość mają wilgoci; inne udają się najlepiej na gruncie przeciętym ponikami, a inne, jak sitowie i trzcina rosną tylko na stawach i bagnach: w ogólności lubią grunt wilgotny.

Niektóre rodzaje traw są niskie i wiotkie jak mietelnica, miętlica; drugie strzelają w górę na wysokość mężczyzny, jak żyto, sitowie, kukurydza i inne, okazują się w postaci drzew i gałęzistych roślin jak bambusy 50 do 100 stóp wysokości, a kilka calów średnicy mające. Niskie, słodkie trawy w umiarkowanych strefach stanowią łąki i stepy, wyższe w rodzaju sitowia w cieplejszych okolicach przedstawiają rozległe niwy,

a w gorących krajach olbrzymie tworzą lasy bambusowe. Bardzo jest piękna i delikatna trawa z wysmukłą swoją łodygą, która od jednego do drugiego kolanka coraz wyżej się wznosi, a wązkie jej listki jak wstęgi rozbujałe igrają z wiatrami. Cienkie pojedyńcze łodygi, wiatrby połamał niebawnie; dla tego zwykle tuż obok siebie stawają gromadnie, tak więc pochylać się i wzajemnie jedne na drugich opierać się mogą, i cała niwa kołysze się w lekko poruszanych falach. W czasie kwitnienia na samym pospolicie wierzchołku rozwijają się kłosy i wiechy, wyrównywające ciężarem całej łodydze, która od tej chwili dla utrzymania szczytu swojego coraz bardziej tężeje, twardnieje, niepozorny zaś kwiat mączysty w ziarnach wyrabia owoc, w niektórych zwłaszcza rodzajach, nieoceniony dla ludzi przynoszący pożytek.

Trawy są pożywieniem niezliczonej ilości zwierząt; te jako roślinożerne żyją wszystkie gromadnie i są łagodne, dla tego zostały domownikami w gospodarstwie człowieka. Najznaczniejsze z nich są: owce, kozy, bydło i konie. Każde z tych trawożerczych zwierząt, według swego smaku i natury odmienną lubi paszę, i gdy rącze konie najchętniej w różnych kierunkach przebiegają, na miękkim i suchym gruncie rosnącą trawę, gdzie dogodnie wyścigać się mogą, to bydło przeciwnie wybiera najbujniejszą trawę i idzie za nią aż na mokre łąki i płytkie bagniska. Owca znowu wyszukuje niskiej a słodkiej trawy na suchych pagórkach; łakotliwa zaś koza wspina się nawet na skały za smakowitemi ziołami i liściami krzaków i drzew, zwieszających swoje gałązki.

Od najdawniejszych już czasów człowiek stada tych spokojnych utrzymywał zwierząt, a bronił od lwów, tygrysów, rysiów i wilków, suchą paszą karmił w czasie zimy, a latem z jednego na drugie prowadził pastwiska. Rozbijał on namioty na górnych łąkach i rozległych niwach, i mieszkał z swem bydłem i trzodą, żywił się ich mlekiem i mięsem, a okrywał skórami. Jak ren, niesmakowity mech, tak i owca, koza, a szczególniej krowa, przetwarzają trawę w słodki, pożywny pokarm, w mleko, z którego nauczył się człowiek wyrabiać masło

i ser, zastępujące tłuszcz i mięso zwierząt; i jak przed wiekami tak i dzisiaj ludy pasterskie wraz z bydłem i trzodą żyją pod namiotami na rozległych pastwiskach.

Gdy bezczynny pasterz siedząc na trawie bawił się jej łodygami, łatwo mogły szczególniejsze kłosy zwrócić jego uwagę, a osobliwie pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa. A jak i dziś jeszcze dzieci bawią się kłosami i zajadają ich ziarna, tak i pasterz niegdyś mógł rozgryść na pół dojrzały z słodkiem mlekiem owies; innym razem znowu mączna, słodka treść ziarn żyta, orkiszu, jęczmienia, a nawet pszenicy, wydawała mu się tak dobrą, jak owoce z drzew, a bardziej jeszcze niż korzonki i żołędzie. Nie trudno było przekonać się, o ile te mączyste ziarna lepsze i dogodniejsze były od wszelkich korzonków i owoców; nie gniły bowiem tak prędko i długo dawały się przechować. Jeźli więc pasterz te piękne kłosy na dłużej zachował i w zimie, a nawet i ku wiośnie, kiedy zebrane korzonki i owoce zepsuły się i zgniły, znowu te ziarna zaschłe, dobrze zachowane zobaczył, wtedy mu zapewne jeszcze lepiej smakowały; tak więc możność dłuższego przechowania ziarna, zbożem później zwanego, dostatecznie przekonała o ważności i użytku tego nowego pokarmu. Jakąż to pomocą dla nich okazałyby się te ziarna w czasie niedostatku! A każden lud pasterski łatwo może popaść w niedostatek, kiedy dzikie zwierzęta wpadną między bydło i trzodę, i one rozpędzą, lub kiedy zaraza między niemi grasuje, lub kiedy skwarne lato wszystką trawę wypali i pastwiska zniweczy. Owoce i korzonki nie dały się długo przechowywać, mleko i masło psuły się, mięso zabitych zwierząt jeszcze prędzej gniło, małe zaś ziarnka niepozornych traw od roku do roku wytrwały, i od żniwa do żniwa były do użycia.

Człowiek, takiem ziarnem napełniwszy 5 worków, z których każden osobno udźwignąć zdołał, mógł się cały rok wyżywić, i tym sposobem nie zależał od stanu zdrowia swej trzody, ani od obfitości drzew owocowych i od wszelkich przypadkowych niepowodzeń był niezawisły. Te ziarna przeto należało uważać jako najwłaściwsze pożywienie, jako chleb człowieka, one zdawały

się być dla niego przeznaczone, dla niego stworzone; one mu życie ubezpieczały, czyniły go niezależnym i bezpiecznym od powodzenia w polowaniu, rybołostwie i od wielu niepomyślnych przypadków w życiu pasterskiem.

Skutkiem uznania wysokiej wartości tych ziarn chlebowych, było najpewniej usiłowanie hodowania roślin, tak wybornego dostarczających pokarmu, co się łatwem do wykonania zdawało. Jeżeli na próbę w ziemię wsadzono ziarnko na wiosnę, w czasie której wszelkie nasionka kiełkują i w górę się wznoszą, to pewnie z podziwieniem postrzeżono, że z jednego ziarnka kilka łodyg wyrosło, a na każdej ukazał się kłos o 50 i więcej ziarnkach, te zaś w kilku miesiącach letnich do zbioru były gotowe. Ta przeto właściwość zboża odznaczała chleb ludzki od owoców, których nasienie wielu lat potrzebuje, nim z niego drzewo owocowe wyrośnie; podobnież i uprawa zboża więcej pożytku okazywała, niż wyłączny chów bydła i trzody; jagnię bowiem, lub cielę długo pielęgnować i karmić należy, nim się z nich jaką korzyść otrzyma.

Błogosławiona ta trawa, z której człowiek wybrał pszenicę, żyto, jęczmień, owies jako ziarna pożywne, jako chleb dla ludzi! Od tego dopiero czasu, jak człowiek nauczył się je zasiewać, zbierać i w pokarm dogodny dla siebie urządzać, wtedy dopiero został wolnym panem ziemi. Dawniej był znaglony jako strzelec w ciągłych być zapasach z dzikiemi zwierzęty, dla utrzymania życia, albo jako pasterz koczownicze prowadzić życie, w ciągłym być boju z dzikim zwierzem dla obrony trzód swoich, i na tysiączne narażać się niebezpieczeństwa; lecz gdy po raz pierwszy pole na rolę przemienił, wtedy dopiero zajął ziemię w stałe posiadanie, i odtąd rozpoczął bezpieczne, spokojne domowe życie. Teraz już nie przepędzał nocy dziś tu, a jutro gdzieindziej na drzewach, w dołach, jaskiniach lub namiotach, ale uprawna rola została jego siedzibą; w miejsce przenośnego namiotu, zbudował sobie chatę i został osiadłym rolnikiem, ogrodnikiem, gospodarzem. Jak daleko tylko te trawy chlebem darzące rosły, ludzie zakładali osady, zdobywali kraje, i przekazywali je swym dzieciom i potomkom.

Użyteczne te trawy w większej części naszej ziemi z łatwością rozplemiać się dające, zachęcały ludy do ciągłego posuwania się coraz to dalej, w miarę stósownego do uprawy gruntu, na którym w każdej okolicy właściwy jemu gatunek zboża zasiewano. Najprzedniejszą trawą jest pszenica, plon z niej otrzymany jest bardzo wielki; w niektórych nawet okolicach dwa razy w roku można ją zbierać, i setnem wtedy obdarza ziarnem. Mąka pszeniczna delikatna, smaczna i pożywna, pieczywo z niej wyborne i wonne. Po pszenicy żyto jest najposilniejszym pokarmem, ma w sobie podobne do mięsa zwierząt i sera własności, wyrabiany przeto chleb z niego, wielce jest ceniony, chociaż nie tak biały i smaczny jak pszeniczny. Żyto udaje się nawet w chłodniejszych okolicach, i na jałowszym i piaszczystszym gruncie, niżeli pszenica. Podobnież i jęczmień na mniej dobrej przestaje ziemi jak pszenica, ale nie łatwo znosi zimno i nieprzyjaźną sobie niepogodę, a mąka pośledniejsza od pszenicznej i żytniej, nie jest ani tak smaczna ani tak pożywna. Owies jeszcze dalej ku północy i aż na góry zaprowadził, a chociaż nie dość obficie się udaje, i niedostatecznie jest mączysty, to przecież jest chleb z niego dosyć pożywny. Ryż przewyższa dobrocią i plonem wszelkie rodzaje zboża; ale ogranicza się tylko na ciepłych okolicach i znacznej wymaga wilgoci, tak prawie jak trawy na łąkach. Na tego rodzaju gruncie, jak we Włoszech i Hiszpanii, w środkowej Afryce, w Brazylii i południowo-wschodnich Stanach Zjednoczonych, a szczególniej w Indjach i Chinach, jest najważniejszem pożywieniem, i wszelki inny pokarm mniej potrzebnym czyni. I tem jeszcze odszczególnia się ryż od innych zbóż, że ziarn jego nie trzeba mleć koniecznie, wyłuskane bowiem ziarna i ugotowane, przyjemną są potrawą. Ryż w przyjaźnych warunkach uprawiany, jeszcze się plenniejszym okazuje; pochodząc z Ameryki, udaje się wybornie w południowych krajach Europy i wschodniej Afryce.

Z rozpowszechnienia tych wszystkich rodzajów zbóż, okazuje się, że największa część ludzi żywi się ryżem. W najludniejszych krajach jak Chiny i Indye Wschodnie, ryż jest

wyłącznem prawie pożywieniem wszystkich mieszkańców; a gdy jego twarde, mączyste ziarna łatwe są do rozsełania w dalekie strony, to i tam, gdzie go uprawiać nie można, obok innego zboża za pokarm jest używany. Po ryżu pszenica największą liczbę ludzi utrzymuje, i jej także twarde a wytrwałe ziarna w dalekie rozsełają okolice, a odkąd nauczyli się ludzie mleć ją na sucho (w młynach parowych) to i mąka pszeniczna stała się towarem handlowym.

Z pomiędzy traw jeszcze o trzcinie cukrowej wspomnieć nam należy, którą we wszystkich czterech częściach naszej ziemi między zwrotnikami położonych, skrzętnie uprawiają; z jej to pełnego miłej słodyczy soku wytworzony cukier, zajął miejsce miodu w dawnych czasach za przyprawę używanego; teraz zaś w wielkiej już części w Europie wyrabiają cukier z buraków. *Waw. Cz naucz. z Brz.*

OKOLICE KRAKOWA.

Cztery mile za Krakowem leży miasteczko Krzeszowice sławne z pięknego położenia, tudzież źródeł siarczanych i wody żelaznej, u których chorzy szukają zdrowia. Miasteczko to otaczają góry uwieńczone lasami; opodal śród bujnych łąk sterczą nagie skały, uśmiechają się cudne doliny ubarwione kwiatami i wabią do siebie wędrowca, a ulice z drzew rozłożystych zachęcają do wypoczynku w cieniu i chłodzie. Jest tutaj kościół wspaniały przed kilkunastu laty wzniesiony przez dziedziczkę, a w jego grobach spoczywa stary nasz wojak Józef Chłopicki, o którym śpiewano niegdyś:

Nasz Chłopicki wojak, dzielny, śmiały,
Poprowadzi polskich chłopków w pole bitwy, chwały.

Niedaleko ztąd wśród ponurej pustyni bieleją na górze mury kościoła i klasztoru księży Karmelitów. To Czerna jedno z najpiękniejszych miejsc w okolicy Krakowa. Kościół jest bardzo piękny, choć skromny; ściany jego lśnią białością, a ołtarze są z czarnego, krajowego marmuru. Po za murami

klasztoru wznosi się w cieniu drzew pomnik polskiego jenerała, Błędowskiego, który walcząc za ojczyznę, w jednej bitwie z Moskalami utracił obie nogi i przyjechawszy do Krzeszowic umarł na cholerę. W innem znowu miejscu na Czerny jest godny widzenia most olbrzymiej wielkości, łączący dwie góry bardzo wysokie, zbudowany za lepszych czasów dla wygody przechodniów, ale teraz nieużyteczny, bo w środku zepsuty.

W równie pięknej okolicy leży niedaleki ztąd Tęczyn, gdzie na szczycie wyniosłej góry sterczą zwaliska odwiecznego zamku. który sławnym jest z tego, że wyszło z niego wielu dzielnych i sławnych mężów. Zamek ten, gniazdo rodziny Tęczyńskich, zbudowany był około roku 1319 przez Nawoja, kasztelana krakowskiego, jednego z przodków tej rodziny. Starożytny zamek tęczyński przeznaczony przez założycieli, aby przetrwał długie wieki, stał na niewzruszonej, bo granitowej posadzie, z najtrwalszego zbudowany materyału. Nie równaj go z dzisiejszemi budowlami, choćby także zamków miano nosiły! Wyniosły to był w całem tego słowa znaczeniu olbrzym, dumny z siebie i swoich dziedziców potęgi, długo też nad całą przyległą panował okolicą, dlugo nawet cudzoziemców zadziwiał swoją wspaniałością i urągał zuchwale okolicznym pomniejszym zamkom, wzniecając zazdrość w sercach panów rycerskich, którzy w pobliżu Tęczyna swoje pozakładali siedziby. A jeźli dziwili się mu cudzoziemcy, to istotnie mieli się czemu dziwić. Sławny on wielkiej pamięci Jan z Tęczyna, kasztelan wojnicki, jeden z najbogatszych panów polskich, nie szczędząc kosztów i starań, przyczynił mu zewnątrz wielkie mnóstwo najcenniejszych ozdób, a wewnątrz nagromadził zbiory najpiękniejszych obrazów i kosztowności. Lśniły się bogate komnaty od złota i marmuru, w każdym kącie widać było dostatek i przepych pański z najlepszym smakiem w parze. Na całej też polskiej ziemi choćbyś ją przeszedł w szerz i wzdłuż, nadaremnobyś szukał pomiędzy tysiącami zamków i zameczków drugiego równie wspaniałego jak Tęczyn, i chyba tylko mieszkanie królewskie w Krakowie mogło z nim iść w porównanie. Piękne ogrody otaczały zamek do koła, na pochyłości góry ciągnęły się dobrze urządzone

winnice, a pomiędzy niemi wiła się droga prowadząca do bramy zamkowej, umocnionej potężną wieżą.

Przez długie wieki Tęczyńscy przemieszkiwali w tym zamku, aż gdy nie stało potomków męzkich, przeszedł z córką ostatniego dziedzica w inne ręce. W r. 1655 Szwedzi zdobyli go przemocą i wyrznąwszy w pień załogę, zrabowali wszystkie kosztowności, które wieki nagromadziły w tym skarbcu rodzinnym. Dzielny Jerzy Lubomirski odebrał Tęczyn Szwedom, lecz wówczas był on już prawie zamieniony w gruzy, Szwedzi bowiem ustępując z zamku, spalili go. Chociaż odnowiony później przez możnych dziedziców, nie powrócił już do dawnej świetności, niedługo też potem był zamieszkały. Opuścili go właściciele, którym się uprzykrzył i odtąd wspaniała budowa zaczęła chylić się do upadku. Nareszcie zarysowały się mury, runęły sklepienia, i... skończyło się wszystko. Gdzie niegdyś wspaniałe stały baszty, dziś piętrzą się stosy gruzów, a po nich wije się powój i bluszcz, na wyłomach murów dzikie porasta ziele, a z komnat co niegdyś królewskim lśniły przepychem, nie zostało ani śladu.

Cała ta okolica jest także niezmiernie bogata w rozliczne płody przyrodzenia i tak w pobliskim Tęczynku są obfite kopalnie węgla opałowego, dalej w Dąbniku kopalnie marmuru, znajdują się tutaj nawet kamienie drogie, jako to: ametysty i chalcedony.

Także niedaleko, bo tylko dwie mile za Krakowem leżą przecudne okolice Ojcowa, Grodziska i Pieskowej Skały.

Ojców leży w roskosznej dolinie, którą rzeczka Prądnik przerzyna Dolina ta jest najeżona skałami najrozmaitszych kształtów, które zdają się być jakoby zwaliskami jakiegoś miasta. Wszyscy co znają kraj polski, zgadzają się w tem, że nigdzie nie ma piękniejszego jak Ojców miejsca. Godne też są zwiedzenia pieczary w tutejszych skałach, o których utrzymują że podczas napadów tatarskich służyły za schronienie okolicznym mieszkańcom. W jednej z nich obiadował ostatni król polski Stanisław August Poniatowski, zwiedzając Ojców w r. 1787. Przez niski otwór wchodzi się tu

do przestronnej sali, wyżłobionej w skale jakby ręką ludzką. Ściany wyłożone są niby mchem skamieniałym, który nawet młotkiem trudno oderwać. Sklepienie zaś tak jest wysokie, że go nie widać nawet przy blasku pochodni. Z tej głównej i największej sali ciągną się na prawo i na lewo obszerne krużganki, w jednem miejscu wązkie i niskie, w innem znowu szerokie i wspaniałe, nakształt pierwszej sali. Podłoga w tych pieczarach jest także dosyć równa — tu i ówdzie sterczą odłamy skał.

Opodal w pośrodku pięknej doliny sterczy skała olbrzymia, zwana Grodzisko, na której wznosi się niewielki kościółek. Tutaj stał niegdyś silny zamek, który później przerobiono na klasztor i w tym to klasztorze spędziła resztki bogobojnego żywota Święta Salomea, siostra króla polskiego Bolesława Wstydliwego, a żona króla węgierskiego, która owdowiawszy, wróciła do Polski, i przenosząc koronę niebieską nad wszystkie blaski tego świata, poświęciła się służbie bożej.

Równie pięknem miejscem jest Piaskowa Skała, z starożytnym zamkiem na wierzchołku, dobrze jeszcze utrzymanym. Nad brzegiem Prądnika tuż pod zamkiem sterczy wyniosła skała u dołu wązka u góry znacznie rozszerzona w kształcie olbrzymiej pałki i dla tego zwana maczugą.

Okolice Krakowa z tej strony Wisły są także bardzo piękne i bogate zarówno w rozliczne płody ziemi, jak i w pamiątki święte dla każdego Polaka. I tak Wieliczka tylko milę od Krakowa oddalona, sławna jest z największych w całym świecie kopalni soli, o których jednak wspominam tylko, nie opisując ich bliżej, ponieważ były już dawniej w Dzwonku dokładnie opisane. Dalej tuż nad samą Wisłą w Tyńcu wznosi się na skale klasztor niegdyś OO Benedyktynów, dziś opustoszały, jeden z najstarożytniejszych w Polsce, bo fundowany jeszcze przez Bolesława Chrobrego — a więc prawie przed 900 laty. Jeszcze dalej leży Lanckorona z starożytnym zamkiem na wyniosłej górze, wielokrotnie przez nieprzyjaciół oblęganym i nakoniec naprzeciwko Lanckorony,

w pośrodku lasu, Kalwarya sławna z odpustów i pobożnych wędrówek. Jest tutaj kościół pod wezwaniem Panny Maryi Anielskiej z klasztorem OO. Bernardynów, a na wzgórzach oznaczone są drogi i stacye na wzór tych, któremi stąpał Zbawiciel, gdy szedł na mękę. Kościół ten wraz z klasztorem fundował pan polski Mikołaj Zebrzydowski i od jego to nazwiska nazywa się to miejsce Kalwaryą Zebrzydowską.

O targach i jarmarkach.

Od najdawniejszych czasów kupujący szukają sposobności zbliżenia się ze sprzedającymi i to dało początek targom i jarmarkom, to jest zgromadzaniu się kupujących i sprzedających w pewnem stale oznaczonem miejscu i zawsze w tym samym czasie, dla zamiany, kupna i sprzedaży — wraz z rozlicznemi płodami, jakoto: z bydłem, zbożem, drzewem, tudzież wyrobami rąk ludzkich jakiemi są rozmaite narzędzia i sprzęty, płótno, sukno i mnóstwo innych rzeczy potrzebnych człowiekowi.

Targi są dwojakie: albo zwyczajne, odbywające się po miasteczkach co tydzień lub częściej, i targi prowincyonalne, czyli jarmarki, odbywające się raz, dwa lub najwięcej trzy razy w roku.

Targi zwyczajne są dogodne dla tego, ponieważ każdy co ma jaki przedmiot do sprzedania lub kupienia, wie gdzie się ma z nim udać, lub gdzie go szukać, i czeka tylko dnia wyznaczonego w tygodniu. Na targach zwyczajnych sprzedają się głównie rozmaite rodzaje żywności, jakoto zboża, jarzyny, nabiał, mięso i inne rzeczy służące do codziennego użytku. W wielkich miastach odbywają się one codziennie lub co drugi dzień, przyczem dla porządku jakoteż dla wygody kupujących i sprzedających wyznaczane są osobne miejsca na każdy rodzaj towarów.

Jarmarki prowincyonalne służą do tego, aby zbliżyć do siebie ludzi nawet z dalszych stron kraju. Nie wszystkie okolice są równo bogate; ziemia nie wszędzie tego samego

dostarcza i ludzie nie wszędzie to samo wyrabiają; prócz tego okolice oddalone od większych miast nie mają sposobności nabycia wielu towarów, któremi kramarze miejscowi, nie mając pewności odbytu, handlować nie mogą. Jest także wiele towarów, o których w odległych wioskach i miasteczkach stale mieszkający nie wiedzą wcale, i dopiero na jarmarku dowiadują się o ich istnieniu. Z tego powodu jarmarki koniecznie są potrzebne, nietylko ażeby mieszkańców tych okolic zaopatrzyć w rzeczy potrzebne do życia i gospodarstwa, lecz oraz aby ich obznajomić z dobremi towarami i zaszczepić w nich upodobanie i chęć posiadania takowych. Tym sposobem jarmarki przyczyniają się do rozszerzenia zakresu wiedzy ludzkiej, wzbudzają w ludziach większą ochotę do pracy, dla zarobienia pieniędzy potrzebnych na zakupno rozmaitych towarów, zachęcają do oszczędności, która zapobiega wszystkim złym skutkom próżniactwa i rozwiązłości.

Prócz tego po miasteczkach wzwyczajnym czasie kramarze dopuszczają się częstokroć zdzierstwa i oszukaństwa. Jarmark zaś temu zapobiega, bo gdy się zjedzie wielu kupców obcych, natenczas miejscowi aby całkiem nie stracić odbytu, muszą sprzedawać swoje towary po takich cenach jak tamci, i ceny te utrzymują się zwykle i po jarmarku, bo kupujący wywiedziawszy się na jarmarku ile jaki towar kosztuje, nie tak łatwo oszukać się dają.

RÓŻNOŚCI.

Sposób pieczenia słodkiego chleba bez drożdży. W naczyniu już zakwaszonem, np. w garnku od żuru, zarabia się kwartę zimną wodą latem, a wodą letnią w zimie na noc, dobrze ubijając kopystką, jak na kładzione kluski. Naczynie się przykrywa i stawia w ciepłem miejscu. Na drugi dzień wlewa się w to dwie kwarty słodkiego mleka i dobrze się rozrabia. Tem się zarabia ciasto i zaraz się robią bochenki, i te niezwłocznie po wyruszeniu, nie jak przy innem pieczywie w dzieży, wsadzają się zaraz w piec, z którym tak utrafić trzeba, aby ciasto po wyruszeniu na pieczenie czekać nie potrzebowało. W ten sposób upieczony chleb będzie słodki i w smaku niczem nie różniący się od chleba upieczonego na drożdżach.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 15.

21. listopada 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ofiara wdzięczności.

Wiatr jesienny otrząsał pożółkłe listki z stuletnich lip otaczających dwór zarudecki, a blade słoneczko raz po razu to wyjrzało z za chmur, to się znowu schowało. W ganeczku siedział dziedzic, smutny, blady, znękany kilkumiesięczną chorobą. Dziś czuł się nawet słabszym jak wczoraj, a i dzień nie był wcale piękny, toż nie wiedzieć czemu kazał się koniecznie wyprowadzić na ganek. Może dla tego że odtąd dnie jeszcze brzydszemi być miały, a może przeczuwał że jak drzewom i ziołom, tak i jemu przyjdzie usnąć... z tą tylko różnicą, że one przebudzą się jeszcze na wiosnę, a on chyba aż w godzinę sądu.

Często człowiek przeczuje zbliżającą się godzinę śmierci. może i dziedzic ją przeczuł i dla tego wyprowadzić się kazał, aby po raz ostatni popatrzeć na swoją włość, w której się urodził i całe życie swoje, aż do tej chwili przepędził.

Gdy tak siedział na ganku i dumał, przybliżył się do niego z niskim ukłonem wieśniak w ubogiem, łatanem odzieniu. Dziedzic powitał go smętnym uśmiechem:

— A... jak się masz Wojciechu? Spotkało cię nieszczęście! mówili mi żeś pogorzał, biedaku. Dobrze żeś przyszedł... chcesz drzewa?

Wojciech się skłonił.

— Jeżeli łaska wielmożnego pana... przyszedłem właśnie prosić.

— Dam ci, dam z duszy... może chcesz i słomy? Chętnie ci wygodzę. Zawołajże mi kogo, dam zaraz rozkaz.

Wojciech poprosił ekonoma, a gdy ten przyszedł, pan mu zaraz polecił, aby wydał Wojciechowi drzewa na chatę i słomy na poszycie, bez żadnej kiedykolwiek zapłaty.

Gdy uradowany pogorzelec w prostych ale szczerych wyrazach serdeczne dzięki składał dziedzicowi, rzekł tenże:

— Dobrze już dobrze, a zmów tam kiedy pacierz za moją duszę!

Wojciechowi skręciła się łza w oku, bo na pierwsze wejrzenie poznał, że doprawdy już nie długo trzeba będzie pożegnać dziedzica na zawsze. Jakoż w istocie, gdy Wojciech zwiózłszy drzewo i słomę, zabrał się w kilka dni potem do budowania chaty, żałobny dzwon kościółka obwieścił mieszkańcom wioski, że dusza dziedzica rozstała się z tym światem.

Wkrótce potem zjechało się do dworu na otwarcie testamentu mnóstwo dalekich krewnych zmarłego dziedzica, który nie zostawił ani żony ani dzieci. Nieboszczyk wyznaczył kilka dożywociów starym sługom, trzy małe sumki na kościół, na szkołę i na ubogich, co wszystko niezmiernie oburzyło spadkobierców, chociaż im dostała się do podziału cała wieś z inwentarzem. Nadto jeden kawałek gruntu, mający rozległości około dziesięć morgów zapisał księdzu proboszczowi, z poleceniem aby nim rozporządził według umowy, nie wymieniając wcale jaka to była umowa.

Gdy ten ostatni ustęp testamentu przeczytano, oburzenie spadkobierców nie miało już granic. Bezcześcili pamięć nieboszczyka, szarpali jego dobrą sławę, a księdzu grozili pro-

cesem. Żal im było kawałka gruntu, choć mieli całą wieś, dwadzieścia razy większą; taka to zwykle wdzięczność na świecie Jakoż byłoby niezawodnie przyszło do procesu, ale gdy przystąpili do podziału majątku pomiędzy siebie, powstała pomiędzy nimi kłótnia, która im wybiła z głowy zapis dla księdza proboszcza; on zaś tymczasem grunt ów objął w posiadanie i zaraz się na nim rozgospodarował, a nim się burza we dworze uciszyła, grunt był zaorany, zasiany i ksiądz miał już w kieszeni dekret dziedzictwa. Później spadkobiercy sami pomiędzy sobą procesować się zaczęli i do reszty zapomnieli o zapisie dla księdza.

Minęło kilka miesięcy od tego czasu. Wojciech, o którym było wyżej, zapomógł się znacznie, bo i dom wystawił lepszy niż miał pierwej i mienia usilną pracą w tych kilku miesiącach przysporzył. Bóg mu widocznie błogosławił. Ale Wojciech nie zapominał nigdy o otrzymanem od zmarłego dziedzica dobrodziejstwie; dzieciom swoim kazał się modlić za jego duszę i mawiał często:

— Tobie to wszystko winienem panie, gdyby nie ty, byłbym poszedł z torbami. Ach! czemuż ci tego dobrodziejstwa niczem odwdzięczyć nie mogę!

Po niejakim czasie ułożył sobie choć krzyżyk postawić na grobie swojego dobroczyńcy. Jakoż wkrótce zabrał się do roboty, a ponieważ był zręcznym do ciesiołki, wyciosał krzyż bardzo piękny i gdy jesień nadeszła, a z nią rocznica śmierci dziedzica, poszedł z tym krzyżem na cmentarz.

W tem spotyka kilku gospodarzy.

— Gdzież to niesiecie ten krzyż? — zapyta jeden i drugi.

— Na grób nieboszczyka pana — odpowie Wojciech.

— A to po co? Czy nie zostawił dziedziców? Niech oni jemu postawią nagrobek.

— Oni jakoś zapomnieli — odpowie Wojciech — ale nieboszczyk był i moim dobroczyńcą, toż już zrobię com sobie umyślił·

— Co tam za dobrodziej — odezwie się jeden sąsiad — że wam dał trochę drzewa? toć nie byłby go zabrał ze sobą.

— Lekceważycie sobie dzisiaj jego dobrodziejstwa — powie Wojciech — ale póki żył, pókiście z niego korzystali, toście inaczej mówili.

— Co tam o tem — rzecze inny sąsiad — mnie posłuchajcie Wojciechu, ja wam dam dobrą radę. Postawcie krzyż na rozstajnej drodze, a kto przejdzie, to gromadę pochwali i chwała boska na tem zyska, bo na drodze prędzej zobaczą jak na cmentarzu.

— Tak, tak — potwierdzi znów inny — niech panom panowie nagrobki stawiają, a nam po co się w to mięszać?...

Przyszli właśnie przed karczmę. Wojciech stanął zamyślony, a sąsiedzi odchodząc, nuż jeszcze namawiać go aby uczynił według ich zdania. Może nie prędko byliby go puścili, gdyby nie to że im było pilno do karczmy, a Wojciech wódki nigdy nie pił, toż iść z nimi nie chciał.

Wojciech stał w miejscu, nie wiedząc czy iść dalej, czy się wrócić.

— Może i prawda — myślał sobie — to co oni mówią. Nie tak wiele mi dał, toż może dosyć będzie zmówić pacierz za jego duszę, a krzyż postawić na drodze. Będzie ztąd chwała dla całej gromady i za mnie jako fundatora może się kto pod krzyżem pomodli, a na cmentarzu któż tam o mojej ofierze wiedzieć będzie?

To powiedziawszy sobie, poprawił ciężaru na plecach i zwrócił kroki w inną stronę. W tem zadzwoniono na Anioł Pański. Smutny głos dzwonu rozlegał się po polach i łąkach, a Wojciech idąc przypominał sobie jak to przed rokiem tego samego dnia, dzwon równie smutno dzwonił, ogłaszając śmierć dobrego pana. Wojciech popuściwszy myślom wodze, rozważał tę chwilę, gdy dziedzica widział po raz ostatni, to znowu uniósł się myślą w dawne czasy, kiedy jeszcze był młodym i chodził do dworu na zarobek, a i dziedzic młodszym był wówczas, jednak okazywał już dobre serce i świadczył ludziom dobrze. Dzwon ciągle dzwonił i wdzierał się aż do duszy słuchacza. Wojciech przypominał sobie jakto przed kilku i kilkunastu laty, w ciężkiej biedzie na przednowku, także się

we dworze zasilił. Tak idąc zwolna, dumał ciągle i różne wypadki z życia przywodził sobie na pamięć, a dzwon ciągle dzwonił żałośnie a smutno. Wojciech zdjąwszy czapkę, przeżegnał się i za umarłych pacierz zaczął mówić — a gdy go skończył, rzecze sam do siebie jakby się ocknął dopiero, lub jakby całkiem zapomniał o rozmowie ze sąsiadami.

— A gdzież to ja idę? Wszakże się na cmentarz wybrałem a ku domowi wracam... i poprawiwszy znowu krzyża na plecach, podążył prosto pod kościół na miejsce wiecznego spoczynku. Głos dzwonu ucichł i tylko echo rozlegało się jeszcze, ale myśli poczciwe, które jego głos w sercu Wojciecha poruszył, nie przycichły, lecz ciągle płynęły zwolna. Jak teraz krzyż, który dźwigał, tak mu krzyżem całe życie ciężyło. Bieda po biedzie, troska po trosce następowały kolejno, a jeżeli kiedy polepszyła się jego dola na chwilę, to wnet znalazł się krzyżyk nowy, ten nieodstępny każdego towarzysz na tym padole płaczu. Żył poczciwie, karczmę omijał, nie ulegał pokusom, a jeźli zboczył kiedy, choćby myślą tylko, z drogi cnoty, to na głos dzwonu wzywającego do modlitwy, wnet przypomniał sobie obowiązki. W ostatnich czasach poprawiła się jego dola, wygrzebał się z biedy za łaską dziedzica, jedynego na tym świecie swego przyjaciela, ale Pan Bóg zabrał tego przyjaciela, a któż go teraz zaratuje gdy znowu przyjdzie bieda?

Na cmentarzu było już prawie ciemno. Wojciech postrzegł jednak że nie jest sam. Na grobie dziedzica klęczał już inny nieboszczyka przyjaciel, ksiądz proboszcz. Wojciech położył krzyż, ukląkł za księdzem i oba się modlili. Potem wstali oba; ksiądz go zagadnie:

— A co ty tu robisz Wojciechu?

Wojciech skłonił się i opowiedział swój zamiar, poczem zaraz zabrał się do roboty. Ksiądz był niezmiernie uradowany.

— Piękna — mówił — i szlachetna twoja wdzięczność, poczciwy Wojciechu, boć prosto z serca płynie, a nie z żadnego wyrachowania, okazana człowiekowi zmarłemu, od którego już niczego spodziewać się nie możesz, o którym już wszyscy nawet najbliżsi zapomnieli, nawet ci, którzy choćby dla oka

ludzkiego powinni byli wyświadczyć nieboszczykowi tę cześć. O! wierzaj mi że wielką radość sprawiłeś duszy zmarłego, a Bóg zapisze twoją ofiarę wdzięczności i na jego i na twoim rachunku; i tak jego za uczciwość, przez którą wdzięczność twą pozyskał, jak i ciebie za ten piękny uczynek, sowicie nagrodzi. Co do ciebie, mój Wojciechu, wiedz że nagrodę już dzisiaj z moich rąk odbierzesz. Chodźże ze mną.

— Ej, proszę jegomości — powie Wojciech — ja to nie dla nagrody zrobiłem, niech się jegomość nie troska o nagrodę dla mnie.

— A cóż to? przecie nie myślisz że cię pieniędzmi albo kieliszkiem wódki chcę nagrodzić. Tu o co innego idzie. Rzecz jest taka: nieboszczyk świadczył ludziom wiele dobrego, zwłaszcza wam włościanom i mawiał nieraz: „czy też kto z nich choć kwiatek na moim grobie przez wdzięczność posadzi?", i zapisał mi kawał gruntu z taką tajemną umową, abym go oddał temu, kto najlepiej uczci jego pamięć. Rok czekałem, wszyscy o nieboszczyku zapomnieli — ty jeden pamiętałeś, więc grunt do ciebie należy.

Ile to było we wsi gadania, co tam nowi dziedzice powiedzieli, gdy Wojciech obejmował ów grunt, tego się już sami domyślicie. Ja was tylko zapewniam, że Wojciech mądrze i uczciwie używał mienia i do końca życia zachował w sercu wdzięczność dla swego dobroczyńcy.

Stanisław Krakowczyk.

Szkoła wiejska.

Otóż i nizki dworek, sztachetki do koła,
Tu mieszka nauczyciel — toć to wiejska szkoła
Przez podwórko drzewkami w koło ocienione,
Wszędzie schludnie, porządnie, czysto zamiecione,
Okna chociaż nie wielkie i szybki w nich drobne;
Lecz za to do zwierciadeł z czystości podobne,
Mile to wpada w oko, czystość w takiej szkole,
Oceniam równo z cnotą, nad bogactwa wolę.

Otwórzmy drzwi od szkoły. Rzędem parobczaki,
Każdy w czystej sukmanie i pas jaki taki,
I włosy rozczesane, i chędogie buty;
A jeżli dla ubóstwa który nieobuty,
To widzę czysta noga jakby wykąpana,
Aż się porządniej przy niej wydaje sukmana.
Ręce, głowa, kark, piersi, wszystko jak z kąpieli;
Dawniej tak nie bywało, nawet przy niedzieli.
No, ale idźmy dalej; widzieliśmy odzież,
Zobaczmy też, czy dobrze ma w głowie ta młodzież:
— I czegoż się uczycie? — „Katechizmu panie!"
No, to nie zła odpowiedź na pierwsze pytanie,
Bo nauka o Bogu to pierwsza nauka,
Szczęśliwy kto w niej szczęścia i pociechy szuka,
Modli się szczerem sercem nawet przy robocie,
Pamięta że pobożność polega na cnocie.
Wiara bez cnoty martwa. — „Powiedźcie mi dziatki,
Jakie są obowiązki dla ojca i matki?
— Po Bogu, ojciec, matka pierwsi nam na świecie?"
O! kochajcie rodziców, długo żyć będziecie!
Nauczał nas ksiądz pleban" — Kochajcież ich dziatki!
— „Mybyśmy życie dali dla ojca, dla matki."
— Bardzo pięknie, lecz czy wy rodziców słuchacie?
Niedosyć to ich kochać, szanować ich macie!
— „Oj my nigdy a nigdy przy nich nie siędziemy,
Nic nas w zęby nie kole, co dadzą to jemy."
— Pięknie, już dosyć tego. Powiedźcie mi proszę:
Czy też umiecie czytać? — „Czytamy potrosze."
— No, otwórzcież książeczkę. Czytają powoli,
Ale gładko, dokładnie; i tak każdy woli,
Niż kiedy jak na pytlu gęba dzieciom lata:
A głoski się opuszczą, i potem się łata.
— A umiecie rachunki? — „Tak, umiemy panie."
— Masz talara, grosz wydasz, ileż ci zostanie?
— „Ho, jabym i trudniejszą rozwiązał zagadkę."
— Nie wątpię, bo myślicie. Zróbcież taką składkę,
Żeby czterech nierówno pieniądz w składkę dało,
A każden z nich odebrał, co w zysku zostało...
I jakże ich dziateczki zyskiem podzielicie?...
Rozwiązał mi zadanie — Dobrze moje dziecię!
Piszcie co na tablicy! Uważnie pisały:
Pierwej sobie na zgłoski wyraz rozebrały,

Wyborie, wyśmnienicie, lubię taką szkołę;
Chłopaki grzeczne, żwawe, wszystko to wesołe,
Śmiało się patrzą w oczy.., idźcie tak i dalej,
Bądźcie dobrzy, a wszyscy będą was kochali:
Jeszczebym też rad wiedział ukochane dzieci,
Czy wiecie że się tutaj kształcicie na kmieci?
Przytem że zamiast bujać po rozległym świecie,
Tu przy pługu, na ziemi waszej zostaniecie?
— „O! wiemy dobrze panie, to pociecha nasza,
Żadna też nie smakuje jak tutejsza kasza,
Tuśmy się urodzili, tutaj wychowali,
I znów tu naszą ziemię będziemy orali.
Ona żywi nam ojców, pożywi i dzieci,
Tylko niewdzięczny bocian w obce strony leci:
Szuka czego nie zgubił. My tu wszystko mamy,
My tę ziemię, my pług nasz, nad wszystko kochamy,
Zanicbyśmy tych siermięg nie mieniali panie."
— To mi to piękna szkoła, to mi wychowanie!...

J. S.

Piękny przykład.

Jan Czeczot mąż cnotliwy i przyjaciel ludu.

Nie masz pono na całym świecie tak nieszczęśliwych i pokrzywdzonych ludzi jak Polacy. Dał im Bóg dużo ziemi błogosławionej, na tej ziemi mieli swoich królów przez tysiąc lat, byli katolikami dobrymi, słuchali Ojca św. zawsze jak rodne i dobre dzieci słuchają swego ojca, bronili zawsze nauki pana Jezusa i gdyby nie oni, toby dziś na tej ziemi była wiara błędna turecka, albo moskiewska, a w tych stronach na około możeby nie było ani jednego kościoła katolickiego. Obroniło wojsko polskie niejeden raz krzyż św. i naukę p. Jezusa od Turka, Tatara i Moskala. A dziś za to wszystko dobre nie mają ani piędzi ziemi, bo im zabrali sąsiedzi i w dodatku chcą im odebrać ojców wiarę. Moskal przymusza groźbami i śmiercią do wiary moskiewskiej, a Prusak znowu do luterskiej. Taka bieda trwa już 100 lat prawie, ale dziś stała się największą pod rządem moskiewskim.

Ale nie masz złego, aby nie wyszło na coś dobrego, a nie godzien ten słodyczy, kto nie skosztował goryczy!

Powiadają mądrzy ludzie, że w ogniu czyści się złoto najlepiej, tak też w biedzie ludzie kiepscy się poprawiają, a znowu w szczęściu nieraz w grzechy wpadają!

Takim Polakiem i katolikiem dobrym, co to przeszedł niejedną biedę w życiu swojem, był Jan Czeczot, dla swej wielkiej dobroci cnotliwym, a znowu dla swej życzliwości i szczerej przychylności dla ludu polskiego, nazwany przyjacielem ludu. Urodził on się na Litwie, w polskim kraju, gdzie dziś Moskal katolików męczy i krzywdzi bardziej, niż to robili dawni poganie. Ojciec jego Tadeusz był rządcą u bogatego pana na Litwie, a ten pan zwał się z niemiecka Tyzenhaus, ale był on dobrym Polakiem i także ojcem dla ludu. Nie żal też było służyć u takiego pana, bo była i zapłata i dobry przykład i nauka w niejednej rzeczy. We wsi Rzepichowie dał Bóg temu p. Tadeuszowi Czeczotowi syna koło św. Jana Chrzciciela i został też ochrzczony Janem. W domu przy dobrym i pobożnym ojcu i matce wychowa się każde dziecko dobrze i takiem też zostanie do śmierci, chyba że się później między ludźmi popsuje i o cnotach swych ojców zapomni. To też i Jaś Czeczot dobrem i cnotliwem był dzieckiem.

Wtedy już rządził Moskal Litwą polską i prześladował Polaków, a Jaś widział na oczy jakto Moskale robili wtedy w polskim kraju i płakał nieraz i żałował tych, których Moskale zabierali z domu od ojca lub matki, albo ze szkoły i wywozili. Dał go ojciec do szkoły do klasztoru dominikańskiego w mieście Nowogródku na Litwie i tam się Jaś uczył razem z Adamem Mickiewiczem, o którym już słyszeliście. Jak skończył tam szkołę całą, posłał go ojciec do Wilna, miasta, gdzie była wtedy taka główna szkoła polska, jak w Krakowie, a profesorowie byli tam tacy, że prawie na całym świecie znali ich ludzie z nauki i rozumu. Jaś Czeczot młodzian już zuchowaty, a do tego z głową dobrą do każdej nauki, a jeszcze większą ochotą do dobrego, poznał się wnet z młodzieżą

w Wilnie i zaczął rej wodzić nad niemi. A widząc, że niejeden młodzian miał wszystkiego w szkole podostatkiem i mógł się popsuć, a nakład ojca na złe obrócić, widząc, że Moskal wabi uczniów do rozpusty, aby się niczego nie uczyli i zostali pustakami i grzesznikami, a w końcu aby przystali do Moskala, wydumał sobie dobry sposób na to; zmówił się z drugimi studentami i zaprowadzili w szkole takie bractwo, że każdy co do niego przystąpił, obiecał pod sumieniem nie stracić marnie ani grosza zarobionego lub od ojca przysłanego, ale składać na poratunek ubogich studentów, na drukowane książki, aby przez czytanie uczyć się jeszcze tego, czego w szkole nie uczono, aby każdy miał dobry rozum na wszystko dobre — potem nie marnować ani jednej chwili czasu w domu, ale po nauce pisać sobie z głowy różne rzeczy. Toż gdy się zeszli uczniowie razem, to każdy albo coś dobrego z pamięci wypowiedział, albo na głos czytał co sobie sam w swej głowie wymyślił i napisał, a żaden nie wdawał się w złe towarzystwa ani z Moskalami.

Takie bractwo między uczniami było bardzo dobre, ojcowie cieszyli się, że ich dzieci pilnują nauki i boją się Boga, a profesorowie radowali się, że każdy uczeń obracał czas na naukę dobrą i pamięć na ubogiego. Z takiego też bractwa szkolnego wychodzili młodzieńcy na mądrych i dobrych Polaków i katolików.

Jak tylko Moskale dowiedzieli się o tem bractwie, że to prowadziło do Boga, zaraz przysłali urzędnika do Wilna na komisyę, a ten urzędnik zwał się Nowosilców i był tak okrutny, jak Murawiew, o którym już czytaliście. Ten Nowosilców powsadzał zaraz uczniów do strasznej ciemnicy, pokuł im ręce i nogi i rozliczne zadawał męczarnie, aby ich przymusić do mówienia fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu. Ale ci młodzieńcy znali przykazanie boskie i pamiętali o tem, że nie należy szkodzić bliźniemu, toż znosili te męki. Pomiędzy męczonymi był i Jan Czeczot, ale ani słowa jednego nie wygadał na nikogo, ale mówił Moskalom śmiało

w oczy: „Ubijcie mię, usmarzcie, porąbcie, a nic wam nie powiem, bo ja się boję Boga bardziej, niż waszego kija.“

I wytrzymał z pomocą boską te wszystkie męki moskiewskie Jan Czeczot, choć był jeszcze młody, nie uląkł się ani nie ustąpił i zwyciężył u Boga, choć nie zwyciężył Moskala. Po takiej biedzie rozpędzili Moskale prawie wszystkich studentów ze szkoły w Wilnie, choć to było niesprawiedliwie, otóż i Jan Czeczot wrócił do ojca starego; a ojciec pobożny uradował się bardzo, że wychował takiego cnotliwego syna i płacząc ratował zdrowie jego, które mu Moskale odebrali. Umarł stary ojciec i został sierotą ten Jan Czeczot, została z nim i siostra jego. Nie miał też pomocy po śmierci ojca, ale w ubogim stanie tem bardziej miłował Boga, a Moskale nie byliby go do siebie zmówili i za wszystkie skarby świata. Zarabiał sobie nauką na życie dla siebie i dla siostry, żył między ludem polskim na Litwie, dawał mu radę na wszystko dobre, pomagał nieraz zarobionym swoim groszem niejednemu chłopkowi w biedzie, a na naukę ludu napisał książkę, w której były te spiewki, jakie chłopi na Litwie śpiewają. Miała ta książka napis: „Piosnki wieśniacze z nad Niemna, Dźwiny i Dniepru.“ Niemen, Dźwina i Dniepr są to polskie rzeki na Litwie i Rusi, jak u nas Wisła, San, Dunajec.

Napisał także i drugą książkę, w której znowu były spisane spiewki, jakie po dworach polskich śpiewają. Ta książka miała napis: „Pieśni ziemianina.“

Ale bieda wielka trafia najczęściej ostatniego zawsze, najbiedniejszego. Toż spadła na Jana Czeczota choroba taka, że mu odjęło władzę w nogach i rękach i musiał tylko siedzieć albo leżeć. W takiej biedzie przyjął go do domu jeden chłop polski, odstąpił mu i jego siostrze izdebkę małą, opalał mu darmo tę izdebkę, zasiłał go swoim chlebem gospodarskim i ratował w chorobie jak mógł. A siostra go opierała, pilnowała i na krok nie odstąpiła. Po długich cierpieniach umarł on spokojnie z Bogiem, czysty jak anioł, bo na jego duszy nie ciążyła ani łza cudza, ani złe słowo czyje, ani nawet jakie złe o nim pomyślenie. Chłopi z Rzepichowa zrobili mu

sami trumnę, wymalowali na niej węglem Imię Jezus na znak, że umarły był Polakiem i katolikiem, zanieśli go na ramionach do cerkwi ruskiej katolickiej, a po nabożeństwie razem z płaczącą siostrą na cmentarz, pogrzebać go między grobami swemi i postawili krzyż drewniany, na którym umarły jeszcze za życia kazał sobie wypisać te słowa na naukę Polakom i katolikom:

Boże! niech się każda praca w imię twe zaczyna,
I na chwałę twą kończy!
Niech nam katolikom Ciebie przypomina,
I w końcu z tobą nas łączy.

Co wam tu napisaliśmy, to się stało już dawno, bo jakie 70 lat temu, a ten Jan Czeczot umarł roku 1847.

A wy, co to czytać będziecie, uważcie sobie dobrze, że Moskal jak świat światem, nie był nigdy Polakowi bratem, że to samo robi dziś Polakom katolikom, co robił od początku. A za duszę tego męczennika Jana Czeczota, tego cnotliwego Polaka i przyjaciela ludu módlcie się i ja z wami! i naśladujcie go! *Xiądz Wojciech z Zaleszan.*

Co się w górach ukrywa.

Nie bez powodu od niepamiętnych czasów, góry w wysokiem były poważaniu. One gromadzą około swych szczytów unoszące się w powietrzu chmury, i spuszczają deszcze i śniegi, któremi swoje źródła i strumyki napełniając, na doliny i równiny orzeźwiające rozsełają wody. One wstrzymują pęd wiatru, przyczyniają się do zmiennego stanu powietrza, i Europa dla tego też jest cieplejsza, pogodniejsza i zdrowsza niż północna Ameryka, bo w Europie wielkie łańcuchy gór rozłożyły się od wschodu ku zachodowi; główny przeto kierunek zimnych i gorących wiatrów wstrzymują i łamią, gdy przeciwnie w Ameryce góry od północy ku południowi długie pasmo zaległy i wiatru wolnego przepływu dozwalają.

Wewnątrz zaś gór, największe także ukrywają się skarby, których ludzie pożądliwie pragną, jak np. złoto, srebro, i naj-

użyteczniejsze ciała, którym człowiek udoskonalenie prac swoich i przemysłu zawdzięcza, jakiemi są: miedź, cyna, a przedewszystkiem najważniejsze żelazo. Dobywają także z gór rozmaite kruszce i drogie kamienie, a jeszcze użyteczniejsze do budowli i na ciosy zdatne skał odłamy; tak więc góry są składem materyałów, właściwych dla wszelkiego rodzaju rzemieślników, kunsztmistrzów, i przemysłowców najzabieglejszych i najobrotniejszych ludzi.

Złoto lśniące, niespożyte, zawsze czyste, które w ziemi i wodzie po tysiącu nawet latach nie rdzewieje, samo nigdy się nie trawi, i w najmniejszych ziarnkach i proszku i w najdrobniejszym piasku utrzymuje się bez zmiany, najpierwszą zapewne ludzką uwagę zwróciło na siebie. I dziś jeszcze dzikie ludy wybierają lśniące ziarnka złota z piasku rzek, a nie dbają o daleko użyteczniejsze żelazo.

Wszelkie wyzyskiwanie metalów zaczęło się od szukania ich w rzecznym piasku, albo od wypłókiwania złota, i tak się dzieje aż dotąd w Kalifornii i Australii, gdzie bogate pokłady złota odkryto. Kiedy w piasku mniej się złota okazywało, wtedy udawano się w górę rzek, bo słusznie wnoszono, że ziarnka złota z wnętrza gór wypłynęły, a gdy je w skałach w drobnych okruszynach odkryto, wtedy rozpoczęło się górnictwo. Dobywanie złota należy do najuciążliwszych i najbardziej utrudzających prac; złoto bowiem znajduje się po większej części w bardzo małych ziarnkach i proszku w twardym kwarcu i innych podobnież twardych kamieniach; większe wszakże okruchy i bryły rzadko się trafiają, dla utrzymania zaś tych ziarnek, nietylko skały łamać potrzeba, ale i rozbijać w kawały, tłuc na drobny piasek, i wtedy dopiero złoto jak z rzeki wypłókiwać.

Mycie to ma niejakie podobieństwo z młynkowaniem zboża, przezco cięższe ziarna oddzielają się od lekkich plew; gdy bowiem z niemi zmieszane ziarna rzucimy w powietrze, wtedy ciężkie ziarno dalej pada na boisko niż lekka plewa. Tak podobnież i w korycie pod wodą z piaskiem zmieszane ciężkie ezirnka złota; za uderzeniem w krawędź koryta, dalej się usuwają, niż lżejszy piasek; tym sposobem złoto się wydziela.

Złoto nietylko w najdawniejszych czasach było pożądanym i poszukiwanym metalem, ale i dzisiaj z większą jeszcze skrzętnością i upragnieniem ubiegają się o niego, i równie dzikie, nieokrzesane ludy mają zamiłowanie w złocie, dla jego połysku, jak i wysoko ukształceni ludzie, wielce sobie je cenią, dla nie porównanych jego własności, jakiemi są: wytrzymałość w ogniu, w powietrzu i wodzie, gdy przeciwnie miedź, cyna, ołów, cynk i żelazo w tychże samych żywiołach, farbę i połysk tracą i mniej więcej podlegają zniszczeniu; złoto zaś odznacza się nadto jeszcze przez swoją ciągłość, giętkość i rozciągliwość. Na mocy tych jego własności, inne metale, a nawet kamienie, drzewo, szkło, papier nadzwyczaj cienką warstwą złota pociągać, czyli pozłacać możemy, przez co metale na wolnem powietrzu i wilgoci nie rdzewieją, ale pięknym blaskiem i barwą zwykle ze światłem słonecznem porównywaną, przyjemność nam sprawiają.

Biało-lśniące srebro często porównywane z księżycem, pomiędzy białemi metalami, najpiękniejszym odznacza się połyskiem i farbą, wprawne oko z łatwością rozpoznaje srebro od cyny i cynku, a cóż dopiero od polerowanego żelaza, stali i ołowiu. Te metale jednak prędko na powietrzu stają się bledsze, ciemniejsze, a nawet i czarne, kiedy przeciwnie czyste srebro podobnie jak złoto zawsze swą świetność zachowuje i równie jest wytrzymałe w ogniu, tylko cokolwiek mniej ciągłe, giętkie i rozciągliwe. Dla tego po złocie jest najbardziej ulubionym i cenionym metalem, prócz rzadszej platyny. Srebro tylko czasem napotyka się w rzecznym piasku, ale obficiej niż złoto w górach się znajduje. Długie minęły czasy, nim je tu znaleziono, bo z innemi ciałami zmięszane, jako kruszec jest rozmaite i niepozorne na pierwsze wejrzenie. Powolnym tylko czasem przyszli ludzie na sposoby oddzielania srebra z różnych kruszców i wtedy dopiero górnictwo czynnie zajęło się wydobywaniem tego szlachetnego metalu. Teraz 14 razy prawie więcej srebra jak złota wyzyskują. *(Dokończenie nast.)*

Nieco o zwierzętach pożytecznych w ogóle, a o krecie w szczególności.

Przez Dr. E. Janotę.

Żadnych zwierząt nie ma tyle co owadów. Dosyć przypatrzeć się w lecie rojom much, komarów, mszyc, mrówek, gąsienic i t. p. Żyją one po największej części na roślinach. Niektóre z nich są pożyteczne, np. pszczoły, mrówki, ważki, trzmiele i galasówki. Inne zaś są szkodliwe.

Gąsienice kapustnika objadają na wiosnę ze szczętem liście i kwiaty drzew owocowych, a w jesieni kapustę; chrząszczyk zwany kornikiem i gąsienice niektórych ciem zrządzają niekiedy ogromne spustoszenia po lasach. Takich pustoszycieli leśnych jest u nas do 59 gatunków. Pędraki z innem robactwem wielkie wyrządzają szkody w zbożach i łąkach. Chrabąszcze dopomagają gąsienicom kapustnika w objadaniu drzew owocowych i dzikich. A ileto robactwa bywa po topolach! Ztąd rozłazi się ono do pobliskich ogrodów, sadów i pól. Wiele owadów dokucza nadzwyczaj najużyteczniejszym zwierzętom, koniom, bydłu rogatemu, owcom, drobiu i innemu ptactwu.

Człowiek rozmaitemi sposobami zabiega tym szkodom i czynić to powinien. Wszakże nie opędziłby się on szkodliwym owadom, gdyby Pan Bóg nie był stworzył zwierząt, które żyjąc owadami, wytępiają je w wielkiej ilości. Te zwierzęta winien człowiek znać, winien ich ochraniać i pielęgnować je, bo one są wielkiemi dobrodziejami jego. Kto takie zwierzęta niepokoi, prześladuje i zabija, jest głupim, nierozumnym, złym, złośliwym niewdzięcznym względem Boga. Zwierzętami pożytecznemi jest największa część ptaków żyjących u nas; są niedoperze, jeże, krety, ryjówki, płazy, nawet niektóre owady. Do płazów należą: żółw, jaszczurki, węże i żaby z ropuchami. Do jaszczurek należy padalec, zwierzątko zupełnie niewinne. Wszystkie płazy żyją owadami i rozmaitem robactwem, są przeto także pożyteczne prócz jedynej żmiji, która jest jadowita, a zatem szkodliwa. Reszty wężów żyjących u nas nie ma się wcale co bać.

Wszakże lud mało oświecony w tych rzeczach, pełen zabobonów i przesądów, uważa je prawie wszystkie za szkodliwe, a nawet jadowite, czem wcale nie są. O padalcu, zwierzątku bezbronnem i niewinnem, lud rozmaite plecie brednie. Czas byłby, aby je porzucił i lepszego nabył przekonania. Ryjówek nie umie odróżnić od myszy, choć po ryjku i maleńkich, w futerku ukrytych uszkach, natychmiast je można poznać.

II. Ażeby mieć wyobrażenie o pożyteczności zwierząt żyjących owadami, rozważmy kilka przykładów. W r ó b l a uważa wielu za szkodnika, bo w lecie zje tu i owdzie trześnię, a w jesieni wymłóci niejeden kłosek zboża lub prosa. O tem wie każdy i dlatego prześladuje wróbla. Ale nie wszyscy wiedzą o tem, że jest pożyteczny i dla czego jest pożyteczny. Pewien uczony francuzki (Ray) badał przez kilka lat gnieżdżące się parki wróbli i przekonał się, że jedna parka w jednym dniu pisklętom swoim donosi 60 do 65 gąsienic, poczwarek i chrabąszczów. A inny uczony obrachował po długoletniem doświadczeniu, że parka wróbli na jedno zniesienie spotrzebuje 3360 owadów i jajek ich. A otóż wróbel gnieździ się najmniej trzy razy przez lato. Więc jedna parka wróbli zniszczy przez lato przynajmniej 10.000 szkodliwego robactwa. Kto zatem zabija jedną parkę wróbli, ocala tak wielką ilość robactwa. I nie jestże to nierozum? nie jestże to głupota, której rzeczywiście wstydzić się należy?

W Prusiech sto lat temu, zamyślono o zupełnem wytępieniu wróbli za to, że w jesieni wyskubują zboże. Płacono za główki biednych ptaków, które razem z podatkiem oddawano. To samo czyniono także w innych okolicach Niemiec. Ta głupota trwała lat sześć, a wróbel stał się prawie rzadkością. Ale przekleństwo wnet też spadło na łany, ogrody i sady. Mimo wszystkich starań nie było można oczyścić drzew z gąsienic, a jarzyny

stawały się pastwą robactwa. Dopiero znawcy i rozumniejsi gospodarze wytłumaczyli, że robactwo dla tego się mnoży, iż nie ma wróbli, co je zjadały. Więc im wreszcie dano pokój.

W pewnej wsi w Niemczech zdarzało się często, że w ogrodach wiejskich nie było owoców. Zaraz z wiosny gąsienice wszystko zeżerały. Ale w ogrodzie plebańskim drzewa rok w rok rodziły. Dlaczego? Otóż dlatego, że na pobliskim kościele gnieździło się wiele wróbli, a pleban, człowiek rozumny i znający się na pożyteczności ich, nie dał im robić krzywdy.

III W pewnej okolicy w Galicyi wyławiano przez niejaki czas rozmaite większe i mniejsze ptaki w wielkiej ilości. I jakiż to miało skutek? Oto ten, że w latach 1845, 1846 i 1847 pewna gąsieniczka przysiadła w tak wielkiej ilości agresty w ogrodach dworskich właściciela, co to tak ptaki prześladował, że przez długi czas nie zebrano ani jednej jagody. Wreszcie przestano tępienia sikor i pokrzywek, a odtąd rok w rok z tych samych krzaków agrestowych zbierano do 30 korcy jagód. I jakże się to stało? Oto tak, że sikory i pokrzywki oczyściły krzewy jak z onej szkodliwej gąsieniczki, tak i z innego robactwa, i krzewy agrestowe znowu zaczęły rodzić.

W lasach żyje ćma, która się zwie mniszką. Przed kilku latmi gąsienica ta w lasach koło Dąbrówki na pruskim Szląsku wielkie porobiła szkody. Aby jej nie przybywało, kazano zbierać jajka ćmy. Przez dwa miesiące, październik i listopad, uzbierano 2 ½ cetnara jajek. Na łut idzie ich 20.000. Sikorka zwana ż y d ó w k ą jest mała ptaszyna nie ważąca więcej jak łut. Przekonano się wszakże, że i ona i każdy z ptaszków żyjących owadami potrzebuje dziennie tyle pokarmu, ile same ważą. Niechajby więc każda sikorka zjadła w roku tylko 10 lutów jajek szkodliwych owadów, toć jeden taki ptaszek wytępi ich najmniej 200 000 rocznie. Więc 800 sikor lub innych podobnych ptasząt zjadłoby w 20 dniach one półtrzecia cetnara jajek ćmy mniszki, zjadając dziennie tylko ½ luta. Kto to rozważy i zrozumi, musi się zadziwić, jak mądrze Pan Bóg wszystko urządził, a jak głupio i złośliwie człowiek ten porządek psuje. Istotnie nie ma nic głupszego ani gorszego jak poprawiać Boga.

Jak owady, tak też myszy i ślimaki, gdy ich jest wiele, wielkie wyrządzają szkody. W Niemczech w pewnej okolicy zniszczyły myszy w r. 1830 ze szczętem 532 morgi młodego lasu bukowego z drzewkami mającemi 6 do 12 lat. W roku 1856 w innej okolicy (między miastami Gotą i Erfurtem) zaorano na dwumilowej przestrzeni do 5337 morgów zniszczonych przez myszy. Jeszcze w innej okolicy (w księztwie Dessau) narobiły myszy w tymże roku 1856 na 20.000 złr. szkody. Inny gospodarz spodziewał się mieć do 10 korcy żyta, 7 ½ korca jęczmienia, 6 korcy owsa. Wszakże myszy tak wszystko zjadły, że mu nie zostawiły nic więcej, jak tylko ćwierć żyta. Więc bardzo pożyteczne są także wszystkie zwierzęta żyjące myszami i ślimakami. Takiemi są wszystkie s o w y, z pomiędzy których u nas jeden tylko puhacz robi szkody w zwierzynie i ptactwie, niektóre s o k o ł y (mianowicie pustułka, pustułeczka, kobuzek, myszołów i kaniuk, zwany także pszczołojadem, żywi się bowiem owadami pszczołowatemi, np. osami, trzmielami), niektóre o r ł y (mianowicie włochacz, krzykacz i gadożer) i w ę ż e. Przeważnie pożytecznemi ptakami są także k a w k i, w r o n y i g a w r o n y, a nader pożyteczne s z p a k i i d z i ę c i o ł y. (C. d. n.)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 16.

1. grudnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Majster i czeladnik.

Powiastka przez Waw. Cz.

— Ale mój Karolu — rzecze jednego poniedziałku majster bednarski do swego czeladnika — jak też możesz tak niebacznie oddawać się trunkowi! Znowu tak ciężko zapracowane pieniądze straciłeś, a wyglądasz jakbyś dopiero co wyszedł z choroby. Co też to z ciebie będzie biedny Karolu, żałuję cię serdecznie!

— Panie majstrze — odrzecze czeladnik z westchnieniem — to jest takie moje przeznaczenie. Moja świętej pamięci babka powiadała mi, że po mojem urodzeniu się, nie chciałem pić wcale; wtedy to żal i smutek cały dom ogarnął, i równie jak pan majster teraz, tak i wówczas ciągle powtarzano: co to będzie z tego dziecięcia! Jednakże zapewne musiałem moją odrazę do picia przełamać, i jakoś z czasem powiodło mi się przekonać moją wstrzemięźliwością o niekoniecznie prawdziwej przepowiedni; ale teraz, jak widzę, wpadłem w niebezpieczeń-

stwo; lecz cóż pocznę, żeby już na żadną więcej nie zasłużyć naganę?

— To ja ci powiem wieczorem po skończonej dziennej robocie — odpowiedział majster — jeżeli ci rozmarzenie z niedzieli dozwoli wysłuchać życzliwej rady.

Z nadejściem wyznaczonej na rozmowę chwili, Karol strudzony, niewyczasowany, chętnie byłby się natychmiast udał na spoczynek; wiedział jednak, że kiedy majster miał zamiar po ojcowsku z nim pomówić, nie godziło się życzliwą radą pogardzić, albo przynajmniej lekce ją sobie ważyć Zresztą kochał on swego przełożonego i wolał raczej od niego choćby i przykre słowo usłyszeć, niż gdzieindziej starać się o robotę. I majster podobnież wielce sobie cenił niestrudzonego robotnika, nienagannie dopełniającego swych powinności, dopóki tygodniowej nie otrzymał płacy, bo wtedy już od końca soboty rozpoczynał pijatykę, a w poniedziałek dopiero postrzegał, że ostatni grosz zabrał szynkarz z pod koguta.

W środku podwórza stara grusza szeroko swoje rozpościerała gałęzie, pod nią to omroczeni cieniem usiedli majster i czeladnik; z tych pierwszy popatrzywszy się na młodego człowieka, na którego twarzy widocznie jeszcze niedzielnej niewstrzemięźliwości pozostały ślady, rzekł z uczuciem:

— Prawdziwie żal mi cię Karolu!

Młodzieniec zakłopotany nie wiedział co z sobą zrobić, oko mu łzą zaszło, na ten tak przyjaźny głos życzliwego majstra.

— Chociaż tak zawzięcie wziąłeś się do pohulanki, to jednak jeszcze zupełnej nie tracę nadziei, że od brzydkiego nałogu odwykniesz i pójdziesz za przykładem uczciwych ludzi, dalekich od wszystkiego, co tylko hańbi i upadla człowieka. Przystojny z ciebie chłopak, masz dzielne ręce do pracy, głowę na karku pełną zdrowego rozsądku; prawdziwie mój Karolu, ja na twojem miejscu nie uległbym tak łatwo podszeptom namiętności, która cię w szpony swoje pochwyciła i do zguby cię prowadzi.

— Ja to samo cały tydzień myślę, dopóki w kieszeni nie nie ma, ale jak tylko wezmę tygodniowe myto do ręki, to jakby mi kto rozpalonych węgli nakładł do gardła; jakaś pokusa popycha mię i szatan gwałtem wciąga mię do szynku. Czasem jaki towarzysz da pierwszą zachętę; to znowu mnie jakoś wypadnie coś do zrobienia w sąsiedztwie. Niech się pan majster nie śmieje, ale ja doprawdy nic temu nie winien.

— Wiem ja o tem — z uśmiechem odparł majster — ale że z ciebie rozsądny młodzieniec, to mogę ci śmiało powiedzieć, zkąd to pochodzi. Wiesz dobrze, co dzisiaj ludzie o szatanie myślą, oto że go nie ma na świecie. Ale nie na tem koniec. Chociaż on wprawdzie nie wygląda tak, jak go na obrazie św. Jerzego wystawiają; to jednak Pismo święte mówi o nim: Biega on jak lew ryczący, albo co gorsze jeszcze i niebezpieczniejsze, w postaci węża, który Ewę skłonił do zjedzenia zakazanego owocu.

— Otóż to teraz dobrze pan majster powiedział, bo czyliż ten przeklęty szatan, wodząc mię na pokuszenie, nie jest mego nierządu przyczyną?

— Mój młodziku, gdybyś nie był bezbożnym człowiekiem, gdyby myśl twoja jedynie trunkiem nie była zajęta, wtedy szatan żadnej by nad tobą nie wywierał władzy; ale ty bierzesz się do złego, a on wciąga cię zawzięcie, pokazujesz chętkę do trunku, to on stanie przed tobą, i z kieliszkiem w ręku będzie cię wabił do siebie. Tak więc w zażyłem pomiędzy sobą porozumieniu, jak towarzysze ręka w rękę postępujecie, a ty chętnie dajesz się prowadzić, dokąd się jemu zawieść cię podoba. A dokąd? Spytaj się sam siebie Karolu. To cię nie godzi i tak być nie powinno. Trzeba wziąść rozbrat z tym obrzydłym szatanem, czyli raczej trzeba poskromić swoje żądze, i trzymać je na wodzy zdrowego rozsądku. A jeżli ten zły duch uśmiechnie się wdzięcznie do ciebie, to się odwróć od niego, a jeżeli chce cię zwabić koniecznie pod koguta, to niebawnie zwracaj się w inną ulicę.

— Usłucham waszej rady, panie majstrze, spróbuję na prawdę pokonać szatana.

— Zobaczymy, czy słowa dotrzymasz i długo potrwa to postanowienie — odparł majster z uśmiechem, podając mu rękę po uściśnienia.

W następną sobotę, przy wypłacie tygodniowej, podniósł majster palec znacząco do góry i rzekł:

— Karolu! już wiesz!..

— O zobaczy pan majster, jak sobie teraz postąpię.

Karol był sierotą; bardzo wcześnie rodziców utracił i z litości wychował się u ludzi ubogich, ale chętnie dzielących się kawałkiem chleba z biedniejszym od siebie. Oddany do terminu, w kilka lat został czeladnikiem i już dwa lata pracował w jednem miejscu u majstra, do którego dziecinne powziął przywiązanie. Gdy teraz Karol drobniejsze należytości zaspokoił, schował resztę pieniędzy i poszedł się kąpać. Wracając do domu, gwizdał sobie wesołą piosnkę, gdy przechodził koło szynkowni pod kogutem. Z zadowoleniem majster z fajeczką w ustach wyjrzał do okna; Karol pozdrowił go uprzejmie, jak gdyby mówił: A cóż? czy nie jestem na dobrej drodze?

Zaledwie dnieć zaczynało, a nasz bohater już się obudził. Nie mógł długo na posłaniu pozostać, bo do przeciągłego wywczasu nie był przyzwyczajony; zaczął się więc ubijać z myślami, co tu robić z tą długą niedzielą. W tem posłyszał w swojej komnatce, z której okno na ogródek wychodziło, świergotanie i wdzięczne ptastwa piosnki, któremi dzień poczynający witając, wielbiły Stwórcę swoim sposobem. Ta miła muzyka słodkiem uczuciem serce jego przejęła i ukorzyła przed dobroczynną Opatrznością: odmówił więc z pokorą zwykłe pacierze, miły gwar ptasząt nastręczył mu myśl udania się do niedalekiego od miasta gaju. Żwawo przebiegał rosą zwilżone pola, a świeżego po całym tygodniu zaczerpnąwszy powietrza, wkrótce stanął w oznaczonem miejscu. Tak mu było miło na sercu, jak gdyby nowe rozpoczął życie, a gdy sobie wspomniał o rozmowie ze swoim poczciwym majstrem, już mu się zdawało niekiedy, że przygniótł nogą szatana, że stłumił swoje złe skłonności. Po niedługiej chwili spotkał tu także kilku swoich towarzyszów, żarty, śmiechy, opowiadania snuły się bez przerwy;

jedni cięli pręty, drudzy robili piszczałki. Karol zbierał kwiatki, jakich mu wiosenna pora dostarczyła, i uwitą z nich równiankę umyślił ofiarować pani majstrowej.

W powrocie gdy towarzysze zbliżyli się do miejsca, gdzie gościniec na dwie osobne rozchodził się drogi, prowadzące do dwóch różnych ulic, namyślali się chwilkę, którędy powracać mieli. Karol naprzód oświadczył, że wraca do siebie najbliższą drogą; drudzy zaś chcieli wrócić się i wstąpić pod smoka. Jeden kieliszek, to przecież nie zaszkodzi, pomyślał sobie Karol, niby w tem złego nie było. Lecz w tej samej chwili zdawało mu się słyszeć głos swego majstra: „Nie daj się owładnąć, weź rozbrat z szatanem.“ Tak więc zwrócił się ku domowi swego przełożonego, i wszedł do izby, nie wiedząc jak i kiedy. Tu właśnie zastał gospodarstwo przy śniadaniu. Oddał kwiaty samej pani, a zarazem spojrzał na majstra. Ten zrozumiał, co chciał przezto dać poznać. Uprzejmego młodzieńca zaproszono po przyjacielsku do stołu, a gdy usiadł w gronie tych zacnych ludzi, to się zdawało biednemu sierocie, że dostąpił szczęśliwości niebieskiej.

Żeby o każdym jego kroku wiedział pan majster, poszedł do kościoła i stanął na miejscu, z którego mógł być widziany. Spojrzał na obraz św. Jerzego i pomyślał sobie, że i on pokonywa teraz ryczącego lwa wstępnym bojem, śmiało i odważnie. Po obiedzie położył się na trawniku w ogródku i spał spokojnie aż do uderzenia na wieży drugiej godziny. Tu jeszcze chwilkę pozostał i rzekł do siebie: Do nocy bardzo daleko — co też począć z tym wlekącym się czasem?... Po niejakim zaś namyśle: O wiem co zrobię, oto pójdę zobaczyć ten tak wychwalany nowy dom Buckiego. Poszedł do siebie po czapkę, potem przyszło mu na myśl, że trzeba jeszcze przerachować pieniądze... O piękne, jak nowo odbite, warto je zachować, ale... pulares w kieszeni prawie próżny, a jakże wyjść bez pieniędzy, przecież zawsze jaki grosz trzeba mieć przy sobie, a cóż zrobię z resztą?... nie ma co zostawiać, wszakże i tak wrócę z niemi do domu, to i ostrożność mniej potrzebna. (Dok. n.)

Prządka.

Siadła prządka przy kominie,
Puściła wrzeciono;
Smutna piosnka z ust jej płynie,
Ach! i z serca pono:
— Matko Boska Częstochowska,
Królowo serdeczna!
W sercu mojem wieczna troska,
A w oku łza wieczna.
Mąż mój poszedł w świat daleki,
W boleści godzinie,
Aż zamknęła śmierć powieki
W nieznanej krainie.
I zostałam na tym świecie
Jak ptaszę tułacze;
U wdowiego serca dziecię
Łzą sierocą płacze.
Krwawym znojem, łez twych zdrojem,
Karmię to nieboże,
I za całym skarbem moim
Tak Cię błagam Boże:
„Przez łzy, co mi z oczu cieką,
Przez ojcowską dolę,
Otocz świętą Twą opieką
Sieroce pacholę!
Niech mi rośnie w życia wiośnie,
Jak choinka w lesie,
Niech mu każdy krok radośnie
Nowe szczęście niesie;
Zagon, który ciężkim potem
I łzą gorzką zleje,
Niech mu kiedyś żniwem złotem
Corocznie się śmieje."
Śpiewa prządka, nagłe łkanie
Pieśń stłumiło w łonie,
Ku bielonej chatki ścianie
Wyciągnęła dłonie.
Tam na krzyżu rozciągnięta
Kona postać blada,
Bok przeszyty, głowa święta
Na ramię opada.
I krew blade lica broczy,
Strugą płynie z czoła,
Lecz gdy spojrzeć w smutne oczy,
Głos zdaje się woła:
„Chodźcie do mnie! chodźcie wierni!
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu z cierni
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgata,
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą,
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojej chwały
Na ziemi i niebie!"

Klękła prządka rozjaśniona
Źrenica jej błyska,
Do drżącego swego łona
Dzieciątko przyciska.
Boże! woła, promień łaski
Błysnął z krzyża Twego,
Niebieskiemi swemi blaski
Wszedł do serca mego;
I jak tutaj wśród swobody,
Czuciom matki gwoli,
Błagałam Cię dla sieroty,
Uciech ziemskiej doli —
Tak znów dłonie wznoszą drżące
I wołam w pokorze:

Daj mu poznać prawdy słońce,
Ojców moich Boże!
Niechaj idąc życia drogą,
Słów Twych strzeże wiernie,
Choćby krwawą, jak Ty, nogą
Ostre deptał ciernie!
A chcąc wytrwać niezwalczony
W miłości i wierze,
Niech Twój Chryste, krzyż skrwawiony
Za wsparcie obierze;
Bo tam tylko u podnóża,
Świeci łaska Pana,
Tam umilka pokus burza
W sercu chrześciana;
Tam każdego, który płacze,
Wesprze dłoń anioła,
Na sieroty i tułacze
Taki głos zawoła:

„Chodźcie do mnie, chodźcie wierni,
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu cierni,
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgota
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą,
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojej chwały
Na ziemi i niebie!“

J. M.

Xiądz Grzegorz Piramowicz.

Obok wspaniałego kościoła księży Jezuitów we Lwowie wznosi się gmach ogromny, poprzecinany wewnątrz długiemi korytarzami, na których zawsze ruch panuje wielki, bo w tym gmachu są rozmaite urzędy, toż ludzie przychodzą tam z rozmaitemi sprawami. Przed laty inaczej ten gmach wyglądał. Cicho tu było i spokojnie, a po kurytarzach przesuwały się tylko poważne postacie zakonników. Tu gdzie dziś są kancelarie, były zaciszne ich cele; na ścianach wisiały tylko krucyfiksy i obrazy świętych. Tu gdzie dziś piętrzą się niezmierne stosy papierów, leżały księgi uczone, bo OO. Jezuici z wielką pilnością oddawali się naukom, a tu gdzie dziś żołnierz stoi na warcie, był dzwonek, wzywający pobożnych tego gmachu mieszkańców na nabożeństwo albo do spoczynku. Gmach ten był kolebką wielu znakomitych w naszej ojczyźnie mężów, tutaj wychował się także xiądz Grzegorz Piramowicz.

A któż był ksiądz Grzegorz Piramowicz?... Kto? Na to

trudno odpowiedzieć jednem słowem, a najtrudniej dlatego, bo na wspomnienie tego zacnego męża łza ciśnie się do oka. To był anioł nie człowiek.

Zaledwie skończył szkoły jezuickie, rodzice chcieli go ożenić i nawet bogato. Ojciec jego był kupcem, rad też był aby i syn oddał się temu zawodowi — ale on nie miał ochoty ani do handlu ani do gospodarstwa; jedynem jego było pragnieniem poświęcić się Bogu i ludzkości.

Kiedy został księdzem, celował nietylko cnotą i nauką, ale też dziwnie ponętną uprzejmością i wesołością. Jużto żarcikami sypał zawsze jak z rękawa i umiał niemi zarówno starszych jak i młodszych a nawet dzieci śmieszyć. Toż nietylko lubiano go, ale kochano i wydzierano sobie, bo wszyscy chcieli się nim ucieszyć, a dzieciom, które się cisnęły do niego, obronić się nie mógł. Ale nie wiele miał on czasu na takie rozrywki, bo był profesorem, to też wolne chwile we dnie poświęcał rozrywce, a za to w nocy nie sypiał, tylko pracował.

Przełożeni dali go potem na nauczyciela domowego do młodych Potockich; wyjechał więc ze swymi uczniami najprzód do Francii a potem do Rzymu. Tu zaledwie stanęli w klasztorze jezuickim, wszyscy księża tak zaraz pokochali Piramowicza, jakby się pomiędzy nimi wychował, a oceniając jego naukę, jednomyślnie profesorem go zrobili. Szczęśliwych lat kilka przepędził w Rzymie kochany i szanowany zarówno przez rodaków jak cudzoziemców i tu poznał się z wielce zacnym panem polskim, a stryjem swoich wychowańców, Ignacym Potockim. Zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, która potem obu do grobowej deski łączyła.

Po kilku latach xiądz Piramowicz wrócił do Lwowa, taki sam jak wyjechał, serdeczny, wylany dla wszystkich — przytem z ogromnym zasobem nauki, nabytej w obczyźnie. Nie długo jednak zagrzał miejsca w klasztorze. Jeden z jego przyjaciół, ksiądz Adam Rzewuski, opat, dotknięty ciężką chorobą, wyjeżdżając za granicę dla poratowania zdrowia uprosił go aby mu towarzyszył. Piramowicz pojechał aby przyjacielowi osło-

dzić ostatnie chwile; tak, ostatnie, bo niedługo potem opat Rzewuski umarł.

Xiądz Piramowicz wrócił znowu do Lwowa, ale jakże straszne zastał tu zmiany. Ta część Polski, która się nazywa Galicyą, była już pod panowaniem austryackiem, a nad bramą klasztoru wisiały orły cesarskie i żołnierz chodził na warcie z karabinem. Klasztoru nie było, już tam nie miał iść poco, albowiem właśnie wtenczas kiedy Polskę rozbierano, ojciec św. zniósł zakon jezuicki, skasował wszystkie ich klasztory w całym świecie, a tak i lwowscy Jezuici musieli opuścić swoje cele i oddać cały gmach nowemu rządowi.

W tej bolesnej chwili Piramowicz ujrzał się jeszcze nieszczęśliwszym jak wielu z jego towarzyszy zakonnych. Właśnie w tym czasie bowiem i rodzice jego, skutkiem rozmaitych wypadków, stracili majątek — ojciec umarł, a matka została z liczną rodziną bez sposobu do życia. Xiądz Grzegorz powinien był teraz zastąpić ojca rodzinie, ale jakże to mógł uczynić kiedy on sam teraz oglądać się musiał po świecie za kawałkiem chleba dla nowemu samego.

W tej smutnej doli przyjaźń przyszła mu w pomoc. Ów Ignacy Potocki, możny pan, z którym się był poznał w Rzymie, zasłyszawszy o losie przyjaciela, wezwał go zaraz, aby czem prędzej przyjechał do niego i wybawił go z kłopotu, dając mu probostwo w miasteczku swojem dziedzicznem Kurowie.

Zacny xiądz Grzegorz odetchnął w ciężkiem strapieniu. Już nie tylko o siebie ale ani o matkę, ani o rodzeństwo troszczyć się nie potrzebował, a co najbardziej jego serce cieszyło, to, że teraz jako proboszcz będzie mógł prawdziwie dla ludzkości pracować, czego najmocniej zawsze pragnął.

Kurów było to miasteczko w bardzo miłej okolicy, piękne i schludne. Na plebanii znalazł nowy proboszcz wygodne pomieszkanie dla siebie i dla matki, która zaraz objęła jego gospodarstwo; czego zaś nie dostawało, to prędko uzupełnił.

Xiądz Piramowicz był teraz szczęśliwym jak jeszcze nigdy w życiu, choć się tu nie mało napracował. Opowiadają, że odkąd objął probostwo, drzwi od jego pomieszkania nie

zamykały się przez cały dzień boży. Jedni przychodzili do niego z prośbą o radę, drudzy po wsparcie, inni po naukę, tamci po lekarstwo, jeszcze inni co się już mieli procesować, wstąpili na plebanię i poddają się pod wyrok ubóstwianego proboszcza. On nikomu nie odmawia rady, pomocy, wspiera wszystkich swojem doświadczeniem, swoją nauką. Zwaśnionych godzi, chorych leczy, ociera łzy wdowom i sierotom, obmyśla im przyszłość i utrzymanie.

Ale zaledwie zacny xiądz Piramawicz zaczął kosztować słodyczy świadczenia drugim dobrodziejstw, nowe spotkało go zmartwienie. Wśród żniw okropny pożar wybuchł w Kurowie, i w dwóch godzinach pochłonął większą połowę miasteczka. Przeszło tysiąc ludzi straciło całe swoje mienie; nieszczęśliwi pogorzelcy błąkali się głodni, obdarci, bez przytułku. Poczciwy pleban sobie ujmował, aby tych biedaków nakarmić, ale to nie wystarczało. Szczęściem posiadał od Boga dar dziwnej łatwości wzruszania serc ludzkich. Rzucił się więc pomiędzy panów w okolicy mieszkających i jak zaczął przemawiać im do serca, tak wnet uzbierał tyle, ile potrzebował, i w rok po pożarze Kurów był już odbudowany. O! ileż to błogosławieństw odebrał wówczas od tych, których od ostatnej nędzy uratował!

Uporawszy się z odbudowaniem miasta, zabrał się do założenia szkoły w Kurowie. Że to była szkoła wzorowa, każdy się łatwo domyśli, ale bo też xiądz Grzegorz sam uczył w nowej szkole, lub przynajmniej pilnował nauki. Założenie szkoły było nowem dla Kurowa dobrodziejstwem, przez które xiądz Piramowicz pozyskał sobie niewygasłą wdzięczność w sercach swoich parafian.

W tem, jako jeden z najuczeńszych mężów w Polsce powołany został do Warszawy, gdzie właśnie zajmowano się poprawą i urządzeniem szkół w całym kraju. Do tej pracy zabrał się z zadziwiającą gorliwością i w krótkim czasie wielkich rzeczy dokonał, a to co dla poprawienia szkół uczynił, służy po dziś dzień za wzór tym, którzy urządzają szkoły. Napisał też kilka książek dla ludu, o których powiedzieć można, że są godne, aby je złotemi wydrukować literami, a mianowicie,

O powinnościach nauczyciela w szkołach parafialnych, Nauka obyczajowa dla ludu itd. Nadto umyślił napisać jeszcze xiążkę, któraby zawierała wszystko, co wieśniak nie mogący wielu xiążek posiadać, powinien wiedzieć i umieć — gdy w tem ostatni rozbiór Polski wytrącił pióro z tej czcigodnej ręki, a wielka praca ledwie rozpoczęta, dostała się na łup wrogom. Po xiędzu Piramowiczu nie znalazł się dotąd nikt, coby pomyślał o napisaniu tak ważnej xiążki jak ta niedokończona jego praca; w ostatnich dopiero czasach wspomniano o czemś podobnem, ale zapewnie na próżno.

Xiądz Piramowicz wróciwszy z Warszawy do Krakowa, był już siwym, zgarbionym staruszkiem, z podkopanem licznemi pracami zdrowiem. Pomimo tego zachował do ostatka nawet wśród cierpień świeżość umysłu i tę przyjemną wesołość, która go przez całe życie czyniła ludziom tak miłym. Niedługo potem książę Czartoryski ofiarował mu bardzo bogate probostwo w Międzyrzeczu, dokąd ze względu na liczna a ubogą rodzinę swoją, pojechał, chociaż żal mu było Kurowa, gdzie parafianie czcili i kochali go jak ojca. Wkrótce jednak po wyjeździe do Międzyrzecza zakończył życie pełne cnót i poświęcenia. Zwłoki jego odwieziono do Kurowa i pogrzebiono na cmentarzu parafialnym w miejscu, które sam wybrał sobie przed odjazdem, obok grobu matki swojej. *St. Kr. N.*

Co się w górach ukrywa.

(Dokończenie.)

Bogu dzięki! że złoto i srebro pomimo swej piękności i użytku nie jest przecież nieodbicie potrzebne. Żelazo zaś przeciwnie, bez którego prawie nikt obejść się nie może, we wszystkich prawie przez ludzi zamieszkałych okolicach w niewyczerpanej ilości znajduje się w różnych kamieniach i rudzie żelaznej. Obecnie na całej naszej ziemi do 200 milionów cetnarów żelaza corocznie otrzymują, a każdy mężczyzna ma przynajmniej nóż, a każda kobieta igłę i nożyczki. Nóż to

wielkiej wagi narzędzie, w ręku robotnika do jego zamiarów stosownego, rozliczne przybiera kształty. Z noża powstaje miecz do obrony przed dzikim zwierzem lub naszymi nieprzyjaciołmi; zagina się on także na sierp, kosę lub nóż ogrodniczy; we dwa trzonki oprawny służy w ręku bednarza, stelmacha i gonciarza do strugania; w kształcie dłuta wielce użyteczny tokarzowi. Nóż stosownie w narząd oprawiony, rznie sieczkę, lub jest szatkownicą lub hyblem dla stolarza; nóż szerszy i grubszy na trzonie umocowany, staje się toporem dla rzeźnika, siekierą dla cieśli, a w małej wytworniejszej postaci staje się scyzorykiem, brzytwą, lub lancetem dla lekarza, który nim często życie nam ocala.

Igła mało co w mniejszych okazuje się postaciach, a rozliczne sprawia nam usługi, jako igła do szycia, drut, szydło, wędka, gwóźdź, oścień, świder, rożen, włócznia i t. p., bo któż wyliczy i wypowie nazwy wszystkich narzędzi i sprzętów wyrabianych z żelaza i stali, które w ręku robotników do wykonania najważniejszych wyrobów służą. O młocie, rydlu, motyce i pługu nieskończenie wiele dałoby się powiedzieć. Czyliż górnik bez żelaznych narzędzi mógłby się we wnętrze gór tak głęboko zapuszczać? Czyliż żeglarz zdołałby wypłynąć na otwarte morze bez kawałeczka stali, igły magnesowej, która w czasie mgieł i ciemności najbezpieczniej do celu go prowadzi? Mogliżbyśmy w jednej godzinie 4 do 6 mil przenosić się z jednego miejsca na drugie, i przez 24 godzin tyle odbyć drogi, że pieszy wędrowiec zaledwie by ją w miesiąc uskutecznił? Żelazo tylko użyte do kolei żelaznej, rozwiązuje to pytanie. A kto o sta mil po różnych krajach wiadomości w niewielu chwilach roznosi? Drut żelazny na telegrafie. Zaiste, żelazo to dobro nasze nieoszacowane, tak je też wysoko oceniać i uszanować powinniśmy, żeby go nigdy nie nadużywać na stal morderczą i złodziejskie wytrychy!

Złoto, srebro i żelazo z tak uciążliwą pracą z wnętrza ziemi wydobywane, nie są jedynemi naszemi skarbami; należą tu jeszcze: miedź, ołów, cyna, cynk, żywe srebro, platyna i inne metale, także drogie kamienie, i pospolite nawet, ale

wielkiego użytku, a różne rodzaje ziemi. Każde z tych ciał ma pewne dobre własności, z których przemysł korzystać nie omieszkał. Miedź jest dosyć miłej czerwonej barwy, można z nią inne metale farbować, np. cynk, na piękny żółty kolor. Miedź także rdzewieje, ale powleka się tylko cienką warstwą grynszpanu, który wnętrze tego metalu ubezpiecza, rdza zaś przeciwnie na wskróś żelazo rozgryza. Cyna jest czystym metalem, nie rdzewieje, jako tańsza od złota, używaną bywa do pobielania żelaza i miedzi. Cynk co do koloru i innych własności do cyny podobny. Ołów cięższy od żelaza, cyny, cynku, miedzi, a nawet od srebra, używany bywa na kule strzelnicze, bo łatwiej powietrze przenika i dalej leci. Żywe srebro łatwo się łączy z cyną i wtedy na taflę szklanną nałożone, służy nam za źwierciadło. Platyna najcięższa ze wszystkich metalów, jak złoto nie ulega zniszczeniu i z wielką trudnością daje się topić w ogniu; są to jej bardzo szacowne własności; ale że jest rzadka; dla tego droga, a jej użycie ograniczone.

Wspomniemy tu jeszcze o ciężkości będącej szczególniejszą własnością metalów, odróżniającą je od większej części ciał innych. Lód cokolwiek lżejszy od wody, bo w niej pływa. Wystawmy sobie sześcian (kostka o sześciu równych ścianach) na stopę wiedeńską wysoki, szeroki i gruby, albo dla dokładniejszego rachunku stopę sześcienną wody, której ciężar wynosi 36 funtów wiedeńskich. Weźmy teraz z najznaczniejszych metalów jedną stopę sześcienną i porównajmy ją z takąż objętością wody, a wtedy okaże się, że:

Stopa sześcienna wody waży			36	funt.
„	„	żelaza, cynku lub cyny 7 razy więcej czyli	392	„
„	„	miedzi, 8 razy więcej jak wody „	448	„
„	„	srebra 10 razy więcej „ „ „	560	„
„	„	ołowiu 11 razy więcej „ „ „	616	„
„	„	żywego srebra 13 razy więcej „	728	„
„	„	złota 19 razy więcej czyli	1064	„
„	„	platyny 21 razy „ „	1176	„

Kiedy człowiek stopę sześcienną lodu nie ważącą całych 56 funtów z łatwością podniesie, to do przeniesienia takiej sześciennej stopy złota lub platyny, potrzeba konia i wozu. Stopa sześcienna kosztuje około dwanaście tysięcy, a taki sam sześcian złota sześć set ośmdziesiąt tysięcy złotych.

Nieco o zwierzętach pożytecznych w ogóle, a o krecie w szczególności.

Przez Dr. E. Janotę.

(Ciąg dalszy.)

IV. O tem wszystkiem wiedziećby powinni gospodarze wiejscy, rolnicy i ogrodnicy, leśniczowie i leśni. Ale niestety najczęściej jedni i drudzy nic o tem wszystkiem nie wiedzą, ani się starają, aby co wiedzieć, a gdy czasem usłyszą jakie słówko rozumniejsze, przecież milsza im zwykle własna niewiadomość, przesąd i zabobon własny, z któremi wzrośli, aniżeli światła przestroga obca.. Mało też takich, coby lud w tych rzeczach umieli i chcieli oświecać.

Żal i słuszny gniew zbiera każdego miłośnika przyrody i ziemi własnej, gdy widzi nietylko rozbuchane chłopczyska, ale dorosłych ludzi, murarzy, cieśli i t. p., wykręcających ptaszętom gniazda, znęcających się nad młodemi, wybranemi z gniazd, lub jak męczą jeże, krety, niedoperze i inne zwierzęta. Cóż powiedzieć, gdy na wrotach dworskich zobaczy się rozkrzyżowaną wronę lub niedoperza, a w ogrodzie dworskim krety porozwieszane po drzewach za ogonki? lub widząc strzelających w lot jaskółki?

Najdrapieżniejsze zwierzę, gdy morduje i pożera inne, czyni to z konieczną potrzeby, a bardzo mało jest takich, coby się znęcały nad ofiarą swoją, jak n. p. kot. Człowiek tylko znajduje rozkosz w dręczeniu, jak bliźniego swego, tak zwierzęcia, które nie może mu się obronić, i nieraz z prawdziwie szatańską przyjemnością lub przynajmniej obojętnością patrzy, jak takowe powoli ginie wśród mąk, które on mu sprawia. Nie ma także zwierzęcia, któreby wszystko bez różnicy około siebie niszczyło. To czyni tylko człowiek. I czy takiem postępowaniem cześć oddajemy Bogu? Toż złodziej, podpalacz i każdy jakibądź psotnik teżby oddawał cześć temu, któremu wyrządził psotę, którego okradł lub spalił. Kto lekkomyślnie albo zgoła złośliwie męczy, dręczy i niszczy stworzenie boże, ten podobny jest do komornika, niszczącego własność tego, u którego siedzi komorą. Myśmy komornikami bożymi, na nieszczęście zazwyczaj wcale nie bardzo dobrymi.

V. Do zwierząt najniesłuszniej prześladowanych i wytępianych, a przecież nader pożytecznych, należą obok bardzo wielu innych niedoperze, jeże, krety.

Pomówmy nieco bliżej o krecie.

Bardzo wiele szkodliwego robactwa żyje w ziemi. Żywi się ono korzonkami wszelakich roślin. Podgryzając rośliny, szkodzi im, a tem samem ludziom i zwierzętom pożytecznym, dla których te rośliny są pożywieniem. Z takich szkodników wspomnę tutaj dwóch tylko, pędraka i podjadka, którego lud miejscami niedźwiadkiem zowie, ale fałszywie, bo niedźwiadek całkiem inne zwierzę. U nas nie ma go; żyje on w krajach cieplejszych. Niedźwiadek jest zwierzęciem jadowitem, nieco podobnem do raka. Podjadek nie jest wcale jadowitym i bezpiecznie brać go można do ręki: ale w polach, łąkach i ogrodach wyrządza on nieraz znaczne szkody podgryzaniem korzeni.

Jeszcze gorszym, bo liczniejszym jest pędrak. Przy orce na wiosnę i w jesieni wyorywują go nieraz w wielkiej ilości, a wrony, sroki, kawki, szpaki (na wiosnę) i inne ptaki, chodząc za pługiem, zbierają i zjadają go. Za co należy się im wdzięczność. Dla przekonania, jak szkodliwym jest pędrak, przytoczę przynajmniej jeden przykład. W Prusiech około miasta zwanego Potsdam w r. 1856 na murawniku zajmującym około 2 morgów wyschła nagle trawa. Zepsuty trawnik musiano zaorać. Przy orce pokazało się atoli, że przyczyną uschnięcia trawy były pędraki. Kazano je zbierać. I otóż uzbierano ich ni mniej, ni więcej, jeno $10^1/_2$ korca. I zkądże się tam wzięło tyle tego robactwa? Ztąd, że wyłapano krety, wystrzelano wrony, kawki i szpaki. A u nas czy lepiej robią?

Wszelkie robactwo znajdujące się w ziemi zjada kret i tym sposobem staje się on bardzo pożytecznym. Zje on na dobę przynajmniej tyle, ile sam waży. W roku czyni to około 40 funtów robactwa. Tak ogromną ilość robactwa ocala ten, kto jednego tylko zabija kreta. Pożyteczność kreta okazuje się tem większą, że jest bardzo żarłocznym. Głodu nie zniesie on nad 12 godzin. Więc też w niewoli trudno go trzymać, bo go trzeba karmić bezustannie, a trzyma się go w skrzyni napełnionej wilgotnawą ziemią. Prócz owadów zjada kret także żaby, jaszczurki, padalce, myszy, ryjówki i inne małe zwierzątka, które mu się jeno w norze nawiną. Ropuch nie chce. Rośliny żadnej ani się nie tknie i prędzej z głodu umrze, nimby jadł coś roślinnego, zupełnie tak samo, jak człowiek nie może jeść słomy i żyć nią.

Nie jedząc roślin, czemże im kret ma szkodzić? Sypaniem kretowin, rzeknie niejeden, u którego cały rozum na końcu języka. Nasamprzód niechaj ci mądrzy ludzie wiedzą, że jeszcze nikt nie najadł się z próżnej miski. Więc skoro kret gdzie naryje, toż to niezawodny znak, że tam

wiele robactwa w ziemi. I ciekawa rzecz, kto je tam sprzątać będzie, jeżeli nie damy pokoju kretowi. Wprawdzie nie ładnie na trawniku z kretowinami, a na łące, gdy obrosną, przeszkadzają przy koszeniu. Ale za tem nie idzie. aby zabijać kreta, owszem to, że nie należy być leniwym, ale należy rozgrabić kretowiny, dopóki są świeże. Wonczas potrafi to każde dziecko, a ziemia miałka, wyryta przez kreta, uprawi to miejsce, po którem ją rozgrabiono, i trawa na niem będzie bujniejsza. Nory krecie nic nie szkodzą, owszem są nawet pożyteczne, bo powietrze, ciepło i woda z deszczu dostaje się niemi pod ziemię, co dla roślin jest rzeczą pożyteczną, a nie szkodliwą. Niekiedy zajmują nory krecie trzmiele i ryjówki. Jedne i drugie zwierzęta pożyteczne. Trzmiele mianowicie, oblatując wraz z pszczołami koniczynę, gdy kwitnie, i wysysając z niej słodycz, rozwłóczą po nóżkach pyłeczek kwiatowy i przyczyniają się tym sposobem do tego, że się nasienie obficiej nawiąże.

Zresztą blizko powierzchni ziemi kret nie lubi ryć. Czynią to norniki. Są to zwierzątka do myszy bardzo podobne. Więc kowal zawinił a ślusarza wieszają. Z umysłu szkody kret nie robi; to jest wyłącznem przywilejem człowieka robić szkodę jeden drugiemu, częstokroć z wielkim przemysłem i złośliwością. Jeżeli zaś kret, usypawszy w ogrodzie kretowinę, zasypie jaką roślinkę, toć naprzód zastanowićby się godziło, co jest rozumniej i lepiej, zabić kreta i ocalić tym sposobem całe roje robactwa podziemnego, które pożerać i niszczyć będą daleko więcej roślin, aniżeliby ich sypaniem kretowin zniszczyć potrafił kret, czy też ponieść tę małą szkodę, dać kretowi spokój, a za to być pewnym, że on wszelkie posprząta robactwo podziemne, któreby daleko większe zrządzało szkody, gdyby się swobodnie mogło rozmnażać? Rzecz ma się tutaj zupełnie tak, jak gdyby kto powie dział: Nie będę się czesał, bo przytem można sobie wydrzeć kilka włosów. Więc cóż jest lepszem, czesać się i mieć głowę czystą, ale wydrzeć sobie przy czesaniu tedy i owdy włos, czy też nie czesać się, aby sobie żadnego włosa nie wydrzeć, ale za to mieć głowę nieczystą? Zresztą czy przy pieleniu, okopywaniu i podobnych robotach nie wydrze się tu i ówdzie jedna lub druga roślina? A przecież dlatego nikt tych robót nie poprzestaje. Gdyby zaś kret nie koniecznie nie podobał się komu w ogrodzie, to nic łatwiejszego, jak wypłoszyć go ztamtąd bez zabijania go. Dosyć włożyć do nory jakibądź przedmiot mocnej a odrażającej woni, a kret z pewnością opuści to miejsce. Takiemi rzeczami są głowy z śledzi, martwa zepsuta ryba lub rak martwy, zepsuta kwaśna kapusta, dziegieć, nafta, zmięta kora czarnego bzu lub pomięte gałązki czeremchy czyli kocierpki. Niektórzy radzili nabić do nór krecich potłuczonego szkła, aby kret pokaleczył sobie ryjek i przednie łapki. Jest to bezecna rada, bo kret pokaleczywszy się ginąć musi. (D. c. n)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 17

11. grudnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Majster i czeladnik.

Powiastka przez Waw. Cz.

(Dokończenie.)

Że nowo odnowiony dom Buckiego stoi naprzeciw szynkowni pod smokiem, o tem przecie wie każde dziecko. Zbliżając się do miejsca zamierzonego, usłyszał Karol coraz to głośniejsze śmiechy, wrzawę, okrzyki wesołe swoich towarzyszy, wychodzące z kręgielni. Na odgłos tej radosnej swoich znajomych zabawy, zapomniał jakoś o celu swojej przechadzki i zbliżył się pod samą wiechę, pięknemi powiewającą wstęgami; zdjęty nieprzepartą ciekawością zobaczenia, co się tam dzieje, pomyślał sobie: Przecież przypatrzeć się tej dziarskiej drużynie, nie będzie nic złego; stanę sobie na uboczu i do niczego się nie wmięszam. W tem gdy wchodził do kręgielni, jeden z czeladzi tak niezręcznie potoczył kulą że ani jednego nie strącił kręgla.

— A to niezgraba! — zawołał Karol.

— Mój ty kunsztmistrzu, spróbuj czy lepiej potrafisz.

— O, pokażę ci co umiem — odpowie nasz bednarz. Zapłacił wstawkę, wziął kulę do ręki i celował. Piękny to był młodzieniec ten nasz Karol, gdy wprawnem okiem przemierzył odległość i ocenił siłę rzutu, żeby celu nie chybił.... Zadrżała posada pod silnym rzutem kuli i.. król zwalony! Ten rzut mistrzowski wywołał powszechny okrzyk uwielbienia. Z uśmiechem spojrzał Karol na swego przeciwnika i rzekł:

— Patrz niezgrabo, co kunsztmistrz umie!

— Pij bracie — rozochocony zawołał jeden z towarzyszów, podając mu szklankę piwa. Karol przyjął wezwanie, ale nie chciał przyjąć poczęstowania, bez wywiązania się wzajemnością. Kazał i on po kilka razy zastawiać flasze. Zacięcie grzmiały, toczyły się kule, a kurz wszystkich zmęczonych okrywał. Po niejakim czasie, nagle odezwał się głos: Dalej przyjaciele! oto wyborne przekąski i doskonała anyżówka; dziś jest nasze, pijmy i cieszmy się wspólnie, bo długie dni tygodnia przykują nas do pracy bez wytchnienia, niech żyje przyjacielska swoboda! Szła kolej szybko, wesoło, hulaszczo; rozochocony, rozmarzony Karol nie był już tak szczęśliwy i trafny w rzucie kuli, nie strącił więcej króla, ale za to pił wiele i częstował hojnie.

W powrocie do domu, bezprzytomny, nie mogąc się utrzymać na nogach, wpadł w rów i tam zasnął. Nie był to już ów Karol, przystojny młodzieniec, ale obrzydły, ohydny pijanica, z szklannemi oczyma, bełkoczącym językiem w powalanych w prochu sukniach. I pieniędzy z sobą wziętych, tak nowo wybitych, ani śladu nie było; została część w kręgielni, reszta przeszła przez gardło, pulares nawet gdzieś wyronił... Zupełnie nie wiedział, jakim sposobem dostał się do łóżka, a gdy rano zaledwie ołowiane powieki otworzył, żal, wstyd, boleść niewysłowiona ogarnęły jego duszę, jakich dotąd nie doznał. Upamiętał się jednak i poszedł do roboty. Kiedy około kościoła przechodził, spojrzał w okno otwarte na obraz św. Jerzego, i wyznał przed sobą upokorzony, że on swego szatana poskromić nie zdołał.

W godzinie na odpoczynek przeznaczonej, położył się pod gruszą w podwórzu. Przechodzący wtedy majster rzecze:

— Dosypiasz resztę po wesołej zabawie, Karolu, jak widzę, różne stacye wybierasz sobie na wypoczynek.

— O panie majster — z rozżaleniem odpowie czeladnik — wy żartujecie sobie ze mnie, o gdybyście wiedzieli, jaki żal mię udręcza, że dzień wczorajszy tak haniebnie przeminął. O prawdziwie nie wiem jak się to stało, że pomimo mojego postanowienia, pomimo ciągłej na siebie pamięci, tak nisko upadłem!

— Ja ci to powiem, wczoraj rano zbyt sobie zaufałeś, zbyt byłeś pewny siebie i zaraz wpadłeś w płomień, i opaliłeś sobie skrzydła.

— Nie chciałem tego, ale...

— Ty nie, temu ja wierzę; ale człowiek w tobie będący, o którym już św. Apostoł Paweł wspomina — on to skusił cię do obejrzenia nowego domu, on to zręcznie włożył ci pieniądze do kieszeni, a oczy twoje zwrócił na smoka i wepchnął cię do kręgielni. Tak to pokusa, której się nie oparłeś, uwiodła cię, zbłąkała twój rozum i wreszcie pozbawiwszy cię pieniędzy i przytomności, w rów na spoczynek wepchnęła.

— Nie podobna mi być panem siebie; wszystko mi obmierzło — rzekł zrażony młody człowiek.

— Posłuchaj Karolu — mówił dalej po ojcowsku życzliwy przyjaciel, a gdyby też kto w te słowa do ciebie się odezwał: „jeśli wpadniesz w jakąkolwiek biedę, z którejbyś się nie mógł wydostać, to przyjdź do mnie; a kto tylko krzywem spojrzy na cię okiem, ten ze mną będzie miał do czynienia.“ Cóżbyś ty wtedy uczynił?

— Takiego nie ma na świecie — odparł Karol stanowczo prawie.

— Na świecie może nie, ale w niebie jest pewnie. Ponieważ sami słabem jesteśmy stworzeniem, i sami przez się niczego dokonać nie możemy, jak się wczoraj sam na sobie przekonałeś, to On, Syn Boski przyjdzie nam na pomoc, jeźli go szczerze

wezwiemy, i wybawi nas z pod przemocy złego, w które nas nasze grzechy wtrąciły.

— O moja matko! — zawołał rozpłakany młodzieniec — twoje to słowa ostatnie, nim ci sen wieczny zamknął powieki — ja syn twój niewdzięczny, obłąkany, zapomniałem o twoich przestrogach!... O panie majstrze, ja niegodny żyć na świecie...

— Ale godny u Boga, kochany Karolu — odezwał się znowu majster, obcierając szorstką ręką łzą zroszone oczy. Wszakże i dla twego dobra przyszedł Chrystus na ten świat, i przed twojem sercem stoi on z miłością: wpuść go do niego, żeby Jego życie stało się twojem życiem, a Jego siła twą siłą. Ciebie i twoich postanowień szatan się nie lęka, zna on je dobrze, i to od dawna... Ale przed tym, który mu głowę na Golgocie rozdeptał, pewnie ucieczе. Myśl o matce, ona teraz błogiego pokoju w niebie doznaje... staraj się, żebyś i ty wiecznej szczęśliwości dostąpił. Dopełniaj święcie przykazań Pańskich, módl się z prawdziwą skruchą i szczerem sercem, a pokusa nie weźmie nad tobą przewagi!

Tą razą nic Karol nie przyrzekał. Siedział w milczeniu, zadumany, jakby niewidoma ręka uchyliła zasłonę z przed jego błogich lat dziecinnych. Poczciwa matka, złote ziarna w duszy swojego syna zasiała; w proch się wprawdzie rozsypała ta ręka, ale zasiew silne zapuścił korzenie i wzniósł się bujnie na dobrze pokutą zaoranym gruncie. Wydobył on w wolnej chwili pozostałe po rodzicach książki; były to pierwsze tomy „Dzwonka“ i nieocenione dzieła xiędza Antoniewicza dla ludu pisane, które czytając zwłaszcza w dni świąteczne, na każdej karcie widział rękę matki, a wtedy mu się zdawało, że jego dusza w niewysłowionem utęsknieniu wznosi się ku niebu i wyswobadza z więzów, jakiemi ją pociąg do pijaństwa opętał... A ty błogosławiona matko, jakąż zapewne napawałaś się rozkoszą, widząc niebieskiej wysokości, że twojemi nauki uratowałaś syna od zguby!

Od tej chwili Karol zerwał wszelkie ze swymi towarzyszami stosunki; z majstrem zaś swoim wtedy tylko rozmawiał, gdy tego konieczna wymagała potrzeba. Tak więc nasz

młodzieniec często w samotności czas wolniejszy od pracy na czytaniu przepędzał i nieraz zabolał, że nikt mu z jego nie pozostał rodziny. Po niejakim jednak czasie i kilkakrotnem przeczytaniu swych książek, na długo i leniwo wlokącą się niedziele, pragnął wynaleźć sobie jakie zatrudnienie, do ukształcenia swego umysłu służące. W tym celu radził się swego majstra, który mu polecił udać się do proboszcza z prożbą o pozwolenie książek stosownych do czytania i do nauczyciela miejscowego dla wprawienia się w pisaniu. I tak się stało. Pod zimę nasz młody przyjaciel najżywszej doznał radości, Kiedy mu pan majster niespodzianie ofiarował w swoim domu mieszkanie. Z radością przeniósł swoje rzeczy i pierwszy raz po wielu latach, uczuł znowu tę rozkosz, jakiej nam użycza jeżeli nie dom rodzicielski, to przynajmniej pożycie z przychylną sobie rodziną. Jakże mu po skończonej pracy mile płynęły wieczory na użytecznem czytaniu głośno, w gronie uprzejmego gospodarstwa i słuchaniu uwag pełnych zdrowego rozsądku, majstra, który bogaty plon zebrał wiadomości w długich wędrówkach, i doświadczenia w pożyciu z ludźmi.

Dwa lata prędko ubiegły Karolowi w tak miłem dla siebie towarzystwie. Ale majster zapadał na zdrowiu; słabość piersiowa niweczyła jego wątłe siły; z trudnością mógł podołać pracy. Wtedy Karol chętnie wypłacał się wdzięcznością. Podwójnie pracował, bo wyręczając majstra w całem jego zajęciu w warsztacie, na wszystko baczne zwracał oko, przestrzegając największego w robocie porządku i dokładności. Smutek tylko od niejakiego czasu udręczał Karola widocznie, stał się skrytym, w sobie zamkniętym i unikał towarzystwa z przybraną rodziną. Przychodzlł do majstra jedynie, gdy ten sam był u siebie, po zlecenie, lub dla zdania sprawy z ukończonyh robót. Majster patrzył na niego z jakiemś tajemnem przeczuciem, ale do bliższego porozumienia się nie przyszło.

Stan zdrowia poczciwego rzemieślnika cokolwiek się polepszył: niekiedy pomimo krótkiego oddechu i kaszlu, zajmował się on choć lżejszą robotą. Jednej soboty wszedł Karol

do izby majstra z spuszczonemi oczami, przystąpił do niego i rzekł nieśmiało:

— Panie majstrze, ja muszę się ztąd oddalić i gdzieindziej starać się o robotę.

— Karolu! — zawołał zdziwiony majster — mógłżebyś to uczynić? Czyliż nie wiesz czem teraz jesteś dla mnie?

Boleśnie zadrgnęły usta młodzieńcowi, zaledwie wymówić zdołał: „Muszę.“

— A czy mogę wiedzieć dla czego się chcesz oddalić? — Tak się zmieniłeś od niejakiego czasu, miałżebyś znowu wrócić do dawnego nałogu? — zapytał się majster z widoczną obawą.

— Bóg mi świadkiem, że od owej nieszczęsnej niedzieli, żadnego odtąd trunku w ustach nie miałem, święcie upewniał zapytany i szczerze patrzył w oczy majstrowi; ale w rysach jego twarzy tyle było smutku i cierpienia, że majster zdjęty litością, położył rękę na jego ramieniu i z rodzicielskiem uczuciem rzekł:

— Karolu! musisz mi wyznać, co cię udręcza; nikogo przecież nie masz na świecie, ktoby cię bardziej kochał odemnie... Choćbyś był i moim synem, tobym nie miał większego do ciebie przywiązania.

Wtedy pękły lody zupełnie; rzucił się w objęcia tak życzliwego z ojcowskiem sercem przyjaciela i wyznał mu skłonność swoją ku jego córce jedynaczce.

Gdy wyszedł z izby młodzieniec, błyszczały mu oczy jak gwiazdy; bo majster obudził w nim nadzieję, która jak różowa jutrzenka świetną jasnością w duszy jego zabłysła.

Pobożny mąż z błogosławieństwem rodzicielskiem połączył ręce swych dzieci i cieszył się z szczęśliwego ich skojarzenia — ale niedługo potem zamienił on życie doczesne za szczęśliwość wieczystą, jako nagrodę dla pobożnych i poczciwych ludzi przeznaczoną; pamięć wszakże jego żyje dotąd bez przerwy w pomyślności młodego małżeństwa.

Sierota.

Biedna, biedna ja zazula,
Odumarła mnie matula,
Ojczym wygnał poza wrota —
Biedna, biedna ja sierota.

Jam samotna tu na ziemi —
Ni radować się z innemi,
Ni do łanów mnie ochota,
Biedna, biedna ja sierota.

Krąży sokół pod halami,
Ja nieszczęsna tu na dole,
Zimne głazy zmywam łzami —
Weź mnie z sobą, weź sokole.

Wzbij się ze mną tam do góry,
Ponad turnie, ponad chmury,
Ztamtąd bliżej do matuli,
Co sieroty płacz utuli.

Szumią lasy, szumią zdroje,
I świegoczą ptasząt krocie,
Marne żale, smutki moje,
Nikt nie otrze łez sierocie.

Odumarła mnie matula,
Ojczym wygnał poza wrota,
Biedna, biedna ja sierota,
Biedna, biedna ja zazula.

***

Ptactwo domowe.

Przeszło 7 tysięcy jest rodzajów przeróżnych ptaków, a jednak bardzo mała ich liczba jest człowiekowi w domowem jego gospodarstwie przydatna, bo tylko kura, gęś, kaczka, indyk i gołąb.

Po krowie kura najużyteczniejszem jest domowem zwierzęciem. Gdyby gospodyni dwoje zwierząt miała do wyboru, pewnie bez długiego namysłu wybrałaby krowę i kurę; pierwszą dla mleka, a drugą dla jaj; bez nich bowiem kuchnia byłaby wcale niepocieszna. Wszelkie nasze pokarmy prócz mięsa, składają się zwykle z mąki, mleka i jaj. Tłuszcz, mleko i jaja służą do zaprawy wszelkich zup, potraw i ciast. Jak mlekiem, tak podobnie można żyć samemi jajami. Jajo kurze w skorupie wapiennej, wewnątrz dwoma delikatnemi błonkami wysłanej, w pięknej formie baryłeczki, składa się z białka i żółtka. Obydwa te ciała te same zawierają w sobie składowe pierwiastki, co i mleko; więcej tylko jest w niem wody, jajo zaś można uważać za zgęszczone mleko. Treść

jaja jest także bardzo podobna do żytniej mąki, również do pszenicy, ryżu, owoców strączkowych, bobu, grochu, soczewicy, dlatego jednem i drugiem życie nasze utrzymać możemy. I żółtko także składa się z pierwiastków białka, z tłuszczu, soli i barwnika; jajo więc zawiera w sobie wszystkie pierwiastki do wyżywienia i utrzymania życia służące, łatwo więc pojmujemy, jak przy takiej strawie cały ptak z krwią i mięsem i kościami, a u kur, gęsi i kaczek z puszkiem nawet w skorupie jaja ukształcić się może. Żółtko cudownym sposobem zamienia się w ptaka, który gotowy zupełnie, rozbija skorupę, i jak to na pisklęciu kuropatwy widzimy, zaraz sobie na zagonie szuka pożywienia.

Dopiero co wylęgłe kurczęta, gąsięta, kaczęta, karmi gospodyni przez kilka dni gotowanem i drobno usiekanem żółtkiem, a potem siekanemi trawami i ziołami, młodą pokrzywą, potem ziarnem zbożowem, przyczem młody drób' na radość swej opiekunki pomyślnie podrasta i razem z swojemi matkami szuka sobie pożywienia. Kury żywią się pospolicie tem, co schodzi ze stołu, i wszystkiem, co tylko drobnego znajdzie w domu, stajni, stodole, na podwórzu, w ogrodzie, po wszystkich kątach, a nawet i na gnoisku. Przy żłobie konia, który grubemi wargami owies rozpryskuje, zawsze i kura pożywić się może; przy karmi bydła i owiec, wypadłe ziarnka z siana, zbiera starannie kura i wszystko spożyte zamienia w mięso i jaja. Widoczny przykład oszczędności widzimy w tej naszej służebnicy, która skrzętnie wszelkie zbierając odrobiny, najmniejszą okruszynę w pożytek obraca, i dlatego to kura jest ulubieńcem gospodyni. Zapytajcie się jej tylko, jakiej przyjemności doznaje, kiedy szukając jaj, znajduje ich pełne gniazdo. Zdarza się niekiedy, że kura jakby się chciała podrażnić z swoją panią, nie na zwyczajnem miejscu znosi jaja, ale się kryje z niemi. Gospodyni gniewa się i łaje kurę że darmo pokarm zajada; w tem przypadkiem w zimie cały tuzin jaj w gnieździe znajduje; to ukrywanie kończy się miłą niespodzianką i pojednaniem z garstką pszenicy.

Dobra kura rocznie do 150 jaj, i z kilkunastu często tyleż kurcząteк wysiada, które w niewielu tygodniach przy wygodzie, na młódki wyrastają. Tego żaden ptak nie dokona, dlatego kura zasługuje na pierwszeństwo przed pięknym łabędziem i pysznym z swych ozdób pawiem, i więcej warta, niż nawet ptak rajski. Te i tysiące innych ptaków podziwiamy dla pięknego ich upierzenia i osobliwości, ale rzadko poczytują je za godne żywienia i odmawiają im zaszczytnego imienia, jakie domowa kura otrzymała.

W gospodarstwie wiejskiem, z pomiędzy zwierząt domowych, krowa stoi na czele, a po niej koza, a wreszcie i owca, darząca nas mlekiem i wełną, i ptastwo na podwórzu podobnie jest uporządkowane; na pierwszem miejscu ukazuje się kura, potem gęś, kaczka, indyk i gołąb wedle użytku jaki w gospodarstwie przynoszą. Jeżeli owca dostarcza nam wełny i mięsa, to corocznie mamy od gęsi pierze, wielkiego w domu użytku, a młode gęsi i kaczki są dobre do jedzenia. Ale nie wszędzie można chować gęsi i kaczki, bo one potrzebują wody; stawu, rzeki, strumyki, które nie wszędzie się znajdują, i trudno je mieć w pobliżu. Łagodny gołąb, jak mówią, bez żółci, z owcą w tym względzie porównać się daje; on to wraz z kurą ulubionym jest ptakiem gospodyń i on dopełnia ich zajęcia domowe. Gołąb tak jak kura skrzętnie zbiera wszelkie okruszyny, wylatuje na drogi, dzióbie co znajdzie i na roli zasianej nieprzykryte broną ziarno pożywa i w ogrodzie bez uszkodzenia grzęd kwiatowych i jarzynnych wyszukuje leżących ziarnek, i dla tego mało potrzebuje karmi. Życie ich rodzinne, przywiązanie, z jakiem pielęgnują swe młode, wzrusza, i jedna im niewiast życzliwość.

Jakże to pysznym, dumnym, samolubnym jest kogut ptakiem w porównaniu z gołębiem Nie wiele się on troszczy o kury i kurczęta, a od posypanej na pokarm pszenicy, często odpędza swe towarzyszki i kurczęta, dopóki się sam pierwej nie nasyci. Po całych dniach pieje i krzyki wyprawia, jakby to on miał co do rozkazywania, w nocy nawet duma jego nie daje mu spoczynku; budzi domowników i niecierpliwie wywo-

łuje słońce, aby swój purpurowy grzebień i świetnie jaśniejącą szatę chełpliwie na widok wystawił. Jakby z zegarem i stanem powietrza był obeznany, wywołuje godziny po północy daleko pewniej, niżeli stróż nocny, i przepowiada deszcz i pogodę; z przyczyny tych wiadomości, mniej zważają na jego dumne zachowanie się, ale te jego zasługi pewnieby lepiej były ocenione, gdyby tylko sobą nie tyle wrzawy wyrabiał. I pająk także umie poznać przyszły stan powietrza, i jeżeli ma być pogoda, wtedy siada na sieci i czatuje na komary i muchy, w pogodnym dniu wesoło bujające; na niepogodę zaś chroni się do swojej zagródki.

Ptaki w ogólności są niespokojnemi, dziwacznemi domownikami, i trudno utrzymać je w karności i porządku. Prawdziwie dziwić się potrzeba przemysłowi ludzi, jakim sposobem udało się im przynęcić do siebie zwierzęta, i zrobić je sobie podległemi, które w każdej chwili ulecieć mogą w oczach swego pana? Daleko łatwiej ujarzmić bydlę lub konie, te bowiem lubo mocniejsze, to przynajmniej bat, bicz, sznur, łańcuch i t. p. są pomocne do obłaskawienia i oswojenia dzikiego zwierzęcia; ale na ptaka niepodobna użyć tych narzędzi, nie pomoże surowość i przemoc, tylko łagodność i roztropność. Te zaś przymioty szczególniej kobietom są właściwe, i dlatego ptastwo domowe ma w zarządzie niewiasta. Zobaczmy z jaką zręcznością bierze się ona do podbicia pod swoją władzę tego skrzydlatego ludu Oto wchodzi na podwórze z pszenicą w zapasce. Zwołuje gromady dobrze znanym im wyrazem i rozsiewa po ziemi złote ziarna obficie. Teraz wszystko w ruchu, gwar ogólny powstaje: kury gdaczą, kurczęta piszczą, kaczki plaskają, gęsi gęgają, indyki łabidzą, i ze wszystkich stron jedne chwieją się w biegu, drugie drobniutkim krokiem pospieszają, te trzepoczą, lecąc, skrzydłami, tamte na wyścigi biegną za znanym im głosem. Gołębie gruchające wysoko na dachu, posłyszały swą panią i zlatują się niebawnie; niektóre siadają jej na ręku, na ramionach, na głowie i wtedy dopiero rozpoczyna się wesoła gawęda między ptastwem a gospodynią, jakby sobie coś nadzwyczajnego opowiadać miały i umawiać się

ważnych jakich sprawach; jak żeby nie dla strawy, ale na zabawę dla rozweselenia się wspólnego, zgromadzała się ochocza rzesza, na jedno tu miejsce. Przecież w pośród tej gwarnej pomiędzy sobą rozprawy, dzióbią z zajęciem, z zapałem, i w niespełna jednym kwandransie wypróżniła się pełna pszenicy zapaska. Tylko jeszcze garstkę grochu i okruszyn z chleba trzyma w ręku gospodyni dla najbardziej cisnących się kur i gołębi; te przymilają się swej pani, trzepoczą skrzydłami i łaszą się jak psy, dopóki nie odejdzie i znowu z pełnym fartuchem nie wróci.

Ta sztuka obłaskawienia naprowadza nas na niejedną uwagę. Rózga, bat, ostroga i kara, są istotnie dobrym, skutecznym środkiem w niektórych przypadkach; jednakże łagodne obchodzenie się, cuda zdziałać może.

Piękny przykład.

Uchwała gminy Witkowic przeciwko stypom.

Jeden z naszych zacnych pisarzy wspominając o biesiadach pogrzebowych, tak się wyraził: Zgodziłbym się na to, aby dzieci podawszy sobie bratnie ręce, pląsały w około świeżo usypanej mogiły, gdyżbym w tem widział bieg początku i końca; ale stypa, to nikczemne zaspokojenie głodu i pragnienia, to zwierzęce używanie życia w chwili, gdy wszystko jego znikomość przedstawia, jest poniżającym obrazem istoty rozumnej A przecież niestety, do dziś w warstwie niższej społeczeństwa, a głównie u ludu naszego nie obejdzie się bez stypy. Żona po zgonie męża z pozostałemi sierotami straciła wszystko na świecie i musi nieraz ciężką pracą na suchym kawałku chleba poprzestać z dziećmi. Tymczasem dla odprawienia stypy pogrzebowej, wydzierają jej pozostały dobytek, sprzedaje ostatnie bydlę, zastawia przyodziewę, gdyż hańbą jest nie uczcić pamięci zmarłego w karczmie. Zgroza przejmuje najzimniejsze serce, patrzeć, jak pijani krewni i przyjaciele obchodzą pamięć

zmarłego. Często najpoczciwsza żona, która opłakiwała męża, upojona przemocą, przyjmuje wdzięczących się do niej i tańczy, choć mogiła jeszcze nie zasypana; tu kumowie i bracia piją zdrowie nieboszczyka; często przy odgłosie sprowadzonego skrzypka odbywają się gorszące pląsy, przychodzi do krwawych bitek, a mieliśmy świeży przykład, że pobity na takiej stypie trzeciego dnia żyć przestał, a znowu na jego pogrzebie pito i tańczono. A przecież nie ma jednego pogrzebu bez stypy; nie ma niestety zapory ani wpływu, coby tę ohydę zniszczyła. Pierwsza dopiero gmina Witkowice w powiecie ropczyckim, za błogim wpływem proboszcza, xiędza Dutki, zacnego i prawdziwego ojca swej parafii, uchwaliła na posiedzeniu Rady w dniu 5. listopada b. r., że „potępiając w ogóle stypy pogrzebowe ze względu na obyczajność publiczną, każdego fundatora stypy i uczestników w miarę możności grzywną na fundusz ubogich karać będzie.“

Oby ta uchwała tej małej gminy powszechne uznanie i naśladownictwo znalazła. *(S.)*

Rady gospodarskie.

P r z e p o w i e d n i a z c i a ł n a n i e b i e. Słońce blade przy wschodzie, zacienione prawie, oznacza n i e p o g o d ę; podobnież gdy jego tarczę błękitnawa powłoka okrywa; gdy białawe wieńce pokazują się koło słońca, księżyca lub gwiazd, gdy gwiazdy słabo świecą choć nic widać obłoków. Jeżli zaś przy zachodzie słońce rzuca na obłoki ognisto-czerwone światło, będzie wiatr; a jeżli zachodzi za chmurę, będzie deszcz. Gdy w czasie pogody powstają tumany kurzu, pewna niepogoda. B u r z y można się spodziewać: 1. gdy wiatr często zmienia kierunek, lub kiedy żółte chmury otaczają słońce, albo kiedy czarne obłoki około słońca ciemno je zasłaniają; jedno lub dwa ciemne koła otaczające słońce, grożą gwałtowną burzą. Księżyc

gdy się wielki i czerwony lub żółty pokaże, oznacza wiatr. W lecie jasne rogi księżyca oznajmują pogodę, zacienione zaś, niepogodę. Gwiazdy nadzwyczaj błyszczące, jak gdyby się ruszały, są znakiem wielkiego wiatru; jeżeli są posępne, będzie deszcz.

Kurz ze lnu. Zacząwszy od klepania, aż do ostatniego wyczesania, wiele powstaje ze lnu kurzu bardzo na piersi szkodliwego, przed którym wieśniaczki nasze około lnu pracujące, chustkami sobie usta zawiązywać zwykły. Dobra to ostrożność, ale lepiej byłoby jeszcze wykonywać te roboty w miejscu przewiewnem, tak, iżby przeciągające powietrze kurz mogło unosić. Wreszcie robót tych nie należy wykonywać w porze bardzo suchej, a mianowicie czesania, ale raczej obierać do tego powietrze nieco chłodne, wilgotne, a wtedy mniej się włókna zepsuje i mniej robotnice na zdrowiu ucierpią. To się też zwykle robi w październiku i listopadzie.

Karaczan od ludu karaluchem, karakułem, karakanem i tarakanem zwany, jest na cal prawie długi, płaski, ciemnobrunatny, szybko biega, światła unika i w nocy za pożywieniem wychodzi; utrzymuje się w szparach kominów i pieców, w ścianach, pod podłogą i t. p. Samica znosi duże, w kształcie strączka jaja, w którem mieści się 16 jaj drobniejszych, ułożonych poprzecznie, z każdego wylęga się karaczan. Bardzo prędko rośnie; samce są skrzydlate, samice zaś mają tylko ślady skrzydeł i pokryw. Rozmnażają się nadzwyczaj licznie; żywią się chlebem, serem, leguminami i mięsiwem, a w niedostatku niszczą obuwie, materye wełniane, papiery i wszystko niweczą w pomieszkaniu, a szczególniej w kuchni, gdzie do naczyń z potrawami wpadają. Na ich wygubienie zalecają groch ugotowany, roztarty z wyskwarzoną słoniną, z dodaniem niemałej ilości merkuryuszu, poczem się to wszystko powtórnie rozciera i po różnych kątach mieszkania na wiórkach rozkłada; z przyczyny tej trucizny, ostrożność jest potrzebna. Zdychają także od kwiatu janowca farbiarskiego. Mnóstwo się ich także zgromadza do małej szmaty, w kącie położonej, z którą można

je wynieść i zabić. Najpewniejszy środek jest otworzenie drzwi i okien w czasie tęgiego mrozu, bo jako z ciepłych krajów pochodzące, najmniejszego zimna znieść nie mogą. Skuteczny także a łatwy jest na karaczany sposób: do babki wlewa się piwa i wrzuca trochę świeżej bułki posmarowanej miodem; żeby zaś łatwiej było wejść do tej ponęty, obwija się naczynie suchą chustą. Zupełną wreszcie jest nieprawdą, iż przed pogorzeniem domu, na trzy dni wprzódy go opuszczają, jak to lud gdzieniegdzie otrzymuje.

Nieco o zwierzętach pożytecznych w ogóle, a o krecie w szczególności.

Przez Dr. E. Janotę.

(Ciąg dalszy.)

Pomawiają niektórzy kreta, że dziurawi groble przy stawach i młynówkach i tym sposobem ułatwia wodzie przerywanie grobli. Dowodzi to wielkiego ograniczenia, przypisywać jakąbądź dziurę w ziemi i gdziebądź zrobioną kretowi. Nie głupi kret ryć tam, gdzie pełno kamieni, patyków i kołów, jak w grobli, a robaków mało. Ale jeżeli co robi dziury w groblach, to nornik wielki, zwany także szczurem wodnym, a niekiedy szczur wędrowny. Brzegów rzek, jezior i stawów kret nie lubi, i tutaj rzadko się go spotka; jeszcze rzadszym gościem jest on na brzegach morskich. Przeciwnie lubi on okolice połogie z miałką urodzajną ziemią, błonia, pola uprawne, ogrody, zarośla, lasy i brzegi lasów, tu bowiem wszędzie robactwa dosyć, a on niem żyje.

Główne leżysko zakłada sobie kret w miejscach, o ile być może, bezpiecznych i nie tak dostępnych, więc np. pod korzeniami drzew, pod murem i tp. i zwykle w znacznej odległości od miejsc, na których odbywa codzienne łowy swoje. Tutaj liczba ganków podziemnych przecinających się w rozmaitych kierunkach staje się od dnia do dnia większą. Od tego miejsca prowadzi do właściwego mieszkania długi, zwykle dosyć prosty ganek. Legowiskiem jest okrągława komora, mająca dobre trzy cale średnicy. Naokoło tej komory i w odległości 6 do 10 cali od niej poprowadzony jest ganek a nieco wyżej i bliżej drugi także okołem idący. Związek między komorą w środku a temi dwoma gankami okólnemi jest taki: do górnego ganku okolnego prowadzą z komory zwykle trzy chodniki, między temi zaś skośno

na dół i na przemianę z niemi z górnego ganku do dolnego prowadzi pięć do sześć ganków. Z komory mieszkalnej do dolnego ganku okolnego nie ma więc żadnego bezpośredniego przejścia, lecz kret dostaje się do niego przez wyżej położony mniejszy. Z dolnego większego ganku okolnego rozchodzi się znowu promieniami na wszystkie strony prawie poziomo na zewnątrz ośm do dziesięciu ganków, już to pojedynczych, już też rozgałęzionych, które wszakże po większej części w niejakiej odległości kluczkowato zawracają do ganku łączącego mieszkanie z miejscem łowu. Ujścia tych ganków prowadzących na zewnątrz znajdują się między ganeczkami łączącemi dolny ganek okolny z górnym. Ściany komory i ganków naokoło są mocno ubite i wygładzone, komora sama liśćmi, trawą, mchem, słomą wysłana. Pod tą pościałką znajduje się jeszcze jeden ganek prowadzący w głąb, a potem łukiem znowu w górę do onego ganku, który łączy mieszkanie z miejscem łowu. Kret widząc się zagrożonym z wierzchu, usuwa podścialkę i zmyka tymto gankiem. Ściany ganku prowadzącego na miejsce dziennych łowów są także mocno ugniecione i gładkie, a sam ganek tak przestronny, że kret z łatwością i szybko pomykać się nim może. Ganek ten jest częstokroć 100 do 150 stóp długi. Kretowin po nad nim kret nie sypie, ugniatając łapkami ziemię na boki. Szybkości, z jaką kret sunie chodnikami podziemnemi, dochodził Lecourt następującym sposobem: Wyśledziwszy chodnik łączący legowisko z miejscem łowów, powtykał do niego słomki, u których górnego końca przymocował chorągiewki z papieru. Wystraszywszy potem kreta z legowiska zatrąbieniem, po poruszeniu słomek, których dolnego końca dotykał się umykający kret, widział, z jaką szybkością posuwał się naprzód. Ma ona wyrównywać szybkości truchtu końskiego. Mieszkanie to leży do dwóch stóp nad powierzchnią ziemi. W pobliżu niego kret nie ryje i kupek nie sypie. Czyni on to tylko tam, gdzie odbywa łowy swoje. Wychodzi on na nie trzy razy dnia, z rana, w południe i wieczór, latem i zimą, z tą tylko różnicą, że w zimie, gdy ziemia zmarznięta, głębiej się zapuszcza. Powiększa to pożyteczność jego. W zimie, jak niektórzy utrzymują, ma sobie kret robić zapasy z owadów pokaleczonych, ale nie zagryzionych. W zimach ostrych te zapasy mają być obfitsze. To wszakże pewna, że kret nawet w świeżym śniegu i w ziemi zmarzniętej kopce sypie, tudzież po ziemi zmarzniętej pod śniegiem dalekie odbywa wędrówki.

W ziemi miałkiej kret ryje z wielką szybkością. Drogę toruje sobie ryjkiem i silnemi szuflowatemi przedniemi łapkami, opatrzonemi w tęgie pazury. Ziemię rozdrobioną z wielką siłą i zręcznością rzuca poza siebie, i dopiero gdy mu zawadza, uprząta ją, wyrzucając ryjkiem w górę. Uszka maluczkie, zupełnie w futerku ukryte, są przymykalne błonką okalającą otworek uszny w miejscu ucha zewnętrznego, skutkiem czego kret zabezpieczony jest od wpadania do nich ziemi i piasku. Ryje zwykle przynaj-

mniej 5 do 6 cali głęboko. Rośliny drobniejsze nie sięgają głębiej korzeniami swemi; więc im też rycie kreta nie szkodzi.

Na powierzchnią ziemi kret nie lubi wychodzić; w razie potrzeby atoli bieży po niej dosyć szybko. Światła dziennego także nie lubi. Wszakże już nieraz znaleziono krety w jasny dzień przy ujściu nory. W razie potrzeby kret dobrze pływa. Znane są wypadki, że krety przepłynęły szerokie rzeki, a w Szkocyi w pobliżu Edynburga widziano je raz wieczorem w czerwcu przeprawiające się z lądu na pobliską wyspę przeszło 500 stóp odległą.

Co do zmysłów kreta, nie ulega wątpliwości, że słuch i węch są u niego najwięcej rozwinięte. Słuchem też i węchem kieruje się on pod ziemią; wzroku, jak się przekonano, używa na przeprawach przez wodę. Oczka ma kret nie większe jak ziarneczko maku, czarne, ukryte w sierci z powiekami przymykalnemi. O ostrym węchu jego przekonano się następującym sposobem: W skrzyni, w której było na pół stopy ziemi, pewien badacz miał kreta. Przygniótłszy w rogu ziemię, położył tam trochę drobno skrajanego surowego mięsa. Już po kilku minutach zaczęła się ziemia w tem miejscu podnosić, niebawem pokazał się ryjek kreta i mięso zostało zjedzone. Wydostawszy się kret na powierzchnię ziemi, a chcąc znaleźć miejsce stósowne do spiesznego zarycia się, biega szybko tam i sam, macając ryjkiem po ziemi, nim zacznie ryć w upatrzonem miejscu. Zarówno bystrym jest słuch kreta. Dosłyszy on najmniejszego wstrząśnienia ziemi i każdego szelestu w pobliżu miejsca, w którem przebywa. Mniej rozwinięty jest u niego smak. Nie robi bowiem wielkiego wyboru w jadle. Tylko ropuchy nie ima się. Wszakże w braniu pożywienia objawia on dosyć wiele przemysłu. Uchwyciwszy glistę, trzyma ją zębami i przeciąga pomiędzy przedniemi łapkami, aby wycisnąć z niej ziemię i inne nieczystości, i tak dopiero zjada ją. Po jedzeniu, które sobie atoli mozolną dobywać musi pracą, i nim się uda na spoczynek, nie z nudów i próżniactwa, jak pasożyty ludzkie, ale ze znużenia pracą lubi się napić. Żeby mu więc nie brakło wody, robi sobie podziemne chodniki do niej, jeżeli gdzie jest w pobliżu, albo zakłada sobie studnie, t. j. dosyć obszerne, prostopadłe zagłębienia, nieraz znacznej głębokości, służące do zbierania się w nich wody. Krety trzymane w niewoli po jedzeniu także chciwie piły.

Zresztą żyje sobie kret samotnie i nie znosi w pobliżu żadnego innego zwierzęcia, któremu siłą sprosta, ani też nawet żadnego drugiego kreta. Gdy przypadkowo zdybie jeden drugiego, rozpoczyna się bójka na śmierć. Toż i z głodu zje jeden kret drugiego słabszego, gdy mu się nawinie. Jedynie w czasie parzenia i dopóki nie odchowały się młode, żyje kret razem z samiczką, a to w najprzykładniejszej zgodzie i miłości. **(Dok. nast.)**

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XIX. Nr. 18.

21. grudnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Poprawa.

W górach sanockich jest piękna wioska Lipa. Żyje tam do dziś dnia gospodarz Jędrzej Mielnik. Z młodu pracowity i poczciwy, przyszedł do dobrego mienia, ożenił się, Bóg go pobłogosławił dziećmi, dostatkiem i zdrowiem i mirem u ludzi. Szczególniej odznaczał się pobożnością — rad kochał się w nabożeństwie, w cerkwi, w modlitwie i od proboszcza swego bardzo był lubiony. Nie ma jednak człowieka bez wady; i Jędrzej miał jednę złą skłonność; kiedy niekiedy czuł pociąg do wódki; przy frasunku, przy ochocie bywało upił się, i napadało go takie licho, że byłby się topił w wódce; ale jako człek niegłupi i dobry, otrzeźwiawszy, widział że to źle, frasował się i wstrzymywał ile możności od obrzydłego trunku. Dzienna praca, szczera modlitwa broniły go od złego, i długi, długi czas Jędrzej żył poczciwie, pracował i dorabiał się, a zła skłonność tylko niby drzemała w nim. Na dobry ład, powinienby był Jędrzej znając siebie, raz na zawsze zrobić rozbrat z grzechem, odsunąć się od sposobności wszelkiej złej, bo ta

zawsze niebezpieczeństwo sprowadza, i raz na zawsze przyrzec solennie Panu Bogu, że się wyrzeka nałogu złego; pewnieby mu Pan Bóg pomagał w tem postanowieniu i błogosławił dobrej chęci, ale Jędrzej jeno ciszył a ciszył nałóg do wódki, a złe w nim drzemało i drzemało. Nie unikał od wódki gdy się zdarzyła sposobność, durząc sam siebie, że porządny człowiek nie zgrzeszy, gdy się niekiedy napije kieliszek. Tymczasem stało się, że grady, nieurodzaj, wielką mu klęskę zadały, dzieci mu dwoje umarło, a co najgorzej, dopytał się go zły towarzysz, krewny ulopnik, wielki pijak — i z tego kłopotu, z tej pokusy prawdziwie szatańskiej, Jędrzej pić zaczął więcej jak zwykle i nieopamiętywał się już tak jak dawniej, — głos sumienia, głos rozumu i serca choć się odzywał jeszcze, ale go już tłumiła pokusa coraz mocniejsza. Pił coraz więcej — żona zaczęła rozpaczać, gospodarstwo upadało, sąsiedzi dziwili się spokojnemu człowiekowi co się z nim stało. Jak nie ten sam nędzniał i szalał chwilami. Po niejakim czasie dziwa się z nim dziać poczęły. Rozpił się okropnie, straszny był ludziom, biegał jak oparzony krzycząc:

— Ratujcie, bo mnie bierze, bo mnie porywa!

Nocami zrywał się z krzykiem, biegł pod drzwi cerkwi, jęcząc padał krzyżem i wołał ratunku, to dobywał się do księdza wołając aby go szedł spowiadać, bo zły duch go szarpie i zabić chce. Na przemian pił, to znowu rozpaczał, przywidywały mu się cudne rzeczy, płakał i wywoływał, że go męczy szatan. Smutny był stan nieszczęśliwego, tak jakby dusza jego walczyła z grzechem, który ją chciał zgubić. Cudowali się ludzie, uciekali od niego jak od niesamowitego, w domu niestało ostatniego ziarna, ostatniej koszuli dzieciom. Widoczna kara Boża. Szanowny proboszcz staruszek użalił się biedaka, wołał go do siebie, przemawiał łagodnie, radził zarzucić pijaństwo i nawrócić się do Pana Boga. Jędrzej szlochał jak dziecko, suwał się na kolanach, szedł do spowiedzi i uciekał jakby gnany do karczmy, do wódki. Nareszcie udało się księdzu przytrzymać go, uspokoić, rozbudzić prawdziwy żal, usposobić szczęśliwie za pomocą Boską. Jędrzej przyszedł do siebie,

z wielkim płaczem opowiadał, że od czasu jak się rozpił, zdaje mu się, że widzi nieustannie koło siebie złego ducha, w okropnej postaci, który go męczy i zatracić chce. Ksiądz tłumaczył mu, że jest to wprawdzie złudzenie, ale Pan Bóg tak dopuszcza, aby się opamiętał i poznał, że grzech jest to prawdziwa sprawa szatańska i zgubić może duszę na wieki, że od niego samego zależy pozbyć się tej męki, t. j. zaprzestać pijaństwa i pojednać się z Bogiem, a wtedy bezpieczny będzie i spokojny, bo stanie przy nim pomoc Boska, Pan Jezus z świętymi swymi i niczego się lękać nie będzie.

— Opuściłeś Pana Boga i Pan Bóg cię odstąpił, i pozwolił żeby cię trapiła nędza i strach piekielny; ale i to Jego wielka łaska, i za to dziękuj synu, bo widać że pragnie abyś się nawrócił, kiedy tak wyraźnie daje ci to poznać. Inni nieszczęśliwi grzesznicy nie wiedzą nawet że grzeszą i zatwardziali są na wszelką bojaźń.

Pocieszony, uspokojony Jędrzej odbył spowiedź świętą, zarzekł się wiecznie wódki, zabrał się na nowo do pracy i kilka lat już mija jak żyje szczęśliwie, w zgodzie z Bogiem i ludźmi, odzyskał mienie i zdrowie, nabożniejszy jak był przedtem, szanowany od wszystkich — widziadła i zmory znikły, zły duch nie ma przystępu do duszy co nieskalana grzechem. Pan Bóg przebywa w zagrodzie i w sercu jego — nigdy nie pije wódki i ze łzami dziękuje Bogu, że go takim prawie cudem wyrwał z zguby.

Nie każdemu to tak cudownie dzieje się, ale każdy chrześcijanin wie, że grzech to pokusa i służba szatańska — kto grzeszy, służy złemu duchowi, jest w mocy jego, oddaje mu duszę, a Pana Jezusa odstępuje i zapiera się. Chociaż nie widzi tego, ale pewny tego być powinien. A więc precz z wódką, a ten wróg zbawienia nic wspólnego z nami mieć nie będzie! Grzechów się swoich lękajmy, a jego się lękać nie potrzebujemy i pod opieką Pańską spokojnie usypiać możemy.

B. E.

Prowizya od talara.

Ach mój Boże! mocny Boże!
Jakie pustki w tej komorze!
Znikły jagły, znikła mąka,
Groch jakby kto wymiótł z skrzyni,
A w stodole wiatr się błąka,
I w sąsiekach służbę czyni.
O czczej duszy człowiek żyje,
Ni to doje, ni dopije...
Była krówka kieby łania,
Białą strzałkę przez łeb miała,
Jeno skinąć, już się skłania,
Skopek mleka zaraz dała.
Lecz gdy ciężka przyszła bieda,
Poszła marnie w ręce żyda;
Wieprz się zabił na ostatki,
By kęs mięsa postał w garku;
A kokoszki dwie czubatki
Sprzedałam już na jarmarku;
Sprzedałam je poniewoli,
Żeby kupić funcik soli,
Żal się Boże! takie życie!
Żal się Boże takie czasy!
U komina płacze dziecię
Nad ziemniakiem bez okrasy;
Lecz nie długie to płakanie,
I ziemniaka wnet nie stanie.
Takto w pustej swej komorze,
Matyskówa żal rozwodzi:
W tem zaszczeknął Bryś na dworze,
Banachowa w progi wchodzi,
Banachowa kuma stara,
Modry wełniak, świta szara,
— Cóż tu słychać w waszej chacie?
Rzekła, siadłszy u komina,
Lecz snać troskę w sercu macie,
Bo nie tęga jakoś mina.
Czy dzieciątko lub broń Boże,
Sam gospodarz nie zdrów może?
Matyskowa kiwła głową,
I zapaską łzę ociera,
— Co tam zdrowo, czy nie zdrowo
Kiedy z głodu człek przymiera;
Gdy się kogo bieda czepi,
Razby było skończyć lepiej.
— Płoche słowa, grzeszna mowa,
Stara kuma odpowiada,
Choć to bowiem rzecz nie nowa,
Że na dolę człowiek biada,
Owa dola czy niedola,
Nasza pono własna wola.
Pamiętacie, jak to latem
Siedziało się z dzieckiem w domu;
Najemnicy trzeba zatem,
Bo któż darmo robi komu?
Grosz za groszem szedł powoli,
Nie ma teraz szczypty soli!
A po żniwach, gdy plon złoty,
Złożył wreszcie się w stodole;
Co niedziela na ochoty,
Wódka z miodem wraz na stole.
Dobre wtedy były czasy,
Brakło za to dziś okrasy.
Gdy się żydziak przywlókł z kramem,
To już radość, to wesele;
Co to, człowiek ma być chamem,
Co to, chodzić w samodziele?
Nuże syców na spodnice,
Nuż muśliny, bawełnice,
A wstążeczek też dziecince,
A paciorków trza dla siebie.
Choć już grosza nie ma w skrzynce,
Żyd poradzi w tej potrzebie,
Miarka kaszy, przetak grochu,
Wysypało się po trochu...

Teraz bieda, teraz troska:
Teraz życie się przeklina.
Lecz nie wola to w tem Boska,
Ale nasza własna wina;
Tak się sypia, jak się ściele,
Jedno z drugiem mało, wiele,
Lecz cóż rada poniewczasie,
Próżne słowo też nie płuży;
Mam talarka tu w zapasie,
Niech wam kumo zdrowo służy,
Mój też korczyk jarki przyda;
Lepiej zawsze jak od żyda.
Ucieszona Matyskowa
Ściska starą, płacząc rzewnie,
Niech choć kurcząt się dochowa
Odda zaraz, odda pewnie,
A po żniwach, co daj Boże!
Na prowizyą się wspomoże.
— Ja prowizyi nie łakoma,
Banachowa wtedy powie,
Chleb bez tego będzie doma,
Póki tylko Bóg da zdrowie.
Lecz w dodatku do talara,
Niech naukę da ci stara;
Nie zapłacze na przednowku,
Kto pracował latem szczerze,
Żyd nie weźmie mu przychowku,
Gdy tej pracy użył w mierze.
Resztę sprawi łaska Boska,
I Marya Częstochowska,
Jako niegdyś tak i ninie,
Da obronę w złej godzinie.

M. I.

Syberya.

Każdego z nas Polaków ten wyraz Syberya zimnym dreszczem przejmuje, i nic dziwnego, bo iluż to braci naszych przez kilka set mil pędzą przykutych do drąga żelaznego, odartych, głodnych, schorzałych, katowanych przez nieludzkiego żołdaka. Tysiącami padają po drodze wynędzniałe ofiary srogości dzikiego nieprzyjaciela, kobiety, starce, dzieci, kaleki; a pomimo tego wielka jeszcze liczba tych nieszczęśliwych, co po długim pochodzie dostaje się do kraju, zmarzłym piekłem zwanego, w nędzy, strapieniu i niewysłowionych dolegliwościach marnieje i ginie; a jeżli kiedy, rzadki ziomek, z tej mrozem skostniałej otchłani powróci, to pewnie z nadwerężonem zdrowiem; lecz z tą przynajmniej pociechą, że w ziemi swych ojców kości swe położy.

Zachowując sobie na inny raz szczegółowy opis Syberyi, opowiemy tu szczególniej na jakie uciążliwości i trudy wysta-

wieni są kupcy, trudniący się zakupnem futer w tym zamrożonym kraju, ale obfitującym w zwierzęta, pięknych i dobrych futer dostarczającę

— A ty prawdziwe syberyjskie zimno! — nie jeden zawołał w czasie tęgiej zimy; jednakże najsilniejsze w naszych okolicach mrozy, z temperaturą Azyatyckiej Rosyi, Syberyą zwanej, w porównanie iść nie może. Na przestrzeni 250.000 mil kwadratowych, przed 40. latami zaledwie milion mieszkańców liczono; od owego wszakże czasu znacznie się ta liczba powiększyła, przez wysyłanie tam ciągle wygnańców. W południowej tylko części tego rozległego kraju udaje się cokolwiek żyta, na północy, na wybrzeżu morza lodowatego, od Września począwszy aż do Czerwca jest pustynia lodu i śniegu, na której miejsce w lecie, dwa miesiące trwającem, niezmierzone powstają bagniska. W tym nędznym kraju żyją ludzie szczególniej z polowania i rybołowstwa; jedno jednak i drugie opłaca się obfitością. Z Syberyi pochodzą najkosztowniejsze futra: sobole, gronastaje, czarne lisy i wiele innych. Żeby tak kosztownych futer nie dziurawić kulami, nie strzelają do tych wyborowych zwierząt, lecz sidła na nie zastawiają; uciąźliwe to zaiste zatrudnienie, tem bardziej gdy pomyślimy, że większa część wygnańców, do tak surowego sposobu nie nawykła wcale. Równie podziwiamy i kupców, którzy w tych mroźnych okolicach zakupują towary i prowadzą handel zamienny.

Kupiec na ciągłe niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju wystawiony, wprawia nas w zadziwienie, gdy w gorącym kraju, na okręcie puszczy, t. j. wielbłądzie, w Afryce lub Arabii, rozpalony, piaszczysty przebywa Ocean, który w każdej chwili śmiałego wędrowca w swoich gorejących falach zagrzebać może. Rozbójnicy grożą tu rabunkiem i niewolą, palące wiatry zaduszeniem, pędzą tumany piasku w nieprzejrzanej okiem płaszczyźnie; ale jeżeli podróż odbyła się pospiesznie i bez przypadku niepomyślnego, to bogaty zysk hojnie nagradza pełne narażenia się przedsięwzięcie.

A teraz wystawmy sobie kupca rosyjskiego, który dla zarobku, corocznie dwa razy po 400 mil przeszło z Irkucka do Kolimy tam i napowrót przy 30. i więcej stopniach mrozu podróżuje, gęste lasy i ogromnej rozległości zamarzłe bagna wśród ciągłych niebezpieczeństw przebywa, a po całych miesiącach nie ujrzy człowieka, nie znajdzie nigdy, choćby na chwilowy spoczynek, żadnego schronienia; zamieć śniegowa, lub nocleg pod gołem niebem przy napadzie dzikiego zwierza, zagrażają mu nieustannie zgubą ostateczną, a wreszcie, co jeszcze dotkliwsze, strata koni często z braku pożywienia ginących, naraża podróżnego na zagrzebanie się żywo w śnieżystej pustyni.

Powoli, jeden za drugim, krok za krokiem wloką się zmordowane konie pod ciężarem do trzech cetnarów wynoszącym. Z trudem postępują po śnieżnych zaspach, na których tylko ślady nóg dzikich zwierząt, albo warstwa spadłego śniegu widzieć się daje. Podróżni w różnego rodzaju futra przybrani, w ogromnych czapkach z włosem na zewnątrz; w butach ze skóry renów aż po za kolana, do pasa prawie sięgających, w maskach i szyją futrem obwiązaną, siedzą na wysokich siodłach nieporuszeni. Wszyscy milczą. Powietrze ciężkie i pochmurne; karawana postępuje wśród gęstej mgły. Nareszcie wybija się przecie światło dzienne, na krańcu widnokręgu rozgorywa ciemno-czerwony pas pierwszego zarania; gęsta mgła rzedniejąc rozjaśnia powietrze, jakkolwiek ona jeszcze unosi się nad głową wędrowca. Słońce wschodzi w postaci kuli ognistej, toczącej się po niebieskiem przestworzu: teraz tysiące tęcz igrają cudnemi farbami po bieluchnym śniegu, po zlodowaciałych bagnistych trawach i gałązkach nizkich krzaków, wychylających szronem okryte wierzchołki; od mgły odbite, a powiększone cienie drzew, jak olbrzymy występują z ziemi w najrozmaitszych postaciach jako wieże, słupy, zamki; przepyszne to zaprawdę zjawiska, które jednak za chwilę znikają bez śladu.

Słońce zapada, a z niem rozpływa się czarowna ułuda różnobarwnych świecideł; na nowo w nieprzejrzanej oddali

rozciąga się biała powłoka śniegu; na nowo ukazują się szkielety szronem powleczonych krzaków. Żaden głos nie zbudzi ze snu głębokiej ciszy pustyni... wędrówka odbywa się jak po zgliszczach wymarłego ludu!

Nakoniec po różnych znakach domyślają się podróżni bliskiego miejsca na nocleg przeznaczonego. Podwodnicy zachęcają konie wołaniem: „bar! bar!“ do spieszniejszego pochodu; wkrótce też przybywają na to zacisze stanowiące ich upragniony spoczynek. Tu mają zanocować. Czarne, wypalone pnie wychylają się z pod śniegu... to ich ognisko. Jeźdzcy zsiadają z koni, jedni puszczają je wolno, drudzy szukają pastwisk, gdzieby ich zwierzęta łatwiej trochę mchu na zamarzłem bagnie odgrzebać mogły kopytem; inni znoszą chróst do rozpalenia ognia potrzebny. Zwolna rozpromienia się zarzewie, kupcy zasiadają na derach i matach w około obozowiska i przygotowują herbatę i skromną wieczerzę. Cały swój ubiór ubielony śniegiem lub szronem, a maski pokryte lodem, zdejmują ze siebie dla przesuszenia. Swobodniej teraz oddechają, ale ich oddech ulatuje szronem; mówią, a poruszenia głosu widocznie się okazują w powietrzu. Nie rychło roztapia się przymarzły do ich sukien śnieg, i długo czekać potrzeba, nim chleb odtaje, nim się jedzenie przyrządzi, przyczem ani kociołka z ognia, ani rękawic z rąk zdjąć niepodobna. Kiedy nadejdzie chwila do spania, trzeba się rozebrać do koszuli, a przywdziać inne suche futra, dla wysuszenia tymczasem wilgocią przesiąkłej odzieży. Łatwo sobie więc wystawić możemy, jak dotkliwą jest przemiana szat pod gołem niebem i taki nocleg wśród wiatru i trzaskającego nieraz mrozu. Często w nocy zrywa się gwałtowna zawierucha i masami śniegu zasypuje podróżnych i konie, wtedy potrzeba niekiedy i parę dni w miejscu pozostać, dla wypoczynku strudzonych koni. Z nadejściem dnia rozpoczyna się znowu podróż przy świetle zorzy północnej, którato w postaci snopów rakietnych rozciąga się po niebie, albo jak tęcza różnobarwna rozwiła się, lub w jasno-świecących promieniach wystrzela. Nużąca jednostajność okazuje się w tej całej uciążliwej podróży. Niemiłe, chorobliwe uczucie przypomina

człowiekowi, że żyje; serce i umysł trętwieją, a w duszy próżnia i czczość, jak w całej otaczającej człowieka przyrodzie.

Kiedy w ten sposób towary jadącej karawany dostaną się do okolic podbiegunowych, wtedy sprzedają je kupcy w średnim i niższym Kotymsku urzędnikom i z Kozaków składającym się mieszkańcom, równie jak i Jakutom, Czukczom i innym pokoleniom, na odbywającym się w końcu marca lub na początku kwietnia jarmarku. Za kociołki, nankin, grube sukna i wszelkiego rodzaju drobniejsze wyroby; otrzymują kupcy najpiękniejsze czarne lisy, sobole, lisy podbiegunowe, jednem słowem wszelkie futra najbardziej poszukiwane. Czukczowie lud szczególniej wojowniczy, jak wszystkie dzikie pokolenia, namiętnie lubią — gorzałkę, a lubo handel zamienny za wódkę jest zakazany surowo, to przecież pomimo zakazu zdarza się często, że za kubek wódki łatwo dostać futro z czarnego lisa, a za drugi trzy razy tyle niekiedy. Wreszcie futra, kość słoniową i wszelkie inne nabytki, ładują kupcy potem na konie, i pospiesznie wracają przez zamarzłe bagniska, nim ich lodowa odtaje powłoka, aby pod koniec jarmarku stanąć w Jakucku, dokąd w lipcu zjeżdżają się, każdy do swej rodziny.

Z nauki zdrowia.

Ratowanie utonionych.

Tem większa jest nadzieja uratowania utonionego, im był młodszym, silniejszym i zdrowszym, im krócej pod wodą zostawał, lubo są przykłady przywrócenia do życia człowieka we dwie godziny z pod wody dobytego. W ogólności w żadnych okolicznościach starań i nadziei opuszczać nie należy; są bowiem przykłady, iż dopiero po 8 godzinach ratunku utonionemu przywrócono życie.

Szkodliwym przesądem wielu nieoświeconych ludzi jest mniemanie, iż człowiek utoniony dla tego nie żyje, że się nadto opił wody i przeto stawiają go do góry nogami, taczają w beczce po ziemi, lub na prześcieradle Te sposoby nietylko

są nieużyteczne, ale i bardzo szkodliwe, same nawet zdolne przeszkodzić przywróceniu życia.

Po dobyciu człowieka z wody przestrzegać należy, aby ile możności nie był dobywany i niesiony głową na dół. Trzeba rozebrać go i położyć włóżku lub na stole na materacu, lub na słomie w izbie osobnej, nie zbyt gorącej ani zimnej, w którejby nie było przeciągu wiatru; potrzebny jest ogień bliski dla ogrzewania chust i innych rzeczy i oddalenia widzów niepotrzebnych.

Środki ratowania są jedne szczególne, a drugie powszechne wszystkim przypadkom uduszenia, jakoto: przywracanie oddechu, krwi biegu, drażnienie nerwów i obudzanie wszystkich zmysłów.

Najpierwsze i szczególne względem utonionych działanie jest naprzód: uwolnić mu gardło, usta i nozdrze od flegmy i piany, a czasem od błota i piasku, któremi są zatkane; te bowiem są narzędziami oddechu. Uwalniają się usta i nozdrza palcem, kawałkiem cukru, piórkiem, a wreszcie sprycą. Drugie działanie, które z pierwszem dziać się może jest osuszenie; osuszyć należy ciało jak najlepiej, płótnami miękkiemi, flanelą, kuczbają, bają ogrzanemi, w niedostatku tych rzeczy pakułami; osuszać należy ostrożnie i zwolna, unikając mocnego przyciskania piersi i dołka serca. Jeżeli ciało zwalane błotem, należy go wprzód umyć ciepłą wodą. Trzeciem działaniem jest ogrzanie; starać się należy powrócić całemu ciału ciepło naturalne, co nie jest łatwo; na ten koniec ciało obwija się w jaką materyę wełnianą dobrze ogrzaną, głowa okrywa się czapką, równie ogrzaną. Chusty lub rzeczy wełniane, często zmieniane dla ogrzania, kładą się na dołek serca, pod pachy i pod kolana. Dla prędszego rozgrzania pod podeszwy i między uda kładą się cegły rozgrzane i obwinięte chustami, lub butelki nasypane gorącym piaskiem, lub nalane gorącą wodą. Rozgrzewa się bardzo skutecznie ciało przysypane na ćwierć łokcia ciepłym, przesianym popiołem, rozgrzanym piaskiem lub solą. Nakoniec bardzo skuteczny sposób rozgrze-

wania jest zakopanie utonionego prócz głowy, w gnój gorący.

Dalsze działanie jest rozcieranie ciała. Rozciera się zwolna pod pokryciem, aby ciała nie oziębić, rzeczami miększemi, suknem, szczotkami, flanelą, kuczbają, pakułami, ręką i t. d. okadzając je bursztynem, jałowcem, lub skrapiając potrosze oliwą, gorzałką, wódką kamforową, octem lub winem. Rozciera się piersi, żołądek, brzuch, krzyże, ręce, nogi, pięty, uda z dołu do góry, z początku powoli, potem nieco mocniej, aby ciało zarumienić, lecz nie żeby je zranić.

Najskuteczniejsze działanie dla przywrócenia oddechu, jest wpuszczanie powietrza do płuc przez usta lub nozdrze. To czyni się lub mieszkiem od komina lub dudką, piórkiem, nakoniec ustami człowieka, zdrowy i mocny oddech mającego, przyłożonemi do ust ratowanego. Ostrożność tylko w tem działaniu zachowuje się: jeżeli się to dzieje mieszkiem, należy postępować z największą ostrożnością, zwolna bardzo i potrosze wpuszcza się powietrze, raptownem bowiem nadęciem naczynie jakowe w płucach pęknąćby mogło, rurka nie kładzie się w usta głęboko, by nie poranić części wewnętrznych. Za pierwszem wpuszczeniem nos się nie zatyka, aby reszta flegmy wypędzona była nozdrzami, poczem zatkawszy nozdrza, wpuszcza się zwolna, po trosze powietrze. A gdy się piersi nieco podniosą, należy przestać i zaraz rozcierać je z dołu do góry, dla wypędzenia napowrót powietrza, po czem znowu wpuszczać i rozcierać, co się powtarza kilkakrotnie. Można także wpuszczać nosem, zatkawszy drugie nozdrze i usta.

Drażnienie nerwów dla obudzenia czułości jest bardzo skuteczne, sposoby zaś są: enemy z dymu tytuniowego lub z dekoktu z pół łuta tytoniu do kwarty wody, do połowy wygotowanej i przecedzonej. Równie lekarstwo domowe z wody z kamfory, lub z olejkiem terpentynowym, którego idzie jedna czwarta część do trzech części wody. Wzbudzają się womity, łechtając piórkiem, pędzlem lub palcem gardło, a wtedy trzyma się chory siedząc, z nachyloną na bok głową W tym

samym czasie należy rozcierać zwolna dołek serca. Póki zaś chory połykać nie może, nie należy mu wlewać do gardła. Wzbudza się także kichanie wdmuchając w nos tabakę, pieprz, zwłaszcza hiszpański, gorczycę, imbir lub ciemierzycę; łechtając w nosie piórkiem, maczanem w spirytusach, lub trzymając pod nosem chrzan świeży tarty, cebulę i tp. Drażniącym środkiem jest także kąpiel wolna z czystej wody, najmniej przez godzinę, dolewając gdy stygnie ciepłej wody, powtóre: kąpiel kroplista, ta jest jednym z najskuteczniejszych sposobów orzeźwienia. Odbywa się dwojakim sposobem: pierwszy, kiedy wyszedłszy na stołek lub stół z imbryczkiem zimnej wody, spuszcza się po kropli jednej na dołek serca, rozcierając ręką i obcierając ciepłą chustą; to czyni się przez kilka minut, a odpocząwszy cokolwiek, często toż powtarzać należy. Drugi sposób jest kropidłem nagle kropić na twarz, czasem na całe ciało, ten mniej jest skuteczny jak pierwszy; lecz obudwu zaniedbywać nie należy. Zastępują bowiem miejsce elektryczności, gdy nie ma machiny i galwanizmu, który tu wielkie skutki sprawiać może. Obudza się także nagłem w ucho krzyknieniem, nagłem lecz ostrożnem oka otwarciem, aby wszystkie zmysły razem obudzić. W ostatniej potrzebie służyć może do mocnego drażnienia bicie pokrzywą, cienkiemi rózgami, stawianie baniek na pępku, tarcie szczotką części ciała najczulszych, kapanie na skórę wody wrzącej, oliwy.

Czy krwi puszczenie jest potrzebne, o tem bez biegłego lekarza sądzić nie należy; czasem może być potrzebne, lecz daleko częściej krew puszczona uratowaniu przeszkodzić może.

Przy używaniu powyższych sposobów, nic nagle, spiesznie i gwałtownie czynić nie należy; lecz ciągle z stałością i wytrwaniem, powtarzając wszelkie sposoby podane, nie tracąc odwagi, nadziei i usilności. Idzie o powrócenie życia człowiekowi; wszelkie więc lenistwo, lekceważenie i zaniedbanie użycia tych starań, prędkie zniechęcenie się, do kogo te starania należą, lub kto tylko czynić je może, jest wielkim występkiem, karę Boga ściągającym. Jeżeli wszystkie starania okazują się bezowocne, to i wtedy nie należy zaniechać starań

przed upłynieniem ośmiu do dziesięciu godzin. Jeżeli pomimo powtarzania wszelkich sposobów, skutek żądany nie nastąpił, nie należy spieszyć się z pochowaeiem ciała, lecz zostawić je pod okiem ludzkiem, póki mocne zepsucie nie ostrzeże o rzetelnej śmierci. Ta ostrożność potrzebna jest we wszystkich przypadkach zaduszenia.

Sposoby dotąd podane nie tylko służą w ratowaniu utonionych, ale mniej więcej używane być mogą we wszystkich przypadkach pozornej śmierci, z wszelkiego rodzaju uduszenia pochodzącej.

W następnym tomie „Dzwonka“ podamy obszerniejszą naukę o ratowaniu ludzi w gwałtownych przypadkach, a mianowicie w razie zagorzenia, rażenia od piorunu, ukąszenia od psa wściekłego i t. d.

Nieco o zwierzętach pożytecznych w ogóle, a o krecie w szczególności.

Przez Dr. E. Janotę.

(Dokończenie.)

Dowiedzioną jest rzeczą, że między kretami jest daleko więcej samczyków niż samiczek. Rzecz zatem oczywista, że się częściej zdybie ze sobą para samczyków niż samczyk z samiczką. W onczas zacięta walka między niemi jest nieunikniona, Jeżeli zaś szczęśliwym wypadkiem samczyk znajdzie samiczkę, po zajęciu mieszkania jednego z małżonków, małżonek zakłada ganki przeznaczone do zamknięcia w nich małżonki, gdyby przypadkowo nawijał się inny jaki wielbiciel. Dla zapewnienia sobie zdobyczy samczyk odgania z pobliża wszelkich innych współzawodników, do czego oczywiście nie wystarczają same tylko pogróżki. Przeciwnicy zdybawszy się, rozkopują ganek, aby mieć więcej miejsca i rozpoczynają walkę bez litości i względów. Odkopanie pobojowisk i bojowników przekonało o tych bój ach. Zwycięzca atoli zrazu doglądać musi także samiczki swojej, która nie czekając końca tych zapasów z zamknięcia swego usiłuje ujść.

Po tych przegrywkach małżeństwo krecie zakłada sobie spólnie korytarze dla większego bezpieczeństwa i łatwiejszego wyżywienia się,

jejmość zasię zakłada i urządza gniazdo w miejscu zetknięcia się dwu lub więcej ścieżek, aby w razie niebezpieczeństwa łatwiej mogła umknąć. Tę przyszłą dzieciarnię urządza sobie krecica w prostej komorze, trawą, pogryzionemi korzonkami, mchem, liściem, słomą mięciuchno wysłanej, w dosyć znacznej odległości od opisanej powyżej komory i okalających ją chodników, jakkolwiek obie te komory gankiem są połączone. Wydaje krecica trzy do pięciu młodych na świat.

Z początku są one całkiem nagie, ślepe, tak wielkie jak ziarnko bobu i bardzo niedołężne. Matka pielęgnuje je z wielką troskliwością i nie opuszcza ich w niebezpieczeństwie. Wyryta lub wyorana przypadkowo wraz z młodemi zanosi je w pyszczku do pobliskiej dziury lub do jakiej kupy mchu, liści, lub gnoju, ukrywając je tutaj tymczasowo jak najspieszniej. Wszakże i ojciec bierze uczciwy udział w ich wychowaniu, znosząc im wraz z matką glisty i inne robactwo, lub przenosząc je przy zalaniu nory wodą w inne bezpieczne miejsce. Po pięciu tygodniach krecięta dorównywają prawie połowie wielkości starych, pozostają wszakże jeszcze w gnieździe, czekając tutaj na dostarczenie sobie pokarmu przez rodziców. Opuściwszy wreszcie gniazdo, wychodzą krecięta nawet na powierzchnią ziemi, igrając tutaj ze sobą. W ryciu są one z początku nieporadne, bez żadnego porządku suną pod samą powierzchnią, a kretowinę rzadko kiedy usypią. Następnej wiosny atoli są już zupełnie świadome rzemiosła swego. Z małżeńskiego pożycia kretów niepodobna tutaj pominąć następującego szczegółu. Otóż gdy samiczkę złapano do paści, już nieraz znaleziono przy niej także samczyka martwego. Więc bez niej żyć nie może i umiera z przywiązania, żalu i tęsknoty za nią. Dlaczego ludzie tak podobni do kretów w zazdrości i zawiści, nie są też do nich podobni w dopiero co nadmienionym tak pięknym przymiocie! Dlaczego w ogóle człowiek mogąc i mając być wyrazem dobroci i miłości bożej na ziemi, woli być sojusznikiem szatana i wrogiem stworzenia! Dlaczego zamiast rozumem dochodzić myśli bożej w stworzeniu, z gnuśności i nawykniongo lenistwa woli pozostać przy najgłupszych, najniedorzeczniejszych, najzgubniejszych widzeniach rzeczy, na hańbę i szkodę i na udręczenie siebie i innych i całego świata bożego!

Ale wracam do kreta. Ojczyzną jego jest Europa z wyjątkiem niewielu krajów, a w środkowej i północnej Azyi sięga krain wschodnich. Zdaniem wielu kret żyjący w Ameryce północnej jest tylko odmianą naszego kreta. W Europie od południowej Francyi, Lombardyi i Turcyi północnej sięga aż do środkowej Szkocyi i aż po Dźwinę. W Irlandyi, na wyspach Orkadzkich (Orkney) i hetlandzkich (Shetland), niemniej na większej części wysp hebrydzkich nie ma go. W Azyi sięga od Kaukazu aż po Lenę, w Alpach i Tatrach idzie aż do 6000 stóp wysoko, a w Alpach znachodzi

się w dolinach otoczonych naokoło na znacznych przestrzeniach nagiemi skałami, śniegami, jak np. w dolinie orserskiej (Urseren) pod Gothardem.

Skąpy dwa razy traci. Znane to przysłowie stwierdza się zawsze i wszędzie. Stwierdziło się ono w Niemczech co do wróbla, stwierdziło się miejscami także co do kreta. Z przesadzonej i źle zrozumianej gospodarności, a raczej z źle obrachowanej chciwości i zawiści, powybijano, jak to już namieniono powyżej, wszystkie wróble. Zazdroszczono im garstki zboża w jesieni. Wróbli nie było, ale było robactwo i zeżerało nieporównanie więcej niż wróble, bo wszystko. Poznano się wreszcie na tem, że Pan Bóg mędrszy gospodarz od zarozumiałego, a przy całej mniemanej mądrości swojej nieraz porządnie głupiego człowieka, i dano pokój wróblom. Na Pomorzu i indziej powystrzelano dzięcioły i inne ptaki leśne. W zasłużoną nagrodę robactwo niszczyło ogromne obszary lasów. Toż i z kretem. Gdzie zaś więcej mają rozumu, tam ogrodnicy puszczają go do szkółek drzew owocowych, aby wytępiał pędraki i inne robactwo Na Szląsku w pewnej posiadłości na obszarze przeszło 44 morgowym zaczął naraz z jednej strony usychać rzepak. Przyczyną tego były gąsienice pewnej ćmy, które w wielkiej ilości obsiadły korzenie rzepaku. Właścicielowi pola znaczna zagrażała szkoda. Cóż tu było robić? Iskać korzenie w ziemi, to już nie podobna. Przypomniano sobie przecież nareszcie, że właśnie do tej roboty Pan Bóg kreta stworzył. Nakupiono tedy co tchu tyle kretów, ile ich było można dostać i rozpuszczono po zagrożonem polu. I cóż się stało? — Co? Krety zapobiegły grożącej klęsce.

A teraz jeszcze jedną próbkę rozumu ludzkiego, dotyczącą kreta. Dawnemi czasy miano go za ślepego i niemego, a tłuszczowi, wnętrznościom, nawet skórze przypisywano jakieś cudowne własności lecznicze. Dotąd w wielu okolicach Niemiec jest ten przesąd, jakoby można uleczyć się od zimnicy, dawszy kretowi umrzeć na dłoni. A niektóre baby mniemają, iż tenże środek nadaje im władzę leczenia chorób już samem wkładaniem rąk. Otóż gdzie rozum ustaje, tam głupstwo nastaje!

Oby powyższe przedstawienie życia kreta przyczyniło się do nabrania przez uprzedzonych lepszego i prawdziwszego zdania o nim! Oby w ogóle przyznano prawdę słowom pełnym głębokiej znajomości rzeczy i szlachetnego uczucia, wyrzeczonym u nas już przed kilkunastu latmi przez J. N. Kurowskiego: „Czas już jest, aby człowiek, uznawszy moralną godność swoją, po ludzku ze zwierzętami obchodzić się zaczął, bo dotąd, hardy z umysłowej nad niemi przewagi, ziemi całej narzuciwszy się za pana, nadużywając moralnej siły swej, spodlił się i został zwierząt tyranem.“

Różności.

Garnki polewane. Ponieważ krzemionka z trudnością się topi, przeto garncarze dla oszczędzenia opału zwykli dodawać ołowiu na polewę, która bardzo jest dla zdrowia szkodliwą, bo kwasy rozpuszczają ołów i tworzą truciznę, zwolna wprawdzie działającą, ale zawsze niebezpieczną Chcąc poznać, czy ołów do polewy był użyty, trzeba w nowy garnek nalać mleka albo wody cokolwiek octem roztworzonej. W przeciągu 24 godzin tyle w naczyniu rozpuszcza się ołowiu, iż ciecz nabywa smaku słodkawo-cierpkiego. Kupując zatem nowy garnek polewany, należy uważać, ażeby polewa na całej powierzchni równo i mocno się trzymała, a za przyciśnięciem paznokcia nie łuszczyła się. Potem trzeba garnek napełnić wodą z trochę soli kochennej, i zostawić to przez 24 godzin w spokojności, poczem przez pół godziny gotuje się przy ogniu. To działanie dostateczne jest do odłączenia od polewy wszystkich cząstek kruchych, które nie spoiły się z gliną, lecz tylko do jej powierzchni przylgnęły. Tak wymoczone i wygotowane garnki, z mniejszem niebezpieczeństwem używane być mogą. Najlepiej jest przed użyciem nowego garnka, zagotować w nim trochę octu. Jeżli polewa dobra, to ocet żadnego nie zostawi osadu.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z niniejszym numerem kończy się dziewietnasty tom „Dzwonka." Czytelnikom naszym, pod których strzechę to pisemko już od tak dawna zagląda, niosąc im rozrywkę i naukę, dziękujemy za wytrwałość i zawiadamiamy ich, że „Dzwonek" w tym kształcie jak dotąd, jeno do końca czerwca (Tom XX.) wychodzić będzie. W tym celu zapraszamy do dalszej przedpłaty, która wynosi:

na pół roku 1 złr.

Szanownych księży plebanów, nauczycieli i inne osoby zajmujące się zakładaniem bibliotek i czytelni przy szkołach, zawiadamiamy, że cenę „Dzwonka" zniżyliśmy o połowę, a tak cały zbiór dwudziestu tomów zamiast 20 tylko 10 złr. kosztować będzie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.